

A young man and woman in military uniforms are smiling at each other. The man is on the left, wearing a camouflage jacket, and the woman is on the right, wearing a camouflage cap and a dark jacket. They are standing outdoors with green foliage in the background.

Karen  
Kingsbury



Żuż  
na zawsze

**Karen  
Kingsbury**

*Już  
na zawsze*

Oficyna Wydawnicza „Vocatio”  
Warszawa



## *Pamięci Joshuy Dinglera poświęcam*

Oddając Wam tę książkę, pragnę uczcić pamięć 19-letniego Joshuy Dinglera.

Pod koniec prac redakcyjnych nad nią otrzymałam list od pewnej czytelniczki - Karen Dingler. Napisała, że Bóg posłużył się jedną z moich książek, aby pokazać jej, że Joshua Dingler, jej syn, żołnierz Pierwszego Batalionu 108. Pułku Zbrojnego Armii Stanów Zjednoczonych z Calhoun w stanie Georgia, nie umarł na darmo.

Joshuę określiło jego życie, to, jak żył. Był synem pastora Tommy'ego Dinglera. Jego matka podjęła się właśnie prowadzenia rodzinnej grupy wsparcia dla jego rodzimej jednostki, gdy do najbliższych dotarła wieść o jego śmierci. Joshua pozostawił młodszego brata Samuela.

W dzieciństwie Joshua grał w baseball w Lidze Młodzików. Był skautem i wysłużył sobie zaszczytną rangę Life Scout. W gimnazjum pojechał do Australii i Nowej Zelandii jako przedstawiciel społeczności uczniowskiej w ramach programu People2People. Pomagał w kościele i pracował jako wolontariusz w kabinie dźwiękowej. W liceum East Paulding w Hiram w stanie Georgia uczestniczył w JROTC<sup>1</sup> i cieszył się tam renomą i sympatią wśród wszystkich, którzy mieli z nim styczność. Był gotów bronić wyścigów NASCAR przed każdym, kto kwe-

<sup>1</sup> federalny program szkoleń wojskowych dla młodzieży licealnej - przyp. tłum.



Joshua Dingler, 1986–2005

stionowałby, że jest to sport. Planował, że po powrocie do domu ożeni się ze swoją licealną miłością i że zostanie nauczycielem historii.

Chcąc uczcić pamięć Joshuy, uruchamiam dwa nowe linki na mojej stronie internetowej [www.KarenKingsbury.com](http://www.KarenKingsbury.com). Pierwszy jest przeznaczony dla Bohaterów Wojennych w Służbie Czynnej (Active Military Heroes), drugi - dla Poległych Bohaterów Wojennych (Fallen Military Heroes). Jeśli ktoś z Waszych przyjaciół czy bliskich służy naszej ojczyźnie, proszę o przesłanie mi zdjęcia i krótkiego opisu tej osoby - imię, nazwisko, stopień wojskowy, gdzie służy i jak możemy się za niego modlić. Strona Bohaterów Wojennych w Służbie Czynnej odda hołd takim ludziom. Czytelnicy ujrzą na niej twarze tych, którzy walczą o wolność, a także znajdą inspirację do modlitwy o siebie nawzajem. Jeśli straciliście kogoś z bliskich bądź przyjaciół w działaniach wojennych, również proszę o przesłanie mi zdjęcia i krótkiej charakterystyki tej osoby. Umieszczę te dane na stronie Poległych Bohaterów Wojennych. Na samej jej górze będzie widniało zdjęcie Joshuy Dinglera. Wysyłając zdjęcie i informację, proszę wpisać w polu tematu słowo „SOLDIER”<sup>2</sup>, a następnie przesłać wszystko na adres [Kingsburydesk@aol.com](mailto:Kingsburydesk@aol.com).

Czytając stronie *Już na zawsze*, pamiętajcie o Joshui Dinglerze. Ofiara za wolność jest czymś rzeczywistym. Proszę też - módlcie się i wspierajcie żołnierzy armii amerykańskiej i ich rodziny. Módlcie się o nich codziennie.

W Jego świetle i miłości,

*Karen Kingsbury*

<sup>2</sup> ang. żołnierz

*Poświęcam...*

Donaldowi, mojemu księciu z bajki. W tym okresie naszego życia, kiedy pracujesz na pełny etat tu, w domu, z naszymi chłopcami, jestem z Ciebie chyba jeszcze bardziej dumna niż kiedykolwiek dotąd. Zdumiewa mnie, jak łączysz miłość i śmiech, czułość i surowe zasady, chcąc wydobyć z naszych synów to, co najlepsze. Drugi rok domowej szkoły? No, no! Nie myśl ani przez chwilę, że Twoja rola w tym wszystkim jest w jakimś sensie mniejsza. To na Tobie spoczywa największa odpowiedzialność. Nie tylko za nasze dzieci, ale i za modlitwę za mnie, kiedy piszę, przemawiam i zajmuję się tą zwariowaną i fajną robotą, jaką dał mi Bóg. Nie mogłabym tego robić bez Ciebie. Dziękuję, że mnie kochasz, że jesteś moim najlepszym przyjacielem, że wyszukujesz okazje do „minirandek” nawet w najbardziej szalonych czy przyziemnych chwilach. Najszczęśliwsza jestem wtedy, kiedy jesteś obok. Kocham Cię zawsze, na wieki.

Kelsey, najdroższej córce. Właśnie skończyłaś 17 lat i zdaje się, jakby to był najpoważniejszy wiek na świecie. Jakbyśmy w ciągu minionych 12 miesięcy przeskoczyli cztery lata do przodu. Siedemnaście lat to ostre wyhamowanie dzieciństwa, które dotąd pędziło na pełny gaz. Siedemnaście lat? Już siedemnaście lat, odkąd trzymałam Cię w ramionach w Twoim pokoiku, czując miłość, jakiej nigdy przedtem nie czułam? Siedemnaście lat to jak gromada końców, z których każdy nastąpi już za chwilę. A konsultanci z rozmaitych uczelni już planu-

ją, jak porwać moją dziewczynkę z domu w całkiem nowy wielki świat. Siedemnaście lat mówi mi, że to już niedługo nastąpi. Czasami spostrzegam, że trudno mi nawet odetchnąć. Tempo jest tak oszałamiające, że staram się nie mrugać powiekami, żeby nie uronić ani minuty. Widzę, jak rośniesz i rozwijasz się niby najpiękniejszy wiosenny kwiat, jak zaczynasz interesować się bieżącymi wydarzeniami i wypowiadasz prawie sądy, które są Twoje własne, niczyje inne. Tak samo jest z tańcem - zapierasz dech, gdy jesteś na scenie. Wierzę w Ciebie, skarbie. Nie spuszczaaj wzroku z Jezusa, a droga okaże się łatwa. Nigdy nie przestań tańczyć. Kocham Cię.

Tylerowi, mojej pięknej pieśni. Czy to możliwe, że masz już 14 lat i pomagasz mi zdejmować talerze z najwyższej półki? Jeszcze wczoraj telefonujący mylili Twój głos z Kelsey. Teraz myślą Cię z tata, i nie tylko pod tym względem. Stałaś na moście, kochany synu, i przechodzisz z Krainy Nigdy do Krainy Jutra, stając się stopniowo silnym i prawym młodym człowiekiem. Nie przestawaj oddawać Jezusowi tego, co w Tobie najlepsze, i nigdy nie zapominaaj, że toczysz walkę. W dzisiejszym świecie, Tyler, codziennie, co minuta potrzebujesz Jego zbroi. Pamiętaj - kiedy będziesz tam, na scenie, nawet w najbardziej oslepiających światłach rampy, będę patrzeć na Ciebie z pierwszego rzędu i kibicować Ci. Kocham Cię.

Seanowi, mojemu cudnemu chłopakowi. Twój łagodny charakter wciąż jest w naszym domu jak jasne światło. Wydaje się, że całe życie upłynęło już od chwili, gdy przywieźliśmy Cię - naszego najdroższego syna - z Haiti. Z wielką radością patrzyłam w ciągu tego ostatniego roku, jak rośniesz i rozwijasz się, jak uczysz się więcej o czytaniu i pisaniu, i oczywiście o zwierzętach. Jesteś chodzącą encyklopedią zwierząt, i to również budzi uśmiech na mojej twarzy. Ostatnio naszą rodzinę nawiedziło przeziębienie, a Ty znosiłeś je lepiej my wszyscy. Uśmiechałeś się w gorączce, a Twoje oczy błyszczały radością nawet wtedy, gdy czułeś się okropnie. Czasami próbuję sobie wyobrazić, co by było, gdyby wszyscy wszędzie wyglądali tak jak Ty. Jakim pogodnym miejscem byłby świat! Zawsze czekam z utęsknieniem na Twoje uściski, Sean. Trzymaj się blisko Jezusa. Kocham Ciebie.

Joshowi, mojemu delikatnemu silnemu facetowi. Wciąż celujesz we wszystkim, co robisz. Ale najbardziej lubię te późne wieczory, kiedy wtykam głowę do Twojego pokoju i widzę - jak zwykle - że siedzisz z nosem w Biblii. Ty naprawdę wiesz, o co chodzi, Josh. Strasznie mi się podobało, jak parę dni temu mówiłeś o chrzcie, że czujesz się już gotowy do tej decyzji, do pójścia za Jezusem. Masz już prawie 12 lat, i mogę powiedzieć, że każda decyzja, jaką podejmiesz dla Chrystusa, przybliży Cię do planów, jakie ma On względem Ciebie. Jeśli będziesz mocny przede wszystkim w Bogu, to będziesz mocny także we wszystkim innym. Dalej zwyciężaj dla Niego, kochany synu. Jestem z Ciebie taka dumna. Kocham Cię.

EJ, mojemu wybranemu dziecku. Zdumiewasz mnie, Emmanuelu Jeanie! Parę dni temu powiedziałaś mi, że często się modlisz. „Dziękuję Mu za zdrowie i za życie, i za mój dom”. Twoje zazwyczaj roześmiane oczy nagle spowaźniały. „I za to, że zostałem przyjęty do takiej rodziny, jak trzeba”. No tak. Ilekroć pomyśle, że się tak modliłaś, wciąż czuję to szczypanie w oczach. Ja też się cieszę, że Bóg sprawił, że zostałeś przyjęty do takiej rodziny, jak trzeba. Jedną z moich skrywanych przyjemności jest obserwowanie, jak Ty i Tata żyjecie się ze sobą. Rzucam okiem, co dzieje się w salonie podczas telewizyjnych transmisji rozgrywek koszykarskich, i widzę Ciebie, przytulonego do niego, i jego ramię na Twoich barkach. Jak długo Tata jest dla Ciebie wzorem, tak długo nie musisz się o nic martwić. Nie mógłbyś mieć lepszego wzoru do naśladowania. Wiem, że Jezus czuwa nad tym wszystkim i że z zapałem dowiadujesz się, jakie plany ma On dla Ciebie. Ten rok zawsze pozostanie dla Ciebie punktem zwrotnym w życiu. Gratulacje, skarbie! Kocham Cię.

Austinowi, synkowi, który jest dla mnie cudem. Jak to możliwe, że mój maleńki ma już 9 lat! Nawet kiedy będziesz miał lat 29, i tak pozostaniesz moim najmłodszym, moim małym. Pewnie tak to już jest z najmłodszymi dziećmi, choć trudno zaprzeczyć temu, co widzą moje oczy. Bo Ty już nie jesteś mały. A mimo to uwielbiam, gdy - raz na jakiś czas - pędzisz korytarzem i wbiegasz do naszej sypialni, żeby położyć się pomiędzy nami. Mam ciągle przed oczami jasnowłosego oseska, który leżał na intensywnej terapii i ledwie oddychał, oczekując na pilną operację serca. Jestem wdzięczna za Twoje zdrowie, najdroższy synu, wdzięczna, że Bóg na koniec tamtego dnia przed laty oddał nam Ciebie. Twoje serce wciąż pozostaje najbardziej zagadkową częścią Ciebie - za sprawą cudu Bożego nie w sensie fizycznym, ale dlatego, że masz w sobie tę łagodność i współczucie dla ludzi. W jednej minucie jesteś twardym gościem, polującym na podwórzu na żaby i węże i zgrywającym komandosa, by po chwili ronić łzy, gdy Słoń Horton o mało nie gubi swego pyłku pełnego maleńkich Ktosi. Niech Bóg ma Cię w opiece, syneczku. Kocham Cię.

I Bogu Wszchemocnemu, Twórcy życia, który mnie Wami obdarował.

## *Podziękowania*

Jak to zwykle bywa i ta książka nie powstałaby bez pomocy wielu osób. Szczególne podziękowania kieruję nade wszystko do moich wspaniałych przyjaciół w wydawnictwie Zondervan, którzy wierzą w powodzenie tej książki i mają w sercu wyjątkowe marzenia i modlitwy co do tego, jak może ona wpłynąć na ludzi i zmienić ich życie. Dziękuję Wam!

Dziękuję też mojemu niezwykłemu agentowi Rickowi Christianowi, prezesowi Alive Communications. Z każdym dniem coraz bardziej zadziwia mnie Twoja uczciwość, Twój olśniewający talent i Twoje oddanie Bogu oraz sprawie propagowania moich książek z cyklu Life-Changing Fiction (Opowieści, które zmieniają życie) wśród czytelników na całym świecie. Jesteś mocny w Bogu, Rick. Troszczysz się o moją pracę tak, jakbyś się czuł osobiście odpowiedzialny za dusze, które Bóg dotknie poprzez te książki. Dziękuję, że dbasz o to, żebym miała czas dla siebie, abym mogła go spędzać także z mężem i dziećmi. Nie dałabym rady bez Ciebie.

Jak zwykle, moje pisanie nie byłoby możliwe bez pomocy męża i dzieci, którzy pokornie są gotowi zjeść cokolwiek, kiedy terminy wiszą mi nad głową, i którzy rozumieją mnie i kochają pomimo wszystko. Dziękuję Bogu, że wciąż mogę spędzać więcej czasu z Wami niż ze „zmyślonymi ludźmi”, jak nazywa ich Austin. Dziękuję, że rozumiecie mój nieraz zwariowany tryb życia i że zawsze jesteście dla mnie największym wsparciem.



Dziękuję też mojej mamie i zarazem asystentce, Anne Kingsbury, za wielką wrażliwość i miłość do moich czytelników. Mamo, jesteś odbiciem mojego własnego serca - czy raczej to ja jestem odbiciem Twojego. Tak czy inaczej, stanowimy świetny zespół, cenię Cię bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę. Jestem również wdzięczna mojemu ojcu, Tedowi Kingsbury, który zawsze był i pozostaje dla mnie największym wsparciem. Tato, pamiętam, że gdy byłam małą, mawiałeś: „Pewnego dnia, skarbie, wszyscy będą czytać twoje książki i dowiedzą się, jaka z ciebie świetna pisarka”. Dziękuję, że wierzyłeś we mnie, na długo zanim uwierzył we mnie ktokolwiek inny. Dziękuję też moim siostrzom Tricii i Susan, i Lynne, które pomagają mi w pracy, gdy roboty huk i nie sposób nadażyć. Jestem Wam wdzięczna!

Podziękowanie dla Katie Johnson, która ma pieczę nad sporą częścią moich spraw - od księgowości po grafik. Katie, to Bóg mi Ciebie dał i będę Mu za to wdzięczna, jak długo będę pisać dla Niego. Nawet nie myśl o tym, żeby mnie kiedyś opuścić! Podziękowanie też dla Olgi Kalachik, której ciężka praca przy przygotowaniach do rozmaitych imprez umożliwia mi zarządzanie większością moich spraw bez konieczności opuszczania domu. Osobiste zaangażowanie każdej z Was w moją pracę jest dla mnie ważne, bezcenne - dziękuję Wam z całego serca.

Podziękowania również dla przyjaciół i krewnych, którzy nie przestają otaczać mnie miłością, modlitwami i pomocą. Mogłabym wymieniać Was tu po kolei, ale sami wiecie, o kogo chodzi. Dziękuję, że we mnie wierzycie i że rozumiecie, kim naprawdę jestem. Prawdziwy przyjaciel stoi przy nas pomimo zmieniających się kolei losu i rozbudza w nas zapał, nie tyle do odnoszenia sukcesów, ile do dochowania wierności temu, co najważniejsze. To właśnie Wy znacie mnie z tej strony, jestem wdzięczna za każdego z Was. Proszę, dalej módlcie się za mnie, ponieważ nie jestem w stanie napisać choćby stronicy, choćby jednego słowa bez Bożej mocy i Bożego daru.

Największe podziękowania należą się oczywiście Bogu Wszechmocnemu, najwspanialszemu ze wszystkich autorów - Autorowi życia (Hbr 12,2). Ten dar należy do Ciebie. Modlę się o tę niesamowitą sposobność i odpowiedzialność, abym mogła używać go dla Ciebie po wszystkie dni mojego życia.

## *Rozdział 1*

Nisko nad osiedlem przemknęły dwa stalowo- Szare myśliwce i zawróciły ku nam gim górom na zachodzie. Lauren Gibbs usłyszała drżenie powietrza w cichutkim brzęczeniu ramek zdjęć na komodzie, wyczuła je przez drewnianą podłogę starego domu, przeniknęło ją aż do głębi duszy. Loty ćwiczebne, jak prawie co dnia. Zamarła na dość długo, by odprowadzić je wzrokiem, na dość długo, by zwrócić uwagę narzeczonego.

- Ciągłe działają ci na nerwy.

To nie było pytanie. Shane Galanter trzymał w ręku stertę talerzy i rozkładał je po jednym na białym obrusie.

- Chyba nie.

Wzięła serwetki i szła za nim, układając po jednej przy każdym miejscu. Spotkali się wzrokiem i zawahała się. Nie zdołała go oszukać, on zna wszystkie zakamarki jej serca. Powoli wypuściła powietrze.

- No zgoda - położyła serwetkę przy kolejnym talerzu. - Męczy mnie to.

Nie zapytał, czy jej frustracja wynika z samego hałasu, czy raczej z faktu, że odrzutowce ćwiczą manewry powietrzne akurat nad osiedlem, gdzie on mieszka, parę ulic od ośrodka szkoleniowego marynarki wojennej Top Gun w Fallon w Nowadzie. Czy może jeszcze z czegoś poważniejszego. Na przykład z faktu, że te właśnie odrzutowce i ci piloci będą uczestniczyć w wojnie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Nie musiał pytać. Wiedział.

Ponieważ już dawno temu nauczył się czytać w jej myślach. Jeszcze wtedy, gdy jako dzieci zakochali się w sobie. To prawda, czas i koleje losu rozdzieliły ich prawie na 20 lat i teraz, oboje już po trzydziestce, są innymi ludźmi. Ale pomimo to odkąd tylko na powrót się odnaleźli, Shane nadal umiał patrzeć jej w oczy i wiedzieć, co myśli.

- Czasami... - zgiął palec i delikatnie wsunął jej pod brodę - czasami, Lauren, zastanawiam się, co z nami dalej będzie.

Poczuła ukłucie paniki, jej świat zakołysał się. Nie powinna była niczego dać po sobie poznać przy tym hałasie, nie powinna była patrzeć przez okno.

- To naprawdę nic takiego - nerwowy śmiech zabrzmiał gardłowo. - Przecież to całe twoje życie. Poradzę sobie.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- To ma być także twoje życie - mówił miękko, ostrożnie. - Prawda?

- Wiem - ujęła dłońią jego policzek i pocałowała go. - Do tego czasu zdążę przywyknąć.

Wpatrywał się w jej oczy.

- Lauren, to już pół roku.

Nie chciała dopuszczać do siebie strachu ani na moment. Pocałowała go jeszcze raz, wolniej.

- Staram się - wymówiła te słowa ledwie słyszalnie tuż przy jego ustach. - Daj mi szansę.

Datę ślubu wyznaczono na Wigilię. To nie była jej decyzja. Gdyby to zależało tylko od niej, już byłiby małżeństwem. Z rozwiązanymi wszystkimi konfliktami i wyłącznie świetlaną przyszłością przed sobą. Ich 19-letnia córka Emily uważała podobnie, szczególnie, że jesień okazała się dla niej okresem wyjątkowo napiętym. Otrzymała stypendium za osiągnięcia sportowe w piłce nożnej na Luteirańskim Uniwersytecie Pacyfiku w Tacomie w stanie Waszyngton i miała rozpocząć pracę w biurze prasowym w bazie wojskowej w pobliskim Fort Lewis. Szła w ślady ojca. „Pobierzcie się latem - błagała. - Zanim zaczniesz szkoła”.

Ale Lauren doszła do wniosku, że Emily martwi się nie tyle swoim planem zajęć, ile tym, czy między rodzicami wszystko się ułoży. Mimo to Shane'owi nie śpieszyło się. Wolał poczekać i popracować nad niektórymi sprawami, które stały na przeszkodzie. Kwestia wiary, jego praca, ich poglądy polityczne - i prawie 20 lat, jakie upłynęło od chwili, gdy się w sobie zakochali, do tej drugiej szansy...

Skoro tak, niech będzie. Lauren mogła czekać. Była gotowa na wszystko, co konieczne, żeby przekonać Shane'a, że ze wszystkim sobie poradzi. Prowincjonalność miasteczka Fallon. Godzinna jazda samochodem na zachód na lotnisko w Fallon, ilekroć szefostwo w tygodniku „Time” wysyłało ją na zbieranie materiału do reportażu. I niemilknący dźwięk odrzutowców nad głową. Przecież nauczy się radzić sobie z tym! Nawet jeśli bywają dni, że bliskość bazy wojskowej nieomal przyprawia ją o obłąd.

Shane postawił talerze i obrócił się prosto w jej ramiona.

- Więc twierdzisz - wplótł palce w jej proste jasne włosy - że nie mam się czym martwić?

Jego dotyk, ciepły tembr głosu sprawiły, że świat Lauren wrócił na swoje miejsce. Rozluźniła się w jego objęciach.

- Nie masz.

- No to dobrze - ucałował czubek jej nosa. - W takim razie idę po lasagne.

Dopóki Shane był dla niej właśnie taki, dopóki jeden jej pocałunek wystarczył, by mieć go znów w ramionach, dopóty mogła jakoś żyć. Musiała jakoś żyć. Fakt, nadal pisała dla tygodnika duże teksty o tematyce wojskowej i nadal kilka razy w miesiącu latała po całym kraju na wywiady. Zazwyczaj jej to wystarczyło. A nawet jeśli czasami miała ochotę wskoczyć do samolotu i wracać do Afganistanu, do pracy korespondentki wojennej „Time'a”, to co z tego? Co z tego, że nadal nie ufała rządowi i wojsku, i ich zamiarom względem Iraku? Co z tego, że poglądy polityczne jej narzeczonego były jak niebo a ziemia względem jej poglądów?

Dopóki miała Shane'a, mogła machnąć na to wszystko ręką.

Zadzwonił dzwonek do drzwi i Lauren odstąpiła na krok od stołu. Towarzystwo już jest. Trzy małżeństwa, żadnego z nich nie zna. Praktycznie nie zna. Dwaj faceci pracują z Shane'em w dziale szkoleń, a trzeci to pilot, którego mają podobno przyjąć do grona instruktorów. Każdy przyszedł z żoną.

Lauren wzięła głęboki oddech. Można się spodziewać, jaki obrót przybierze rozmowa, ale ona będzie się wytrwale uśmiechała.

Poszła do drzwi, rzucając przez ramię:

- Otworzę.

- Dzięki - Shane wcale nie wyglądał na spiętego. Jego bardzo uparta narzeczona miała właśnie spędzić wieczór w towarzystwie trzech par, których poglądy nie zgadzały się z jej poglądami, a jednak nie przejmował się. Ufał jej.

Myśl o tym dodała jej otuchy. Uśmiechnęła się, otworzyła drzwi i ujrzała za progiem wszystkie trzy pary. Jeden z mężczyzn był niski i krępy, miał jasne, roześmiane oczy. Wzruszył ramionami z żartobliwą przesadą:

- Wszyscy przyjechaliśmy w tej samej chwili - spojrzał na pozostałych.  
- Uwierzysz w to?

Reszta roześmiała się, i w końcu roześmiała się też Lauren.

- Tak. Już w to wierzę.

Kiedy weszli, zamknęła drzwi i przedstawiła się. Jednego z mężczyzn - potężnie zbudowanego - widziała już wcześniej. Ale nie spotkała jeszcze tego niskiego, tego nowego pilota ani ich żon. Kiedy przedstawili się sobie nawzajem, poczuła się pewniej. Żony - ruda Becky, jasnowłosa Sally i Ann, drobna brunetka - wydawały się sympatyczne. Becky zwróciła uwagę na barwne korale Lauren.

- Czegoś takiego jeszcze nie spotkałam - kobieta wydawała się odrobinę nabyt poukładana. Podeszła bliżej i przyglądała się koralikom. - Macy's<sup>3</sup>?

- Nie - Lauren próbowała nie nadawać głosowi żadnej intonacji. Zawiesiła głos. - Afganistan - patrzyła, jak reagują. - Zrobiła je dla mnie jedna kobieta.

- O! - uśmiechnęła się Becky. - Bardzo ciekawe.

- Tak - Ann, ciemnowłosa żona niskiego pilota, pokiwała głową. - Kiedy jesteśmy na misjach zagranicznych, zawsze kupuję u miejscowej ludności - powiodła wzrokiem po pozostałych. - To bardzo na topie.

- Gospodarka Afganistanu jest w ruinie - Lauren dotknęła koraliki. - Staram się pomagać mieszkańcom, jak tylko mogę.

Ledwie wypowiedziała te słowa, zaraz ich pożałowała. Zbędne tłumaczenie. Rudowłosa Becky próbowała tylko być miłą, wypowiadając ten komplement, chciała znaleźć jakąś wspólnotę poglądów.

Wszystkie zamilkły i była to krępująca cisza. Można kupować korale za granicą, ale akurat w Afganistanie? W ramach wsparcia gospodarki tego kraju? I nagle jakby wszystkie uświadomiły sobie, że Lauren jest inna. Na pewno jedna czy druga słyszała już o liberalnej narzeczonej Shane'a Galantera. O tej jedynej w ich gronie, której nie nawiedza poczucie dumy i świętego obowiązku, ilekroć przechodzi koło bazy wojskowej. Która zarabia na życie pisaniem do „Time'a”.

W końcu Ann uśmiechnęła się.

- Afganki muszą się chyba cieszyć z tej swobody, że mogą wyrabiać i sprzedawać różne rzeczy.

Jeden zero. Lauren zacisnęła zęby i nie odpowiedziała nic. Brunetka ma słuszną rację. Gdyby Afganistan nie został wyzwolony, kobiety nie mogłyby pokazywać publicznie ani siebie, ani swojej biżuterii. Tyle że są jeszcze inne problemy, kwestie zagrażające życiu, z jakimi zmagają się Afgańczycy i Irakijczycy. I co Stany Zjednoczone robią w tej sprawie?

Shane zastał je wszystkie w przedśionku. Prawdopodobnie wyczuł lekkie napięcie, jakie zapanowało.

- No! - klasnął w dłonie. - Lauren i ja przygotowaliśmy naszą najlepszą lasagnę - wskazał ręką drogę korytarzem do jadalni i kuchni. - Chodźmy i zczynajmy.

Pozostali chętnie poszli za nim. Idąc korytarzem, Shane uśmiechał się szeroko do mężczyźni i kiwał głową w stronę ich żon.

- Wiesz co - podał rękę pilotowi - nieźle latałeś przedwczoraj.

- Mało powiedziane - potężnie zbudowany mężczyzna zrównał się krokiem z Shane'em. - Od lat nie widziałem, żeby ktoś tak latał.

Kobiety zwartą grupką szły w stronę jadalni.

#### **Sieć amerykańskich domów towarowych.**

- A skoro mowa o Macy's - Becky odrzuciła w tył swoje rude włosy. - W tym tygodniu wielka wyprzedaż.

- Tak mi się właśnie zdawało - Ann poprawiła na ramieniu swoją designerską torebkę i roześmiała się. - No to czeka nas upojny wieczór, miłe panie.

Skreśliły za róg i weszły do jadalni. Z salonu dochodziły dźwięki muzyki country, coś powolnego i sentymentalnego. Shane podniósł dzbanek z mrożoną herbatą:

- Ktoś chce pić?

Mężczyźni sięgnęli po szklanki, ale kobiety dalej rozmawiały. Lauren pozostała jeszcze w korytarzu, udając, że poprawia kwiaty w wazonie, przyniesione przez Shane'a specjalnie na tę okazję.

- Byle tylko nie w środek - Sally zrobiła minę, która rozbawiła resztę pań. - W środy zbiera się u nas grupa młodzieżowa.

- No, Chad by wam nie darował - Ann machnęła palcem w powietrze. - Ten chłopak aż do liceum nie cierpiał kościoła. A teraz za nic nie opuści spotkania grupy młodzieżowej.

- Chada chyba interesują raczej dziewczyny niż Ewangelia - Becky uniosła jedną brew.

- To bez znaczenia - Ann podeszła do mężczyzn i mrożonej herbaty. - Byle tylko chodził.

- Czyli wszystko, byle nie środa - Becky robiła wymaginowaną notatkę w powietrze. - To niech będzie wtorek.

Wszystkie skinęły głowami i plan został najwyraźniej zaakceptowany.

Lauren ciągle stała w korytarzu, przyglądając się im. Czy Shane chciałby, żeby była kimś takim? Kimś, dla kogo najważniejszą sprawą w nadchodzącym tygodniu jest to, czy na zakupy do Macy'ego iść we wtorek, czy w środę? I czy chłopak lubi chodzić na spotkania młodzieżowe dla dziewczyn, czy dla Ewangellii?

I nagle, jakby ktoś przekreślił włącznik, zreflektowała się. Co ona wyprawia, krytykując w duchu te kobiety? Krytykuje, osądza, odrzuca. Czyżby była aż tak zapiekła w swych antywojennych poglądach, że nie ścierpi grupy kobiet tylko dlatego, że poślubiły wojskowych? Nagle ogarnął ją żal i smutek. Nie ma prawa ich osądzać, kwestionować ich intencji. Przez większość czasu są dla swoich dzieci i ojcem, i matką, a w okresach wojen doświadczają strat, jakich inni ludzie nie są w stanie nawet pojąć.

Wzięła głęboki oddech. Zmieni swoje nastawienie już teraz, zanim zdążą sobie pomyśleć, że jest okropna. Zanim Shane zauważy, jak się zachowuje. Jest zwolenniczką pokoju, a jednocześnie pakuje się w konflikt w samym środku S h a n e ' e g o salonu?

W tej właśnie chwili Sally założyła kosmyk jasnych włosów za ucho, obróciła się w jej stronę i podeszła parę kroków. Jej szczupłe barki uniosły się nieco.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Lauren ogarnęła wzrokiem salon. Ann i Becky pograżyły się w kolejnej rozmowie. Poza wszystkim, co mogły sobie dotąd o niej myśleć, teraz pomyślały jeszcze i to, że jest niegrzeczna. Później postara się załagodzić sytuację. Teraz skupiła uwagę na Sally. Spozobregła współczucie w jej oczach. Uśmiechnęła się więc potulnie i skinęła głową w stronę kuchni.

- Może pokroisz chleb?

- Jasne.

Doszły do blatu, na którym na dwóch deskach do krojenia leżały dwa jeszcze ciepłe bochenki. Sally przekrzywiła głowę.

- Ann i Becky nie chciały źle.

- Wiem - Lauren sięgnęła do najbliższej szuflady, wyjęła dwa noże i podała jej jeden. - Ciągłe muszę sobie przypominać, że nie każdy jest moim wrogiem tylko dlatego, że różnię się poglądami od całego Fallon.

- Wiem, że tak ci się wydaje, ale wcale tak bardzo się nie różnisz - Sally wzruszyła ramionami. - Wojna to nie jest prosta sprawa - obmyła ręce i wytarła je w ręcznik wiszący obok. - Owszem, jesteśmy żonami wojskowych. Ale zastanawiamy się, zadajemy pytania.

Sięgnęła po bochenek i zaczęła go kroić.

- Rzeczywiście uważamy, że wojna na Środkowym Wschodzie jest słuszna, popieramy nasze wojska, prezydenta. Ale nie byłobyśmy ludźmi, gdybyśmy nie miały wątpliwości.

W jej oczach pojawiła się jakaś powaga i smutek.

- Nasi mężowie ryzykują życie.

Lauren też umyła i wytarła ręce, i sięgnęła po chleb. Jakoś nie myślała o tym wcześniej. Nawet wojskowi widać nie na wszystko patrzą w czerni i bieli. Coś zadrzało w jej sercu, niepokojąca myśl, że skoro pomyliła się co do kobiet, z którymi ma zjeść kolację, to czy nie mogła pomylić się też co do innych aspektów wojny? Może niektóre rzeczy, jakie słyszała od rzeczników prasowych armii, nie były aż tak bardzo przesadzone czy przekłamane? Przejechała nożem przez chleb i odgoniła tę myśl. Tak, może się mylić w niektórych sprawach. Dzisiaj się pomyliła i jest jej przykro z tego powodu. Ale nie myli się w swoim pragnieniu jak najszybszego zakończenia wojny i tego, aby prezydent w końcu przyznał, że wszystkie straty w ludziach i środkach były na darmo i nie uzyskało nic.

Sally skończyła kroić swój bochenek. Podniosła wzrok na Lauren.

- Jestem wierząca.

Zerknęła w stronę jadalni, na Becky i Ann.

- Przenieśliśmy się tu z północnego zachodu. Większość kobiet, które tu poznałam, służy w marynarce albo ma męża w marynarce. I większość jest wierząca. To mówi o nich więcej niż poglądy polityczne.

Umilkła na chwilę, po czym dodała:

- Wydaje mi się, że pokój polega raczej na dobroci i ofiarności niż na jakimś międzynarodowym raj politycznym.

Pokój. Znowu to samo. Ta myśl, że pokój wymaga czegoś więcej niż konkretnego posunięcia politycznego. Shane próbował ją o tym przekonać tam, w Illinois, gdy spotkali się po latach w ostatnie Boże Narodzenie. Pokój płynie ze środka, mówił. Chciała w to uwierzyć, ale nie potrafiła. W każdym razie jeszcze nie.

Sally czekała na odpowiedź. Lauren przełożyła pokrojony chleb z deski do drewnianego koszyka.

- Pokój to chyba nie jest taka prosta sprawa - nie spuszczała wzroku z chleba. - Podobnie jak wojna.

- Hmm - Sally dołożyła swój chleb. - Chyba tak.

Lauren chciała zakończyć temat. Owszem, miło się rozmawia z Sally - osobą, która nie uważa jej za wybryk natury. Jeśli przerwą teraz, mógłby to przynajmniej być pierwszy krok do przyjaźni.

Ale nie potrafiła tego tak zostawić.

- Ja bym chciała takiego pokoju, żeby nasi chłopcy mogli wrócić do domu - mówiła łagodnym, nieomal prosiącym tonem. Może jeśli wyrazi się wystarczająco jasno, będą mogły zaprzyjaźnić się pomimo podstawowych różnic w poglądach? Westchnęła. - Nie mogę przestać myśleć o tych młodych ludziach, którzy zginęli. Dlatego jestem przeciwna wojnie.

Zerknęła przez ramię, na rozgadane kobiety w jadalni.

- Gdyby któraś z was kogoś straciła - męża, brata czy córkę - w jednej chwili zmieniłybyście poglądy. Czy nie tak, Sally?

- Nie - jasnowłosa kobieta położyła dłoń na jej dłoni. Była w niej niezemska cierpliwość, a jej oczy jaśniały blaskiem, który Lauren widywała już wcześniej - u Shane'a i ich córki Emily. - To nie tak.

Lauren zeszytniała w środku. Nie miała ochoty słuchać o patriotyzmie i odwadze. Patriotyzm - a w imię czego? Odwaga - w jakiej sprawie? Ofiara - za co? Umieranie dla samego umierania? Czyż nie tak właśnie należy opisać konwój amerykańskich chłopców zabitych przez przydrożną minę? Albo przez snajpera-rebelianta?

Westchnęła.

- Przepraszam cię, Sally. Ja chyba mam już ustalone poglądy na ten temat.

Uśmiechnęła się.

- Ale powiedz mi coś o północnym zachodzie. Nasza córka przenosi się do Tacomy. Ma tam grać w reprezentacji piłkarskiej Luterskiego Uniwersytetu Pacyfiku. Zawsze miałam ochotę tam pojechać.

Na wargach Sally błąkał się smutny uśmiech.

- Mieszkaliśmy w okolicach Portland.

Nabrała powietrza.

- Pięknie tam jest. Miasto położone nad rzekami. Drzewa...



Lauren czuła, że myślami jest już daleko. Już nie w swojej kuchni, ale wśród sierot w pełnym pyłu, dusznym budyńeczku, gdzie mieszka czterdzieścioro dzieci. Nieomal czuła, jak rozdaje im lizaki, a potem ktoś wywołuje ją na podwórze. Ktoś woła ją po imieniu, potem słysząc, że wybiegają za nią dzieci...

Słyszy jazgot kul wylatujących z broni snajperów dziesięć metrów za budynkiem... krzyk małej dziewczynki, padającej na ziemię... *Nie!*

Z walącym sercem usiłowała skupić się na słowach Sally, pozwolić, żeby opis Portland wyparł z jej głowy straszne obrazy. Udawało jej się to przez chwilę, ale już przy stole, gdy mężczyźni rozmawiali o bazie w Fallon i konserwacji starszych maszyn, jej myśli znów odpłynęły. Znowu do sierocińca, do zamachu. Chłopczyk i dziewczynka, którzy zginęli. Zawodzące kobiety pochylone nad ich ciałami, krzykiem domagające się odpowiedzi, wytłumaczenia.

W pewnym momencie podczas kolacji Dan, ten potężnie zbudowany, odłożył widelec i spojrzał na nią:

- To prawda, że ty i Shane dorastaliście razem?

Lauren została wyrwana z zamyślenia, ale uśmiechnęła się. Może to okazja do pokazania im, że jest jednak zdolna do cieplejszych uczuć?

- Tak. Nasze rodziny przyjaźniły się.

Dan wskazał palcem na nią, a potem na Shane'a.

- I nie widzieliście się 20 lat, jak usłyszałem od Shane'a.

- Zgadza się - Shane wytarł usta serwetką i mówił zdecydowanym tonem. Tak jakby chciał chronić ją przed jakimś niepomysłnym biegiem rozmowy. - Nasza córka Emily połączyła nas na nowo.

Lauren zrobiło się ciepło w sercu. Podobało jej się, jak szybko Shane idzie jej w sukurs. Jeszcze zanim pojawiła się potrzeba.

- Postanowiłam przenieść się z Afganistanu do Fallon - popatrzyła na Shane'a i przez chwilę wydawało jej się, że nie ma między nimi żadnych różnic poglądów. Tylko ona i Shane, i miłość, która pozostanie między nimi aż do grobowej deski.

- To już nie piszesz o wojnie? - Becky poprawiła swoją pozycję na krześle, tak żeby lepiej widzieć koniec stołu, gdzie siedziała Lauren.

- Już nie tak dużo - Lauren starała się odpędzić niepokój, który zaczął ją ogarniać. „Bez przesady. I co z tego, że pytają mnie o pisanie. Przecież to jeszcze nie znaczy, że zaraz mnie zaatakują”. Zmusiła się do spokoju. - Większość moich tekstów nadal kręci się w jakimś stopniu wokół wojny, ale teraz są to zwykle wywiady z politykami z Waszyngtonu albo jakiegoś innego dużego miasta.

- Na studiach zastanawiałam się, czy nie zostać pisarką - Sally łyknęła wody ze szklanki. - Szczerze mówiąc, ciągle jeszcze o tym myślę. Rozstania muszą dużo kosztować ciebie i Shane'a.

- To prawda - Lauren pomyślała o swoim ostatnim wyjeździe. I jak bardzo nie chciało jej się wracać do Fallon, a jednocześnie jak bardzo brakowało jej Shane'a.

- Na pewno się zdziwiłaś, kiedy usłyszałaś, że Shane studiował stosunki międzynarodowe i problematykę pokojową - Dan rozparł się na krześle i odsunął nieco pusty talerz. - Jeśli jest ktoś, kto rozumie tę wojnę, to jest to na pewno Shane Galanter.

Shane wyprostował się i sięgnął po miskę z sałatką.

- Lauren też rozumie - uśmiechnął się, ale w jego głosie było ledwie słyszalne napięcie. - Tyle że z nieco innego punktu widzenia.

Rozmowa zeszała na inne tematy, ale Lauren wciąż nie mogła wyjść z podziwu. Bez względu na ich prywatne spory Shane w towarzystwie zawsze twardo trzymał jej stronę. Jak teraz. Dan próbował powiedzieć, że poglądy Shane'a opierają się na długich latach studiów. Ale Shane'owi bardziej zależało na tym, jak ludzie postrzegają Lauren.

Taka miłość - więc jak to jest możliwe, że między nimi wciąż są jakieś problemy?

Później, gdy kolacja się skończyła, a goście poszli, Shane znalazł ją na patio za domem. Podeszedł od tyłu, wsunął ręce pod jej ramiona i objął ją w talii.

- Było ciężko?

- Nie.

Gwiazdy świeciły z każdego zakamarka nieba - ta jedna rzecz podobała jej się w Fallon. Oparła głowę na jego piersi.

- Nie, kiedy już przestałam się wygłupiać.

- Czyli pokazałaś swoje *lepsze* oblicze? - złapał ją za ramiona i delikatnie obrócił ku sobie. W jego głosie była żartobliwość, ale w oczach dostrzegła przygnębienie. - Było ciężko. Dla nas obojga. I dla wszystkich. Rozmawiamy o remoncie floty marynarki, a ty pytasz, czy ktoś wie, ilu bezdomnych znalazłoby dach nad głową za taką sumę pieniędzy podatników.

- Po prostu się zastanawiałam - wpatrywała się mu w oczy, chcąc, żeby dostrzegł jej szczerość. - Uśmiechałam się, byłam miła. Nie próbuję być okropna za wszelką cenę. Naprawdę, Shane.

- Tak, Lauren, wiem. Ale czy pomyślałaś, jak odbiorą to ci ludzie? Mężowie tych kobiet... oni narażają życie - mówił cichym, smutnym głosem. Dawno nie słyszała tak smutnego głosu.

- Tak, pomyślałam - skrzywiła się. Przejechała zgiętymi palcami wzdłuż jego policzków. - Shane... - jęknęła. - Przepraszam. Nie chcę być wstrętą ani krytykancką. Czasem po prostu nie umiem się powstrzymać, żeby czegoś nie powiedzieć.

Przyglądał jej się z uwagą.

- Umiesz. A wszystko, co mówiłaś dzisiaj, mówiłaś z pełnym przekonaniem. Nie mogłaś ścierpieć, że siedzisz przy jednym stole z tymi kobietami.

- Polubiłam Sally - przygryzła wargi. - Ale pozostałe dwie traktowały mnie tak, jakbym przybyła z innej planety.

- Bo tak się zachowujesz - splótł dłoń z jej dłonią. - Bo chcesz być inna.  
- Shane...  
- Nie, taka jest prawda - znów mówił łagodnym tonem, ale w jego oczach była powaga. - Jeden z nich odciągnął mnie po kolacji do kuchni - Shane westchnął, ciężko, z głębi serca. - Powiedział, że jesteś interesująca, inteligentna, ale zastanawiał się, jak my ze sobą wytrzymujemy - w głosie Shane'a było coraz więcej rezygnacji. - Martwił się o mnie, Lauren.

- No to... - waliło jej serce. Nie znosiła, kiedy rozmowa przybierała taki obrót, a ostatnio działo się tak coraz częściej. - Kocham cię - postąpiła krok do przodu i przytknęła usta do jego ust. - Czy powiedziałaś mu to?

- On to wie - Shane wyglądał tak, jakby miał ochotę na długi pocałunek, ale się powstrzymywał. - Parę tygodni temu opowiedziałem mu całą naszą historię. O naszych pierwszych latach i jak potem odnaleźliśmy się na nowo.

- No właśnie. I to wystarczy, Shane. Odnaleźliśmy się nie bez powodu. Oboje o tym wiemy. Nie musimy się we wszystkim zgadzać - zarzuciła mu ręce na szyję. - W każdym małżeństwie są jakieś różnice.

- Ale nasze nas określają. Nie chodzi tylko o politykę, ale i wiarę.

Lauren zeszczytniała. Musiał być mocno zmartwiony, skoro wracał do sprawy wiary.

- Mówiłam ci, że się staram - to były proste i cicho wypowiedziane słowa, ale była w nich szczerość. Ich córka Emily robiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc jej zrozumieć wiarę, jaką żywiła wspólnie z ojcem. Ale coś głęboko wewnątrz nie pozwalało Lauren pogodzić się z tym. „Co ze mną jest nie tak? Dlaczego nie mogę myśleć tak jak wszyscy? Dlaczego wszystko muszę utrudniać?”.

Odwróciła się tyłem do Shane'a i poszła w głąb podwórka. Nie szedł za nią.

Opadła ciężko na krzesło ogrodowe. Rozmawiały z Emily co najmniej dwa razy w tygodniu. Emily, 19-letnia i szykująca się do drugiego roku studiów, miała mnóstwo do opowiadania. Mimo to rozmowa zawsze zbaczała na temat wiary. Lauren zgadzała się ze wszystkim, co mówiła jej córka - w każdym razie teoretycznie. Po odzyskaniu Shane'a i rodziny powrót do wiary z młodych lat wydawał się jak najbardziej na miejscu.

Ale wiara w istnienie Boga oraz bliższe stosunki z Nim - to były dwie różne rzeczy. Kiedy już zwracała myśli ku Stwórcy, nie potrafiła zmusić się do pytań, do których zachęcała ją Emily. *Po co ja żyję, Boże, jakie Ty masz dla mnie plany? Czego ode mnie oczekujesz?* Zamiast tego pozwalała sobie na bardziej praktyczne pytania. *Dlaczego pozwalasz na wojny? Dlaczego tylu chrześcijan popiera zaangażowanie Ameryki na Środkowym Wschodzie? Czy toczenie wojen nie kłóci się z podstawowymi zasadami wiary chrześcijańskiej? Dlaczego tylu żołnierzy musi ginąć?*

Jak dotąd, nie doczekała się żadnej konkretnej odpowiedzi, ale nie była tym zdziwiona. To były trudne pytania, a Emily twierdziła, że niektóre rzeczy zrozu-

mierny dopiero po tamtej stronie. I tyle. Natomiast najbardziej wyprowadzało ją z równowagi, jeśli ktoś kwestionował jej wiarę. Kiedy oczekiwano od niej banalnych deklaracji, tak jakby cała kwestia nie była boleśnie skomplikowana. Westchnęła. Skomplikowana jak całe jej nowe życie.

Usłyszała za sobą kroki, za chwilę Shane stanął obok.

- Przepraszam - nachylił się i ucałował ją w policzek. - Kocham cię, Lauren.

Jej wzburzenie znikło w jednej chwili. Wstała i wsunęła mu się w ramiona, oddychając długo, powoli.

- Całą swoją młodość spędziłam na szukaniu ciebie, Shane - jej szept brzmiał rozpaczliwie. - Ciebie jednego zawsze kochałam.

- A jednak - odsunął na bok zabłąkany kosmyk jej włosów - wydaje się to takie trudne, prawda?

- T a k .

Stali objęci przez długą chwilę, kołysząc się lekko, a silny wiatr pustynny świszczał w pobliskich kanionach. Temperatura spadła, było niewiele ponad 10 stopni i Lauren zmarzłaby, gdyby nie ramiona Shane'a. Wysunęła się z nich i pocałowała go.

- Muszę jechać.

- Wiem - wziął ją za rękę i poprowadził do środka, wolnymi, ostrożnymi krokami. - Nie musimy odpowiadać dzisiaj na wszystkie pytania.

Uścisnęła go jeszcze raz przed wyjściem, ale ledwie weszła do samochodu i zapuściła silnik, ogarnęła ją złość. Nie na Shane'a - na samą siebie. To ona utrudnia ich wzajemne stosunki. Czy nie może choć raz dać za wygraną, odłożyć pytania na bok? Czy każdą rozmowę musi zmieniać w agitację? I po co? Przecież takim zachowaniem niczego nie zmieni.

Nie włączyła radia. Opuściła szybę, chłodne powietrze owiało jej twarz. Jej myśli unosiły się na wietrze wokół samochodu. Próbowała wyobrazić sobie Jego - tego Boga, o którym mówi Emily, Tego, który chce być jej przyjacielem. Ale skręcając na główną drogę, wyczuwała jedynie Jego ogrom. Bóg Stwórcy. Zbyt wielki, żeby angażować się w trywialne sprawy jej życia. *Boże... czy Ty jesteś?* Czekwała. Emily wspominała, że słyszy Boga, że wyczuwa Jego głos i Jego odpowiedzi gdzieś głęboko w sobie. Lauren patrzyła prosto przed siebie i spróbowała jeszcze raz. *Boże, ja muszę wiedzieć... czy Ty jesteś?* Wstrzymała oddech - ale znowu nic. Nic.

Kiedy szła do swojego mieszkania, nie potrafiła powiedzieć, czy Bóg jest przy niej, czy nie. Tak może jej się tylko zdawać.

Kolejne pytanie, na które nie odpowiedział.

## *Rozdział 2*

Shane słuchał, jak auto Lauren oddala się, ale nie wszedł z powrotem do środka.

Patrząc, jak odjeżdża, coś sobie przypomniał. Kiedyś, gdy miał 12 lat, razem z kolegą uczyli się w domu chwytać piłkę. Matka pojechała do sklepu, a przed wyjściem zdażyła mu powiedzieć, żeby baseball trenowali tylko na dworze. „W domu jest za dużo rzeczy do stłuczenia” - przypomniała.

Ale tamtego dnia na dworze było gorąco i parno, więc Shane postanowił zrobić to po swojemu. Był dobry w łapaniu, jego kolega też. Stanęli po przeciwnych stronach salonu i zaczęli ostrożnie rzucać do siebie piłką. Z początku. Ale po kilku minutach ciskali nią na całego. Miał właśnie powiedzieć koledze, żeby trochę przystopował, zwolnił, gdy piłka nadleciała wprost na niego, musnąwszy tylko jego rękawicę.

Marzył, żeby rąbnęła w ścianę, ale nie - z głośnym odgłosem uderzyła w ozdobny wazon, który matka przywiozła z jednej z wypraw do Europy. Obaj oniemieli. Shane powoli podszedł do prawie 70-centymetrowego wazonu. Wyglądał na nietknięty, stał tak jak zawsze.

Ale gdy Shane chciał wziąć go w ręce, rozpadł mu się w dłoniach. Pamiętał, jak próbował utrzymać go w jednym kawałku, powstrzymać skorupy przed rozpadnięciem się, jak gdyby samą chęcią mógł scalić go na nowo.

Zmrużonymi oczami spojrzął na nocne niebo.

*Tak się właśnie czuję, Boże. Co do Lauren.* Wszystko z pozoru wygląda na całe, w najlepszym porządku. Bądź co bądź, są przecież razem. Mają się pobrać w Wigilię. Ale miał uczucie, że jeśli nie będzie trzymał Lauren, jak należy, to wszystko się rozpadnie. Uchwycił się poręczy schodów i próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy dostrzegł pęknięcia.

Odpowiedź była oczywista. Widział je od samego początku.

Ostatniej zimy Emily tak bardzo się starała, żeby na powrót ich połączyć, ale wystarczył jeden wieczór spędzony przez niego razem z Lauren, by zorientować się, że dzieli ich polityczna przepaść. Tylko Bóg mógłby pokonać taką otchłań.

Zaczęli rozmawiać o artykule, jaki napisała dla „Time'a”, potępiając w czambuł pilotów myśliwców. Wciąż miał w uszach jej głos wtedy, w domu jej rodziców, kiedy wszyscy inni poszli już spać. Na zewnątrz padał śnieg, na kominu trzaskały jasne płomienie.

Jej głowa opadła wtedy na oparcie kanapy.

- Shane... Jak to się stało, że trafiłeś na złą stronę barykady?

Ujął jej rękę i splecił dłonie.

- Pytanie brzmi raczej - w jego głosie nie było wtedy wyrzutu - jak ty tam trafiłeś?

Rozmowa o wojnie zdawała się wznosić mur pomiędzy nimi, przez który przez resztę nocy tylko przierzucali się argumentami. Ona poprosiła, żeby przypomnieli sobie, że Jezus przyszedł, żeby dać pokój, i że nikt, kto nie pragnie pokoju, nie może nazywać siebie chrześcijaninem.

- Chcę pokoju, Lauren. Wszyscy chcemy - mówił. - Pytanie tylko, w jaki sposób go osiągnąć.

W jego słowach była żarliwość. Żarliwość i gniew, jakich ona nigdy wcześniej w nim nie widziała.

- I trzeba jasno powiedzieć, że Jezus nie przyszedł po to, żeby przynieść pokój. Przyszedł, żeby dać życie. Życie w najpełniejszym sensie.

- No dobrze - nie dawała za wygraną. - Ale skoro przyszedł dać życie, to jak możesz uczestniczyć w wojnie, w której giną ludzie?

Spór toczył się ostro długie nocne godziny. Ona podawała argumenty na rzecz pacyfizmu, on próbował przedstawić ideę pokoju za pomocą siły. Mimo to pod koniec rozmowy wcale nie zbliżyli się do zasypiania przepaści między sobą. Może nawet nie próbowali. Z wyjątkiem tego tygodnia, gdy patrzyli, jak umierał jej ojciec.

Po jego śmierci Shane poprosił Lauren, żeby nie wyjeżdżała, nie wracała do pracy jako korespondentka wojenna w Afganistanie. Różnice zdań między nimi można rozstrzygnąć, zwłaszcza jeśli ona zdoła powrócić do wiary, w jakiej się wychowała. Kiedy umarł jej ojciec, poczucie straty poruszyło ją do głębi. Przez gniew i głupią dumę poprzednie 20 lat upłynęło jej bez ojca. Myśl o opuszczeniu

Shane'a, o straceniu okazji życia razem z nim, wystarczyła, żeby zachwiać jej przekonania.

Mimo to dopiero w samolocie, którym oddalała się od niego, Lauren podjęła ostateczną decyzję. Na lotnisku, gdzie miała się przesiąść, zadzwoniła do swojego naczelnego, poprosiła o zatrudnienie na miejscu w Fallon - i poleciała do Shane'a. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Do końca życia będzie miał przed oczami jej obraz z tamtego dnia. Kiedy do niego podeszła, zamarł w nim dech i stanęło serce. Wróciła do niego! Zależało jej tak bardzo, że wróciła! Przez jakiś czas życie było niekończącym się pogodnym dniem i radością. Wynajęła mieszkanie i spędzali razem całe godziny w każdy wolny wieczór.

Pierwsze niepokojące sygnały pojawiły się osiem tygodni później, wczesną wiosną.

Lauren była z Shane'em na kilku przyjęciach w bazie i za każdym razem wydawała się odrobinę cofać do tego, co było przedtem, cofać w stronę tej osoby, z którą rozmawiał tamtej pierwszej nocy przy kominku. Zamiast cierpliwości i wyrozumiałości było w niej zacietrzewienie i kpina z wojskowych i ich wysiłków. Jej myślenie biegło kompletnie innym torem niż jego.

Kilka razy przypominał jej, że on też długo zgłębiał temat pokoju, że studiował dawne cywilizacje i wojny, chcąc dojść do samodzielnego wniosku. I że jego zdaniem pokój można osiągnąć tylko siłą. Znowu rozmawiali o 11 września, o planach terrorystów, według których wydarzenia tego dnia miały wydać się błahostką w porównaniu z tymi, które miały nastąpić.

- Tak, toczymy wojnę - powiedział jej pewnego wieczora. - Ale odkąd zaczęliśmy z nimi walczyć, terroryści nie pozbawili życia już nikogo na amerykańskiej ziemi.

Czasami słuchała go z uwagą, tak jakby w końcu zaczynała pojmować jego sposób myślenia. Ale zawsze odpowiadała, przytaczając któryś ze swoich żelaznych argumentów. Jak Ameryka może wysyłać w ogień bitwy młodych ludzi - praktycznie chłopców? Czy oni rozumieją, o co się biją, i ryzyko, na jakie się narażają? Czy nie istnieje inny sposób chronienia Stanów Zjednoczonych, choćby poprzez dyplomację i międzynarodowe układy pokojowe, bez konieczności ofiar w ludziach?

Jej idee brzmiały cudownie, idealistycznie. Konferencje pokojowe, dyskusje z przywódcami grup terrorystycznych, wpajanie dzieciom tolerancji i akceptowania różnorodności, program zwalczania nienawiści, dzięki któremu różne społeczeństwa uczyłyby się wzajemnej akceptacji i szacunku.

- Wychowanie kolejnego pokolenia jest bez wątpienia lepsze niż narażanie jego życia - ilekroć to powtarzała, zawsze wpatrywała się mu w oczy, rozpaczliwie pragnąc, by zrozumiał.

I to były najbardziej przygnębiające chwile. Chwile, kiedy miał ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsnąć. Wychowanie? Uczenie *tolerancji*? Każdy, kto zna sposób myślenia terrorystów, wie, jak absurdalne są to pomysły.

Do kolejnej sprzeczki doszło tydzień temu. W końcu miał już tego dość.

- Lauren, terroryści mają jeden cel. Tylko jeden. Zabić tych, którzy się z nimi nie zgadzają. A najczęściej oznacza to zabijanie tych, którzy mieszkają na Zachodzie albo reprezentują zachodni sposób myślenia. Terrorystów otacza się czcياً, jeśli poświęcą życie tej sprawie, więc nie można z nimi dyskutować, nie można ich wychować.

Wziął głęboki oddech i opanował emocje.

- Można się jedynie przed nimi chronić i pienieć to. Aresztować, eliminować.

- I teraz, jak już z nimi walczymy, przestali atakować, tak? - potrafiła zranić, dopieć.

Spojrzał na nią twardo.

- W Ameryce - i owszem.

Odwrociła się od niego.

- To tylko kwestia czasu. I dobrze o tym wiesz. Jesteśmy dziś bardziej narażeni, niż ktokolwiek ośmieli się przyznać. I pogrążamy się coraz bardziej.

- Lauren, każdy chciałby szybkiej i łatwej wojny. Ale wprowadzanie wolności na tereny, gdzie dotąd rządili dyktatorzy, nie jest ani szybkie, ani łatwe.

Grzbietem dłoni pogładził wtedy jej twarz, jakby chciał zetrzeć wspomnienia tych kłótni. Przez całą tę sprawę czuł się źle, był zmęczony. Ramiona opadły mu trochę, odwrócił się w stronę domu. Zwykle w takich chwilach włączał muzykę, żeby towarzyszyła mu przy sprzątanii ze stołu i wkładaniu naczyń do zmywarki. Ale teraz pracował w ciszy. Nawet myślom nie pozwolił hałasować. Nie teraz. Wszystko, co miał teraz pomyśleć, już pomyślał.

Mimo że nie dopuszczał myśli do głowy i tak zmagął się z nimi całą noc. Następnego dnia szedł do pracy wybity z rytmu i niespokojny. Dan Barber, jeden z jego gości z poprzedniego wieczoru, spostrzegł go na stołówce i przysiadł się do jego stolika.

Dan był typem zawsze roześmianego faceta - i dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Płasnął swoim burgerem o stół i oparł ramiona na stole.

- Siedzę sobie na stołówce i widzę, jak najlepszy kumpel wsuwa sałatkę ze szpinaku w całkowitej samotności, a wygląda tak, jakby pozostało mu parę dni życia. I myślę sobie: Ejże, a cóż tak gryzie mojego kumpla?

Postukał o blat zgiętymi palcami.

- I odpowiedziałem sobie - jego uśmiech zbladł - Lauren Gibbs.

Shane westchnął. Przeciagnał widelcem przez sałatkę, próbując uporządkować uczucia łomoczące mu w sercu. Wściekłość, smutek, przygnębienie, poczucie przegranej.

- Jak ja mam do niej podejść?

Dan założył ręce na piersi i przez chwilę patrzył w blat stołu.

- Ta dziewczyna jest bardziej liberalna niż Ted Kennedy. Dzięki Bogu, że jest ładniejsza.



Kiedy podniósł wzrok, nie było w nim już ani cienia żartobliwości.

- Kochasz ją, co?

Shane odsunął talerz z sałatką i spojrzął na przyjaciela.

- Od dzieciństwa.

- A niech to - Dan potrząsnął głową. - Nie jestem pewien, czy wy kiedykolwiek znajdziecie wspólny język.

- Ja też nie - te słowa ugodziły Shane'a w samo serce. Ale nie było co kryć.

- Tylko może nie musimy. Może możemy po prostu nauczyć się szanować swoje poglądy. Małżeństwa nie muszą się przecież zgadzać w kwestiach politycznych.

- Niby tak - Dan nie wyglądał na przekonanego. - Tyle że większość małżeństw nie zarabia na życie lansowaniem swoich poglądów.

Wyprostował się i znów zaśmiał się w znany sposób.

- O, a może by tak operacja? Częściowa lobotomia? Wyciąć ten kawałek mózgu, który tak jej urobili, że nie potrafi już samodzielnie myśleć?

- Ejże! - Shane usłyszał we własnym głosie mieszaninę oburzenia i bólu. Dan nie miał złych zamiarów, ale żartobliwa uwaga zabolęła. - Lauren ma prawo myśleć po swojemu. Ona ma wielkie serce dla ludzi.

Odsunął się od stołu.

- Może powinienem bardziej się postarać zrozumieć jej sposób myślenia - ten pomysł dodał mu otuchy. Owszem, nie jest w stanie zmienić zdania Lauren, ale może przynajmniej popracować nad własnym, tak żeby ona silniej odczuwała jego wsparcie. Czuł, że jego złość słabnie. - Dan, ty się lubisz modlić.

- Tak jest - w głosie Dana znów nie było śmiechu. - Nie musisz mnie o to prosić, stary. Razem z Becky modlimy się za was co wieczór. Nawet młodych wtajemniczyliśmy w sprawę... - urwał i wyglądało na to, że to już koniec wypowiedzi. Ale za chwilę dodał coś ostrożnym tonem. - A nie zastanawiałeś się kiedyś, że może... że może przypadkiem nie jesteście jednak dla siebie? Że nie powinniście zostać ze sobą już na zawsze?

Shane przesunął wzrok na wielkie okna wychodzące na pas startowy. Mocno wciągnął powietrze przez nos i znieruchomiał. Przez długą chwilę nie mówił nic, znów pogrążony we wspomnieniach z kolejnego dnia, kolejnego tygodnia.

- Życie jej nie oszczędzało, Dan - spojrzął na przyjaciela, ale umysł miał pełen obrazów Lauren. Tak bardzo ją kochał, tylko czy miłość wystarczy? - Życie zmieniło nas obydwoje.

- Może już czas dać za wygraną?

Rozpacz dusiła go w gardle, wydostała się na zewnątrz w postaci zdławionego jęku.

- Ciągłe sobie myślę... że skoro życie zmieniło ją raz, to może zmieni ją ponownie. Rozszerzy jej horyzonty, tak żeby widziała coś więcej niż dotąd. I w podobny sposób ja mógłbym poszerzyć swoje.

Znów wpatrzył się w okno.

- I wtedy wszystko znów byłoby, jak należy. Jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.  
- A może wasz czas miał na tym się skończyć? Jako dzieci? Na poznawaniu, czym jest miłość? Może nie było wam pisane wspólne dorosłe życie? Tak tylko głośno myślę - Dan wzruszył ramionami.

Zamilkli. Choć Dan nie powiedział nic więcej, było jasne, że się martwi. Shane poczuł suchość w ustach. Czy Dan mógłby mieć rację? Czy dobre czasy dla niego i Lauren minęły? Gdyby ich nie rozdzielono, mieliby szansę. Dorastaliby, patrząc na świat w taki sam sposób. Ale teraz...

Shane popatrzył na jedzenie, powoli przejechał serwetką po ustach i rzucił ją na talerz.

Dan wbił zęby w burgera i kiwnął głową na sałatkę szpinakową.

- Lepiej się pośpiesz, bo jeszcze ci zwiędnie.

- Nie szkodzi... - wziął papierowy talerz i wrzucił go do kosza opodal. - Nie jestem głodny. Zobaczymy się później - zasalutował przyjacielowi i odszedł.

Idąc przez stołówkę, minął stół, przy którym siedzieli młodzi piloci. Wszyscy skinęli mu głowami, a on był prawie pewien, że jeden z nich akurat mówił coś o Lauren. Shane przyspieszył kroku. Jasne, że mówił, i co z tego. Lauren to jedna z najbardziej znanych korespondentek wojennych i choć pisze inteligentnie i wnikliwie, to zarazem otwarcie krytykuje wojnę. To jasne, że się o nich tutaj mówi. Ci piloci zapewne myślą sobie, że Shane musiał przeżyć o jedno przeciążenie za dużo.

Na zewnątrz zwolnił kroku i tak jak zawsze, od dnia, gdy odnalazł Lauren, podniósł wzrok na bezkresne niebo nad Newadą i zastanawiał się, co ona teraz robi, co myśli. *Boże, czy oni wszyscy mają rację? Czy za bardzo się różnimy, żeby się kochać i razem żyć?* Pytania wyłaniały się jedno za drugim niczym zasieki z drutu kolczastego, oddzielające go od ukochanej.

W tej właśnie chwili z oddali nadciągnął z rykiem pasem startowym jakiś myśliwiec i uniósł się w powietrze. W ciągu paru sekund wzbił się w niebo, oszłamiająco szybko, nie do powstrzymania.

Zupełnie jak Lauren.

Bez względu na to, czego on mógłby pragnąć dla nich obojga, ona była zdecydowana robić wszystko po swojemu, iść własną drogą. Dalej pisała dla „Time'a”, obracając się w kręgach osób traktujących wojsko zawsze podejrzliwie, a często wprost wrogo. Westchnął i spojrzał na pobliskie góry. *Boże... tylko Ty możesz nam pomóc. Z Twoją pomocą coś mogłoby sprawić, że ona trochę zmięknie, przestanie być taka podejrzliwa. Albo ja zmięknę. Żebyśmy tak czy inaczej znaleźli jakiś sposób na wspólne życie. Spraw ten cud, tę zmianę. Pomóż nam obojgu dostrzec prawdę.*

Skończył się modlić i poczuł, jak ogarnia go spokój. Nie ma zamiaru dać za wygraną, nie teraz, gdy już poprosił Boga o cud. Bo jeśli Bóg będzie działać w ich życiu, to wszystko może się zdarzyć. Ona mogłaby w końcu zrozumieć, dlaczego

on tak mocno wierzy w ideę pokoju przez siłę. A on mógłby wreszcie przychylniej spojrzeć na jej artykuły.

Tak, z Bogiem wszystko jest możliwe. Czy nie tak jest napisane w Biblii, u Mateusza? A skoro u Boga wszystko jest możliwe, to jego związek z Lauren mógłby pomimo wszystko okazać się rzeczywisty, słuszny i dobry. Zmiany mogłyby następować stopniowo każdego dnia. Albo raz, a dobrze, gdyby Bóg tak postanowił. Mogliby znaleźć to szczęście i miłość, jakich oboje pragną. Wspólne życie jest możliwe, na pewno. Bóg nie po to znowu ich połączył, żeby to wszystko miało doprowadzić tylko do nieszczęść i załamań.

Uśmiechnął się pod nosem i szybszym krokiem poszedł w stronę biura. Będzie się modlić - i pewnego dnia odnajdą jakąś wspólnotę poglądów.

Kto wie? Z Bogiem może się okazać, że pozostaną ze sobą już na zawsze.

## *Rozdział 3*

Emily nie mogła uwierzyć, jak wiele może przynieść jeden tylko tydzień. Skończyła zajęcia i pozdawała egzaminy w Wheaton College, potwierdziła swoje stypendium i zakwaterowanie na Luterzańskim Uniwersytecie Pacyfiku, zapakowała się do dwóch walizek i czterech pudeł - i poleciała na północny zachód. Teraz była już na swojej nowej uczelni w Tacomie, około 50 km na południe od Seattle, rozpakowując pudło ze zdjęciami w swoim nowym mieszkaniu w akademiku i zastanawiając się, czy do reszty postradała zmysły, żeby godzić się na taką zmianę.

Zdjęcie na samym wierzchu pudła było owinięte dwiema warstwami folii bąbelkowej. Wysunęła je z niej i spojrzała na fotografię swoich dziadków, dwojga ludzi, którzy ją wychowali i kochali, i wspierali każde jej marzenie - czy była to kariera w drużynie piłkarskiej, czy odnalezienie rodziców. Dzięki ich pomocy doczekała się realizacji każdego z tych marzeń - także i tego. Rozwinięcia skrzydeł i popróbowania życia na własną rękę.

Przez chwilę przyglądała się zdjęciu. Cóż dziwnego, że aż tyle wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia - skoro tyle działo się przez ostatnie pół roku? U dziadka rozpoznano raka i nieomal w tym samym czasie ona dokonała niemożliwego: odnalazła rodziców. Okazało się, że ojciec pracuje jako instruktor w ośrodku szkolenia pilotów Top Gun w Fallon, a matka pisze do magazynu „Time”. Spotkali się po latach w grudniu. Jeszcze tego samego tygodnia dziadek przegrał walkę z rakiem.

Emily postawiła fotografię na małym stoliku nocnym przy wąskim łóżku. Mieszkania w akademikach na PLU<sup>4</sup> były niewiele większe niż jej garderoba w domu dziadków. Wyjęła z pudła kolejną fotografię - dość świeże zdjęcie rodziców, zrobione na lotnisku po pogrzebie dziadka.

- Boże, wciąż nie mieści mi się to w głowie - odkurzyła ramkę i ustawiła ją na stoliczku obok pierwszej. - Ty mnie zdumiewasz.

Jej współlokatorka już się rozpakowała. Pam King była jedną z najlepszych bramkarek w piłce akademickiej i podobnie jak Emily również stanowiła świeży nabytek uczelni. Przydzielono im jedno mieszkanie, ale poznały się dopiero poprzedniego dnia, podczas spotkania organizacyjnego piłkarek. Siedziały obok siebie i sarkają na te same kąśliwe uwagi trenera. Kiedy uświadomiły sobie, że mieszkają razem, były już na najlepszej drodze do zaprzyjaźnienia się.

Emily skończyła rozpakowywanie się i rozsiała się na łóżku. Lato miało być pełne zajęć. Wybrała PLU z dwóch powodów. Po pierwsze, stypendium obejmowało czesne, zakwaterowanie i wyżywienie - a wszystko to ze względu na jej talent piłkarski. Po drugie, mogła znaleźć się na Zachodnim Wybrzeżu, bliżej rodziców i babci, która właśnie sprzedawała rodzinny dom Emily i przenosiła się do południowej Kalifornii, w sąsiedztwo dziadków Emily ze strony ojca, ludzi, którzy 20 lat wcześniej byli jej najlepszymi przyjaciółmi.

Chłodna bryza przedarła się przez roletę niewielkiego okna, wygięta i pociemniała ze starości. W tym lekkim powiewie, wśród rozpakowywanych fotografii, myśli Emily cofały się z czasem. Dwadzieścia lat wcześniej jej rodzice jako nastolatki zaczęli naukę w liceum. Kiedy przyszli do swoich rodziców i wyznali, że spodziewają się dziecka, ich dotychczasowe życie rozsypało się w gruzy. Dorosli - dziadkowie Emily z obu stron - rozgniewani i rozczarowani, szukali winnych całej sytuacji. Rodzicom ojca wydawało się, że przeprowadzka do południowej Kalifornii rozwiąże problem.

Oczywiście nie rozwiązała. Matka Emily spędzała całe dni na poszukiwaniu swojego chłopaka, a później, gdy już urodziła się Emily, wyruszyła do Kalifornii. Dopiero kiedy po drodze okazało się, że u Emily rozwinęło się groźne zapalenie płuc, zawróciła do domu, do Illinois. Następnego dnia, po całonocnym czuwaniu przy jej łóżeczku i po kilku godzinach snu w domu, zadzwoniła do szpitala, z pytaniem o stan córki. Ale doszło do strasznej pomyłki. Połączono ją z pielęgniarką zajmującą się inną małą pacjentką, i ta poinformowała ją, że jej córeczka już odeszła. Matka zrozumiała, że Emily nie żyje.

Przemęczona, dręczona wyrzutami sumienia matka postanowiła, że nigdy nie wybaczy rodzicom swoim i ojca, że rozdzielili ją z ukochanym. I jeszcze raz - tym razem już sama - wyruszyła do Kalifornii, nie oglądając się wstecz. Dopiero gdy Emily wytropiła ją po latach i zeszłej zimy skontaktowała się z nią

<sup>4</sup> PLU - Pacific Lutheran University (Luterański Uniwersytet Pacyfiku) - (przyp. tłum.)

w Afganistanie, matka dowiedziała się, że jej córeczka wcale wtedy nie umarła na zapalenie płuc, że żyła dalej.

Spotkały się po latach w grudniu, niedługo przed śmiercią dziadka Emily. Galanterowie, dziadkowie ze strony ojca, przyjechali do Illinois i pojeźdźli się z dziadkami Emily ze strony matki.

Powiew przyniósł zapach lawendy, który wypełnił pokój. Emily uśmiechnęła się. Odnowienie przyjaźni dziadków z obojga stron było też elementem cudu. I teraz babcia, chyba w najbardziej samotnym okresie swojego życia, zamieszkała dosłownie kilka domów od przyjaciół, których brakowało jej przez całe 20 lat.

Wszyscy się pojeźdźli, a już za kilka miesięcy Emily miała być świadkiem na ślubie rodziców. To wydarzenie miało uwieńczyć wieloletnie marzenia, być tym, o co Emily modliła się i czego pragnęła przez całe życie. Kiedy przygotowania do ślubu były wreszcie w toku, nauka szła jej jak z płatka, a jej gra na boisku była lepsza niż kiedykolwiek.

Chwyciła stopę i rozciągnęła mięśnie z przodu nogi. Wyglądało na to, że teraz, kiedy już jej życie się uporządkowało, kiedy rodzice i dziadkowie pogodzili się, będzie w końcu mogła skupić wszystkie siły i całe życie na uzdolnieniach, którymi Bóg ją obdarzył.

Zerknęła na zegar na komodzie. Już wpół do dziesiątej. Za pół godziny trening. Choć oficjalnie sezon zaczynał się dopiero jesienią, czekało ich jeszcze przedtem sześć tygodni meczów wyjazdowych. Treningi odbywały się codziennie, od godziny dziesiątej do pierwszej po południu. Później, po posprzątaniu mieszkania, miała odbyć swój pierwszy dyżur w biurze prasowym w pobliskim Fort Lewis.

Już kilka razy przejeźdźdała autostradą obok bazy, ale dziś miała po raz pierwszy znaleźć się wewnątrz. Nie zdobyła tej posady w zwykły sposób - nie chodziła, nie składała dokumentów aplikacyjnych. Wspomniała raz ojcu, że chciałyby tam pracować. Baza znajdowała się niezbyt daleko PLU, a praca w takim miejscu dawała jej szansę lepszego zrozumienia armii i zastanowienia się, czy nie chciałyby związać się z nią zawodowo.

Ojciec nie kazał sobie dwa razy powtarzać - zadzwonił w jej sprawie do jakiegoś znajomego, wysokiego rangą wojskowego z tej bazy. Okazało się, że w biurze prasowym jest wakat, a szczegóły domówiono w ciągu jednego dnia. Emily wybrała sobie dziennikarstwo jako specjalizację i właśnie szykowała się do drugiego roku studiów. Praca w biurze prasowym na tak wczesnym etapie edukacji byłaby świetnym atutem w CV.

Nie mogła się jej doczekać.

Rzuciwszy jeszcze okiem na zdjęcia rodziców i dziadków, przebrała się w strój treningowy, przypięła iPoda do szortów i wetknęła w uszy słuchawki. Boisko piłkarskie leżało kawałek od akademika, co dawało dobrą okazję do rozgrzewki. Kiedy trening się zacznie, Emily będzie już przygotowana.

Pam poszła na śniadanie z inną zawodniczką i kiedy Emily zjawiła się na boisku, zastała ją już na miejscu. Pomachały do siebie, ale przez kolejne trzy godziny Emily nie myślała o niczym innym jak tylko o tym, czego oczekuje trener. Był człowiekiem wymagającym, a sarkazm był u niego jedyną formą żartu. Trening prowadził jak sierżant musztrę.

Emily to nie przeszkadzało. Potrzebowała kogoś, kto będzie ją poganiał, kto pomoże jej dotrzeć do szczytu własnych możliwości.

Po treningu pobiegła z powrotem do pokoju, wzięła prysznic, zjadła w stołówce sałatkę z kurczaka z rożna i poszła na uczelniany parking. Do Fort Lewis przyjechała 20 minut przed godziną swojego pierwszego dyżuru.

Baza była większa, niż wydawała się z drogi, zajmowała tereny po obu stronach autostrady I-5. Emily podobała się ta atmosfera – flagi amerykańskie dumnie powiewające na kilku budynkach, uzbrojony czołg wyeksponowany w pobliżu głównego wejścia. Nie dbała o to, że okolica służyła z pochmurnego, dżdżystego nieba – te kilka dni, które już tu spędziła, było niezmiennie słonecznych. Teraz, gdy przyglądała się kompleksowi na tle niebieskiego nieba, sceneria wyglądała niemal surrealistycznie.

Przez większość życia nie miała pojęcia, że jej ojciec jest związany z wojskiem, a jednak odczuwała dumę, ilekroć przechodziła obok jakiegoś oficera albo kolumny pojazdów wojskowych. Po 11 września, choć miała wtedy zaledwie 14 lat, zrobiła sobie z koralików przypinkę z flagą i codziennie ją nosiła. Kiedy ogłoszono, że USA przypuściły atak odwetowy na Afganistan, a później na Irak, jako jedna z nielicznych w swoim kręgu znajomych pobiegła do domu oglądać relacje.

Dziadek żartował sobie, że krew w jej żyłach nie jest czerwona. Że jest czerwono-biało-Niebieska. Polly-Patriotka – tak ją nazywał. „To jest cała moja dziewczynka. Daje nam starym nadzieję, co do przyszłych pokoleń”.

Jej duma z Ameryki i jej siły militarnej była instynktowna. Wojna to był trudny problem i tyle samo jej znajomych popierało ją, co się jej sprzeciwiało. Emily nie lubiła wojny, ale sama przed sobą przyznawała, że ma ona pewne plusy. Na przykład jej kraj wydawał się znacznie bezpieczniejszy, odkąd wojsko zajęło się państwami dającymi schronienie terrorystom.

Pomijając już kwestię wojny, było coś wspaniałego w ludziach, którzy poświęcali swoje życie służbie dla kraju. Po skończeniu studiów Emily wcale nie musiałyby pracować dla wojska, ale z drugiej strony – dlaczego nie, czemu nie iść w ślady ojca? Nigdy nie będzie wiedzieć, jeśli wpierv nie spróbuje.

Wyprostowała się i poszła w stronę wejścia do głównego budynku na terenie bazy.

Dzień wcześniej rozmawiała telefonicznie z jakąś sympatyczną kobietą, stąd wiedziała, że najpierw powinna udać się do działu kadr. Znalazła go bez trudu i uśmiechnęła się do starszego mężczyzny za kontuarem.

- Jestem Emily Anderson. Zaczynam dziś tutaj pracę.

- Ach tak, Emily - mężczyzna przez moment patrzył pod blat, po czym wyjął teczkę z wypisanym jej nazwiskiem. - Twój tata to Shane Galanter, tak?

- Tak - poczuła, jak serce rośnie jej z dumy. - To on załatwił mi tę pracę.

- W takim razie - mężczyzna postukał palcami w teczkę - przekaż mu, że wszyscy się cieszymy, że jego córka będzie wśród nas. Shane Galanter to doskonale instruktor, jeden z najlepszych w całym kraju.

- Dziękuję panu. Przekażę mu.

Już wiedziała, że polubi tę pracę. Szkoda tylko, że mama bardzo źle przyjęła tę wiadomość.

- Emily, wojsko? - właściwie to nie westchnęła, ale ton jej głosu wydawał się przygnębiony. - Czy nie wystarczy, że już twój tata pracuje dla marynarki, czy potrzeba kolejnego wojskowego w rodzinie?

- Mamo... - Emily próbowała ukryć zaskoczenie. - Myślałam, że ty i tata już z grubsza pogodziliście się co do tej sprawy.

Moment wahania matki wystarczył, żeby rozbudzić w Emily niepokój, ale za chwilę matka stwierdziła beztróskim tonem:

- Pogodziliśmy się. Tylko że ciągle wyobrażałam sobie ciebie w gazecie, a nie w armii.

Te słowa stanowiły jedyny zgrzyt w gładkich jak dotąd przenosinach do Tacoma i PLU, a teraz w pracy w Fort Lewis. Emily odegnała to wspomnienie. Pytania i niepokoje co do armii mogą przecież doprowadzić matkę do lepszego zrozumienia ukochanego mężczyzny - ojca Emily.

Emily wzięła plik papierów i poszła do pobliskiego stolika. Po dziesięciu minutach wypełniła wszystkie formularze i podpisała wszystkie dokumenty. Podeszła do mężczyzny za kontuarem, a on skierował ją do pewnego miejsca przy ścianie działowej. Tam zrobił jej zdjęcie i po kilku minutach wręczył identyfikator.

Kiedy szła do biura prasowego, na korytarz skręciło dwóch umundurowanych żołnierzy, zmierzając wprost naprzeciwko niej. Na ustach Emily błąkał się uśmiech, skinęła im, kiedy się mijali. Obydwaj byli przystojni, a wyższy, ten, który przechodził bliżej niej, popatrzył jej w oczy dłużej, niżby należało.

Poczuła, że jej policzki robią się nagle gorące. „Daj spokój, Emily”. Szła dalej i nagle uświadomiła sobie coś. Jak dotąd nie zdawała sobie sprawy, że w bazie będzie mnóstwo chłopców w jej wieku. Choć w Wheaton spotykała się z kimś, była wciąż zanadto zajęta szkołą i piłką, i poszukiwaniami rodziców, żeby angażować się poważniej. Poza tym nauczyła się czegoś na przykładzie rodziców. O poważnych związkach lepiej zacząć myśleć nieco później, na pewno nie parę miesięcy po dwudziestych urodzinach.

Nie, nie szuka dla siebie chłopaka. Tym bardziej, że swojej drużynie piłkarskiej i szefowi w Fort Lewis jest winna całe swoje zaangażowanie.

Na chłopców przyjdzie czas później. Nie ma o czym gadać.

A mimo to... ten chłopak w mundurze jakoś przykuł jej uwagę.



Biuro prasowe było zaraz po prawej. Kiedy otworzyła drzwi i weszła, od razu poczuła się jak w domu. Zespół ludzi pousadzanych w boksach gorączkowo stukał w klawiatury. Dwoje luźno gawędziło podczas pracy.

- O, o tym prasa jakoś nie pisała - ta uwaga padła z ust trzydziestoparoletniej kobiety. - Wzrasta liczba rekrutów, nie tylko u nas, w całym kraju.

- Pewnie, że nie pisali - mężczyźni siedzący po przekątnej przechylił się do tyłu i uśmiechnął szeroko. - To się nie zgadza z ich tezą o powszechnym rozczarowaniu.

- No tak.

Emily zaśmiała się pod nosem i podeszła do kontuaru. Ładna szczupła czarnoskóra kobieta pisała coś akurat, wpatrując się w monitor.

- Za momencik podchodzę - miała miły głos. Skończyła, co miała skończyć, wstała i wyciągnęła rękę. - Pewnie Emily Anderson?

- Tak, proszę pani. Zgłaszam się na dyżur.

- Świetnie - kobieta uśmiechnęła się. - Ja jestem Vonda. Mam przeszło trzydzieści komunikatów prasowych do zredagowania. Dziesięć trzeba dwa razy wydłużyć, a dwadzieścia skrócić o połowę. Może zaczniesz od tego.

Vonda była szybka i energiczna i dzięki niej i tym kilku innym osobom w biurze panowała cudowna atmosfera. Posadziła ją przy jednym z komputerów.

- Od tej pory tu będzie twoje miejsce. Omówmy sobie najpierw parę spraw.

Emily wcisnęła torebkę pod biurko i słuchała wyjaśnień na temat systemu operacyjnego i sposobu docierania do plików z komunikatami prasowymi. Pogadanka trwała może kwadrans, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł jakiś żołnierz.

Emily otworzyła szeroko oczy, a jej policzki znowu zrobiły się gorące. To był ten wysoki żołnierz z korytarza.

- Justin, Bogu dzięki! - Vonda wyrzuciła ręce w górę. - To nasza nowa, Emily Anderson - położyła rękę na jej ramieniu. - Chcę, żebyś ją przyuczył, jak szybko redagować komunikaty.

Popatrzyła na Emily.

- A to Justin Baker. Pracuje aż trzy razy w tygodniu, ponieważ ma *wielkie plany* - żartobliwie uniosła brwi. - Wzorowy pan oficer. Ma zamiar kiedyś tutaj rządzić.

- Jeszcze parę ładnych lat upłynie, Vondo - uśmiechnął się Justin i popatrzył na Emily. Miał zielonkawę tęczę, nieomal jak pomalowane farbą w spreju. - Jasne, chętnie pomogę.

- Dzięki - Emily ledwie wydusiła to słowo i próbowała odetchnąć.

Justin miał krótko obcięte jasnobrązowe włosy. Był taki przystojny, że serce w niej zamarło na dobrą chwilę. Ale to nie był czas na omdlewanie z wrażenia. Przyszła do pracy, ma zawodowe obowiązki. I stosownie do tego musi się zachowywać.

Uśmiechnęła się do niego tak samo jak wcześniej do Vondy.

- To ci nie powinno zająć za dużo czasu - popatrzyła na ekran komputera.
- Chyba już większość zrozumiałam.

Na biurku Vondy zadzwonił telefon, a ona przesadnym gestem otarła czoło, tak jakby Justin uratował ją w ostatniej chwili.

Kiedy Vonda odeszła odebrać telefon, Justin przysunął sobie krzesło do Emily.

- No dobra, komunikaty prasowe są zawsze tutaj - wskazał na jeden z katalogów na ekranie. - Dzięki temu można się do nich od razu dostać.

Pokazał jej wszystko krok po kroku, a nawet zamienili się krzesłami, żeby mógł jej wytłumaczyć, jak skracać komunikat od końca, zachowując jednocześnie kolejne zmiany i istotne szczegóły.

Potem pokazał, jak wydłużyć komunikat.

- Musisz wejść do pliku z wywiadem. Zwykle znajdziesz tam wystarczająco dużo wypowiedzi i uwag od dziennikarza, żeby dwukrotnie wydłużyć każdy komunikat. Dziennikarz musi to potem tylko klepać.

Słuchała, naprawdę. Ale jej myśli nie potrafiły się jakoś skupić na zadaniu, skoro wszystko w tym chłopaku zdawało się zajmować każdy jej zmysł. Jego woda toaletowa... ledwie uchwytny zapach mydła i płynu do prania na świeżo wyprasowanym mundurze. To nie było wszystko. Jeszcze ten głos, miły i kojący - ani się spostrzegła, jak zaczęła zastanawiać się, jak by to było - siedzieć obok niego w kinie czy na koncercie.

- Emily?

Drgnęła i spojrzała na niego.

- Słuchałaś mnie teraz?

Jej serce znów waliło. Co się z nią dzieje? Chyba nigdy nie reagowała tak na żadnego chłopaka. Wzięła się w garść.

- Przepraszam! Mam już taką wielką głowę.
- Mówiłem właśnie, że pan Williams decyduje o długości komunikatów. Są przygotowywane mniej więcej w standardowej długości, a potem podczas redagowania można je skracać o połowę albo dwa razy wydłużyć, zależnie od tego, gdzie są akurat wysyłane.

- Rozumiem.

W porządku. Już dochodzi do siebie. Przez resztę popołudnia będzie już skupiona.

Justin skończył pogadankę, rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął.

- Jak tam twój tata?
- Mój tata? - Emily znieruchomiała z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą.
- Ty go znasz?
- On i mój tata byli razem podczas wojny w Zatoce. Chyba się nawet za przyjaźnili.

- Ale my... - potrząsnęła głową - my nosimy różne nazwiska. Więc skąd wiesz?

Justin roześmiał się, lekko i szczerze.

- Twój tata przypomniał sobie, że mój stacjonuje tu na północnym zachodzie. Kiedy już dostałaś tę pracę, rozmawiali ze sobą - wzruszył ramionami.

- Mój tata zadzwonił do mnie następnego dnia i powiedział, że przyjeżdżasz. I że jesteś nowa - wyszczerzył zęby w uśmiechu - i mam mieć cię na oku. Coś w tym rodzaju.

- Co ty nie powiesz? - odważyła się na żartobliwą zaczepkę.

- Tak jest - Justin założył nogę na nogę. - Tylko jednego mi nie powiedział - że jesteś śliczna!

I znów wydało jej się, że w pokoju zabrakło powietrza, jakby jakiś gigantyczny inteligentny odkurzacz kontrolował poziom tlenu, kpiąc sobie z niej i prowokując, żeby spróbowała nabrać powietrza. Przełknęła ślinę i siłą woli zmusiła serce do powrotu do normalnego rytmu.

- Dzięki.

Popatrzyła na komputer.

- I dziękuję za pomoc.

Vonda spojrzała w ich stronę zza kontuaru na przodzie.

- No to ściągnęliśmy sobie na głowę parkę zadurzonych małych - potrząsnęła głową. - Emily, nie ma rady, wpadłaś. Jak już Justin spojrzy na dziewczynę, to koniec. Mmmm - mlasnęła. - „Przyjemniczek”, tak go sobie tutaj nazywamy.

Justin podniósł palec, próbując coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką i uśmiechnął się do Emily półgębkiem.

- Cała Vonda - co w sercu, to na języku.

Zaśmiała się.

- Widzę.

Ignorując swoje dziwne samopoczucie, znów obróciła się do komputera.

- Lepiej zabiorę się do roboty.

Popołudnie minęło jak z bicza trząśł, a Emily robiła, co w jej mocy, żeby nie myśleć o niczym innym jak tylko o komunikatach prasowych. Gdy jednak co jakiś czas podnosiła wzrok, przyłapywała Justina na tym, że się jej przygląda. Jeśli wierzyć Vondzie, dla niego to tylko zabawa. Powtarza te słodkie słówka każdej napotkanej dziewczynie.

Ale jego oczy opowiadały inną historię. I gdy tamtego dnia Emily wychodziła z bazy, zastanawiała się, czy kiedyś tę historię usłyszy.

Tak czy inaczej, jedno wiedziała na pewno. Że ilekroć wejdzie na teren bazy, zawsze będzie wypatrywać tego wysokiego zielonookiego żołnierza o rozbijającym uśmiechu, na którego widok serce wali w niej jak nigdy dotąd na widok żadnego chłopaka.

## *Rozdział 4*

Lauren sprawdzała właśnie pocztę i czytała e-mail od naczelnego, gdy zadzwonił telefon. Choć w swoim mieszkaniu w Fallon spędziła już pół roku, było ono wciąż umeblowane nader skromnie. Stół kuchenny, dwa krzesła, kanapa, telewizor i komputer, ledwie mieszczący się na starym stoliku, jaki wyszukała na jakiejś wystawce. W sypialni proste dwuosobowe łóżko.

Aparat telefoniczny stał na brzegu stolika z komputerem, odebrała więc już na drugim dzwonku.

- Słucham?

- Mama? - to była Emily. Jej głos był energiczny i radosny, pewnie tak brzmiał jej własny, zanim wiele lat temu uciekła do Kalifornii. - Co u ciebie?

Lauren zerknęła na list od naczelnego. Zaczynał się tak jak wszystkie, jakie wysyłał do niej co parę dni:

*Lauren, rozumiemy twoją potrzebę wytchnienia na miejscu w kraju. Ale czas zająć należne Ci miejsce na Środkowym Wschodzie. Lauren, nikt nie robi takich relacji z wojny jak Ty. Twoi następcy nie piszą...*

Przymknęła oczy i skupiła uwagę na córce.

- Dobrze, skarbie. Wszystko dobrze.

E-mail krzyczał jej prosto w twarz, zadając kłam. Odwróciła się tyłem do ekranu.

- Pracuję nad następnym dużym tekstem.

- Naprawdę? Ale fajnie! - Emily była zawsze taka podekscytowana. Sama bądź co bądź zajmowała się pisaniem, ilekroć więc Lauren wspominała o swojej pracy dla „Time'a”, jej córka zdawała się spijać każde słowo z jej ust.

- A o czym?

- iPody i odtwarzacze mp3, jak przez nie całe pokolenie dzieci traci słuch. Nic takiego - zaśmiała się.

- Ojej - głos Emily był zmartwiony. - A ja słucham non stop.

- W każdym razie ściszej.

- Dobrze - wydawało się, że Emily się śpieszy, jak gdyby dzwoniła w innej sprawie, nie na zwykłą pogawędkę. - Co u taty?

Było to pytanie retoryczne, Lauren poznała to po tonie głosu córki. Emily regularnie starała się pomóc rodzicom odnajdować płaszczyznę porozumienia, ale tak naprawdę nie spodziewała się, że mogą być w tej dziedzinie jakieś problemy. A w szczególności takie problemy, które spiętrzyły się nad nimi i ich planami niczym fala przyływu. Lauren próbowała wyrzucić z myśli obraz twarzy Shane'a z poprzedniego wieczoru, kiedy znów się pokłócili. Chrząknęła.

- Wspaniale.

- Świetnie - roześmiała się Emily. - Mamo, nie uwierzysz.

- Co takiego? - miło było słyszeć entuzjazm w głosie córki. Może i jej się trochę z niego udzieli i będzie mogła spojrzeć pod innym kątem na swoje życie, które wydaje się walić w gruzy. - Zdobyłaś trzy bramki we wczorajszych rozgrywkach?

- No... - śmiech Emily przeszedł w chichotanie, zapewne tak śmiała się jako mała dziewczynka - no owszem, to też.

- Naprawdę? - Lauren wstała i przeszła przez mieszkanie w stronę drzwi. - Mówisz poważnie, Em? Trzy bramki?

- Właściwie to cztery, ale jednej nie uznano.

- Trener musi być szczęśliwy, że cię ściągnął.

- Mnie się zdaje, że ja jestem jeszcze szczęśliwsza od niego. Bo - jej słowa tańczyły z jakiejś dziwnej radości - zgadnij co.

Lauren roześmiała się.

- Poddaję się.

- No więc - było słychać, że się uśmiecha - wiesz, że pracuję w Fort Lewis, w bazie wojskowej pod Tacoma.

- Wiem - Lauren otworzyła drzwi i wyszła na swój maleńki ganek. Usiadła na wyplatany składany krzesło i skupiła wzrok na górach. - I co, dobrze ci tam?

- Jeszcze jak! Redaguję komunikaty prasowe, biegam na posyłki, odbieram telefony. Bardzo dużo się uczę... - urwała na chwilę. - Mamo, i poznałam jednego faceta.

„Faceta... więc to o to chodzi”. Lauren uśmiechnęła się do siebie.

- Popatrz, popatrz! Moja strasznie zajęta Emily miała nie mieć czasu na facetów, czy ja dobrze pamiętam?

- No i nie mam - zaśmiała się trochę niepewnie. - Ale to takie dziwne, mamo. Nie mogę go sobie wybić z głowy. No wiesz, codziennie idę do pracy, no i wiesz, wszędzie szukam go wzrokiem. Ale tak naprawdę nie rozglądam się za nim, bo nie chcę, żeby wiedział, że mi się podoba, no a Vonda twierdzi, że to taki przyjemniaczek dla każdej napotkanej dziewczyny.

Lauren doświadczyła jakby deja vu. To, co opisywała jej córka, ona sama czuła niegdyś do Shane'a.

- Kto to jest ta Vonda?

- Prowadzi sekretariat w biurze prasowym, mówiłam ci.

- No tak - Lauren tak chciałaby być tam razem z nią. Uściskać ją, cieszyć się wspólnie. Ale przede wszystkim musiała być matką. Zwłaszcza że zbyt długo nią nie była. - Czyli zdaniem Vondy on trochę za bardzo lubi dziewczyny, tak?

- Tylko że tak wcale nie jest. To znaczy - Emily zachichotała - ja tak nie uważam. Nie widziałam, żeby ciągnęły do niego do biura jakiego pielgrzymki dziewczyn - pośpiesznie złapała oddech. - I wiesz, co jeszcze? Jego ojciec to kolega taty. Byli razem na wojnie w Zatoce.

Ach... czyli chłopak jest z rodziny wojskowych. Lauren próbowała ukryć niepokój. Emily wyglądała na bardzo zadowoloną - czegoś podobnego Lauren jeszcze u niej nie widziała przez całe pół roku, odkąd się poznały. Nie chciała gasić jej entuzjazmu, choć czuła, że i tak byłaby na przegranej pozycji.

Gdzieś w oddali dwa myśliwce z rykiem poszybowały w niebo i zatoczyły krąg nad wierzchołkami gór. Lauren przymknęła oczy.

- Coś podobnego.

- To naprawdę ciekawe - głos Emily stracił nieco pierwotnego zapału. - Nie chodzimy ze sobą ani nic takiego. Ale mimo to... no nie wiem, mamo. Rozstawiłam wszystkich po kątach na boisku, uwielbiam pracę, a jednak w nocy, kiedy rozmawiam z Bogiem, po prostu nie potrafię przestać myśleć o Justinie.

- Tylko bądź ostrożna, Em. Te przyjemniaczki mogą się nieraz okazać najgorszymi ze wszystkich.

- Tak, wiem - to znów mówiła znajoma, wrażliwa Emily. - Chciałam ci tylko powiedzieć. Ach, byłabym zapomniała! Czy ty i tata moglibyście przyjechać tu w pierwszym tygodniu sierpnia?

- Mecz? - serce Lauren zabiło mocniej. Bez względu na nierozwiązane problemy w jej własnym życiu sama myśl o spotkaniu z córką wywoływała uśmiech na jej twarzy.

- Tak, turniej piłkarski. Zdaniem trenera powinnyśmy wygrać.

Lauren szybko porachowała w myślach. Turniej za sześć tygodni. A tymczasem nieraz wydaje jej się, że nie wytrzyma już długo, że lada moment trzeba będzie zawrzeć z Shane'em jakiś rozejm i uciekać na Środkowy Wschód. Ale

może odwiedzić u Emili dadzą im jakiś impuls do wspólnych planów, do pozostania ze sobą, popracowania nad ich związkiem. Jeśli to w ogóle możliwe.

- Mamo... to co ty na to? - jej ton był lekko zniecierpliwiony. - Przepraszam, ale muszę już lecieć. Za 20 minut trening.

- Dobra, no... jasne. Oczywiście, że spytam tatę. Jeśli będzie mógł się wyrwać, to i ja będę mogła.

- Świetnie. Dobra, mamo, muszę lecieć. Zadzwońię za parę dni. Kocham cię.

- Ja ciebie też - Lauren wyłączyła słuchawkę i wpatrywała się w nią. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że przez wszystkie te lata jej córka istniała. Że wyrastała na taką dojrzałą, odpowiedzialną, inteligentną młodą kobietę - gdy w tym samym czasie ona, Lauren, robiła wszystko, żeby zapomnieć o tym, że w ogóle urodziła córkę, córkę, o której sądziła, że od dawna nie żyje.

A teraz... tak jakby nie wyrządziła jej żadnej krzywdy, Emili przyjęła ją, wpuściła do każdej dziedziny swojego życia, zaprosiła na turniej, opowiada o nadziejach i marzeniach. Nawet o tym - o swoich uczuciach do młodego żołnierza.

To znacznie więcej, niż Lauren śmiałyby marzyć.

Dźwięk odrzutowców ucichł, a ona wstała, weszła z powrotem do mieszkania i podeszła do stolika z komputerem. E-mail ciągle był na ekranie, i tym razem przeczytała go do końca:

*Lauren, rozumiemy twoją potrzebę wytchnienia na miejscu w kraju. Ale czas zająć należne Ci miejsce na Środkowym Wschodzie. Lauren, nikt nie robi takich relacji z wojny jak Ty. Twoi następcy nie piszą wystarczająco ostro, nie zadają tylu pytań. Jakby dali się przekonać, że w jakiś sposób z tych strat w pieniądzach i środkach, i ludziach, jakie ponosimy w Iraku i Afganistanie, może wyniknąć coś dobrego. W każdym razie przygotowaliśmy już dla ciebie powrót na to samo miejsce i będziesz mogła pracować tak jak zawsze. Proponujemy 10 proc. podwyżki, dla Scanlona oczywiście też. On dalej pracuje dla nas i czeka na powrót współpracownicy. Lauren, zastanowisz się nad tym? Nie wyznaczam żadnego terminu. Będziemy czekać. Powiedz tylko słowo. Bob Maine.*

- Bob, Bob, Bob... - Lauren westchnęła i przeczytała list jeszcze raz. To samo pisał jej już dwa razy w ciągu ostatniego miesiąca. - No i co ja mam z tobą zrobić?

Próbowała sobie wyobrazić, jakby to było - znowu zostawić Shane'a, spakować rzeczy i wrócić na Środkowy Wschód. Na początku pojechałaby do kwatery dla dziennikarzy, tam, gdzie do tej pory mieszka Scanlon. Znowu pracowałyby ze sobą, ciesząc się tą niezobowiązującą zażyłością, jaka zawsze ich łączyła. To był dobry przyjaciel, brakowało jej go. I brakowało wspólnej pracy.

Tylko Scanlon rozumiał, jak wojna ją zmieniła, jak codzienne donoszenie o ofiarach i zniszczeniu odciska na umyśle piętno, które nigdy nie znika, bez względu na to, ile później napisałoby się tekstów o zagrożeniach związanych z odtwarzaczami mp3.

Wszystko w tej propozycji wydawało się fantastyczne. Opuści Fallon i tych pocziwych wojskowych, którzy nie potrafią spojrzeć poza flagę, zrobi coś pożytecznego ze swoim życiem. Brzmiało to cudownie, z jednym wyjątkiem. Z wyjątkiem pożegnania się z Shane'em.

Czy to nie on jest miłością jej życia? Tak długo go szukała, tyle o nim marzyła, usychała z tęsknoty za nim po drodze z Illinois do Los Angeles! Płakała przez całą drogę, zdruzgotana wieścią o śmierci córeczki i zła na rodziców, że ich rozdzielili.

Dlaczego ktoś - dlaczego nikt - nie uznał wtedy za rozsądne, żeby pozwolić im zostać razem? Przecież nie można było przewidzieć, jak by się to skończyło. W każdym razie dziś nadawaliby na tych samych falach. Finansowo byłoby ciężko, ale wychowaliby Emily w tej wierze, w jakiej sami wyrosli. Nie wyruszyliby w przeciwnych kierunkach życiowych, bo każdy krok stawialiby razem.

Zamknęła program pocztowy, wstała i poszła w stronę sypialni. Gdyby miała mówić szczerze, musiałaby przyznać, że jej mieszkanie nie wygląda na mieszkanie kogoś, kto chciałby osiąść w Newadzie na dłużej. Nawet ubrania ciągle leżały w stertach pod ścianą. Jedyną rzeczą, która nadawała temu pomieszczeniu jakiś wyraz, było oprawione w ramkę i stojące na parapecie zdjęcie jej i Shane'a, nie z minionego roku, ale z tamtego, dawnego życia. Kiedy miała 17 lat i wierzyła całym sercem, że ona i Shane będą ze sobą na zawsze.

Podszła do fotografii, wzięła ją w dłoń i przyglądała się. Czasami, przynębiona hukami odrzutowców i wojskową paplaniną, patrzyła na to zdjęcie, przekonując samą siebie, że była wtedy zbyt młoda, zbyt naiwna, żeby rozumieć miłość.

Albo mówiła sobie, że Shane nie jest już tym samym człowiekiem, że dziś nie ma już tej łagodności widocznej w oczach chłopaka na fotografii. Że jest bezwzględny weteranem marynarki, instruktorem, którego ostry ton stawia na baczność młodych pilotów, zmusza ich do odważniejszego lotu.

Ale stojąc tam teraz dobrze wiedziała, jak jest naprawdę. Shane się nie zmienił. Zawsze opowiadał się za tym, co słuszne. Owszem, nie był doskonały, ale strasznie chciał stać zawsze po właściwej stronie. A ewentualne braki nadrabiał wiarą, która nie miała granic.

Nie, Shane się nie zmienił.

Przejechała palcem po szkle, ścierając kurz i wyraźniej odsłaniając ich twarze. Nie byli za młodzi, by rozumieć miłość. Ich oczy przekazywały opowieść, której nawet ona nie umiałaby napisać lepiej. Miłość, jaka ich łączyła, była czysta i nieskażona, niepokomplikowana przez politykę i różnice w światopoglądzie. Miłość na tyle wielka, by skłonić ją do opuszczenia domu i nieogładania się wstecz. Do szukania go przez długie lata, nawet kiedy przestało to już mieć sens.

Więc... co teraz?

Wyjrzała przez okno i spróbowała wyobrazić sobie Shane'a, ubranego w swój galowy biały mundur, siedzącego za biurkiem, z za którego roztacza się



widok na całe lotnisko Top Gun. Powie mu o zaproszeniu Emily, o wyjeździe do Tacomy i okazji obejrzenia, jak ich córka mieszka, bawi się, pracuje. Ale oszukiwałyby samą siebie, gdyby sądziła, że to cokolwiek rozwiąże.

Pytała Boga, czy mają szansę, jak może się stać prawdziwą żoną żołnierza, taką, jakiej Shane potrzebuje. Próbowwała trzymać swoje opinie dla siebie, nie wyrażać ich wprost, całkiem o nich zapominać. Ale zawsze wracały - i zawsze z ich powodu kłóciła się z nim.

Postawiła zdjęcie z powrotem na parapecie. Czekała na odpowiedzi na swoje modlitwy, badała własne serce - i oczy Shane'a, analizowała ich związek, ilekroć się ostatnio widywali. Odpowiedź od Boga musiała gdzieś w tym wszystkim być, Jego wola tak oczywista jak ta miłość, która niegdyś jaśniała na ich twarzach.

W pobliżu Shane'a wciąż czuła, jak uginają się pod nią kolana, jej serce wciąż reagowało jak wtedy, gdy była młodą dziewczyną. Kochała go tak, jak nigdy nie pokochałaby innego mężczyzny. Ale różnice między nimi zdawały się rosnąć ze spotkania na spotkanie.

Wyrzała przez okno na ulice Fallon i powoli, stopniowo, zakiełkowała w niej ta myśl. Może Bóg cały czas próbuje odpowiedzieć na jej pytania? Może już próbował - raz, drugi, trzeci? Może i dziewięć razy? Ale tym razem - w końcu - zdołała usłyszeć, co do niej mówi. Ta wiadomość, nawet samo tylko rozważenie jej, raniło jej serce. Oczywiście nie została ona wypowiedziana głosem z niebios. Oznajmił ją głos nieco bardziej znajomy.

Głos jej naczelnego, Boba Maine'a.

## *Rozdział 5*

Przełom nastąpił jeszcze tego samego popołudnia, tego dnia, kiedy Emily podzieliła się z matką swoimi uczuciami. Postanowiła nie robić żadnego ruchu w stronę Justina. Powodów było nieskończenie wiele. Po pierwsze, była zajęta, musiała się poświęcić dla swojej drużyny, chciała zaznajomić się z okolicami Tacomy, za słabo znała Justina.

Długo można by wymieniać.

Wszystko to nie zmieniało jednak jej doznań w chwili, gdy Justin wchodził do pokoju. Barczysty, o wyrazistych rysach twarzy i żywym poczuciu humoru. Całkiem jak jej ojciec. Zorientowała się już, że przekonania Justina, jego wiara są dla niego tak samo ważne, jak i dla niej. Mimo to nie dawała nic poznać po sobie. Szczególnie po tych wszystkich uwagach Vondy o „Przyjemniaczku”. Jeśli Justin Baker rzeczywiście jest specjalistą od słodkich słówek, to niech się na to nabiera jakaś inna dziewczyna. Ona sama ma zbyt mało czasu na bezcelowe przygody.

Tego popołudnia redagowała właśnie komunikaty, gdy przysunął krzesło obok i czekał, aż na niego popatrzy. Kiedy to zrobiła, nie była w stanie odetchnąć normalnie, powietrze uwięzło jej w gardle. Udało jej się jednak zachować lekki ton głosu.

- Następne szkolenie?
- Jeśli ci potrzebujesz... - spojrzał na nią tak, że się roześmiała.

- Ja wiem? Chyba nie - uniosła jedną brew. - Wiesz, miałam takiego jednego nauczyciela, no, niezły był. Tak że nie mam już więcej pytań.

- No to świetnie.

Przejechał językiem po dolnej wardze i pokręcił się na siedzeniu. Pierwszy raz widziała go spiętego.

- Wiesz, Emily, chciałybym ci coś wyjaśnić.

- Tak? - odwróciła się do niego.

- Ja wszystko słyszę, panie Baker, te pańskie flirty i w ogóle! - Vonda była niezmordowanym kpiarzem. Stała przy swoim biurku i puszczała oko w ich stronę. - Proszę pana! Niech się pan już nie hamuje. Prosić bidulkę na randkę, na co tu czekać? Toż ona z siebie wychodzi, żeby tylko to usłyszeć! - wydała z siebie desperacki pomruk i ciężko zwała się na krzesło. - Miłość w młodości to strata czasu. Strata czasu, ja wam to mówię!

Justin przez moment patrzył na Emily, a potem wychylił głowę w tył i jęknął:

- Wielkie dzięki, Vonda.

- Służę uprzejmie.

Vonda podniosła słuchawkę telefonu i miłosiernie przestała zwracać na nich uwagę.

Emily uśmiechnęła się do niego współczująco:

- Co to ostatnio powiedziałaś?

- No właśnie - spojrzał na nią. Spostrzegła, że policzki mu nieco pociemniały. Był rozbrajający. - Chodzi o tego tak zwanego przyjemniaczka - potrząsnął głową. - To wszystko nieprawda.

- Nieprawda? Bo?

- Bo... - wykręcił głowę i szybko zerknął w stronę Vondy. - Chodzi o to - z niżej było nieco głośno - że gdybym był tym przyjemniaczkiem, to już dawno bym to zrobił.

- Co takiego byś zrobił? - Emily podobała się ta wymiana zdań, dokądkolwiek prowadziła.

Popatrzył jej w oczy, głęboko, jakby do jej wnętrza.

- Zaprosił cię na randkę.

Otak, jego uczucia zostały wyłożone kawa na łąkę. Zdawało jej się, że unosi się nad podłogą, że szybuje nad pomieszczeniem. Ale gdy spojrzała w dół, widziała, że ciągle siedzi na krześle przy komputerze, z nogami na ziemi. Przypomniała sobie najpierw, że powinna się uśmiechnąć, a potem, że powinna oddychać.

- Naprawdę?

- Tak - odetchnął tak, jakby przez chwilę się z tym wstrzymywał. - Emily, wiesz, jakie to było trudne?

- A teraz pani kolej, panno Emily - Vonda skończyła rozmawiać przez telefon. Trzasnęła dłonią o blat w udawanym geście zniecierpliwienia. - Czy naprawdę muszę tam do was podejść i nauczyć was, jak to się robi?

Emily roześmiała się.

- Chyba nie - spojrzała na Justina i poczuła, jakby wszystko w jej środku złało się w jedno. - Spróbujemy sobie jakoś poradzić.

Justin przesłonił oczy dłonią i potrząsnął głową.

- Jeszcze raz dzięki, Vonda.

- Jak powiedziałam, zawsze służę uprzejmie.

- To jak? - Justin spuścił rękę i skrzywił się lekko. - Mogę cię zaprosić na kolację? Dziś po pracy?

- Jasne - Emily dalej mówiła lekkim tonem. Znowu zerknęła przez ramię.

- Tylko jak my sobie poradzimy sami bez Vondy?

- Też nie wiem - wzruszył ramionami. Wyglądał cudownie z tym gestem.

- Ale nie dowiemy się, jak nie spróbujemy.

Roześmiali się oboje i Justin cicho wrócił do swojego komputera, stojącego szczęśliwie pod radarem Vondy, obyło się więc bez wykrzykiwanych uwag o tym, jak poszło i czy Emily pozwoliła chłopakowi odhaczyć dzień jako sukces i zgodziła się. Reszta zmiany minęła nie wiadomo kiedy, choć Emily musiała co kilka minut przypominać sobie, że powinna się skupić.

Co by to miało znaczyć, że Justin ją zaprasza? Czy czuje do niej coś podobnego jak ona do niego? Że nawet najpiękniejszy letni dzień nie może się równać z uczuciem znajdowania się z nim w jednym pomieszczeniu, wspólnej pracy nad komunikatami prasowymi, oddychania tym samym powietrzem?

Po skończonym dyżurze postanowili, że pojedą najpierw do jej akademika, a potem oboje wsiądą do jego wozu, jeepa cherokee, prezentu od ojca.

Kiedy usiedli już razem, otworzył szyberdach. Emily siedziała na miejscu koło niego. Skórzane fotele były miękkie i wygodne.

- Podoba mi się - powiedziała.

- Nie miałem pojęcia, że tata chce mi go dać - Justin nie spuszczał wzroku z drogi. Kiedy w pobliżu zabrakło Vondy, wydawał się spokojny, pewny siebie. Tak jakby oboje znali się od lat. - Wróciłem do domu z mojej pierwszej zmiany w Iraku i rodzice czekali na mnie na lotnisku. Odwieźli mnie do bazy - a on już tu stał, na parkingu. Owinięty żółtymi kokardami - uśmiechnął się. - Mój pierwszy samochód.

Emily przyglądała mu się przez chwilę. Więc był w Iraku. Ten fakt dowodził, że nie zna go wcale tak dobrze, jak by się mogło wydawać. Oparła się ramieniem o siedzenie i obróciła się do niego.

- Długo tam byłeś?

- Około roku, mniej więcej tyle co większość chłopaków - coś zmieniło się w jego oczach.

- Zdawało mi się... - przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. - Zdawało mi się, że chcesz kierować tą bazą.

- Vonda przesadza - uśmiechnął się do niej szeroko. Wciąż świeciło słońce, do jego zachodu zostały jeszcze trzy godziny, zrobiło się jednak chłodniej. Spojrzał w górę, na szyberdach. - Zimno ci?

- Nie - przejechała palcami po swoich długich rękawach. - Tak jest dobrze.

- Mhm - wyjechał na autostradę i włączył się w strumień pojazdów. - Chcę być zawodowym wojskowym. Jak mój tata - rzucił jej uśmiech. - I jak twój.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli dadzą mi tę bazę, to ją wezmę.

- A... - nie chciała o to pytać, nie chciała nawet wyobrazić sobie go w niebezpieczeństwie, tego złotego młodzieńca, który z taką łatwością rozgościł się w jej sercu. - A co robiłeś w Iraku?

- Mam przeszkolenie medyczne, ale nie tym się tam zajmowałem. Robiłem to, co się robi na froncie, kopałem w drzewa, szukałem rebeliantów - zrobił minę sugerującą, że nie było to nic takiego. - Jazda w konwojach, takie tam rzeczy.

Wszystko, co wymieniał, spadało na nią jak cios. Narażał się na największe niebezpieczeństwa, tyle wiedziała na pewno na podstawie rozmów z ojcem. Żołnierze szukający rebeliantów są najbardziej narażeni. Na pewno dzięki swoim związkom rodzinnym mógł pracować na zapleczu frontu, służyć w armii, ale nie narażać się na bezpośrednie zagrożenie życia.

Kiedy się nie odezwała, znów rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Ej, nie było tak źle. Ludzie nas tam lubią.

Emily była zafascynowana i przerażona zarazem.

- Opowiesz mi?

- Prawdy nie znajdziesz w artykułach prasowych - skrzywił się - ani w reportażach, jakie mogłaby pisać twoja mama.

Więc wie o jej matce.

Widać zmienił jej się wyraz twarzy, bo Justin prędko poprawił się.

- Tata mówił mi, że twoi rodzice mają za sobą dość burzliwe dzieje. To znaczy... - zmienił pas - Emily, ludzie mają prawo do własnego zdania. Nie zrozum mnie źle.

- Rozumiem cię.

Byli już w Seattle. Przed sobą dostrzegała już Cieśninę Puget i setki żaglówek na wodzie.

- Myśle... myślę, że na poglądy mojej mamy miało wpływ bardzo wielu ludzi. Skinął głowę w stronę wody.

- Co powiesz na Pike Place Market? Jest tam parę świetnych restauracji rybnych.

- Naprawdę? - słyszała już o tym miejscu od dziewczyn z drużyny, ale sama nigdy dotąd nie ruszyła się poza szkołę i poza Fort Lewis. - Wspaniale!

Skręcił w najbliższy zjazd z autostrady. Dziesięć minut później znalazł nad wodą miejsce do parkowania. Wyszli z wozu i poszli w stronę nabrzeża. Seattle

wydawało się eklektyczne, mieszanka energicznych ludzi biznesu w garniturach i eleganckich sukienkach i miejskiego folkloru w powyciąganych ubraniach, długich włosach, z plecakami, w sandałach. I górująca nad wszystkim wieża Space Needle.

Słońce było jeszcze wysoko nad horyzontem, w chłodnej bryzie mieszała się woń spalin i morskiej wody. Kiedy zwolnili kroku, Justin powoli nabrał powietrza.

- Jak powiedziałem, tam jest całkiem inaczej. Spodziewałem się walki i rzezywiście toczy się tam walka. Ta wojna potrwa jeszcze długo.

- Tak słyszałam.

Dotrzymywała mu kroku. Co jakiś czas dochodził ją zapach jego wody toaletowej zmieszany z wieczornym powiewem.

- Ale ludzie są najlepsi - uśmiechnął się, a w jego oczach znów pojawiło się coś poważnego. - Cieszę się, że są wolni, Emily. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy. Dla większości jesteście bohaterami - zaśmiał się krótko. - Moja mama powklejała sobie do zeszytu zdjęcia, które zrobiłem. Moje zdjęcia z różnymi Irakijczykami. Głównie dziećmi.

- Czyli... czyli to nie było aż takie strasznie niebezpieczne? - schodzili akurat ze wzgórze brukowaną drogą. Na wprost przed nimi słońce rozrzuciło sięc brylantów na wodach Zatoki Elliott i odległej Cieśniny Puget.

- Było niebezpieczne - jego uśmiech zbladł. Przez chwilę milczał, a potem popatrzył na nią. - Straciłem dwóch kumpli. Zginęli na minie, ja akurat w tym dniu robiłem inwentaryzację broni.

Poczuła, że staje jej serce.

- Bardzo mi przykro...

I było jej przykro. Ale zarazem posłała Bogu dziękczynną modlitwę za ocalenie Justina, za darowanie temu żołnierzowi obok niej kolejnej szansy życia.

- Większość ludzi i tutaj, i tam nas popiera. To dobrze - mówił powoli, z namysłem. - Inaczej niż to było z chłopakami w Wietnamie. Całkiem inaczej. Ale mimo to... - spojrzał w niebo i zmrużył oczy od zachodzącego słońca - mimo to chciałbym, żeby więcej ludzi wiedziało, jak tam jest. Dużo tam robimy dobrego, Emily. I to jest dobre, choć ponosimy straty.

Teraz rozmowa zeszała na nią i jej rolę w drużynie.

- Grałam na środku pomocy od najmłodszych lat. Ale nigdy nie sprawiało mi to tyle przyjemności co teraz.

- Bo wiesz, że to już niedługo? - ta uwaga nie była niegrzeczna ani pochopna. Po prostu uczciwa obserwacja.

I trafna.

- Tak - poczuła, jak jej ramię otarło się o jego, i przeszedł ją dreszcz aż do samych stóp. - Jestem dobra, ale nie znajdę się w drużynie olimpijskiej ani nie przejdę na zawodowstwo - uśmiechnęła się do niego smutno. - To już ostatnie chwile, więc daję z siebie wszystko.

- Bardzo chciałbym zobaczyć, jak grasz.

Doszli do skrzyżowania dróg i przecięli je, wchodząc na chodnik biegnący nad wodą.

- Sam też grałem, w liceum.

- Naprawdę? - znów poczuła się tak, jakby znała go od zawsze. Gdyby chodzili do tej samej szkoły, byłiby najlepszymi przyjaciółmi. Może nawet doświadczyliby podobnej nastoletniej miłości jak jej rodzice? Przepłoszyła te myśli. - Na jakiej pozycji?

- Środkowy pomocnik. Tak jak ty.

Zatrzymali się. Patrzył na wodę.

- Czasami mi tego brakuje. Chociaż nie była to moja wielka pasja - przekrzywił głowę i znów spotkali się wzrokiem. - Nie taka jak wojsko.

Podziw Emili rósł coraz bardziej.

- Kiedy... wróciłeś z Iraku?

- W październiku. Niedługo przed świętami - oparł przedramiona na metalowej barierce oddzielającej chodnik od wału schodzącego do wody. - Rodzice byli szczęśliwi.

- Więc teraz... już koniec? - starała się mówić lekkim tonem. Nie chciała zadać pytania, które dźwięczało jej w sercu, ale musiała wiedzieć. Też oparła się o barierkę i przekrzywiła głowę, żeby lepiej go widzieć. - Teraz szkolisz się do czegoś nowego, no wiesz, uczysz się, jak zarządzać bazą, tego typu rzeczy, tak?

Zaśmiał się i - celowo bądź nie - przesunął prawe ramię, tak że dotykało jej ramienia.

- Mam przed sobą jeszcze jedną zmianę, jeśli o to ci chodzi.

Strach zatrzymał jej oddech. Wbiła wzrok w najdalszy kraniec oceanu, jaki mogła dojrzeć. Nie, on nie pojedzie znowu do Iraku. Na pewno nie to ma na myśli.

- Ale... ale przecież masz już za sobą niebezpieczne zadania, prawda?

- Szukają chłopaków, którzy pojedą drugi raz - wyprostował się nieco. W jego głosie nie było zmartwienia ani niepokoju. - Trudno dobrze dowodzić innymi, jeśli samemu nie jest się gotowym do poświęceń.

Takiej właśnie odpowiedzi spodziewała się po nim, nie innej.

- Czyli wrócisz na pierwszą linię frontu?

- Prawdopodobnie - uśmiechnął się i trącił ją ramieniem. - Ale właśnie tam są ludzie, Emily. I właśnie dlatego jestem pewien, że powinniśmy tam być. Poza tym Bóg ma na mnie oko. Czułem Jego obecność cały czas podczas tej ostatniej zmiany.

Poczuła nagły impuls, żeby uciec stamtąd. Jaki w tym sens - poznawać bliżej tego cudownego faceta obok, skoro jedzie on na kolejny rok do Iraku? Skoro jego przyszłość wisi na włosku? Ale nie pozwoliła tym uczuciom zagościć w sobie na długo.

Bóg ma swoje plany względem Justina, tak jak ma swoje plany względem niej. Żadne z nich nie ma gwarancji nawet na kolejny oddech. Po co martwić się na zapas?

Odetchnęła i uspokoiła się.

- Więc kiedy, Justin? - nie odsunęła ramienia, nie przerwała tego kontaktu między nimi. - Kiedy jedziesz?

- Koniec września - uśmiechnął się i wsunął palce między jej palce. - Chodź. Poszukajmy jakiejś kolacji.

Szli wolniej niż przedtem. Z dłonią w jego dłoni, musiała powtarzać sobie, że naprawdę tu jest, że on naprawdę idzie obok, że idzie z nią za rękę nad brzegiem Cieśniny Puget w Seattle. I że ona nie unosi się trzy metry nad ziemią, mimo że tak się jej wydaje.

Przez resztę wieczoru unikali rozmowy o powrocie do Iraku. Wybrali restaurację i usiedli przy oknie z widokiem na wodę. Usiadł naprzeciwko niej i zaczął opowiadać o swojej młodszej siostrze.

- Ma 18 lat, cztery lata młodsza ode mnie - rozłożył serwetkę na kolanach, najwyraźniej obyty z eleganckimi restauracjami. - W całej rodzinie krąży o niej pełno kawałów.

- Na przykład?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Na przykład jak kupiła sobie nową komórkę. Strasznie była podpalona, bo można było tam wpisać do 30 numerów do szybkiego wybierania - oparł łokcie o stół, a brodę o dłonie i patrzył na Emily. - No więc jesteśmy gdzieś na kolacji, a ona nadaje, jakie to sobie numery wprogramowała, a wśród nich pogotowie 911. „No i dzięki temu - mówił teraz dyszkantem podekscytowanej dziewczyny - w razie czego wystukam sobie \*27. Zaraz, zaraz, nie. Chyba \*28” - Justin śmiał się ciepło, z uczuciem. - Pokładaliśmy się ze śmiechu. Tylko moja siostra mogła wymyślić, że łatwiej wystukać \*-2-7 zamiast 9-1-1.

Zamówili łososia z jarzynami i po kawie z mlekiem. Kiedy kelner odszedł, Justin zapytał o jej rodziców.

- Słyszałem, że długo byli rozdzieleni, ale poza tym nie wiem za wiele.

Więc opowiedziała mu - jak bardzo byli zakochani, jak to, co matka niegdyś pisała o ojcu, wciąż wzruszało całą ich trójkę. Opowiedziała o walce o ciążę matki i o tym, jak żadne z ich rodziców nie chciało młodemu pomóc.

- Zdumiewające jest to, że ich odnalazłam - położyła ręce na kolanach i patrzyła mu w twarz. - To było moje marzenie, o to modliłam się każdego dnia - żeby Bóg przyprowadził ich z powrotem do mnie i do siebie nawzajem.

Łyknęła kawy.

- I zrobił jedno i drugie, o niczym więcej nie marzyłam.

Godzina upłynęła w swobodnej atmosferze, na kolejnych opowieściach. Skończyli jeść i wzięli do ust po cukierku miętowym, a Justin zapłacił rachunek.



Kiedy już wyszli, znowu wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do tego miejsca przy barierce. Słońce chowało się za horyzontem. Dochodziła dziesiąta. Nad Pacyfikiem zaczynała się letnia noc.

Różowe i pomarańczowe smugi mieszały się z ciemnymi odcieniami niebieskiego, gdy słońce pozostawiało na niebie swój ostatni ślad. Justin znów stanął obok, znów stykając się z nią ramieniem, mocniej niż przedtem. Na jego ustach błąkała się uśmiech, a w blasku zachodzącego słońca ona nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

- Czemu się uśmiechasz?

- Bo - spojrzał na nią i zaśmiał się cichym niskim głosem - myślałem akurat o Vondzie.

- O szalonej Vondzie? - Emily znów poczuła ciarki na plecach, nie wiadomo, czy od bliskości Justina, czy od wieczornego chłodu.

- Mhm. Już słyszę, co by powiedziała, gdyby stała za nami.

- Co? - odwróciła się nieco od wody, bardziej w jego stronę.

- Powiedziałyby: „Dość już tego, przyjemniaczku. Czy ja naprawdę muszę tam do was przyjść i pokazać, jak to się robi?”.

Też się obrócił i stał teraz dokładnie naprzeciwko niej. Dzieliło ich zaledwie kilkanaście centymetrów. Ton jego głosu zmienił się. Czują pomiędzy nimi pociąg, któremu nie potrafiła się oprzeć.

Przełknął ślinę i dalej naśladował szefową sekretariatu:

- Czy też zabierze się pan do roboty i pocałuje dziewczynę?

Emily całowała się już raz. Po zakończeniu roku szkolnego, z chłopakiem, w którym podkochiwała się przez prawie całą klasę. Ale tutaj, teraz, wiedziała, co się stanie, i pragnęła tego bardziej niż następnego oddechu. Przynęła się bliżej, tak blisko, że czuła zapach mięty w jego oddechu.

- Wiesz, co ja myślę?

Potarł policzkiem o jej policzek i cofnął się trochę, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

- Co takiego?

- Bardzo bym nie chciała rozczarować Vondy.

Wypowiedziała to powoli, prawie szeptem. Ruch przechodniów na chodniku bardzo już zmalął, ale nie przeszkadzałyby jej, gdyby nawet stali w tłumie ludzi.

- Mhm - przybliżył się, powoli, delikatnie i przytknął wargi do jej ust. - Ja też.

Objął ją w tali, przytulił i znów pocałował, tym razem wolniej, dłużej. Ujmująca nieporadność tego pocałunku mówiła jej jaśniej od słów, że stoją razem nad przepaścią emocji i uczuć. I że teraz potrzeba im jeszcze tylko odwagi, żeby w nią skoczyć.

Mogła tak stać całą noc, całowana przez Justina Bakera, całując jego. Ale po kilku minutach potarł jej policzek zgiętymi palcami i pocałował ją po raz ostatni.

- Powiniennem cię odwiedzić.

- Dobrze.

Zdezorientował ją ten z pozoru nagły kres bliskości. Co ona właściwie robi - stoi tu i pozwala całować się jakiemuś chłopakowi, którego właściwie nie zna? Może on naprawdę jest takim przyjemniaczkiem, jak mówi Vonda? A że zgodziła się na pocałunek, to przestała go już interesować? Bądź co bądź, było to dla niej coś zupełnie nowego, tak bardzo nowego, że nie wiedziała, co robić dalej, jak powrócić jak gdyby nigdy nic do zwyczajnej rozmowy.

Ale zanim zaczęła martwić się na dobre, ujął jej dłoń i przybliżył do swoich ust. Ucałował ją z nadzwyczajną czułością, patrząc jej w oczy.

- Czy mogę coś powiedzieć, nie wystraszę cię?

Słyszała, jak wali jej serce, czuła je nawet w kolanach.

- Proszę.

Co może jej powiedzieć? Że przeprasza? Że żałuje, że ją pocałował, bo przecież znają się tak krótko? Wstrzymała oddech.

- To takie dziwne uczucie, Emily - przyglądał jej się, tym razem obejmując jej szczupłą talię obiema rękami.

- Tak? - zastygła w oczekiwaniu.

- Jakby całe moje życie prowadziło właśnie do tego... do tej jednej chwili.

Chciała mu powiedzieć, że czuje to samo. Ale zdołała tylko oddychać i kiwnąć głową. Przez chwilę wydawało się, że pocałuje ją jeszcze raz, ale zamiast tego wsunął jej ramię pod swoje i poprowadził ją na wzgórze, do samochodu. Zaczęli rozmawiać o bliższych związkach.

- Byłem pewien, że masz chłopaka - uśmiechnął się do niej, jego oczy błyszcząły w blednym świetle. - Taka śliczna dziewczyna. I taka miła.

Roześmiała się.

- Nic dziwnego, że Vonda mówi o tobie „przyjemniaczek”.

Zrobiło się chłodniej, zaczęła drżeć z zimna.

Objął ją za ramiona i szli dalej, powtarzając słowa stare jak świat.

- Mówię poważnie. Zaprosiłbym cię już tydzień temu, ale myślałem, że na pewno kogoś masz.

- No dobra - spojrzała w górę na niego, nie za bardzo pewna, czy chce wiedzieć. - A ty? Na pewno czeka na ciebie cała chmara dziewczyn.

- A gdzie tam! - roześmiał się i potrząsnął głową. - Poszedłem do college'u w ramach programu eksperymentalnego. Skupiłem się na szkoleniu wojskowym i skończyłem college, gdy miałem 20 lat. No wiesz, ani ze mnie paker, prochów nie biorę, w kapeli nie gram, mózgowcem też nie jestem. Spotykałem się z kimś czasami, ale tak naprawdę to trzymałem się z boku.

Doszli do samochodu i Justin zawahał się.

- Bardzo chciałbym jeszcze cię nie odwozić.

- Wiem.

Czy oprze się teraz o samochód i weźmie ją w ramiona, tak jak sama tego skrycie chce? Nie, jest dżentelmenem.

Zaprowadził ją do drzwi od strony pasażera, otworzył i przytrzymał, aż wsiadła. Potem wsunął się na siedzenie kierowcy i uśmiechnął się do niej.

- Myślisz, że Vonda pozna? Kiedy jutro będziemy w pracy?

Zachichotała.

- Na pewno.

Droga do domu upłynęła zbyt szybko. Kiedy zajechali pod jej akademik, odprowadził ją aż do bramy.

- To był niesamowity wieczór.

- Mhm - sama nie była pewna, co czuje. Nagła nieśmiałość zmieszała się z tęsknotą, jakiej dotąd nie знаła. Tak bardzo chciała go jeszcze raz pocałować, ale to chyba nie był odpowiedni moment. Postawiła krok w stronę drzwi.

- Dzięki, Justin.

- Do jutra - zawahał się, potem odwrócił się i zbiegł ze schodów.

Kiedy odszedł, szybko weszła do środka, a tam, na korytarzu stały trzy dziewczyny z jej drużyny, wśród nich Pam.

- Rany, Emily, co to za przystojniak?

Obejrzała się na parking, jeep cherokee właśnie odjeżdżał.

- Justin - znowu popatrzyła na Pam. - Justin Baker. Żołnierz z Fort Lewis.

- Pierwsza klasa - gwizdnęła Pam.

- Pierwsza klasa? - jedna z dziewczyn przysłoniła oczy dłonią i patrzyła na nikiące światła samochodu. - Najbardziej ekstra facet, jakiego widziałam w okolicy przez całe lato. Emily - złapała ją za ramię - błagam, powiedz, że ma brata!

- Nie ma - roześmiała się i wymknęła im się. Nie miała ochoty stać na korytarzu i plotkować z koleżankami. Chciała iść do siebie, umyć się, wejść do łóżka i tam od nowa przypominać sobie każdą chwilę ostatnich sześciu godzin. Póki jeszcze czuje jego oddech na skórze, jego pocałunek na wargach.

Wspomnienia były niezwykle żywe, była całkowicie pewna, co będzie jej się śniło tej nocy.

Uśmiechnęła się na jedną myśl, ostatnią przed zaśnięciem. Vonda nie ma racji. Miłość w młodości to nie strata czasu. Miłość znalazła ją, kiedy się najmniej tego spodziewała. I dokądkolwiek miał zaprowadzić ją związek z Justinem, miała przeświadczenie, że będzie to magiczna podróż.

I że bez względu na jej długość oboje będą się delectować każdą minutą.

## *Rozdział 6*

Shane wyczuwał napięcie między sobą a Lauren na długo przedtem, zanim oboje zajęli swoje miejsca w samolocie. Była cichsza niż zwykle. Co jakiś czas spostrzegał, jak przytyka palce do oczu, być może próbując powstrzymać łzy.

Wyglądał przez okno w chwili startu samolotu. Dlaczego tak się od siebie oddalili? On nadal ją kocha, nadal pragnie dzielić z nią życie. Nigdy do nikogo nie będzie żywił takich uczuć jak do niej. Przeżył bez niej prawie całe życie i teraz już to wiedział. Był tego tak samo pewien, jak był pewien, jak się nazywa i jaką ma rangę wojskową.

Nie wspominała nic o ucieczce z Fallon, ale miał wrażenie, że o tym myśli. Dwukrotnie w ostatnich tygodniach napomykała o e-mailach od naczelnego, zaproszeniach - nawet nie zaproszeniach, ale po prostu błaganiach - żeby wróciła na Środkowy Wschód.

- A ty tego chcesz? - spytał ją wczoraj, kiedy znów wspomniała o e-mailach.

- Nie - podeszła do niego, objęła go za szyję i oparła głowę na jego piersi.  
- Ja chcę ciebie, Shane. Zawsze chciałam tylko ciebie.

Więc dlaczego różnice zdań między nimi z rozmowy na rozmowę zdawały się rosnąć? Chciał rozmawiać o miejscu na wesele, o podróży poślubnej - ale rozmowa zawsze zbacała w innym kierunku.

- Ale czy nie czułbyś się głupio - powiedziała mu ostatnio, kiedy wspomniał o miesiącu miodowym - na jakiejś luksusowej plaży, wiedząc, że w Afganistanie ludzie ledwie egzystują?

- No dobrze - złapał ją za ramiona i spojrzał w oczy. - Czy jeśli zostaniemy w domu, to ludziom w Afganistanie to pomoże?

Potrząsnęła głową i odwróciła się, bardziej wyprowadzona z równowagi, niż to wydawało się uzasadnione.

- Shane, ty mnie nie rozumiesz. Nie chodzi mi o to, że nie możemy jechać, tylko o to, że jest mi smutno, kiedy myślę o tamtych ludziach - zwiesiła głowę, a jej głos zdawał się dobiegać z odległości miliona mil. - Przepraszam. Chyba strasznie nudzę.

Całą końcówkę czerwca i cały lipiec była w rozjazdach, zbierając materiały do tego czy innego tekstu. Kiedy rozmawiali - twarzą w twarz albo telefonicznie - omawiali zbliżający się wyjazd do Emily. Mieli zobaczyć jej nową szkołę, akademik - i jej nowego chłopaka, Justina Bakera.

Shane liczył na to, że ta podróż pomoże im przypomnieć sobie, dlaczego tak naprawdę są razem. No i proszę, teraz są tu razem, Lauren siedzi obok, ale wydaje się tak odległa, że równie dobrze mogłaby być w Afganistanie.

Wpatrywał się w miasto położone w dole i widział, jak robi się coraz mniejsze, gdy samolot wspina się na swą właściwą wysokość.

*Wziął głęboki oddech. Boże, czuję, że tu jesteś. Tak blisko, że mógłbym wyciągnąć rękę i nieomal Cię dotknąć. Tylko co z Lauren? Szczypały go oczy, w gardle ścisnęło. Ojciec, szukałem jej całe życie - i w końcu jest obok mnie. Ale jej serce jest na drugim końcu świata. Boże, co mam zrobić? Jak rozbudzić w niej dawne uczucia? Uczucia z minionej zimy, kiedy pojechała za mną aż do Fallon?*

*Pamiętaj, synu, miłość nigdy nie ustaje. Nigdy.*

Ta odpowiedź dźwięczała w jego sercu, zdawała się dochodzić skądś z tyłu. Wiedział, że nie ma sensu się odwracać i sprawdzać. Ale ilekroć odpowiedzi od Boga były tak jasne, zawsze przepełniały go uczuciem bojaźni. Bóg, Stwórca wszechświata, interesuje się nim na tyle, by słuchać jego prostych modlitw. Ta odpowiedź wywarła na nim szczególnie silne wrażenie, ponieważ pochodziła z Pisma Świętego. Z 13 rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian.

Miłość nie kończy się nigdy.

Odetchnął i rozluźnił mięśnie twarzy. Potem obrócił głowę i nachylił się do niej.

- Cześć.

Czytała jakiś magazyn. Bez zastanowienia wsunęła go z powrotem w kieszeń w oparciu fotela przed sobą i obróciła się, tak żeby patrzeć prosto na niego.

- Cześć.

Ujął w dłoń jej twarz z boku i wplotł palce we włosy. Spotkali się wzrokiem i od niepewności, jaką ujrzął w jej oczach, serce zabiło go jeszcze bardziej.

- Lauren, nie odchodź ode mnie. Proszę.  
- Shane... - położyła dłoń na jego dłoni. - Dlaczego tak mówisz?  
- Bo - przełknął ślinę, wpatrując się w jej oczy i desperacko pragnąc dostrzec tam miłość i pewność, za którymi tęsknił. - Czuję, jak się odsuwasz - jego szept był niewiele głośniejszy niż szum silników odrzutowca. - Codziennie kawalek dalej.

Jej oczy napełniły się łzami, a podbródek zadrżał. Przez chwilę nic nie mówiła, a potem zdołała wydusić te słowa:

- Nie chcę odchodzić.  
- No to dobrze - czuł, że sam też ma łzy w oczach. - Zostań. Proszę cię, Lauren, zostań.

Niepokonane przeszkody malowały się aż nadto wyraźnie w jej oczach, w jej wyrazie twarzy.

- Potrzebny nam jakiś pomost. Tylko że... - przełknęła ślinę i dwie łzy stoczyły się po jej policzkach. - Tylko że nie jestem pewna, czy istnieje taki wielki pomost.

- Miłość jest tym pomostem, Lauren - przesunął koniuszkami palców wzdłuż jej twarzy. - Nigdy nikogo nie będę kochał tak jak ciebie.

Skinęła głową.

- T a k .

Jej odpowiedź znaczyła dla niego tylko tyle: nie mogą rozmawiać o wieczności, roztrząsać spraw tutaj, w otoczeniu innych pasażerów. Przybliżyła się do niego i lekko przytknęła wargi do jego ust.

- Ja też kocham cię tak samo.

Przez resztę niedługiego lotu już nie rozmawiali. Ta rozmowa odsunęła zasłony i odsłoniła rzecz przerażającą, ponurą i straszną nie do pojęcia. Zbyt przytłaczającą, by choćby tylko myśleć o niej. Później, kiedy już spotkają się z Emily, wrócą do tej rozmowy. Ponieważ to coś, co psuje wszystko między nimi, co wznosi między nimi tę barierę, nie odejdzie samo.

Na pół godziny przed lądowaniem Lauren oparła głowę na jego ramieniu i usnęła. Rozkoszował się dotykiem jej ciała, napawał się jej bliskością, wolną od gniewnie wygłaszanych opinii, od jego zdesperowanych retort. Pogładził jej włosy. Kiedy przyszedł czas na zejście z pokładu, zbudziła się i uśmiechnęła do niego.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Emily.

- Ja też.

Tak oto zawarli milczący układ, że rozmowę o sobie odłożą na później. Przynajmniej na ten czas. Wynajęli samochód i pojechali prosto na uniwersytet. Niebo było niebieskie, temperatura musiała sięgać 30 stopni Celsjusza. Emily wspominała, że pogoda w Tacomie jest wspaniała.

- Pogoda czy twój towarzysz? - droczył się z nią Shane podczas ostatniej rozmowy.

- No - głos Emiliy brzmiał cudownie, pełen życia, miłości, nadziei - powiedzmy, że mogłoby codziennie padać, a i tak nie zwrócilibyśmy na to uwagi.

Podczas jazdy z lotniska na PLU Shane myślał o tym, jak dziwnie układa się życie. Podczas wojny w Zatoce Gary Baker należał do jego najbliższych przyjaciół. Służyli w zupełnie innych rodzajach wojsk, ale spotykali się podczas planowania i przy strategicznych zadaniach podczas operacji połączonych.

Po zakończeniu służby w Zatoce pozostali przyjaciółmi. Z biegiem lat częstotliwość wzajemnych wizyt i rozmów spadała, ale nie miało to większego znaczenia. Łączyła ich tego rodzaju przyjaźń, która dobrze znosi próbę czasu.

Kiedy Emiliy postanowiła przyjąć stypendium w PLU i kiedy poprosiła Shane'a o pomoc w załatwieniu pracy w Fort Lewis, przypomniał sobie. To właśnie tam służył Gary przed emeryturą. Teraz mieszkał półtorej godziny jazdy na południe, w miejscowości o nazwie Kelso, tam gdzie sam się wychował i gdzie wraz ze swą żoną Carol wychowali dwójkę swoich dzieci. Mimo to mógł wiedzieć, z kim najlepiej porozmawiać w bazie. Jeszcze tego samego popołudnia zadzwonił do starego przyjaciela.

- Nie mogłeś trafić lepiej - powiedział mu Gary. - Akurat szukają kogoś na czas określony. Mój chłopak pracuje w tym biurze parę dni w tygodniu. Więc dobrze wiem, z kim powinieneś pogadać.

I w ciągu kilku dni Emiliy miała zaklepaną pracę. Ale Shane nigdy, ani razu nie pomyślał, że syn Gary'ego będzie pracował razem z Emilią. Dopiero kiedy zadzwoniła pod koniec czerwca, całkiem rozkojarzona. Takiej jeszcze jej nie znał.

- To skąd to wiadomo, tato? Czy to jest miłość, czy nie?

- No cóż - miał mieszane uczucia, słysząc to pytanie. Przez długie lata cierpiał, nie mogąc uczestniczyć w jej życiu, nie wiedząc, gdzie jest i czy w ogóle jest. A teraz, kiedy już ona go odnalazła, dziwnie się czuł, słysząc, że jest tak podekscytowana jakimś tam chłopakiem. Było mu dziwnie - dzielić się z kimś swoją małą dziewczynką. Chrząknął i próbował nadać głosowi rodzicielski ton. - Po pierwsze, zazwyczaj nie dowiadujesz się tego w ciągu zaledwie trzech tygodni.

- No nie wiem - mówiła rozmarzonym głosem. - Wychodzimy razem prawie co wieczór. Nam zabrało to chyba niecałe trzy godziny.

Pod koniec rozmowy, tak żeby jeszcze cokolwiek powiedzieć, Shane zapytał ją o nazwisko chłopca. Wtedy Emiliy roześmiała się.

- Ależ ty je znasz, tato. Nie chciałam ci mówić, dopóki nie spotkasz go osobiście, ale właściwie dlaczego by nie? Nazywa się Justin Baker.

- Co? - Shane o mało nie spadł z krzesła. Gary i Carol kilka razy przysyłałi mu zdjęcia Justina. Przystojny chłopak, ale przecież to jeszcze dzieciak. O wiele za młody, żeby mówić o miłości do jego maleńkiej. - Przecież on chyba jest jeszcze w liceum.

Emiliy znowu się roześmiała.

- Nie. Ojciec Justina mówi to samo. Myślał, że mam 17 lat.

- Rzeczywiście. Bo 19 lat to już wielka dorosłość.  
- Mam prawie 20 - urwała. - Ty i mama byliście gotowi się pobrać, kiedy byliście dużo młodszy.

Pobrać się? Serce Shane'a zamarło na moment. Co to ma oznaczać? Czyżby Emily poznała chłopaka i tak się nim zauroczyła, że mowa już o małżeństwie?

- Pobrać się? Czy ty mi chcesz coś powiedzieć, Emily?

Roześmiała się.

- Tato, jasne, że nie. Chcę tylko powiedzieć... że Justin ma 22 lata. Skończył college, jak miał 20.

- No cóż, po synu kogoś takiego jak Gary Baker nie spodziewałbym się czego innego.

- Świetnie - lekko zaklaskała w dłonie, ten dźwięk rozległ się na łączach.  
- Jego rodzice przyjeżdżają na turniej, więc będziecie mieli z mamą okazję pobyc trochę z nimi.

Od tamtego momentu tygodnie biegły jak na skrzydłach. No i teraz on i Lauren są w drodze na pierwszy mecz turnieju.

Ledwie zdążyli zameldować się w hotelu po drodze na boisko. Kiedy dojechali na miejsce, Shane spostrzegł, że trybuny już zapełniły się ludźmi.

- A jeśli im się nie spodobam? - Lauren trzymała go za rękę, ale ociągała się, idąc krok za nim. - I jak to się dzieje, że całe nasze życie kręci się wokół baz wojskowych?

Shane uśmiechnął się do niej.

- Ćwicz, Lauren - połąskotał kąciki jej ust. - Będziesz się podobać o wiele bardziej, jeśli będziesz się uśmiechać.

- Przepraszam - przepraszała szczerze, ale czuł jej opór. Podeszli bliżej i Lauren przystanęła jakieś 20 metrów przed trybunami. - Chciałabym znaleźć Emily - przysłoniła oczy dłonią. - Czekaj... jest! Numer siedem!

Nagle Shane uświadomił sobie, na co patrzy. Ich córka przez całe życie kopała piłkę. Mecz za meczem, trening za treningiem, a na trybunach kibicowali jej dziadkowie. Nie rodzice. Dopiero dziś. Dopiero po raz pierwszy on i Lauren razem robią to, co powinni byli zrobić przez całe jej życie.

Patrz, jak gra w piłkę.

Shane włożył ramię Lauren pod swoje.

- Patrz!

I patrzyli, jak ich córka przemyka między dwiema obrończyniami, prowadząc piłkę tak, jakby przywiązała ją sobie do kostki. I nagle, w najbardziej odpowiednim momencie, podała ją na drugą stronę boiska do koleżanki biegnącej na bramkę.

Obrończyni biegnąca przed koleżanką Emily nie zdążyła się nawet zorientować i zanim dziewczyna w bramce zareagowała, koleżanka Emily oddała jej piłkę i Emily kopnęła ją prosto do bramki. Cała drużyna podniosła ręce w górę, skacząc i biegnąc do Emily.



Po ramionach Shane'a przeszedł dreszcz.

- Jest niesamowita.

- To prawda.

Lauren miała jeszcze coś dodać, gdy kątem oka zwróciła uwagę na podchodzące do nich osoby. Spojrzała w bok i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

Shane podążył za jej wzrokiem i spostrzegł swojego przyjaciela Gary'ego Bakera. Tuż koło niego szedł postawny chłopak, o 10 centymetrów wyższy niż Gary. Z pewnością Justin.

- No nie, oczom nie wierzę! - Shane zrobił kilka dużych kroków i objął Gary'ego w ogromnym uścisku. - Tyle się nie widzieliśmy, stary. O wiele za długo.

Stanęli osobno i Gary wskazała na boisko.

- Niezła ta twoja mała.

- Dzięki - Shane uśmiechał się w stronę Emily, ciągle obejmowanej przez koleżanki z drużyny. Potem spojrzał na wysokiego żołnierza obok Gary'ego.

- A ten młody człowiek? Tylko nie mów mi, że to twój mały Justin tak urósł - Shane poczuł, że Lauren podchodzi do niego z boku. Objął ją ramieniem.

- Jestem kapitan Shane Galanter. Kumpel twojego taty.

- Sir - zaszalutował Justin. - Porucznik Justin Baker, sir.

- Spocznij, poruczniku. Mnie ciekawi to, kiedy zdążyłeś przerosnąć ojca. Justin roześmiał się.

- On się mnie ciągle pyta o to samo.

Na boisku znowu zaczęła toczyć się gra. Lauren wyciągnęła rękę najpierw do Justina, potem do Gary'ego.

- Jestem Lauren, mama Emily.

- Bardzo mi miło, proszę pani - Justin był ubrany jak na co dzień: spodnie moro i koszula. Maniery miał nienaganne.

Gary uśmiechnął się do Lauren.

- Chodź, poznasz Carol. Myślę, że się polubicie.

Poszli na trybuny, a po 10 minutach Carol i Lauren rozmawiały o potrzebach krajów Trzeciego Świata, przedsięwzięciach humanitarnych i działaniach organizacji chrześcijańskich starających się powstrzymać epidemię AIDS.

Shane nachylił się do przyjaciela.

- Czy ty jej kazałeś o tym rozmawiać?

- Komu kazałem? Carol? - Gary spojrzał na obydwie kobiety. - Skąd, ona się zawsze tym interesowała. Mówi, że za jakiś czas pojedziemy na rok do Afryki, na misje.

Shane poczuł, jak napięcie w jego duszy topnieje. Lauren znalazła bratnią duszę, czego żadne z nich się nie spodziewało. Miał już pytać Gary'ego, jak mu się żyje w Kelso, gdy nagle mecz przerwano. Zawodniczka drużyny przeciwnej leżała na trawie, od razu otoczyła ją grupa trenerów.

- Pogotowie! - krzyknął któryś z nich. - Niech ktoś wezwie pogotowie!

Shane chwycił swoją komórkę i wystukał 911. Nie był pewien, na ile groźna jest sytuacja, mimo to spokojnym głosem przekazał dyżurnemu, że zawodniczka leży na ziemi i uległa poważnej kontuzji na boisku PLU.

- Nie znam dokładnego adresu.

- Nic nie szkodzi, proszę pana. Pana telefon ma GPS.

Shane odetchnął z ulgą. I ledwie się spostrzegł, a Justin zbiegł w dół trybun i znalazł się na boisku.

- Ma przygotowanie medyczne - Gary wstał, mrużąc oczy i próbując dostrzec, co dzieje się na dole.

Shane skończył rozmowę i patrzył, jak radzi sobie ten młody człowiek. Najwyraźniej musiał się wylegitymować, bo trenerzy rozstapili się. Nawet z miejsca, gdzie stali, było widać, że zawodniczka ma rozciętą łydkę. Widocznie ktoś ją kopnął i klin buta tej zawodniczki wbił się w jej nogę.

Justin nie wahał się ani chwili. Zdjął koszulę i przycisnął ją do rany. Potem unióśł nogę dziewczyny i oparł jej stopę o swój bark. Nie przestawał do niej mówić, a jednocześnie wciąż uciskał zranioną nogę, aż przyjechało pogotowie.

Kiedy noga została owinięta w sterylne bandażę, Justin zabrał zakrwawioną koszulę i wrócił na trybuny. Wszyscy widzowie zgotowali mu aplauz. Kiedy rozejrzał się wokoło, spostrzegł Lauren. Lekko otworzyła usta, a w jej oczach malował się podziw dla młodego człowieka.

- To wyglądało poważnie...

- Tak było. Rana jest dość głęboka, na pewno zahaczyła o tętnicę.

- Tak sobie myślę - Lauren dotknęła jego ramienia - czy ty jej czasem nie uratowałeś życia.

Wzruszył ramionami i spuścił zwiniętą koszulę pod nogi.

- Ich trener był, jak się zdaje, w szatni, pomagał innej zawodniczce, która już wcześniej została kontuzjowana. Wiedziałem, co robić - uśmiechał się bez troski. - Każdy by to zrobił.

Shane popatrzył na Gary'ego, a w tym spojrzeniu był podziw dla jego syna. Po zakończonym meczu, wygranym przez PLU 4:1, podszedł do nich jeden z trenerów przeciwnej drużyny i podziękował Justinowi.

- Dziękuję za to, co zrobiłeś. Traciła bardzo dużo krwi - wyglądał tak, jakby było mu słabo na samą myśl. - Chyba nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że to taka poważna sprawa, uszkodzona tętnica.

Justin znów zbył te pochwały. Uścisnął dłoń trenera, ale jego wzrok wędrował już po boisku. Shane podażył za jego spojrzeniem i dostrzegł Emily, biegnącą przez boisko w ich stronę. Justin wybiegł jej naprzeciw i przez długą chwilę stali tak, obejmując się.

Shane nie wiedział, na czym skupić uwagę. Na tym, jak Justin Baker patrzy na jego córkę, na pięknie uczucia, jakie niewątpliwie ich łączy, czy na Lau-

ren. Gary i Carol już schodzili z trybun w stronę Emily i Justina, ale Lauren wciąż siedziała na ławce, spoglądając w dół z tego najwyższego położonego miejsca.

- Jest... taki pełen współczucia - nawet nie mrugnęła okiem, nie spuszczała wzroku z miejsca, gdzie dwójka młodych ludzi rozmawiała i śmiała się. - Czy ty to widziałeś, Shane? - w końcu popatrzyła na niego. - Widziałeś, jak on zareagował?

Nie wiedział, o co właściwie jej chodzi, ale pragnął to zrozumieć.

- Jak inaczej miał zareagować? - przeniósł wzrok z niej na Justina, i z powrotem. - Lauren, on ma za sobą zawodowe szkolenie medyczne.

- Ale... - przygryzła wargi, a uczucia wezbrały łzami w jej oczach. - Ty jesteś podobny, Shane. Tylko że ja ciebie znam. Żołnierze - ci żołnierze, o których dotąd pisałam - bardziej interesują się odbieraniem życia niż jego ratowaniem.

Shane nie wierzył własnym uszom. Czy ona naprawdę tak myśli? Że on i jego koledzy to wyszkolone automaty do zabijania?

- Lauren, to straszne, co mówisz.

Ledwie zdążył wypowiedzieć jej imię, gdy wyraz jej twarzy zmienił się nagle. Przesłoniła usta dłonią i potrząsnęła głową.

- Posłuchaj. Jak ja mogłam w ten sposób myśleć! Ja... ja mam wrażenie, że po raz pierwszy słyszę, co sama mówię.

Znowu popatrzyła na Justina.

- Mam wrażenie, że ten młody człowiek to pierwszy żołnierz, jakiego tak naprawdę zobaczyłam samodzielnie. Bez tych kłapek wynikających z przyzwyczajenia, z moich doświadczeń.

Nie wiedział, co powiedzieć. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, że Lauren ma w głębi serca tak karykaturalny obraz żołnierzy. Ale powiedzieć jej o tym to dobijać rannego. Zwłaszcza że sama jest tym zaszokowana i ewidentnie zła na samą siebie.

Nie wiedział, co dzieje się w jej sercu, mimo to był pewien, że Bóg posłużył się tym niezwykłym chłopakiem, aby choć trochę otworzyć Lauren oczy. Wziął ją za rękę.

- Chodź. Pogratulujmy naszej córce.

- T a k .

Kiedy zeszli na sam dół, Lauren obróciła się i popatrzyła na niego. Nigdy dotąd nie patrzyła na niego z taką powagą.

- Przepraszam, Shane. Jak mogłam tak myśleć.

- Już dobrze - ucałował ją czule. - Chodź. Emily nas potrzebuje.

Dołączyli do pozostałych akurat w chwili, gdy Emily skubała biały T- shirt Justina.

- Dobrze, że miałeś jeszcze to na sobie - stanęła na palcach i ucałowała go w policzek. - Bo inaczej drużyna byłaby zanadto rozkojarzona, żeby grać dalej.

Shane uśmiechnął się, rozkoszując się dotykiem dłoni Lauren. Gawędzili beztrudnie, gratulując Emily jej gry i gola i słuchając, jak opowiada o losie kontuzjowanej zawodniczki.

- Pod koniec meczu poinformowano pozostałych trenerów. Straciła masę krwi, ale już pozakładano szwy. Za parę tygodni dojdzie do siebie. Ale powiedzcie - rozłożyła ramiona i uniosła brwi w górę - kto to widział, żeby podczas meczu dochodziło do uszkodzenia tętnicy! Całe szczęście, że jest w niezłym stanie.

Carol Baker objęła Justina ramieniem.

- A to dzięki refleksowi Justina.

- Mhm - Emily uśmiechnęła się do niego szeroko. - Mój bohater!

- I zapamiętaj to sobie - Justin roześmiał się i obrzucił wzrokiem całą grupkę. - Następnym mecz za parę godzin. Chodźmy na lunch.

Shane był zachwycony panującą między nimi atmosferą - tym, jak naturalnie przebiegło to spotkanie po latach ze starym przyjacielem, jak Carol i Lauren znalazły wspólny język. A teraz, kiedy widział ich razem, mógł być jedynie podniekscytowany szczęściem Emily. Justin był właśnie takim młodym człowiekiem, o jakim mógłby marzyć dla swojej córki. A na dodatek ów żołnierz był synem jego przyjaciela!

Nic jednak nie mogło się równać z tym, co ujrzał w oczach Lauren tam, na szczycie trybun. Ona zawsze była taka nieugięta, jak niezdojta twierdza, odmawiając racji bytu wszystkim poglądom poza swoim własnym. Była całkowicie przekonana, że zna prawdę o sprawach związanych z polityką czy z wojną, i najwidoczniej również prawdę o żołnierzach. Dziś jednak w tym murze pojawiła się szczelina.

Mógł tylko modlić się, żeby był to zaledwie początek i żeby pewnego dnia, jak najszybciej, ta pełna pasji Lauren, którą niegdyś znał i kochał, znalazła drogę z powrotem zza tego muru. Tak czy inaczej tego dnia zyskał coś, o czym przez ostatnie miesiące zdążył już zapomnieć. Zyskał nadzieję.

Na razie to musiało mu wystarczyć.

## *Rozdział 7*

W sercu Lauren coś się zmieniało. Choć nie miała ochoty zastanawiać się nad tym, przeraziła ją myśl, która dotarła do niej owego ranka. Że pielęgnuje w sobie nieprzychylnie uczucia względem wszystkich żołnierzy. Taka postawa jest niewybaczalna.

Ale czego można się było spodziewać po takim przeżyciu? Czy ta zmiana w sercu będzie postępować dalej, sięgać najdalszych krańców jej przekonań? Tego już nie była pewna.

Do chwili, aż rozmowa przy lunchu zesłała na wojnę.

Na boisku Carol wydawała się cudowną, rozsądną osobą. Ale teraz... Płomiennie broniła zaangażowania Ameryki w zakończenie misji w Iraku.

- Ludzie nie rozumieją, ile dobrego robią tam nasze wojska - powiedła wzrokiem od swojego męża przez Shane'a aż do Lauren. - Dzisiejszy Irak to całkiem inne miejsce. Lepsze, właśnie dzięki poświęceniu naszych żołnierzy.

Lauren nieomal wbrew sobie poczuła, jak włączają się jej mechanizmy obronne. Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, spuszczać wzrok na zalaminowany jadłospis. „Co z tobą, Lauren? To po prostu rozmowa, daj spokój”. Zaciśnęła zęby, próbując myśleć o czymś innym. O tablicach rejestracyjnych wiszących na ścianie. Chyba może się na nich skupić? Studiowała je pilnie, zmuszając się do ignorowania tematów poruszanych przy stole. Piętnaście sekund, dwadzieścia - i możliwości tablic rejestracyjnych wyczerpały się. Zaczęła więc ukła-

dać w myślach listę wywiadów, jakie musi przeprowadzić do swojego następnego tekstu dla „Time'a”. Nie pomogło. Rozmowa ciągnęła ją niczym siła grawitacji, aż w końcu Lauren nie mogła wytrzymać już ani minuty dłużej.

Carol wciąż rozpływała się nad dobrodziejstwami, jakich Irakijczycy doświadcniają dzięki wojnie.

Lauren wyprostowała się na krześle i z wymuszonym uśmiechem rzuciła:

- Ale przecież kiedy tylko amerykańskie wojska się wycofają, rebelianci znowu przejmą władzę. Więc po co to wszystko?

Ugryzła się w język - ale było już za późno. Te słowa wyrwały jej się, zanim zdążyła je przepuścić przez filtr w swojej głowie, filtr, który miał jej pomóc zachowywać się bardziej kulturalnie.

Shane rzucił jej spojrzenie z naprzeciwka. Spuściła z tonu i uśmiechnęła się:

- Chciałam powiedzieć - ile jeszcze czasu trzeba temu poświęcić?

- Dwie rzeczy świadczą o tym, że wygrywamy tę wojnę - Justin łyknął piwa korzennego i odstawił szklanekę. - Po pierwsze, obywatele amerykańscy są bezpieczni na swojej własnej ziemi. A po drugie, budujemy w Iraku infrastrukturę wolności - poprzez handel i sposób rządzenia, jakie dotąd były nieznanne na Środkowym Wschodzie.

Lauren skinęła głową i poświęciła całą uwagę swojej wodzie z lodem. Dlaczego nie może być podobna do nich? I jak to możliwe, że ten młody człowiek naprzeciwko niej w jednej chwili jest tak współczujący, by za moment rozprawiać z zapalem o czymś, co sprowadza się do zabijania? W takich chwilach czuła się jak ryba miotająca się na suchej ziemi, oszalała z pragnienia za jakimś miejscem, które byłoby dla niej odpowiednie.

Przez resztę lunchu mówiła niewiele. Dopiero w samochodzie, gdy wracali na boisko, spojrzała na Shane'a i zachmurzyła się.

- Przepraszam. Znowu.

- Co tam - uśmiechnął się do niej, ale w jego oczach było przygnębienie. - Sądziłem, że może dzisiaj... Kiedy widziałem, jak zareagowałaś na ten wyczyn Justina... - urwał. - Nie wiem. Chyba pomyślałem, że może i na inne rzeczy popatrzysz inaczej.

- Też się nad tym zastanawiałam;

Gdyby tylko mogła cofnąć swoje uwagi rzucone podczas lunchu, zrobiłaby to. Albo wypowiedziałaby je ostrożniej. Ale to by nie zmieniło jej przekonań.

- Przez resztę pobytu będę się naprawdę bardzo starać, dobrze?

Shane westchnął. Mięśnie jego policzków chodziły pod skórą.

- No właśnie. Lauren, ja nie chcę, żebyś ty musiała się starać - popatrzył na nią. - Nie rozumiesz tego?

Rozumiała - i nic do tego nie mogła dodać. Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. Bo jak długo był obok niej, jak długo splatały się ich ręce, miała dowód, że nadal są razem.

Nawet jeśli pożegnanie wydawało się bliższe z każdym kolejnym dniem.

\*

Z rodzicami coś było nie tak.

Emily pożegnała się z Justinem wcześniej niż zwykle i stała przy oknie w swoim pokoju ze łzami w oczach. *Boże... coś im się nie układa. Czuję to. Powiedz, co mam robić.*

Przycisnęła czoło do chłodnej szyby i przypomniała sobie rozmowę w pizzerii. Poglądy polityczne rodziców wciąż ich dzieliły. To było idiotyczne, mieli to już dawno między sobą rozstrzygnąć. Na szybie zrobiło się kółko z pary, wytarła je pięścią.

Mama powinna bardziej uważać na to, co mówi, to nie ulega wątpliwości. Ale tata też. Te spojrzenia, które jej rzucał, na pewno ją bolały. Emily odwróciła się od okna i opadła na łóżko. Pam nie było, pewnie uczyła się z koleżankami parę mieszkań dalej. Samotność była jej potrzebna, musiała się zastanowić.

Jeśli rodzice nie zaczną próbować trochę lepiej zrozumieć siebie nawzajem, może dojść do tragedii. Oparła plecy o łóżko i patrzyła w sufit. Przez cały czas... przez cały czas myślała, że wszystko jest w porządku, że ustalili sobie, że nie będą zgodni w sprawie wojny, i że znaleźli jakiś pokojowy sposób obchodzenia się ze swoimi różnicami zdań.

Ale jeśli dzisiejszy dzień miał stanowić jakąś wskazówkę, to stosunki wcale nie układały się dobrze. Kiedy wychodzili z pizzerii, wręcz czuła napięcie między nimi. Odetchnęła powoli, boleśnie. *Boże, oni nie mogą się teraz rozejść. Przecież już planowali ślub. Boże, błagam... zrób wszystko, co tylko trzeba, żeby pomóc im poradzić sobie z tymi różnicami.*

Ta wojna była skomplikowanym zagadnieniem. Emily wprawdzie pracowała w bazie wojskowej i rozumiała stanowisko ojca, ale rozumiała też matkę. Matka na własne oczy oglądała straszną wojenną rzeczywistość. To jasne, że nienawidziła wojny. Każdy, kto przeszedłby przez to co ona, zniechęciłby wojnę.

Usiadła i oparła głowę na kolanach. Była cała obolała po meczach minionego dnia, a jutro czekały ją kolejne. Musiała się wyspać, żeby zregenerować siły. Ale kiedy umyła się i weszła do łóżka, jeszcze przez pół godziny nie mogła zasnąć. A gdy już zasnęła, jej serce i umysł wypełniły obrazy rodziców.

I mocne przekonanie, że Bóg w jakiś sposób zasypie przepaść między nimi.

\*

Przez następne trzy dni Lauren dzieliła czas między kibicowanie Emily - której drużyna zakwalifikowała się do finałów - i przypatrywanie się Shane'owi i jego przyjacielom. Gary i Carol należeli do najsympatyczniejszych osób,

jakie miała okazję poznać. Byli o wiele przyjemniejsi niż każdy, z kim zetknęła się w Fallon.

Mimo to ich poglądy i jej poglądy były jak niebo a ziemia.

Wieczorem przed meczem finałowym Emily odciągnęła Lauren na bok na boisku i wpatrzyła jej się w oczy.

- Czy wszystko w porządku? Między tobą a tatą?

Minęło kilka sekund, zanim Lauren odzyskała dech.

- Między nami? - zrobiła głupią minę. - Ależ oczywiście, skarbie.

W oczach Emily pozostały wątpliwości.

- Obserwowałam was. Jest inaczej niż w domu u babci i dziadzia. Coś... nie wiem, coś jest inaczej.

Lauren myślała przez chwilę i w końcu podjęła decyzję. Musi choć w jakiejś mierze być uczciwa względem córki. W przeciwnym razie gdyby sprawy nie ułożyły się, dziewczyna poczuje się oszukana. Wzięła Emily za rękę i zajrzała w zamknięte zakamarki jej duszy.

- Między tatą a mną jest wiele różnic. Rzeczy, nad którymi wciąż pracujemy.

W mieszaninę uczuć na twarzy Emily zakradł się jeszcze i strach.

- Ale go kochasz, tak?

- Oczywiście - gładziła kciukami grzbiety dłoni córki. Jej ton się zmienił.

- Ale potrzebne jest coś jeszcze poza miłością, Em. Czasami potrzebna jest wspólnota poglądów... - zawahała się i poczuła w kącikach oczu znajome szczypanie łez. - Tata i ja ciągle nad tym pracujemy.

- No to... jak mogę się za was modlić?

Oczywiście Emily nie mogła powiedzieć nic innego. Przez całe życie modliła się o to, żeby ich znaleźć i żeby kiedy już ich znajdzie, oni odnaleźli dawną wzajemną miłość.

- Spotkanie Justina, poznanie go trochę pomogło - uśmiechnęła się smutno do córki. - Módl się po prostu, żeby Bóg dał nam jakiś pomost, jakiś sposób na wzajemne zrozumienie.

Emily przyglądała się jej.

- Mamo, ale ty rozumiesz, prawda? Że nikt z nas nie chce tej wojny?

- Ciągle to słyszę - nie chciała wdawać się w dyskusję z córką w parę minut po zakończeniu meczu.

- Bo tak jest. Nie chcemy wojny - przycisnęła dłoń do serca. - Chcemy mieć bezpieczny kraj i chcemy, żeby Irakijczycy byli wolni. Jeśli do tego trzeba stoczyć wojnę, to będziemy się bić, aż wygramy - urwała, pewna siebie. - Nie widzisz, że to ma sens?

Lauren najchętniej ukryłaby się przed nimi wszystkimi w mysiej dziurze. Przed Shane'em, przed Bakerami, nawet przed Emily. Dlaczego jest tak inna niż oni? Dlaczego oni nie widzą, że walka niczego nie rozwiąże? Bezpieczniejsza Ameryka? To można osiągnąć przez rozmowy i układy pokojowe. Czy nie tego



zawsze uczą rodzice swoje dzieci? Żeby rozstrzygać problemy za pomocą rozmów, żeby nie brać się do bitki? Więc czemu ludzie, na których zależy jej najbardziej na świecie, nie mogą spojrzeć na sytuację z tego punktu widzenia? I dlaczego ona nie może spojrzeć na nią tak jak oni?

Emily czekała, więc Lauren przytuliła ją mocno, gładząc po plecach.

- Wiesz, co ma sens?

- Co? - w głosie Emily była taka żarliwość! Odsunęła się odrobinę, najwyraźniej wciąż spragniona odpowiedzi.

- To, że PLU dał ci stypendium piłkarskie - Lauren uchwyciła się optymistycznego tonu, do którego bardziej przywykła, który bardziej pasował do rozmów z Emily. - Jesteś cudowna, skarbie! Smutek mnie ogarnia na myśl, ilu twoich meczów nie oglądałam.

Wyraz twarzy Emily zmieniał się powolutku, aż stało się jasne, że świadomie podjęła decyzję zarzucenia tematu. Na miejscu zmartwionej miny pojawił się uśmiech, a oczy zaczęły błyszczeć radośnie.

- Nieważne, ilu nie oglądałaś. Ważne, że teraz jesteś.

- A jutro finał?

- Zgadza się - Emily pochyliła się i długą chwilę trzymała matkę w objęciach. - Wszystko się ułoży, mamó?

Proste słowa jej córki były jak sztylety kłujące powierzchnię jej serca i wypuszczające na zewnątrz ból, który nie miał granic.

- Mam taką nadzieję, maleńka. Naprawdę mam nadzieję.

Tego wieczoru ani następnego dnia temat już nie powrócił. Wszyscy życzyli Emily szczęścia przed ostatnim meczem. Lauren znów zasiadła z Shane'em i Bakerami w najwyższym rzędzie. Tym razem nie rozmawiali o wojnie ani o polityce, ani o Środkowym Wschodzie. Kibicowali Emily.

Tuż po pierwszej połowie zadzwoniła komórka Lauren. Popatrzyła, kto dzwoni, i zamarła. To był Bob Maine, jej naczelny. Odeszła na bok i odebrała telefon w pewnej odległości.

- Lauren, powiedz, że jesteś już na lotnisku - chrapliwy głos skrywał serce ogromne jak gmachy redakcji w Nowym Jorku. - Nie odpowiadasz na moje e-maile.

- Bo pracuję, Bob. Zapomniałeś? To dopiero pierwszy tydzień, kiedy nie odałam żadnego tekstu.

- Ale takie teksty mógłby robić każdy.

- Dzięki za komplement - starała się mówić lekkim tonem. To nie był moment na decyzję w sprawie powrotu na Środkowy Wschód.

- Lauren... - jęknął sfrustrowany. - No dobrze, może nie każdy. Bardzo dobrze się spisujesz jako reporter krajowy. Ale nie mamy nikogo takiego jak ty, kto by mógł pojechać tam, mała. Potrzebujemy cię. Choćby i na pół roku.

Pół roku. Ta myśl obijała się jej po głowie jak zabłąkana piłeczka. Właściwie dlaczego nie? Podpisać kontrakt na pół roku, polecieć za ocean, popisać o wojnie.

A kto wie, może kiedy tam będzie, łatwiej jej będzie spojrzeć na sprawy tak, jak widzą je Shane i jego koledzy?

Obróciła się i ujrzała siedzących na ławkach. Spotkała się wzrokiem z Shane'em, jego uśmiech był pogodny jak letnie niebo.

- Bob - złapała się za grzbiet nosa i potrząsnęła głową. - Nie jestem w stanie zdecydować teraz. Potrzebuję... potrzebuję czasu.

- Ile czasu.

- Miesiąc. Co najmniej.

Westchnął.

- Chciałbym cię tam już mieć 1 września. Mówię poważnie, Lauren. Załatw, co masz załatwić, ale zrób to. Tam jest twoje miejsce i dobrze o tym wiesz.

Rozmowa skończyła się i Lauren wróciła na miejsce obok Shane'a.

- Kto to był?

Odpowiedziała jak najbardziej rzeczowym tonem:

- Bob Maine.

Shane oparł łokcie na kolanach.

- Dalej męczy cię o powrót na Środkowy Wschód?

- Nie da za wygraną.

Odwróciła wzrok i skupiła uwagę na boisku. Przez resztę meczu ani później, kiedy zespół Emily wygrał mistrzostwa i spędzili wieczór, świętując w pobliskiej restauracji, nie odważyła się dłużej patrzeć w oczy Shane'a. Ani Emily.

Powiedziała Bobowi prawdę, zastanowi się nad tym. Wkrótce. Ale teraz nie był moment na takie rzeczy. Shane znał ją zbyt dobrze. Gdyby zaczęła w tej chwili myśleć o wyjeździe i zbyt długo popatrzyłaby mu w oczy, rozkleiłaby się tutaj w obecności wszystkich. Ponieważ propozycja Boba Maine'a dawała jej coś więcej niż szansę spojrzenia na sprawy z punktu widzenia Shane'a.

Dawała jej szansę ucieczki. Z powrotem do znajomego zagrożenia związanego z relacjonowaniem z frontu. I ta myśl obudziła w niej dogłębną tęsknotę. Jeśli się jej podda, to któregoś dnia w ciągu najbliższych kilku tygodni będzie musiała zrobić to, co niemożliwe. Spojrzeć w oczy jedynej mężczyzny, jakiego w życiu kochała, i powiedzieć mu - żegnaj. Owszem, tylko na pół roku. Ale jeśli wpadnie w ciąg, tak jak przypuszczała, że może się stać, to ta rozłąka mogłaby bardzo się wydłużyć.

Może nawet na zawsze.

Emily nie mogła się otrząsnąć z okropnego uczucia.

Owszem, turniej udał się idealnie. Grała chyba jak nigdy w życiu, zdobyła nawet decydującą bramkę podczas meczu finałowego. Po wszystkim była półprzytomna ze szczęścia. A kiedy popatrzyła na rodziny swoją i Justina stojące

razem, doznała jakby przecucia. Tak jakby - być może - te rodziny znów miały stanąć obok siebie. Już nie na meczu piłkarskim. W życiu.

To okropne uczucie nie miało nic wspólnego ani z grą, ani z jej chłopakiem. Była zakochana i wszystko, co wiązało się z Justinem Bakerem, było cudowniejsze, niż mogłaby sobie wymarzyć. Ten lęk powracał wtedy, gdy patrzyła na matkę. Uczucia, jakie nawiedziły ją tamtego wieczoru w jej pokoju w akademiku, i rozmowa z matką następnego dnia jedynie go pogłębiły. Między rodzicami coś nie grało - i martwiła się. Może właśnie przez te problemy przełożyli letni termin ślubu?

Od dnia, kiedy rodzice razem wrócili do Fallon, Emily święcie wierzyła, że zdołali już rozstrzygnąć różnice między sobą, że przygotowania do ślubu idą pełną parą i że najgorsze sprzeczki między nimi dotyczą miejsca na podróż poślubną. Albo czegoś w tym rodzaju.

Teraz ta pewność co do rodziców rozwiąła się.

Matka była bardziej małomówna niż zwykle i nie okazywała ojcu za wiele uczucia. Wydawała się myślami nieobecna i bez względu na to, jak bardzo ojciec starał się wciągać ją do rozmowy, zachowywała się trochę nieprzytomnie. Jakby nie była w stanie z nikim się porozumieć.

Nawet z Emily.

Po ostatnim meczu Emily uściskała na pożegnanie oboje rodziców, a gdy znalazła się w ramionach matki, wyszeptła jej do ucha.

- Bądź szczęśliwa, dobrze?

Matka popatrzyła jej w oczy, dłużej niż zazwyczaj.

- Będę, Emily.

Milczała przez chwilę.

- Ale liczy się to, żebyś ty była szczęśliwa, zgoda?

Teraz, kiedy rodzice już pojechali, a Emily razem z Justinem wracała do akademika, uderzyła ją pewna myśl. Matka musiała mieć coś konkretnego na myśli. Typu, że Emily musi być szczęśliwa, bo ona sama nie jest. Czy to o to chodziło? No i jeszcze to pierwsze zdanie.

„Będę”.

Czy miałoby to znaczyć, że niedługo znajdzie swoje szczęście gdzieś indziej, nie przy ojcu? W jakiś inny sposób, nie jako żona ojca? Kiedy dojechali na parking przy PLU, do miejsca, gdzie Justin zawsze ją wysadzał, była tak spięta, że aż bolał ją brzuch.

- Ej... - wzięła ją za rękę. - Co cię gryzie?

- M a m a .

Wyjrzała przez okno na ciemne gałęzie drzew okalających parking.

- Mam wrażenie, że ona i tata nie są szczęśliwi.

- Hmmm - puścił jej dłoń i delikatnie podniósł rękę do jej karku. Zaczął masować naprężone mięśnie, powoli, niespiesznie. - Chyba to zauważyłem.

- Tylko że, Justin... - popatrzyła na niego - ty nie rozumiesz. Moi rodzice strasznie się kochają.

- Tak, mówiłaś mi. Miałaś mi pokazać parę kartek z pamiętnika twojej mamy, o tym, jak bardzo go kochała. Zapomniałaś? - jego głos koił jej duszę. Justin dalej masował jej kark. - Naprawdę chciałbym je zobaczyć.

- z g o d a .

Myśl o wpisach w pamiętniku matki przywróciła w jej świecie jakieś uczucie spokoju. Matka jest być może zdezorientowana, może nawet szarpie się sama ze sobą, że jej poglądy odstają od poglądów reszty rodziny. Ale rodzice się kochają. Co do tego nigdy nie było wątpliwości.

Justin nachylił się i pocałował ją.

- Pewnego dnia, kiedy będziemy już dużo starsi, będziemy tańczyć na przyjęciu z okazji ich dziesiątej rocznicy. I wtedy przypomnimy sobie ten wieczór. Ponieważ ja zamierzam prosić Boga każdego dnia, żeby sprawił cud dla twoich rodziców.

Znowu ją pocałował.

- Tak jak go sprawił dla nas.

Łzy Emili wyparowały jednocześnie z bólem w karku.

- Kiedy będziemy dużo starsi, powiadasz?

- Tak jest - odsunął się nieco i popatrzył jej w oczy. - Dokładna data nie jest obecnie znana, ale żeby wszystko było jasne - uśmiechnął się szeroko, a iskierki w jego oczach błyszcząły nawet w ciemności - ja pani nigdy nie pozwolę odejść, panienko Emili. W życiu - uniósł swój mały palec. - Jak mi mój palec miły!

Zachichotała. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć. Uwielbiała go za to. Zanim go poznała, była chyba trochę zbyt poważna. Teraz śmiech przychodził jej o wiele naturalniej. Nawet w takich chwilach jak ta, kiedy martwiła się o rodziców.

Zahaczyła swój mały palec o jego.

- Jak nam nasze palce miłe.

- Ale poważnie - roześmiał się tak, że aż przechylił głowę w tył i oparł o siedzenie. - Nie mam wprawdzie pierścionka z brylantem - patrzył jej długo w oczy. - Ale i na to przyjdzie czas.

To prawda, poznała go dopiero co, byli ze sobą zaledwie parę tygodni. I owszem, kiedy rozmawiali w ten sposób, było w tym więcej żartów i flirtowania. Ale gdzieś w głębi serca Emili nie miała żadnych wątpliwości. Nawet wiedząc, że za jakiś miesiąc wyjeżdża do Iraku, i tak była pewna, że Justin ma rację. Że pewnego dnia będzie miała na palcu jego pierścionek i że zatańczą razem na przyjęciu z okazji dziesiątej rocznicy jej rodziców. Bóg połączył jej rodziców na nowo nie bez powodu i pewnego dnia doczekają się odpowiedzi na pytania, które wciąż nie dają im spokoju.

- Emili, wiesz, co mi się w tobie podoba? - przejechał dłonią po jej ciemnych włosach i musnął kciukiem jej grzywkę.

- C o ?

Nie mogła odżałować, że jest już tak późno. Mogliby posiedzieć w świetlicy, pooglądać telewizję, poprzytulać się do siebie tak, jak uwielbiała. Ale trener zarządził spotkanie z samego rana, musiała być w jak najlepszej formie. Nawet jeśli ostatecznie trener odwoła trening, czego się zresztą większość zawodniczek spodziewała po tak gładko wygranym turnieju.

Justin wsunął dłoń pod jej głowę i pocałował ją jeszcze raz.

- Podoba mi się to, że wystarczy ci, że jesteśmy szczęśliwi teraz. Że o tym, co będzie potem, zawsze, możemy pomyśleć później.

Uśmiechnęła się szeroko. Tym razem to ona przesunęła się w fotelu, tak żeby być bliżej niego, i to ona go pocałowała.

- Na „zawsze” mamy jeszcze mnóstwo czasu... - zaparło jej dech. Musi już iść. Inaczej te wszystkie uczucia, jakie Justin w niej budzi, nie pozwolą jej zasnąć przez całą noc. - A w tej chwili nic nie uszczęśliwia mnie tak jak ty.

Przytulił ją *mocno*, pozwoliła mu na to. W końcu jednak wyswobodziła się z uścisku.

- Dobranoc, Justin.

- Dobranoc.

Już wchodziła po zewnętrznych schodach, gdy opuścił szybę samochodu i na całe gardło zawołał:

- Emily Anderson! Szaleję za tobą!

Z początku nie mogła pojąć tych słów. Miłość - tak jak ona ją sobie wyobrażała - była czymś, co zdefiniowali jej rodzice, a nie czymś, co mogło dotyczyć jej samej. Ale teraz nie potrafiła już powstrzymać uczuć, okłamywać samej siebie. Przyłożyła dłoń do ust.

- Ja też za tobą szaleję!

Wychylił się na siedzenie pasażera, tak żeby było go lepiej widać, i wystawił przez okno mały palec:

- Jak ci palec miły?

Roześmiała się, ale też uniosła swój.

- Jak mi palec miły!

Kiedy już weszła do swojego pokoju i wsunęła się do łóżka, w jej głowie nie było miejsca na rodziców ani na lęk o ich stosunki. Potrafiła myśleć tylko o Justinie, o tym, jak budzi w niej śmiech i miłość. I jak z nim każdy następny dzień wydaje się lepszy niż poprzedni.

To się nazywa szczęście!

Nie potrzebowała pierścionków ani obietnic, ani żadnej daty, która miałaby ją przekonać, że Justin jest dla niej. Żadne z nich już nie odejdzie, nie po tym, co znaleźli. Mogą cierpliwie czekać, tyle, ile będzie trzeba.

Nawet gdyby mieli czekać całe lata, żeby móc być z sobą już na zawsze.

## *Rozdział 8*

Wiadomość nadeszła w pewną pochmurną sobotę, w trzecim tygodniu sierpnia, kiedy Justin wybierał się akurat na spotkanie z Emilą. Trening drużyny PLU odbył się tego dnia wcześniej i Justin zaplanował niespodziankę - wędrowkę u podnóży Gór Kaskadowych na wschód od miasta.

Jego dowódca spostrzegł, że wychodzi, i odciągnął go na stronę.

- Poruczniku, musimy porozmawiać.

Wprowadził Justina do swojego biura i wręczył mu jakiś papier.

- Wyjeżdżacie do Iraku w poniedziałek 24 września. Na półroczną zmianę, czyli krócej niż poprzednio.

Mężczyzna mówił rzeczowym tonem. Bądź co bądź tego rodzaju wiadomości, przekazywane na terenie bazy, były na porządku dziennym.

- Właśnie otrzymałem tę informację - urwał. - Chciałem, żebyście mieli jak najwięcej czasu na przygotowania.

- Sir. Dziękuję, sir.

Poczuł znajomy dreszczyk, podniecenie na myśl, że już za miesiąc, w mundurze armii amerykańskiej, znajdzie się na linii frontu, robiąc to, co uwielbia - broniąc sprawiedliwości. Pomagając ludziom, którym nikt nie pomaga, i broniąc amerykańskiej ziemi.

Wyprężył się.

- Będę gotowy, sir.

Mężczyzna skinął głową.

- Możecie odejść.

Justin zsalutował i wyszedł z biura, ale dopiero kiedy znalazł się przy swoim jeepie, ta wiadomość do niego dotarła. Fakty wirowały w jego głowie, czuł się oszołomiony. Jedno było najbardziej oczywiste: już za miesiąc on i Emily będą musieli się pożegnać. Jeszcze tylko cztery tygodnie tego zwariowanego, cudownego, magicznego szaleństwa w jakie zmieniło się ich życie już na pierwszej randce. Chciał jeszcze zabrać ją na wieżę Space Needle, na wyspę Blake, do miasteczka Issaquah. Wędrować z nią ścieżkami Washington Park Arboretum i całować się gdzieś w Alei Azaliowej, wijącej się przez jego teren.

A wszystko w ciągu tylko jednego miesiąca.

Ale do jego głowy docierały też inne fakty. Musiał być gotowy fizycznie i umysłowo, emocjonalnie i duchowo. Nie można było inaczej podejść do tego rodzaju zadania. Irak to trudne miejsce, nie będzie w stanie strzec sprawiedliwości w imieniu armii Stanów Zjednoczonych, jeśli nie będzie do tego przygotowany.

Potem dotarło do niego, że ta zmiana będzie krótsza niż poprzednia. Pół roku, a nie rok. Gdyby nie znał Emily, zastanawiałby się nad tym, może nawet by narzekał. Jeśli pewnego dnia ma zostać dowódcą, to musi spędzić na froncie odpowiednią ilość czasu. To oczywiste.

Ale teraz pół roku wydało mu się w sam raz. Już wcześniej był tam przecież rok. Po zakończeniu tej drugiej zmiany będzie już naprawdę bardzo doświadczony. Poza tym zadeklarował się na rok, więc gdyby naprawdę potrzebowali, to wzięliby go na rok. Krótsza zmiana może oznaczać tylko jedno: Bóg patrzy na niego z góry i uśmiecha się, wiedząc, że każdy dzień bez Emily będzie mu się dłużył jak miesiąc i że pół roku to zapewne wszystko, co oboje są w stanie wytrzymać.

Policzył.

Sześć miesięcy w Iraku obejmie święta Bożego Narodzenia i kawałek wiosny, ale pod koniec marca będzie już w drodze do domu. Skoro już nie będzie go czekać więcej zmian w Iraku, będzie mógł zrobić to, co chciał zrobić już od pierwszego razu, kiedy zabrał Emily na randkę.

Będzie mógł poprosić ją o rękę. To nie ma znaczenia, że wszystko będzie tak szybko. On nie tylko zwariował na jej punkcie - on ją kocha. Nie ma co do tego wątpliwości. Poprosi ją o rękę, a potem, może rok później, latem przed ostatnim rokiem studiów, mogliby się pobrać. W ten sposób miałyby czas, żeby jeszcze trochę się podszkolić i dostać etat w wojsku. Kupiliby sobie ładne mieszkanie i rozpoczęli wspólne życie. Razem żyjąc i kochając się, i budząc się co rano w swoich ramionach.

Ale to musiało poczekać. Bo choć umiał sobie radzić w niebezpiecznych sytuacjach, to niczego nie mógł być pewny, dopóki nie znajdzie się z powrotem

w domu. Nawet pół roku to długo - na tyle długo, że uczucia Emily mogą się zmienić albo on może dostać przydział do permanentnej służby za granicą.

Jednak prawdopodobieństwo jednego bądź drugiego było nikłe. Możliwości rozkwiatały jedna po drugiej niczym letnie kwiaty na łąkach, ubarwiając i uatrakcyjniając jego przyszłość w sposób, który zapierał mu dech. Ta wiadomość - o dacie jego wyjazdu - z początku ją zasmuci. Ale przez pół roku można wytrzymać wszystko.

Wsiadł do jeepa i pojechał w stronę PLU. Co tam chmury. Przyszłość była tak świetlista, że aż musiał mrużyć oczy, by się jej przypatrzeć.

Miał tylko nadzieję, że usłyszawszy tę wieść, Emily poczuje się podobnie.

Wyprawa w pobliskie góry była najlepszym pomysłem Justina w tym tygodniu. A pomysłów nigdy mu nie brakowało. Chodzili ze sobą już ponad dwa miesiące, a on zdołał wykreować dla niej przez ten czas istne lato wspomnień, które zdawało się jak sen. Każdy kolejny dzień był jeszcze bardziej zaczarowany niż poprzedni.

Justin był niesamowity.

Emily wiedziała to od początku, odkąd tylko jego policzki zaróżowiły się od upartych zachepek Vondy. Wiedziała o tym, gdy zabrał ją do małego kościółka niedaleko bazy i gdy patrzyła, jak chłonie każde słowo kazania na temat poświęcenia. Jak podnosi głowę i zamyka oczy podczas pieśni pochwalnych. Wiedziała o tym, kiedy postanowił poprosić ją, żeby przychodziła tam odtąd w każdy niedzielny poranek.

Otworzył przed nią serce - i ujrzała człowieka równie łagodnego jak silnego. Teraz wiedziała już o nim trochę więcej. Był bardzo żyty z siostrą, choć - jak sam twierdził - słynęli z tego, że często szli na noże. Cała rodzina uważała go za bohatera. Wcale nie tylko z powodu służby w Iraku.

Nie tylko tego się dowiedziała. Kilka dni po zakończeniu turnieju piłkarskiego, kiedy siedzieli w biurze prasowym, redagując komunikaty, Vonda położyła na biurku słuchawkę telefonu.

- Panie Justinie Baker, czy gdzieś pana jeszcze nie znają? - jej głos dudnił po całym pomieszczeniu.

Emily podniosła wzrok znad monitora.

Justin zrobił głupią minę i wzruszył ramionami.

- Zapisz, Vonda, oddzwonię do nich na przerwie.

- Dom seniora, świetlica dla młodzieży, miejski ośrodek opieki dziennej, szkoła podstawowa... - potrząsnęła głową i wróciła do rozmowy. Kiedy zapisała wiadomość, odłożyła słuchawkę i westchnęła teatralnie. - Za tobą nawet Matka Teresa by nie nadażyła. Kiedy ty znajdujesz czas dla tej swojej ślicznotki?



- To nic takiego - puścił do niej oko, a potem popatrzył na Emily. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że o niektórych sprawach w jego życiu jeszcze nie wie. O sprawach, którymi chciałby się z nią podzielić.

- Właśnie że na pewno to coś takiego - odparła Vonda. - Nie musisz się aż tak angażować w inne rzeczy, już ja dopilnuję, żebyś nie miał wytchnienia. Od tego tu jestem!

Roześmiał się, a Emily razem z nim. Ale jej serce rozsadzało dziwne i cudowne uczucie. Justin pracuje społecznie? Dlaczego nic o tym nie mówi? Nieraz spotykała chłopaków przechwalających się najdrobniejszym aktem dobroczynności czy wolontariatem. Żeby zrobić na niej wrażenie.

Justin postępował dokładnie odwrotnie.

- Dlaczego? - zapytała go później. Wynieśli lunch na dwór na stół piknikowy. - Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Daj spokój, Emily! - jego beztroski śmiech wypełnił powietrze. - A jak by to wyglądało? Dopiero się poznajemy, a ja przychodzę do ciebie ze spisem rzeczy, w jakie jestem zaangażowany? - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A zresztą Biblia mówi, żeby lewa ręka nie wiedziała, co robi prawa - wzruszył ramionami, jak gdyby chciał otrząsnąć się z wszelkich należnych pochwał. - Nie zbawiam przecież świata. Po prostu spędzam czas z ludźmi.

Była pod wrażeniem, zaintrygowana. W trakcie lunchu dowiedziała się, że spędza kilka godzin tygodniowo w klubie weteranów. Gdyby się jej nie przyznał, że zdarzają mu się ostre kłótnie z siostrą, byłaby już skłonna przetrząsać jego plecak w poszukiwaniu ukrytych skrzydeł.

- Uwielbiam weteranów - przyglądała mu się, wciąż usiłując go przeniknąć.

- Ludzie zapominają o tych starszuchach - mówił nonszalanckim tonem, tak jakby każdy chłopak w jego wieku uważał odwiedziny u kombatantów za oczywistość. Przełknął kawałek kanapki i popatrzył na nią. - Oddali naszemu krajowi wszystko. Ci z II wojny światowej i ci z Wietnamu - jego wzrok stał się zagadkowy, spoważniał. - Rozpłakałabyś się, gdybyś słyszała, co opowiadają, Emily. Jak widzieli przyjaciół padających i ginących w bitwie, jak płakali, kiedy musieli zabijać wroga.

Milczał przez chwilę, ta cisza była potrzebna. Potem spojrział na niebieskie niebo za drzewami i zaczął mówić z coraz większą pasją.

- Tę ofiarę, którą złożyli, złożyli dla nas wszystkich. Żebyśmy mogli sobie chodzić do kościoła, wybierać zawód i - uśmiechnął się - nawet żebyśmy mogli tu sobie siedzieć i jeść lunch.

Popatrzył na nią.

- Wolność jest tak samo niezbędna jak oddychanie. Łatwo uznajemy ją za coś oczywistego - wzruszył ramionami. - Tak mi się zdaje. Ale myślę, że przynajmniej tyle możemy zrobić - słońce zaświeciło mu w oczy. - Poświęcić im tro-

chę czasu, uświadomić im, że ich ofiara nie poszła na marne. Że ludzie nie zapomnieli.

Nie mogła dalej jeść. Nie przypuszczała, że tacy faceci jak Justin w ogóle istnieją. Kiedy pierwsze zaskoczenie minęło, zaczęła naciskać mocniej, zadawać więcej pytań - i dowiedziała się, że co sobotę po lunchu spędza godzinę w miejskiej świetlicy dla młodzieży. W liceum grał w piłkę nożną i koszykówkę. Choć nie należał do popularnej paczki pakerów, to jednak uprawiał rozmaite dyscypliny sportu i był na tyle w dobrej formie, że mógł spokojnie dołączać do gry z chłopakami przychodzącymi do świetlicy.

- Większość nie ma ojców - zmrużył oczy i przez chwilę patrzył na wierzchołek jednej z ogromnych choinek okalających teren piknikowy. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak można się wychowywać bez ojca - jego oczy zwilgotniały. - Kiedy byłem w podstawówce, jeden mój dobry kumpel miał ojca w więzieniu. Jakiś straszny gość to był, narkotyki, gangi.

Justin mówił coraz łagodniejszym tonem, a wyraz jego twarzy zmieniał się, gdy pogrążał się we wspomnieniach.

- Raz, kiedy kumpel miał 12 lat, wsiadł na rower i pojechał do tego więzienia. Za wszelką cenę chciał pogadać z tatą. Matka nie chciała go tam zabrać, nie chciała, żeby facet miał jakiś wpływ na syna. Więc kumpel postanowił sam pojechać i sam go znaleźć. Ale nie dotarł. Na jakiejś wiejskiej drodze koła zaryły się w koleinę i kumpel razem z rowerem poleciał prosto pod koła nadjeżdżającego autobusu.

Emily zamarła i załoniła usta dłonią.

- Straszne!

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła łzy w oczach Justina.

- Nawet nie wiedział, co w niego stuknęło - pociągnął nosem i zaczął mówić bardziej zdecydowanym tonem. - Nie potrafiłem się z tym pogodzić. Chłopak chciał tylko zobaczyć się z tatą. Tak bardzo, że był gotowy na wszystko.

Odetchnął głęboko.

- Mnóstwo chłopaków, którzy zgłaszają się do armii, wychowało się w domach bez ojca, wiedziałas o tym? Albo ojca nigdy nie było w domu, albo siedział w więzieniu, albo się rozwiódł i odszedł do innej rodziny.

- Nie wiedziałam.

- Tak jest. Oczywiście mnóstwo chłopaków, którzy przychodzą do wojska, ma przed sobą świetlaną przyszłość. Ale całkiem sporo szuka po prostu ucieczki, jakiegokolwiek, byle nie żyć już dalej tak jak dotąd - położył kanapkę na talerzu i wyskubał z bułki parę ziarenek sezamu. - Są tak spragnieni obecności jakiegoś starszego faceta, że to się nie mieści w głowie. Tak sobie myślę o moim tacie, jakim był dla mnie świetnym ojcem. No więc - przekrzywił głowę - co się stanie, jeśli raz na jakiś czas wpadnę do nich i pogramy w kosza? Cóż to takiego nadzwyczajnego? Kto wie, może chociaż w ten jeden wieczór jak będą zasypiać, to

odrobinę mniej będą tęsknić za swoim tatą. Bo ktoś w tym dniu trochę z nimi posiedział.

- Dokuczają ci czasem z powodu wojny?

Zastanowił się nad tym pytaniem.

- Wiesz, w tej chwili ci chłopcy dużo myślą o żołnierzach - uśmiechną się, lekko zażenowany. - Myślę, że może dzięki temu że idę i się z nimi spotykam, to pomagam im mieć prawdziwszy obraz wojska. Lada moment świat powie im, że jesteśmy potworami, że tylko wojna nam w głowie. A ja chcę, żeby znali prawdę - że jesteśmy gotowi poświęcić życie, żeby mogli bezpiecznie chodzić do szkoły, bezpiecznie mieszkać tam, gdzie żyją, gdzie się bawią, dorastają.

Kiedy Emily wróciła wieczorem do swojego pokoju, wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia. Justinowi naprawdę zależy na tych ludziach, którym pomaga. Na tych weteranach i zagubionych nastolatkach, i niewinnych dzieciach. To wszystko sprowadza się w zasadzie do tego, jak pojmuje on rolę przywódcy.

- Emily, przywódca to ktoś, kto się poświęca. A co ja właściwie takiego poświęciłem? Wszystko, co robię, to czysta przyjemność. Lubię przebywać z ludźmi. Co tu dużo gadać.

Miała ochotę chwycić za słuchawkę i zadzwonić do ojca, pochwalić się, jak cudowny jest jej chłopak. Ale ledwie położyła rękę na słuchawce, zmieniła zdanie, zanim jeszcze wcisnęła pierwszą cyfrę. Justin opowiedział jej o tym wszystkim nie po to, żeby zrobić na niej wrażenie, ale żeby pozwolić jej lepiej się poznać. I zrobił to tylko dlatego, że wcześniej Vonda się wygadała. To mówiło samo za siebie. Tego wieczora Emily postanowiła, że takie szczegóły z życia Justina zachowa w sercu tylko dla siebie.

Świeże wspomnienia uleciały, spojrzała na zegarek. Justin będzie lada moment. Wzięła plecak i poszła do holu akademika, tam gdzie zawsze na niego czekała. Tak, jeśli tylko ona i Bóg mają wiedzieć o tym, jaki to wyjątkowy chłopak, to niech tak zostanie.

Doszła na miejsce i oparła się o ścianę. Znowu powróciły obrazy z ostatnich kilku tygodni. Poszła z nim parę razy do świetlicy dla młodzieży, raz tylko posiedzieć z podopiecznymi Justina, dwa razy pograć w kosza. Sobotnie popołudnia miała wolne, a kosz to świetny trening cardio. Ale nie tylko o to chodziło. Te chwile spędzone z Justinem w świetlicy dawały jej szansę zobaczenia go w działaniu.

Był urodzonym przywódcą, co do tego nie miała wątpliwości.

Obydwa razy kiedy dołączała do gry, brał ją do swojej drużyny.

- No co ty, Baker - powiedział za pierwszym razem któryś z chłopaków. - Za żadną jest dla ciebie, koleś - walnął się w pierś. - Niech sobie stoi za linią autową i niech nam kibicuje.

- Nie wszystkie ładne dziewczyny są cheerleaderkami - roześmiał się Justin. Świetnie sobie radził z co bardziej hardymi chłopakami. - A my zrobimy tak. Ona będzie w mojej drużynie i chociaż jest ładna, to i tak wam dołożymy.

Chłopcy śmiali się, poszturchiwali nawzajem, przekomarzali. Ale kiedy już gra się zaczęła, Emily świetnie współpracowała z Justinem. Kierował podania prosto do niej, tak że bez trudu mogła raz po razie wkładać piłkę do kosza. Ostatecznie wygrali czterema punktami. Kiedy skończyli, Justin, który wszędzie nosił aparat fotograficzny, wyjął go z plecaka i wręczył jednemu z nastolatków.

- Zrób nam zdjęcie, co?

Chłopak pokręcił głową.

- Te baby.

- Jasne, jasne.

Justin wziął Emily za rękę, ale trzymał się od niej na odległość.

- Nie podchodź za blisko - unióś porozumiewawczo brew - muszę iść pod prysznic.

Roześmiała się i stanęła obok niego.

- T o już?

Uśmiechnęli się, a chłopak zrobił zdjęcie. Kolejne wspomnienie. Ale to nie tyle mecz zapamiętała Emily tak dobrze tamtego dnia. Raczej to, jak Justin znajdował później wspólny język z tymi nastolatkami. Przyniósł ze sobą zgrzewkę 12 puszek coli i dał każdemu po jednej. Przez ponad godzinę siedział tam na schodkach i słuchał, jak chłopcy opowiadają o szkole, o sporcie, o dziewczynach. O wszystkim, co ich zajmuje.

Nagle zreflektowała się i spojrzała na zegarek. Justin spóźnia się już 10 minut. Sprawdziła komórkę, ale nie było na niej ani SMS-ów, ani powiadomień o próbie połączenia. Dziwne. Justinowi zdarzało się czasem spóźniać, ale zawsze wtedy dzwonił. Wychyliła się i obrzuciła wzrokiem parking. Potem znów oparła się o ścianę. Jeśli się spóźnia, to widocznie ma jakiś powód.

Uśmiechnęła się i przypomniała sobie, jak pierwszy raz wracali do domu ze świetlicy. Przyglądała mu się z uwagą.

- Pan naprawdę nie ma żadnych wad, panie Baker?

- Ja?! - wskazał na siebie i spojrzał na nią z udawanym zdumieniem. - Że też mogło ci to w ogóle przejść przez usta!

Zaśmiała się.

- No przestań, pytam poważnie. Nie znałam dotąd nikogo takiego.

- Chcesz znać prawdę? Lista byłaby zbyt długa.

- Na przykład co? Nie chce ci się myć auta raz w tygodniu?

- T e ż .

Rozluźnił uścisk na kierownicy i patrzył na drogę przed sobą.

- No, poczekaj. Weźmy mojego psa, Bustera. To był mój najlepszy kumpel do chwili, aż zaciągnąłem się do wojska. Teraz prawie nigdy nie przyjeżdżam do domu, żeby pochodzić z nim na spacer. To jest duża wada.

Unióś w górę dwa palce.

- Po drugie, na pewno mój pokój. Panuje w nim bałagan od chwili, kiedy nauczyłem się jako tako chodzić. Mama może stawać na głowie, a ja i tak nie umiem utrzymać porządku - popatrzył na nią z niewyraźną miną. - To chyba można uznać za znaki ostrzegawcze. Jeśli postanowisz ze mną zerwać, zrozumieć.

- Wyznam ci coś - skrzywiła się. - Mój pokój jest chyba w gorszym stanie niż twój.

- A niech to! Będziemy musieli wynająć gosposię, inaczej nie da rady - prędko przestał się śmiać. - Tylko że to dopiero początek tej listy.

Poczuła, jak jej serce otwiera się na niego.

- A co jest na jej wierzchołku?

Patrzył na drogę przez dłuższą chwilę.

- Strach - zerknął na nią z boku, i po raz pierwszy dostrzegła słabe punkty w jego żołnierskiej zbroi.

- Strach przed czym?

- Nie wiem.

Nad ich głowami zebrały się chmury, przez co chwila nabrała jakiejś symbolicznej wymowy.

- Przed tym, że podczas bitwy zrobię coś nie tak, że zawiodę swój oddział. Znów na nią popatrzył.

- Że umrę, zanim jeszcze na dobre zacznę żyć.

Oparła się o fotel i przez chwilę chłonęła to wyznanie. Potem położyła dłoń na jego kolanie.

- Nie wiedziałam.

Uśmiechnął się rozbrajająco, próbując powrócić do łżejszego tonu.

- Ale nie rozmyślałam o tym za często, bo, no wiesz. Ja przecież nigdy nie umrę, nie?

- No tak, racja, to wielkie S na pana koszulce, panie Superman - zachichotała.

- Więc ty o tym wiesz? - roześmiał się. - Ale nie, mówię poważnie. Przez większość czasu potrafię jednak przekonać sam siebie, że się nie boję. To ryzyko to przecież mój wybór, prawda?

- T a k .

- Ale jeśli mam mówić szczerze - zaczerpnął powietrza - jeśli mam mówić naprawdę szczerze, to czasem biję się z myślami. Gdzieś tam na dnie serca, gdzie nikt nie widzi.

- Tylko ja - położyła dłoń na jego rękę.

- Tylko ty. Ponieważ ty i ja dysponujemy takim rentgenowskim wzrokiem. Roześmiali się.

Tego wieczora po kolacji pojechali do domu jego rodziców. Buster był angielskim springer spanielem, biało- Czarnym, z szarą sierścią tylko przy wąsach.

- Buster - Justin zaczepił smycz o obrozę psa - chciałbym, żebyś poznał pewną niezwykłą dziewczynę.

Po czym nastąpił oficjalny rytuał prezentacji, który nie zrobił jednak na Busterze najmniejszego wrażenia.

Buster widział tylko Justina.

Pies najwidoczniej nie zapomniał swoich młodych lat, kiedy Justin był jeszcze mały i miał mnóstwo wolnego czasu. Na spacerze Buster szedł tuż przy nim, popatrując na niego co jakiś czas z uwielbieniem, które mówiło, że to nieważne, że Justin wyprowadza go na spacer tylko raz w roku. Jego miłość do chłopaka była nieśmiertelna.

Kiedy wrócili ze spaceru, Justin przykucnął i przytulił twarz do psiego pyska.

- Zuch, Buster! Dobrze, że tata wyprowadza cię na spacer, kiedy mnie nie ma, co?

Pies polizał go po policzku, a kiedy zaczęli iść w stronę domu, zaskamlał.

- Widzisz? - mówił jej potem. - Ten pies zasługuje na lepsze traktowanie. To jest naprawdę moja poważna wada.

Wymieniał też inne, ale większości Emily nie zaobserwowała. Raz na jakiś czas spóźniał się, kiedy po nią przyjeżdżał, ale to dlatego, że usiłował zmieścić zbyt wiele rzeczy w ciągu jednego dnia. Generalnie był po prostu doskonały. Tygodnie biegiły niczym cudowny film - zbyt szybko zmierzając do końca.

A dziś czekała ich kolejna cudowna przygoda. Wędrówka po górach na wschód od miasta. Westchnęła i podeszła do drzwi. Gdzie on jest? Tak bardzo jeszcze nigdy się nie spóźnił. Za dwadzieścia dwunasta, kiedy czekała już kwadrans i miała właśnie zadzwonić na jego komórkę, jego cherokee pojawił się na parkingu i z piskiem opon wykręcił na podjeździe. Uśmiechnęła się i susami zbiegła ze schodów. Wskoczyła do wozu i uśmiechnęła się szeroko.

- Już myślałam, że wystraszyłeś się tych chmur. Ale sprawdziłam prognozę. Nie zapowiadają deszczu na najbliższe dni.

Zmrużonymi oczami patrzyła przez przednią szybę.

- To chyba wilgoć znad morza, według gazety powinna wyparować za jakąś godzinę, czyli akurat wtedy...

I wówczas poczuła.

Nie uśmiechał się, nic nie odpowiadał. Ona paplała o pogodzie, nie pytając nawet, czy wszystko w porządku, dlaczego się spóźnił. Urwała w pół zdania i spojrzała na niego.

- Justin?

- Dowódca poprosił mnie do siebie, kiedy wychodziłem - nie wyglądał na wystraszonego ani zdenerwowanego. Był tylko bardzo poważny. Położył dłoń na jej ramieniu. - Wylatuję 24 września.

Zamarła. Przycisnęła pięści do brzucha i pochyliła się lekko. „Przestań, Emily, oddychaj. Spodziewałaś się tego”. Spodziewała się. Ale przez ostatnie

sześć tygodni okłamywała samą siebie, wmawiała sobie, że Justin mógł się mylić, że może wojsko nie potrzebuje go już w Iraku na kolejną zmianę. Że może to wspólne lato będzie trwało wiecznie, niekończące się, doskonałe.

Ale teraz... teraz znała już datę, moment, w którym będzie musiała się pożegnać i zaufać Bogu, że Justin jakoś zdoła do niej wrócić, że nie po to stworzył On takiego kogoś jak Justin Baker, żeby go zaraz zabierać.

Z trudem przełknęła ślinę i podniosła na niego wzrok.

- To już pewne?

- Pewne - gładził jej bark. - Ale jedna dobra nowina, Em. Nie jadę na rok, jak sądziłem. Jadę na pół roku.

- Na linię frontu?

Uśmiechnął się.

- Tam najbardziej potrzeba pomocy medycznej.

Wciąż nie mogła złapać tchu. Pół roku na froncie w czasie wojny, na której codziennie giną ludzie. Nie miała pojęcia, jak zdoła wytrzymać choćby tydzień, cóż dopiero pół roku.

- Czy... czy mówiłeś już swojemu tacie?

- Jeszcze nie - przygryzł wargi. - Chciałem, żebyś wiedziała pierwsza.

Odsunął włosy z jej twarzy.

- A teraz posłuchaj. Żadnego smucenia się, dobrze? Sześć miesięcy to tyle co nic, Emily. Wrócę i wtedy zrobimy to, czego pragnąłem od naszej pierwszej randki.

Poczuła, że ciemne chmury nieco się podniosły.

- Co to takiego?

- No - przysunął się i pocałował ją, dłużej niż zwykle i tak namiętnie, że obojgu zabrakło tchu - chyba będziesz musiała poczekać, żeby zobaczyć.

Pocałowała go jeszcze raz i udała, że kaprysi:

- A może ja nie chcę czekać.

Potarł nosem o jej nos.

- Na to, żeby być ze sobą już na zawsze, chyba warto poczekać?

„Już na zawsze”. Zarzuciła ręce na jego szyję i przytuliła się. Ma rację. Wróci za pół roku i wtedy będą mogli rozmawiać o „zawsze”, o tym, jak Bóg stworzył ich dla siebie nawzajem. Kiedy już wróci, będą mieli całą przyszłość na planowanie.

Wędrowali tego dnia zagubieni w swoim własnym świecie. Śmiali się, że ojciec Justina znalazł jakąś jego starą bluzę i dał ją Busterowi i że Buster nie chce teraz bez niej spać.

- I tak wracamy do wyrzutów sumienia - Justin szedł tuż za nią i gdzieś w połowie ścieżki w górę, kiedy potknęła się na kamieniach złapał ją w ramiona.

- No to sprawa załatwiona - uśmiechnęła się, kiedy minął pierwszy szok.

- Ty naprawdę masz dobrą rękę do ratowania życia.

Zerknął na uskok. Miał może trzy metry wysokości.

- Może byś sobie obijała kolano, ale raczej byś się nie zabiła. Jeśli mam być szczery.

Roześmiali się, a ona mówiła dalej:

- Tylko idź dalej za mną. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu się potknę.

- Masz to jak w banku.

Dzień był już w pełni. Justin robił zdjęcia na prawo i lewo, poprosił nawet jakiegoś turystę, żeby uwiecznił ich we dwójkę w pobliżu szczytu.

Po spacerze pojechali do świetlicy dla młodzieży, pograć w koszykówkę. Później Justin powiedział chłopcom o dacie swojego wyjazdu.

- Rany! - Bo, jeden z nastolatków, ten, który wydawał się przywódcą grupy, trzymał akurat w ręku swój mokry podkoszulek. Zwinął go i cisnął o ziemię.

- Coś mi tu śmierdzi!

- Właśnie! A niby czemu Wuj Sam każe ci jechać aż dwa razy? - inny chłopak skrzyżował ręce na piersi, robiąc, co w jego mocy, żeby wyglądać na twardego. Ale nie potrafił ukryć łez, które nagle pojawiły się w jego oczach. Jego broda drżała. - Durna wojna i tyle.

Justin wziął głęboki oddech i popatrzył na każdego z nich.

- To nie jest durna wojna, chłopaki. Naprawdę.

Podniósł z ziemi płaski kamyk, obrócił go w palcach i cisnął na boisko.

- Gdybyście tylko widzieli to, co ja tam widziałem! Ta wojna robi więcej dobrego, niż się o tym mówi.

- Ale przecież - Bo zadarł głowę wysoko - ty już raz tam byłeś.

- Chciałem wrócić - Justin oparł łokcie na kolanach i wodził wzrokiem po Bo i pozostałych. - Kiedy się w coś wierzy, trzeba w to wkładać całe serce.

Popatrzył na Emilię.

- Czy chodzi o dziewczynę czy o walkę o twój kraj?

Emilia przypatrywała się chłopcom. Coś ścisnęło ją w gardle. Próbowwała przełknąć ślinę, ale nie mogła. Młodzi ludzie wyglądali jak najbardziej zdezoorientowana grupa na świecie - załamani i niepewni, jak zareagować na to, że Justin wyjeżdża.

Jeden, dość niski małowówny chłopak, podniósł głowę i kiwnął głową.

- Ja tam jestem z ciebie dumny. Jak skończę 18 lat, też się zaciągnę. Matka twierdzi, że mi się wszystko w życiu poukłada, jak pójdę do woja.

- Aha - inny chłopak, który przedtem zwiesił głowę na słowa Justina, podniósł wzrok i popatrzył na kolegów. - Ja też. Zaciągnę się już niedługo, jak tylko skończę szkołę.

- No co wy! - Bo potrząsnął głową. - Nie boicie się?

- Posłuchajcie, właśnie dlatego wam powiedziałem - głos Justina brzmiał łagodnie, ale zdecydowanie. - Nie dlatego, żebyście się wściekali na wojsko. Ale po to - jego rysy złagodniały - żebyście się modlili. Módlcie się za mnie codzien-



nie i módlcie się też za innych chłopaków, którzy tam są. Robimy dobrą robotę. Módlcie się, żeby szło nam dobrze i żeby Bóg się nami posługiwał.

- Modlić się, żebyś wrócił w jednym kawałku, to chcesz powiedzieć? - Bo uśmiechnął się, ale po jego policzku spłynęła łza. Przeklął pod nosem. - Serio mówię. Wróć cały.

- Weź, przestań - Justin szturchnął go po przyjacielsku. - Jadę dopiero za miesiąc. Macie jeszcze masę czasu, żeby mnie poprzeganiać od kosza do kosza.

- No niby tak - Bo oddał szturchańca. - Ale wróć.

Emily też ocierała łzy, a później, w drodze do akademika, rozmawiali z Justinem mniej niż zwykle. W końcu sięgnęła do jego ręki.

- Czy nie myślałeś może kiedyś, że ta druga zmiana nie jest ci już potrzebna? Że może... może robisz już wystarczająco dużo tutaj, żeby nabyć tych wszystkich umiejętności przywódczych?

- Tak jak ja to widzę, Emily, to dobrzy przywódcy zawsze idą dwa razy.

W jego głosie było coś, czego wcześniej nie słyszała. Niezupełnie ten strach, o którym kiedyś wspominał. Raczej poczucie obowiązku, powinności. O swojej drugiej zmianie mówił zawsze tonem wskazującym na to, że wręcz nie może się jej doczekać. Ale tym razem było inaczej.

- Więc jednak o tym myślałeś - jej głos brzmiał łagodnie.

- Drugiej zmiany oczekuje się od każdego zawodowego żołnierza. Większość z nas nie ma wyboru. A to, że jestem porucznikiem, że jestem lepiej wyszkolony, że mam lepsze wykształcenie, nie znaczy jeszcze, że nie będzie się tego ode mnie wymagać.

W jego oczach była tęsknota.

- Tak trzeba, Emily. Ale to nie znaczy, że nie wolałbym zostać tu z tobą.

Po tych słowach poczuła się bardziej kochana niż po czymkolwiek, co jej dotąd powiedział. Owszem, Justin wraca do Iraku, owszem, to słuszna decyzja. Ale pozwolił jej rzucić okiem przez szczelinę w swej zbroi bohatera.

Gdyby żyli w świecie doskonałym, nigdy by od niej nie odjechał.

No właśnie. Ale świat nie jest doskonały.

Kiedy przyjechali na parking, wyłączył silnik i sięgnął ręką na tylne siedzenie.

- Wziąłem Biblię - otworzył ją. - Chcę ci coś pokazać - przekartkował do Księgi Rodzaju. - Posłuchaj. To jest z 29. rozdziału.

Zaczął czytać.

Była to opowieść o Jakubie i Racheli. O tym, że Jakub pokochał ją od samego początku i że siedem lat pracy za nią wydało mu się kilkoma dniami, tak ją kochał. Kiedy Justin doczytał do tego miejsca, przerwał. Popatrzył na nią, w jego oczach było mnóstwo pytań.

- Wiesz, co próbuję ci powiedzieć, Em?

Wahała się, nie była pewna. Spojrzała na otwartą Biblię i potrząsnęła głową.

- Chyba nie wiem.

Położył dłoń na tej stronicy.

- Właśnie to do ciebie czuję - wziął ją za rękę i długo na nią patrzył. - Pod koniec lata muszę wyjechać, ale czas nie jest w stanie nas rozdzielić, Emily. Czy to sześć miesięcy, czy sześć lat. Bo ja tak cię kocham.

Jej serce stopniało.

- Justin...

- Tak właśnie jest - nachylił się i pocałował ją. - Idź już. Ale pamiętaj o tym, dobrze?

- Jesteś niesamowity.

Uśmiechnął się.

- Idź.

Kiedy tego wieczoru wchodziła po schodach, przypomniła sobie, jak potknęła się podczas ich wspólnej wędrowki i jak Justin był tuż obok, gotowy ją złapać. Podobnie czuli się chłopcy i zapewne podobnie czuli się weterani. Justin był ich ostatnią deską ratunku. Kimś, na kogo mogli zawsze liczyć, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

A ona mogła robić tylko to, o co poprosił chłopaków. Modlić się za niego, żeby mu się wiodło na Środkowym Wschodzie i żeby bezpiecznie wrócił. O to, żeby gdy w życiu zdarzy się jej kolejne spotkanie, on tam zawsze był, gotowy ją złapać.

Justin Baker, jej deska ratunku. Jej bohater.

## *Rozdział 9*

Letnie tygodnie minęły szybko i w końcu Lauren musiała zmierzyć się z faktami.

Stosunki między nią a Shane'em nie poprawiły się, nie zdarzyło się nic, co mogłoby ją skłonić do pozostania. On był zajęty w pracy, szkoląc nową grupę pilotów i przygotowując ich do serii nalotów, jakie mieli przypuścić z lotniskowców floty pływających po wodach Środkowego Wschodu.

Były to tajne operacje, plany zbombardowania miejsc, gdzie tworzyły się nowe grupy terrorystyczne, knujące zamachy. Shane mógł jej powiedzieć tylko tyle, że Amerykanie odkryli kolejne przejawy działalności terrorystów, że znają obszary ich przebywania i miejsca ich kryjówek i że planują wyeliminować ich bez ofiar w ludności cywilnej, zanim jeszcze zdążą oni zorganizować atak na Stany Zjednoczone.

On był więc zajęty układaniem planów, ona poświęcała czas artykułom, które wydawały się jałowe i bezsensowne. Raport o narastającym zjawisku porzucania studiów, o trudnościach z dobrze płatną pracą dla absolwentów, o sukcesie programu walki z analfabetyzmem w ubogich dzielnicach Waszyngtonu i o przedsięwzięciach humanitarnych w Nowym Orleanie w ponad rok po huraganie Katrina.

Owszem, takie teksty cieszyły się zainteresowaniem pewnej grupy czytelników. Jednak wojna dotykała każdego obywatela Ameryki i każdego obywatela

krajów Środkowego Wschodu. Kiedy pisała korespondencje z Afganistanu, mogła wpływać na opinię publiczną, uświadamiać ludziom, jak zła i bezskuteczna jest ta wojna, jak cierpią przez nią mieszkańcy Afganistanu i Iraku. Mogła pisać prawdę o ofiarach wśród ludności cywilnej i udowodniać, że Stany Zjednoczone zanadto się pośpieszyły, wypowiadając tę wojnę.

Być może jej artykuły będą miały w sobie dość siły, by przekonać wyborców, że czas już wybrać takiego prezydenta, który położy kres okropnościom w Afganistanie i w Iraku. Te kraje same znajdują własną drogę do wolności. Jeśli będą tego naprawdę chcieli, to znajdują ją. Ale amerykańscy chłopcy muszą wracać do domu. Shane może sobie myśleć, co chce.

Im dłużej przypominała sobie Justina Bakera pochylonego nad krwawiącą zawodniczką, której nawet nie znał, i tamującego krwotok własną koszulą, tym bardziej zmieniał się jej myślenie. To nie wina żołnierzy, że są w Iraku. Wmówiono im, że to, co robią, jest słuszne.

Jeśli inni amerykańscy żołnierze są podobni do Justina, to jest to tym większy powód, żeby wycofać się z tej wojny. Ameryka nie może sobie pozwolić na stratę całego pokolenia takich młodych ludzi. Ci chłopcy mogliby zostać policjantami, strażakami, sędziami, lekarzami, prawnikami. Inicjującymi w społeczeństwie zmianę, której ono tak bardzo potrzebuje. Nie, koszt jest za wysoki, nawet gdyby miał zginąć choćby tylko jeden taki chłopak jak ten, w którym kocha się Emily.

Próbowała o tym rozmawiać z Shane'em któregoś wieczoru, ale nie skończyło się to dobrze.

Zjedli kolację u niego w domu, potem poszli na spacer do pobliskiego parku. Trzymali się za ręce.

- Pamiętasz, jak byliśmy w pierwszej klasie liceum? - przystanął i popatrzył na huśtawki. - Codziennie wracaliśmy do domu obok podstawówki.

- A jeśli tam było już po lekcjach, zachodziliśmy i huśtaliśmy się - uśmiechnęła się. Wspomnienie było tak wyraźne, jakby to wydarzyło się wczoraj. - Patrzyliśmy, które z nas poleci wyżej.

- Prawie zawsze wygrywałaś - wyszczerzył zęby w uśmiechu. Puścił jej rękę i pobiegł do huśtawek. - Ale teraz cię pobiję.

Roześmiali się oboje, to było cudowne uczucie. O ileż lepsze niż napięcie niemal ciągle obecne między nimi. Wskoczyła na najbliższą huśtawkę.

- To na księżyc!

- I z powrotem!

Tak samo mówili, kiedy huśtali się jako nastolatki. A kiedy wyprostowywali nogi w niebo, Lauren wydało się to nieomal możliwe - zapomnieliby o różnicach, gdyby tylko spędzali więcej czasu właśnie tak, na zabawie i śmiechu.

Tego wieczora Shane odniósł łatwe zwycięstwo. Kiedy wyhamowali huśtawki, ze śmiechu nie mogąc złapać tchu, podniósł palec.

- Zwycięzca. Zdecydowany.

- Zgoda - teraz kołysała się łagodnie, czekając, aż wróci jej normalny oddech. - Shane, wiesz co?

- C o ?

Zmrużyła oczy, wciąż trzymając się łańcuchów huśtawki.

- Zmieniłam zdanie o żołnierzach.

Wyglądał na zirytowanego, jakby zbyt dobrze się teraz bawił, żeby rozmawiać o wojnie.

- Kiedy poznałaś Justina, tak?

- To coś więcej. Sądziłam, że żołnierze to takie czarne charaktery. Ludzie, którzy chcą wojny - spojrzała na niego szybko. - A wojna nigdy nie jest dobra.

Shane ledwie dostrzegalnie mocniej poruszył huśtawkę. Westchnął ciężko i wbił wzrok w ziemię.

- Lauren...

- Poczekaj. Posłuchaj, co chcę powiedzieć - mówiła lekkim tonem, żeby go nie zniechęcać. - Teraz mam już inne zdanie. Że żołnierze, chłopcy tacy jak Justin, to bohaterowie pozytywni, prawda?

- Tak - patrzył na nią, ale wzrok miał nieufny, jakby przeczuwał, że nie warto zbyt szybko godzić się z tym, co powie o wojnie czy wojskowych. - To zdecydowanie bohaterowie pozytywni.

Kołysała się teraz z boku na bok, nie przestając patrzeć mu w oczy.

- A to jest tym mocniejszy dowód, że wojna nie jest słuszna. Ponieważ nie możemy sobie pozwolić na to, żeby tracić takich Justinów Bakerów - próbowała się uśmiechać, ale nie przychodziło jej to łatwo. - Czy nie mam tu racji?

Podniósł się powoli i podał jej rękę.

- Chodź, pójdziemy już. Muszę jutro wcześniej wstać.

Lauren zauważyła pewną tendencję. Kiedy spędzali razem wieczór, a ona nie zaczynała poruszać sprawy wojny, jego pracy czy Środkowego Wschodu, to zawsze wieczór kończył się na tej wygodnej kanapie w jego salonie. Szeptali sobie o przeszłości, całowali się, nieraz siedzieli tak dużo dłużej, niż planowali. Shane dał jasno do zrozumienia, że nie będzie teraz z nią spał, a ona zgodziła się, że tak będzie najlepiej. Już raz zaszła w ciążę. To mogłoby się zdarzyć ponownie. Poza tym niezależnie od swojego światopoglądu uważała, że seks pozamałżeński jest czymś niewłaściwym. Tak mówiła Biblia, a ona chciała postępować tak, jak Bóg przykazał.

Kiedy jednak wypływały tematy tabu, całowanie kończyło się szybko, wypierane przez napięcie i nieufność. Jakby oboje wiedzieli, że jej odejście jest tylko kwestią czasu.

Teraz był 1 września, a ona podjęła decyzję.

Nie może opuścić Shane'a, nie sama z siebie. Nie może mu powiedzieć, że go nie kocha i nie dba o niego, skoro nadal go kocha i skoro jej uczucie do niego

nigdy dotąd nie było tak głębokie. Ale zostać też nie może. Shane zasługuje na żonę, która będzie go codziennie chwalić za zaangażowanie w bezpieczeństwo kraju. Która będzie się cieszyć z tych tajnych nalotów jako kolejnego dowodu, że Ameryka jest w dobrych rękach.

Mężczyźni potrzebują komplementów. Matka nauczyła ją tego, kiedy jeszcze była nastolatką. Ale jak ma dodawać Shane'owi otuchy, skoro nie zgadza się z tym, co on robi?

Ponieważ nie miała siły na zerwanie, podjęła innego rodzaju decyzję.

Zgodzi się na propozycję Boba Maine'a. Wróci do Afganistanu i będzie pracować razem ze Scanlonem. Będzie relacjonować wojnę tak jak przedtem i będzie staranniej badać sprawy, żeby się nie pomylić. Zdeklaruje się na pełny rok, a później - jeśli Shane będzie nadal zainteresowany - mogliby znowu porozmawiać i zobaczyć, czy nie przybliżyli się do znalezienia jakiejś wspólnoty poglądów, o którą tak się modliła. Mogliby sprawdzić, czy nie znalazł się już czasem pomost na tyle długi, by pokonać przepaść między nimi.

Tamtego wieczoru znowu spotkali się w parku. Nie chciała iść na kolację. Nie była głodna, a po oznajmieniu mu nowiny i on zapewne straciłby apetyt. Przyszła 10 minut przed nim i usiadła przy stole piknikowym, tam gdzie zwykle siadali. Miała dość czasu, żeby przyjrzeć się niezmierzonej połaci krzewów *mescuite*<sup>5</sup> porastających nagie, suche wzgórza wokół Fallon. Dość czasu, żeby patrzeć, jak para odrzutowców błyskawicznie znikają z oczu w oddali. Jak w ogóle mogła sądzić, że to się może udać?

*Boże... nie pojmuję, jak mogło do tego dojść. Dlaczego pozwoliłeś nam siebie odnaleźć? I jak mogłam sobie wyobrazić, że dam radę żyć tutaj w Fallon?*

Nasłuchiwała, a po chwili przed oczami jej umysłu zaczął wyłaniać się pewien werset z Biblii. *Wasze drogi nie są moimi drogami.*

Rozmawiała kiedyś z Shane'em o tym wersecie. Że Boże drogi są inne niż drogi człowieka. Czy nie o to tu chodzi? Tylko dlaczego Bóg podsunął jej te słowa akurat teraz? Siedziała nieruchomo, obserwując świat wokół siebie. Niedaleko para starszych ludzi spacerowała po brukowanej alejce okalającej park, trzymając się za ręce. Nieco bliżej rodzina z dwójką małych chłopców wesoło spędzała czas na placu zabaw.

*Wasze drogi nie są moimi drogami...*

Czy Bóg chce jej powiedzieć, że jej sposób myślenia jest błędny? Czy tak? Jeśli tak, to jest na to otwarta. *Boże, jeśli się mylę, pokaż mi. Chcę tylko tego, co najlepsze, i dla tego kraju, i dla żołnierzy, i dla ludzi na Środkowym Wschodzie. Jeśli moje drogi nie są Twoimi drogami, to proszę... pokaż mi swoje drogi.*

<sup>5</sup> Krzew mimozowaty *Prosopis glandulosa*.

Uświadomiła sobie nagle, że jej modlitwa bardzo często przewija się przez Biblię. Nie modlitwa o spełnienie jej woli ani o rację po jej stronie. Ale błaganie o mądrość.

Co mówi Biblia? Że mądrość jest cenniejsza niż złoto i srebro, że jest słodsza niż miód i że warto jej szukać z całych sił, czy nie tak? Mądrość to patrzeć na sprawy w sposób jak najbardziej zbliżony do tego, jak widzi je Bóg, pojmowanie ich tak, jak On je pojmuje.

To gotowość przyznania, że ona może się mylić - a może myli się i ona, i Shane - i otwarcie na to, czego Bóg chce ją nauczyć. To jest mądrość. *Dobrze, Boże... Jestem tu, jestem otwarta. Nigdy nie miałam zamiaru ranić Shane'a, nie miałam też zamiaru ranić siebie. Boże, błagam... daj mi mądrość.*

Kiedy skończyła się modlić, spostrzegła, że Shane zajeżdża na parking. Wsiadł z auta i przyszedł do niej, krokiem wolniejszym niż zwykle. „On wie - pomyślała. - Wie, co teraz będzie”.

Usiadł naprzeciwko, opierając ręce o stół.

- Wiesz co? - na jego twarzy była otwartość i bezbronność. Przypomniała jej się ta chłodna zimowa noc, kiedy odwiózł ją do domu, na dzień przed wyprawą jego rodziny do Kalifornii. Przyjechał mając jeszcze nadzieję na jakiś ratunek w ostatniej chwili, rozpaczliwie szukając sposobu, żeby nie musieć się żegnać.

- Co? - znów czuła się jak tamta uczennica, zatopiona w jego oczach. To był jej Shane, mężczyzna, którego szukała przez całe swoje dotychczasowe dorosłe życie.

- Moje serce bije szybciej, ilekroć cię widzę - sięgnął ręką przez stół, a ona zrobiła to samo. Dotknęli się palcami, poczuła ciepło i bliskość. - Przyjechałem, bo chcesz porozmawiać - smutny uśmiech błąkał mu się na wargach. - A ponieważ cię znam, to wiem, że nie będzie to nic dobrego. A jednak - patrzył jej głęboko w oczy - kiedy cię widzę, mam ochotę wołać do niebios. Jesteś tutaj. Naprawdę jesteś, po tylu latach rozłąki.

- Shane... - nie, ona tego nie robi. Spotkać się z Shane'em po to, żeby się z nim pożegnać? Z trudem przełknęła ślinę, patrząc mu w oczy. Dobrze myślała, on wie, co za chwilę nastąpi. A mimo to nie jest zły ani zamknięty w sobie. Otwiera przed nią całe swoje serce. - Nigdy nie będę żałować, że tu przyjechałam. Że przyjechałam za tobą do Fallon.

- Hmmm - ani na chwilę nie przestawał patrzeć jej w oczy. - Ciekawe, czemu nie bardzo podoba mi się ten wstęp?

- Bo... - zwiesiła głowę i wydała dźwięk, który bardziej przypominał płacz niż śmiech. Kiedy podniosła głowę, czuła, że ma już łzy w oczach. - Podziwiam cię, Shane. Nie mówię ci tego wystarczająco często - znów musnęła jego palce koniuszkami swoich. - Poświęciłeś się całkowicie temu, co uważasz za słuszne, takiemu życiu, jakie jest w twoim przekonaniu najlepsze. Większość ludzi - lekko zniżyła ton - przez całe życie nie mogłaby tego o sobie powiedzieć.

- Lauren, ty mnie podziwiasz? - jego słowa były jak pieszczota. Im dłużej będą tak siedzieć, tym trudniej jej będzie. - To właśnie chciałaś mi tutaj powiedzieć?

- Nie - odpowiedziała prędko, współczującym głosem. - Ale to jest prawda. Chyba nie mówiłam ci tego zbyt często. Być może... - machnęła ręką, niezadowolona z samej siebie - być może nie zgadzam się z tobą, a jednak podziwiam cię, że jesteś wierny swoim przekonaniom. Naprawdę.

- Więc dobrze - wyglądał tak, jakby nie miał ochoty zadawać kolejnego pytania. - Dlaczego mnie tu poprosiłaś?

Znów dotknęła dłonią jego dłoni.

- Ponieważ - wstrzymała oddech - rano wyjeżdżam.

Nie mogła już dłużej kluczyć, ukrywać tego, co nieuniknione. Musiała mu powiedzieć, bo gdyby nie zrobiła tego zaraz, przebiegłaby na drugą stronę stołu i padła mu w ramiona, by znów obiecywać coś, czego nigdy nie zdoła spełnić.

- Wyjeżdżasz? Na jakiś materiał?

- Tak... nie - odetchnęła głęboko, a następnie wyjaśniła: - Naczelnicy chce, żebym wracała do Afganistanu, Shane - nagle uczucia wyrwały jej się spod kontroli. Ale przecież to jedyny rozsądny wybór, jedyne rozwiązanie. A nawet jedyny sposób sprawdzenia, czy jej mądrość kłóci się z mądrością Boga, czy nie powinna może pracować nad kompromisem. Przycisnęła palec nad górną wargą i starała się odzyskać panowanie nad sobą. - Wspominałam ci o tym. Prosił mnie o to całe lato.

Nawet jeśli Shane spodziewał się tego, to teraz pobił.

- Wracasz na Środkowy Wschód? - zacisnął mocniej dłonie na jej dłoniach. - Jutro rano?

- T a k .

Czuła się okropnie, zastanawiała się, czy jest przy zdrowych zmysłach. Gdyby 20 lat temu w pogoni za Shane'em nie uciekła do Kalifornii, gdyby nie odwróciła się wtedy od swojej rodziny, wszystko ułożyłoby się inaczej. Wtedy była gotowa szukać go choćby i na księżycu, byle tylko się z nim połączyć. Teraz są nareszcie razem - a ona chce odejść.

- Więc to tak? - wyprostował się i po raz pierwszy tego wieczoru w jego oczach i głosie pojawił się gniew. - Nie dasz mi więcej czasu?

- Shane, gdybym powiedziała ci wcześniej, to bym nie wyjechała. Zmieniłabym zdanie, tak jak zawsze zmieniam, kiedy jestem przy tobie. Wyobrażam sobie wtedy rzeczy zupełnie nierealnie, że moglibyśmy sobie wszystko między sobą poukładać. A przecież nic z tego, co się między nami działo od chwili mojego przyjazdu, nie daje szansy tej nadziei.

Puścił jej rękę, wstał i odwrócił się tyłem. Kiedy byli nastolatkami, był gotowy zamieszkać u któregoś z kolegów lub nauczycieli, byle tylko zostać w Illinois i ożenić się z nią. Był gotów pracować na trzech etatach, tak żeby po skończeniu szkoły mogli zamieszkać razem i wspólnie wychowywać dziecko.



Ale nie miał nic do gadania. Tego lata, kiedy zaledwie tygodnie dzieliły ich od narodzin dziecka, rodzice Shane'a zarządzili przeprowadzkę na drugi koniec kraju. Owszem, obiecywali, że on i Lauren pozostaną w kontakcie, ale to było kłamstwo. Takie samo kłamstwo opowiadali Lauren jej rodzice - że skontaktują się z Galanterami, kiedy tylko tamci urządują się w Kalifornii.

Teraz zdawało się, że historia się powtarza. Shane chciał pracować nad ich relacją, chciał słuchać argumentów Lauren, był gotów skorzystać z pomocy poradni, a nawet na dłużej wyjeżdżać z Fallon.

Ale tak jak przedtem, nie miał nic do gadania.

Skrzyżował ręce na piersi, jego barki były nieruchome, zeszywniałe. Jeśli tamało mu się serce, to w każdym razie nie dawał tego poznać po sobie. Lauren siedziała bezradnie.

- To wszystko moja wina, Shane.

Przeszło obok nich kilka młodych mam, Lauren odczekała, aż odejdą, aby skończyć myśl.

- Nie oczekuję, że to zrozumiesz...

- Że to zrozumiem? - obrócił się do niej i oparł nogę na ławce, w miejscu, na którym przed chwilą siedział. Nachylił się do niej:

- Lauren, nie dałaś mi nawet czasu, żeby złapać oddech, a coś dopiero mówić o zrozumieniu?

- To dlatego, że podjęłam decyzję ostatniej nocy.

Miała ochotę podejść do niego, paść mu w ramiona i tak już zostać. Ale to nie był dobry moment.

- Shane, zastanawiałam się nad tym przez całe lato. Zastanawiałam się, czy do reszty zwariowałam, że chcę cię opuścić, czy raczej jeszcze większym szaleństwem byłoby sądzić, że mogę pozostać.

- Lauren, ja ciebie *kocham* - zacisnął szczęki i otrząsał się z targających nim emocji, które było widać w jego oczach. - Co nasze zdania na temat *wojny* - wypłuło to słowo, jakby było trujące - co one mają do rzeczy? Czy nie ma dość innych tematów, o których możemy rozmawiać? - przejechał dłonią po głowie. - Choćby o latach, które straciliśmy... o naszej roli w życiu Emily. O tekstach, które piszesz, o naszych planach na przyszłość. Możemy rozmawiać o naszej wierze, o tym, jak znaleźć kościół, który będzie dla nas odpowiednim miejscem.

Zaśmiał się krótko, ale nie było w tym wesołości.

- I widzisz, Lauren? Zastanawiałas się kiedyś nad tymi rzeczami?

Kiedy jeszcze mówił, nad ich głowami kolejna para odrzutowców popruła w niebo. Ich dźwięk zatrząsł całym parkiem, a mali chłopcy i ich rodzice spojrzeli z niebo, wyteżając wzrok i uśmiechając się.

Lauren zaczekała, aż dźwięk ucichł. Opuściła ramiona i potrząsnęła głową.

- Shane, ja mieszkam w Mieście Myśliwców. Czasami nie potrafię nawet zebrać myśli z powodu tego nieustannego huku nad głową.

- Więc to koniec? - rozłożył ręce i postawił nogę z powrotem na ziemi. - Spokaliśmy się, pożegnaliśmy się i pójdziemy każde swoją drogą, jakbyśmy się wcale nie odnaleźli?

- Nie - wstała. Obeszła stół naokoło i stanęła przed nim. - Shane, ja od ciebie nie odchodzę. Jadę do pracy na Środkowy Wschód. Na rok, na tyle się zadeklarowałam. I jeszcze jedno - czekała, aż Shane popatrzy jej w oczy. - Poprosiłam Boga, żeby mi pokazał, czy moje poglądy są niewłaściwe albo zbyt sztywne. Czy nie powinnam iść na jakiś kompromis. Poprosiłam Go o mądrość - łzy napłynęły jej do oczu. - Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Jeszcze przez długą chwilę wyraz gniewu nie schodził z jego twarzy. Ale potem wewnętrzne zmaganie najwyraźniej ustało. Wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona.

- Cały rok? A jeśli Bóg pokaże ci to wcześniej?

- To wrócę do domu - popatrzyła mu w oczy i przesunęła palcami po jego twarzy. Potem przytknęła usta do jego ust. Był to pocałunek zrodzony z rozpaczy, tęsknoty i smutku. Kiedy się skończył, oboje mieli łzy na policzkach. - Przyjadę do domu i będę się modlić z całego swojego serca, żebyś tu na mnie jeszcze czekał.

- A tymczasem?

- A tymczasem... będziesz się o wiele mniej denerwował podczas proszonych kolacji.

Uśmiechnął się, ale uśmiech znikł, zanim dotarł do jego oczu.

- Obiecasz mi coś?

Chciała odpowiedzieć - tak, wszystko, o co poprosi. Ale oboje wiedzieli, że to nie byłaby prawda. Przekrzywiła głowę i modliła się, żeby widział, co ona ma w sercu.

- Mogę spróbować.

- Obiecay, że tam na miejscu będziesz mieć oczy otwarte - mówił czułym tonem, wkładając w to całe serce.

- Dobrze.

Była to obietnica łatwa do złożenia. Już wcześniej modliła się o mądrość i choć spodziewała się, że w ciągu roku jedynie umocni się w swoich antywojennych przekonaniach, to obiecała mu, że będzie mieć oczy otwarte. Tyle mogła zrobić.

- Jeśli się myślę, przyznam się do tego.

Jego oczy zrobiły się wilgotne, zamrugał powiekami.

- Ja też.

Przesunęła palcami po jego brwi i wzdłużył policzka.

- Wiem tylko, że jeśli tu teraz zostanę, to nic się nie zmieni.

Skinał głowę.

- Będziesz miała dostęp do Internetu?

- Tak - nie chciała deklorować, że będzie pisać. Życie w Afganistanie i w Iraku - nie wiedziała jeszcze, gdzie ją skierują - wciągnie ją w całkiem inny rytm. Poza tym cierpiałaby jeszcze mocniej, gdyby Shane miał odtąd występować w roli korespondencyjnego znajomego. - Ale nie wiem, jak często będę pisać.

Te słowa zadały mu kolejny cios, widziała, że uderzyły w jakiś czułe miejsce w jego sercu.

- Nie ryzykuj, Lauren. To nie jest żadne bohaterstwo - iść w miejsca, przed którymi żołnierze cię ostrzegają.

- Wiem. I będę nosić kamizelkę i hełm, moje wyposażenie. Będę ostrożna.

Musiała powiedzieć te słowa, tak mówili wszyscy reporterzy swoim rodzicom i bliskim. Tylko że każde z nich znało prawdę. Jeśli tekst będzie wymagał wyprawienia się w jakiś zapalny rejon, Lauren tam pojedzie, jak każdy jej kolega po fachu. Wszyscy oni żyli i pracowali ze świadomością, że są tylko obserwatorami, tymi, którzy mają wychwytywać wydarzenia, a nie kreować je.

Ale odkąd tamtego dnia w sierocińcu Lauren została ranna, nie trzeba jej było już tego tłumaczyć. Że ciągłe zagrożenie to nieunikniony element jej pracy. Wielu dziennikarzy ginęło podczas wykonywania swojej pracy. Mogła tylko obiecać, że będzie bardzo uważać, nic więcej.

- Ej - Shane ujął jej twarz w swoje dłonie. - Czy ja ci kiedyś mówiłem, co sobie pomyślałem tamtego dnia, kiedy zjechałem schodami ruchomymi, poszedłem na stronę bagaży, i zobaczyłem ciebie? Jak stoisz koło Emily?

Uśmiechnęła się, mimo że jej wzrok zamgliliła kolejna fala łez.

- Chyba nie mówiłeś.

- Pomyślałem, że to mi się śni - przyciągnął ją do siebie. - Lauren, bo ja ciebie szukałem przez całe życie. Jeszcze miesiąc przed pierwszym telefonem Emily miałem zamiar się żenić.

- Wiem.

- Ale nie wiesz, dlaczego z nią zerwałem.

Lauren zwlekała, rozkoszując się dotykiem jego ramion obejmujących ją, wiedząc, że długo nie będą mieli okazji tak się obejmować. Może nawet już nigdy.

- Bo chciała być politykiem, prawda?

- Owszem, chciała, ale nie dlatego zerwaliśmy - patrzył gdzieś poza nią, jakby widział te minione dni. - Miałem twoje zdjęcie w swojej górnej szufladzie, takie z czasu, kiedy miałś 17 lat. A nocami, we śnie, wyobrażałem sobie, jak możesz wyglądać teraz, po 20 latach... - urwał. - Kiedy szedłem do miasta, do centrum handlowego albo na siłownię i widziałem z daleka jakąś blondynkę podobną do ciebie, to szedłem za nią.

- Co? - Lauren nie mogła się powstrzymać od śmiechu. - Mówisz poważnie?

- Tak - uśmiechnął się, ale na jego twarzy więcej było smutku niż śmiechu.

- Podchodziłem na tyle blisko, żeby mogła mnie usłyszeć, i wołałem twoje imię. Wtedy ta kobieta odwracała się, a ja już wiedziałem. Że to nie ty.

Zmrużył oczy.

- Ostatnim razem zrobiłem tak w wieczór, kiedy Ellen i ja ogłaszaliśmy nasze zaręczyny.

- Shane, to okropne - miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać zazdrości. Nie znała jak dotąd szczegółów tej historii, ale serce już ją bolało na samą myśl, że mógł być tak blisko innej kobiety. - Jak to było?

- Jechałem windą na górę i parę piętér przed moim piętrem ktoś wysiadał. Otworzyły się drzwi i spostrzegłem blondynkę wyglądającą podobnie do ciebie. Tak mi się przynajmniej wydawało - przesunął kciukiem wzdłuż jej policzka. - Więc wyskoczyłem z windy i pobiegłem za nią korytarzem, aż dobiegłem na basen. Musiałem wyglądać jak jakiś wariat, wbiegłem tam w trzyczęściowym garniturze.

- I co ona na to? - Lauren była mile połechtana, ale zarazem czuła smutek. Jak ona może od niego odchodzić? - Wiedziała, że za nią biegniesz?

- Zatrzymałem się zaraz na początku. Było z nią dwóch nastoletnich chłopców, a jakiś starszy siwowłosy pan podszedł i pocałował ją. Wtedy dopiero miałem okazję zobaczyć jej twarz wyraźnie. I od razu wiedziałem dwie rzeczy. Po pierwsze, że to nie ty.

- A po drugie?

- Że nie mogę się ożenić. Nie mogę, skoro moje serce nie przestało o tym marzyć, nie straciło nadziei, że cię odnajdę.

Przejęła ją ta opowieść. Lauren przycisnęła głowę do jego piersi i przez dłu-gą chwilę słuchała, jak bije jego serce.

- Nie wiedziałam o tym.

- Więc kiedy tamtego dnia zobaczyłem cię na lotnisku, na początku pomyślałem, że to kolejna blondynka, która wygląda jak moja Lauren. Miałem już ochotę podbiec do ciebie i zapytać, czy to ty, kiedy spostrzegłem Emily. Emily jest bardzo podobna do ciebie, a jednocześnie do mnie. Wtedy już wiedziałem. Doczekałem się odpowiedzi na każdą modlitwę, jaką za ciebie zanosilem.

Zamknęła oczy. Na każdą modlitwę - z wyjątkiem jednej. Bo jego modlitwy przypominały jej własne modlitwy i modlitwy Emily. Zakładały, że kiedy już się odnajdą, to jednocześnie odnajdą swoją dawną miłość. Że już nigdy się nie rozstaną.

No a teraz...

Miała mu właśnie powiedzieć, że powinni już iść, że musi jeszcze się spakować przed porannym wylotem. Ale uprzedził ją.

- Chyba lepiej kończmy już.

W jego głosie już coś się zmieniło. Zrozumiała, że Shane próbuje znieczulić się przed bólem, jaki ich czeka. Przed tym, że będzie musiał pozwolić jej odejść. Wpatrywała się w jego oczy i próbowała zapamiętać ten wzrok. Ponieważ mogły czekać na nią mroczne dni, kiedy jedynym sposobem na usłyszenie głosu Boga, zrozumienie Jego mądrości, będzie przypomnienie sobie właśnie tej chwili.

Pocałowali się, a kiedy przerwali, by zaczerpnąć tchu, i jedno, i drugie cicho szlochało.

- Lauren, kocham cię. Pamiętaj o tym zawsze, dobrze?

- Ja ciebie też kocham, mimo że... - zaszlochała dwa razy - mimo że jestem najgłupszą kobietą na świecie, że cię opuszczam.

Jego usta jeszcze po raz ostatni dotknęły jej ust, a kiedy odsunął się od niej, wyglądał jak złamany człowiek. Bezgłośnie wypowiedział słowo „żegnaj” i przez długą chwilę patrzył jej w oczy. Potem odwrócił się i poszedł do samochodu.

Patrzyła, jak się oddala, a im bardziej rósł dystans między nimi, tym czuła się słabsza. W końcu opadła na kolana i przysiadła na piętach. „Shane... nie odchodź... powiedz mi, że nie mam racji! Zmusz mnie, żebym została!”. Chciała wołać za nim, że jeszcze nie jest za późno. Że może jeszcze przemówić jej do rozsądku. Ale nie mogła wydobyć słów. Jakby jej umysł wiedział lepiej niż serce, co powinno teraz nastąpić.

Popatrzył na nią jeszcze jeden ostatni raz i odjechał. Nawet z tego miejsca, gdzie stała, widziała, że płacze. Nie że jego oczy zwilgotniały, że połyka łzy - ale że płacze. I wtedy zrozumiała, że to najtrudniejsza chwila w życiu dla nich obojga.

Co innego żegnać się jako nastolatki, gdy decyzje podejmuje ktoś inny. Ale teraz są już dorosłymi ludźmi, którzy na powrót siebie odnaleźli. Tego wyboru dokonali już sami. A raczej ona go dokonała. I w tym momencie, kiedy potok łez wezbrał w jej sercu i wylał się na policzki, pomyślała, że może jednak Shane ma rację. Że może to wszystko, co wydarzyło się w jej życiu w ostatnim czasie, to tylko cudowny i straszny sen, z którego pewnego dnia oboje musieli się obudzić. I znaleźć się dokładnie w tym samym miejscu co przedtem.

Całkiem sami na tym świecie, niewiedzący, jak potoczyłyby się ich losy, gdyby kiedyś nie musieli się pożegnać.

## *Rozdział 10*

Justin dokładnie zaplanował ich ostatni wspólny dzień.

Żadne z nich nie miało na ten dzień żadnych obowiązków, mogli go spędzić tylko ze sobą. Żałował, że nie będzie mógł być z Emily na święta Bożego Narodzenia, wziął więc trochę zaoszczędzonych pieniędzy i pojechał do jubilera u Tiffany'ego w Pacific Place w centrum Seattle, do sklepu, w którym już parę razy był razem z Emily. Wyszukał coś, co było dla Emily wprost idealne i kto wie, być może nosząc to, łatwiej zniesie rozłąkę?

W powietrzu czuło się już jesień, ale dni były wciąż długie i słoneczne. Emily zapytała, dokąd pojedą, ale nie zdradził niespodzianki.

- Zaufaj mi, w idealne miejsce.

- Wiem - odpowiedziała mu poprzedniego wieczoru. - Tylko szkoda, że to się dzieje tak szybko.

Powiedział wtedy coś zabawnego, żeby rozładować napięcie, i oboje się roześmiali. O wiele lepiej było się śmiać, niż płakać. Ale teraz już nadszedł ten dzień, za parę minut miał po nią wyjechać. Wszystko było już przygotowane i załadowane do jeeпа. Na ostatku, wychodząc z koszar, chwycił jeszcze aparat fotograficzny. Całe lato nie próżnował, robił zdjęcia. To również miało uczynić ten dzień wyjątkowym dniem.

Przed wyjściem został mu jeszcze krótki moment na jedną jedyną rzecz. Usiadł przy biurku i wyjął kartkę papieru kancelaryjnego. Słowa przychodziły mu łatwo. Jak zawsze w jej obecności.

*Kochana Emily...*

Przerwał i przypomniał sobie, jak zaczął się ten cały rollercoaster. W biurze prasowym.

Jeśli idzie o Vondę, nie zmieniło się nic. Gdzieś na początku sierpnia popatrzyła na nich raz, mlasnęła językiem i potrząsnęła głową.

- Posłuchajcie no - wbiła wzrok w Emily. - Przestańcie udawać, że nie jesteście zakochani. Przecież całe biuro o tym wie.

- Ale tu jest miejsce pracy - Emily uśmiechnęła się szeroko. - A w pracy nie ma spoufalania się, czy nie tak?

Vonda machnęła ręką, jakby odganiała natrętą muchę.

- Spoufalanie się? Wy nie potrafilibyście się spoufalić, gdyby nawet zależała od tego wasza podwyżka! - rąbnęła pięścią w stół. - Życie jest zbyt krótkie. Jeśli dwoje ludzi się kocha, to nie wolno tego ukrywać. A właściwie... - z łomotem wyskoczyła zza kontuaru i kiwnęła kciukiem na Justina. - Wstawaj młody człowieku.

Wstał, podśmiewając się pod nosem. Vonda teatralnym gestem przesunęła jego krzesło do wolnego komputera obok Emily.

- Oto pana nowe miejsce pracy - wzięła go za rękę i zaprowadziła do jego krzesła. - O właśnie. W ten sposób nasze gołąbeczki nie będą już musiały bawić się w pozory i będą mogły trzymać się za rączki w dowolnym momencie.

I zdecydowanie kiwnęła głową.

Od tego dnia Justin siedział koło Emily. Tak było lepiej, Vonda miała rację. Bycie w pracy razem z Emily i udawanie, że nie siedzi ona po drugiej stronie pokój, stawało się już niewykonalne. Miłość najpierw go zaskoczyła, a teraz całkiem pochłonęła. Zwłaszcza w pracy, gdzie próbowali skrywać uczucia, oddzielać obowiązki od życia poza biurem.

Wyrzął przez okno, a wspomnienia wciąż przesuwały mu się przez głowę. Jego ostatnim dniem w pracy był piątek, i Emily i Vonda urządziły mu niespodziankę - przyjęcie pożegnalne. Kiedy już miał iść, Vonda ucałowała go w policzek. Potem pomachała mu.

- No już, zjeżdżaj.

Cofnęła się o krok i nagle zamarła, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Jej wyraz twarzy zmienił się. Podbródek zaczął drżeć, do oczu napłynęły łzy. Prześlониła usta dłonią, a po jej policzkach spłynęły dwie strużki łez.

- No patrzcie państwo. Ale ze mnie płaksa.

Wytarła oczy dłonią, złapała go za ramiona i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Justinie Baker... ma pan wrócić, zrozumiano? To rozkaz.

Coś podeszło mu do gardła. Zasalutował.

- T a k jest.

Vonda uściśnęła Emily.

- To ja ci o nim powiedziałam, więc ty teraz módl się tyle, ile trzeba, jasne? Wszyscy musimy się modlić.

Zanim wyszedł, przyłożyła chusteczkę najpierw do jednego oka, potem do drugiego.

- Dobry z ciebie chłopak, Justinie. Ja już widziałam wystarczająco wielu chłopaków, którzy szli na wojnę i nie wracali. Ale ty się do nich nie zaliczasz, zrozumiano? Ten staruszek świat potrzebuje takich jak ty. Mówię serio. Nie rób nic takiego, żeby dać się zabić.

Nie wiedział, jak się zachować. Vonda zawsze była silną kobietą, najbezpieczniejszą, jaką znał. Ale teraz odsłoniła oblicze, o jakim nie wiedział. Uściśnęła ją, a gdy razem z Emily byli już na korytarzu, uświadomił sobie, że nie tylko Vonda płakała. Emily też.

- Ejże - przyciągnął ją do siebie i objął. - Co ty robisz?

- Nie wiem - przycisnęła głowę do jego piersi. - Po prostu chciałam, żeby był już marzec.

- Będzie, będzie, maleńka. Już niedługo.

Choć jednak wobec Vondy, Emily, chłopaków w świetlicy czy nawet rodziców zachowywał pozory twardości, głęboko w środku sam toczył innego rodzaju walkę. Walkę ze strachem. Przed pierwszym wyjazdem do Iraku nie miał nic do stracenia. Chciał wypełnić swój obowiązek, walczyć za bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i przyczynić się do sukcesu tej wojny. Wyjeżdżając wtedy, wyjeżdżał całym sercem i duszą, i umysłem.

Teraz było inaczej.

Spojrzał na kartkę przed sobą i spróbował ponownie.

*Kochana Emily,*

*Nie mieści mi się w głowie, jakie niezbrane światy otworzyłaś przede mną tego lata. Wydarzyły się rzeczy, o których nawet nie śniłem, a...*

Słowa płynęły swobodnie, jakby stała tuż obok i jakby korzystał z ostatniej szansy, żeby wyznać jej wszystko, co czuje. Skończył pisać, złożył kartkę i schował ją do koperty. Gotowe. Teraz może już iść. O niczym nie zapomniał.

Tak, trochę się boi. Ale będzie musiał z tym żyć. Ponieważ Emily jest warta jego tęsknoty. I będzie tęsknił. Każdego dnia na pustyni, bez względu na wszystkie ważne zadania, będzie za nią tęsknił.

A pewnego dnia, już niedługo, wróci do domu i jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, to już nigdy - aż do śmierci - nigdy więcej jej nie opuści.



## *Rozdział 11*

W ten dzień Emily uzbroiła się w całą swoją odwagę. Przygotowywała się do niego podczas modlitwy, pisania dziennika i długich spacerów po kampusie, przeznaczonych na myślenie. Po powrocie matki na Środkowy Wschód wydawało się, że jej świat wymyka się spod kontroli. A teraz jeszcze to - ostatni dzień z Justinem. Kiedy zbudziła się tego ranka, łzy spływały jej po policzkach, jeszcze zanim zdążyła wstać z łóżka.

Rodzice zawiedli. Jasne, powiedzieli jej, że pewnego dnia może spróbują jeszcze raz. Może kiedyś. Ale marzenie o ich ślubie zostało przekreślone. A jednak dzisiejszy dzień był jeszcze cięższy. Justin wyjeżdżał. Nie mogło być nic smutniejszego niż to.

Przyjechał po nią wczesnym popołudniem, a kiedy usiadła obok niego w jeepie, poczuła, że jest między nimi teraz coś innego, smutek, na który żadne z nich sobie nie pozwalało - aż do tego dnia.

- Mam dla ciebie parę niespodzianek - uśmiechnął się szeroko, kiedy wyjeżdżali z miasteczka uniwersyteckiego i wjeżdżali na autostradę. Miał na sobie mundur galowy, nigdy jeszcze nie wyglądał tak przystojnie.

- Ja też. Dla ciebie - odwróciła wzrok na drogę. Za bardzo ją bolało patrzeć na niego, wyobrażanie go sobie z wybrudzoną twarzą i w zabłoconych butach, służącego na linii frontu, kopiącego drzwi. Było jej ciężko na sercu i tak już

pozostało do chwili, aż zajechali na parking w nadbrzeżnej dzielnicy Seattle. Roześmiała się, bo inaczej łzy popłynęłyby aż nazbyt obficie.

- To samo miejsce? - wsunęła torebkę na ramię. - Zabierasz mnie w to samo miejsce co na pierwszej randce?

- Tak jakby - zarzucił na ramię swój plecak i wziął ją za rękę.

Nawet powietrze wydawało się takie samo jak wtedy za pierwszym razem. Mijali turystów i ogorzałych rybaków dźwigających wiadra i wędkę. Wokół rozbrzmiewał chór mew, a wzrok Justina co jakiś czas spotykał się z jej wzrokiem, kiedy tak szli spacerem. Rozkoszowała się widokami i aromatami, wdychając je. Zapamięta ten dzień na zawsze. Kiedy dotarli do wody, nie zabrali jej do restauracji, w której byli za pierwszym razem, ale do Przystani 55, gdzie trzypoziomowy statek wycieczkowy akurat przyjmował pasażerów na pokład.

- Justin, czy ty sobie żartujesz? - stanęła jak wryta, patrząc na statek. - Zabierasz mnie na wycieczkę?

- Tak, no tak - potarł się pięścią w ramię. - Wyspy Bahama wydały mi się zbyt odległe jak na popołudniową przejażdżkę, więc, no wiesz... - uśmiechnął się szeroko - ostatecznie przystałem na coś takiego.

Słyszała już od kilku kolegów z uczelni, że popołudniowe rejsy wycieczkowe po Zatoce Elliott i Cieśninie Puget są warte swojej ceny. Idealne miejsce na romantyczną randkę. Tylko że ona i Justin musieli polować na każdą wolną chwilę pośród swoich licznych zajęć. Choć bywały rejsy krótsze, większość trwała dłużej i słono kosztowała.

Zanim weszli na pokład, Justin zagaił jakieś starsze małżeństwo spacerujące po nabrzeżu.

- Bardzo proszę... czy mogliby państwo zrobić nam zdjęcie?

Nieznajomi rozpromienili się. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Ależ oczywiście, młody człowieku.

Zanim wziął od Justina aparat, uściśnął mu dłoń.

- Dziękujemy za tę dobrą robotę, jaką wykonujecie dla naszego kraju.

Emily o mało nie pękła z dumy. Justin naprawdę robił dobrą robotę. Nawet ten wyjazd do Iraku świadczył o tym, jaki z niego człowiek i jakim człowiekiem będzie kiedyś.

- Dziękuję, sir - Justin wziął Emily za rękę i przesunęli się o parę kroków, tak żeby stanąć na tle statku. - Jeśli jest już pan gotowy, to można robić.

Zanim mężczyzna zrobił zdjęcie, jego siwowłosa żona nachyliła się w ich stronę i uśmiechnęła się:

- Ojej, ależ z nich cudowna para! Całkiem jak ty i ja w ich wieku.

- Tak wyglądaliśmy jeszcze godzinę temu - na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech, a potem starszy pan spojrzął na nich. - No to... raz, dwa i... trzy! - zrobił zdjęcie i podał aparat Justinowi. - Pewnego dnia, jak już będziecie

tacy starzy i siwi jak my, popatrzycie na to zdjęcie i zrozumiecie, jak szybko płynie czas. Tak, tak, kochani! - pomachał palcem w nadmorskim powietrzu i uśmiechnął się. - Cieszcicie się każdą chwilą!

- Dziękujemy. Tak zrobimy, proszę pana - Justin pomachał im i obrócił się do Emily. - Mądra rada.

Była w stanie tylko skinąć głową. Czy ten człowiek zdawał sobie sprawę, jak trafne są jego słowa i jak bardzo na czasie?

Weszli na pokład. Pierwsza godzina upłynęła im na lunchu - jedli kurczaka z rożna. Potem poszli wyżej i znaleźli ławkę na uboczu, w miejscu, gdzie widoki wprost zapierały dech. Cudownie było wdychać oceaniczne powietrze, a statek zaprojektowano tak, żeby nie wiało zbyt mocno.

- Ja już dłużej nie będę czekać - postawił swój plecaczek obok siebie i zaczął go otwierać.

- Zaczekaj - położyła dłoń na jego dłoni. - Najpierw ja. Proszę.

Uśmiechnął się do niej szeroko, a blask słońca na falach sprawiał, że jego oczy wydały się jeszcze bardziej zielone niż zwykle. Wyprostował się.

- No dobrze. Więc ty.

Serce jej waliło. Nigdy nie była mocna w prezentach, ale o tym jednym myślała usilnie i od dawna. Wyciągnęła z torby pakunek i podała mu.

- Proszę.

Miał zdziwioną minę.

- Ej... nie wiedziałem, że to o to ci chodzi - wsunął palce pod papier i po kilku sekundach już wiedział, co to jest. - Album ze zdjęciami? Naprawdę, Em?

Pracowała nad nim co wieczór, w czasie, kiedy normalnie już byłaby w łóżku. Nawet trener spostrzegł, że na boisku nie ma w niej tyle werwy co zwykle. Kilka tygodni wcześniej poprosiła Justina o odbitki wszystkich ich zdjęć, tych, które tak wytrwale robił przez całe ich wspólne lato.

Zapisał wszystkie na CD, a ona zamówiła dwa komplety odbitek. Jeden dla siebie, jeden dla niego. W tej chwili cały ten wysiłek wydał jej się bardziej niż wart zachodu.

- Twoja mama mówiła, że lubisz oglądać albumy.

- Rozmawiałaś z moją mamą? - przejechał palcami po okładce oklejonej czerwonym lnem i po zdjęciu pośrodku, zrobionym przez kogoś im obojgu po jej mistrzowskim meczu.

- Mhm. Wtedy, kiedy pojechaliśmy wyprowadzić Bustera na spacer - parsknęła śmiechem. - Tajemnice to moja specjalność.

- Na to wygląda - popatrzył na nią. - Właściwie to sam nigdy nie zrobiłem żadnego albumu. Tylko robię zdjęcia. Mamie wysłałem chyba tonę z poprzedniej zmiany w Iraku, a ona je powklejała. Potem dała mi ten album na ostatnią Gwiazdkę - jego uśmiech przybladł. - Najlepszy prezent, jaki od niej dostałem.

- Tak mi powiedziała.

- W głowie mi się nie mieści... - otworzył album i przejrzał go, czytając jej podpisy pod każdym zdjęciem i nie mogąc wyjść z podziwu, ile czasu poświęciła, przyozdabiając każdą stronę i wymyślając tytuł dla każdego zestawu zdjęć. Były zdjęcia z ich spacerów nad Cieśniną Puget i to, które zrobił Bo z ich pierwszej wspólnej gry w kosza w tamten pierwszy dzień w świetlicy. Zdjęcia ze spaceru z Busterem i z pracy w biurze prasowym.

Pod tymi ostatnimi napisała: *Przyjemniaczek co się zowie!*

Potem zobaczył kolejne zdjęcie, na którym Vonda chyłkiem stanęła za nimi. Emily podpisała: *Vonda wiedziała wcześniej niż my. A Vonda nigdy się nie myli.*

Były ich wspólne zdjęcia z rodzicami, zrobione w ów weekend, kiedy odbywał się turniej piłkarski, i jedno Justina w świetlicy dla młodzieży, i jeszcze jedno, jak gra w karty z grupą weteranów wojennych.

*Justin* - napisała tam Emily - *zawsze będziesz moim bohaterem. Ale zawsze będziesz także ich bohaterem.*

Powoli, kartka za kartką, oglądał. Na ostatniej stronie było ich wspólne zdjęcie, zrobione pod koniec wycieczki u podnóży Gór Kaskadowych na wschód od Tacomy. *Justinie Baker, o jedno cię proszę* - napisała pod fotografią. - *Żebyś ilekroć się potknę, zawsze mnie złapał.*

Kiedy skończył, popatrzył na nią. Oczy mu błyszczały.

- Będę to nosił ze sobą wszędzie.

- Bardzo dobrze - zrobiła album z leciutkiego papieru, starając się nadać mu wystarczająco mały rozmiar, żeby zmieścił się w jego plecaczku. - A ile razy będziesz go oglądał, pamiętaj, że o tobie myślę, że modłę się za ciebie.

Odwróciła na ostatnią stronę i pokazała kopertę przyklepioną tam taśmą.

- W środku jest list. Ale wolno ci go przeczytać dopiero w Iraku.

- Jak... - z trudem przełknął ślinę, a na jego policzek spłynęła łza. - Jak ja zdołam się z tobą dzisiaj rozstać?

- Nie wiem - przycisnęła dłoń do oczu i próbowała powstrzymać napływ łez. - Jak wpadniesz na jakiś pomysł, to mi go zdradz.

Oboje się roześmiali, napięcie zostało na moment rozładowane. Dzień był przesłizny i - wyjąwszy tę półroczną zmianę w Iraku - nie mieli żadnych powodów do smutku. Justin zawiązał album z powrotem w papier i wsunął do plecaczka. Potem popatrzył jej w oczy.

- Moja kolej.

Jakoś nie zastanawiała się wcześniej, co też mógłby dla niej przygotować. Całą energię włożyła w szykowanie albumu, kompletowanie jego zawartości i wiarę w to, że w jakiś sposób - w tamtym całkiem innym świecie - da mu on siłę i determinację, żeby przetrwać, zachować ostrożność, wrócić do domu cały i zdrowy.

Teraz jednak zastanawiała, co on przygotował dla niej. Złapała się krawędzi ławki i patrzyła, jak wyjmuje z plecaczka małe ozdobnie opakowane prostokątne pudełeczko.

- To na początek.

- Justin... - nie potrafiła uspokoić walącego serca. Obawiała się, czy nie mdleje z tej mieszaniny radości i nieuchronnego smutku. Ostrożnie odwinęła papier i podniosła obite aksamitem wieczko. A w środku na udrapowanej satynie leżała bransoletka z białego złota z wisiorkiem w kształcie serduszka. Zaparło jej dech, z trudem wydobyła głos.

- To jest... śliczne.

- Przeczytaj - wskazał na serduszko.

Wyjęła bransoletkę z pudełka i przyjrzała się jej uważnie. Na jednej stronie serduszka delikatnie wygrawerowano: *Justin i Emily*. A na drugiej: *Księga Rodzaju 29*.

Od razu sobie przypomniała. Ten werset z Biblii, który przeczytał jej w tamten dzień, kiedy dowiedział się o dacie wyjazdu. Od tamtej pory dopisywał go nieraz na końcu liścików do niej: *Rdz 29*.

Jeszcze raz spojrzała na wygrawerowane słowa, próbując je dojrzeć przez łyżę.

- Mówiłem poważnie tamtego dnia, kiedy to tobie pierwszy raz przeczytałem - oparł głowę o jej głowę, a mówił tak cicho, że ledwie go słyszała na tle szumu statku. - To prawda, Em, wyjeżdżam na pół roku, ale cały czas będę harował ze świadomością, że każdy kolejny wieczór to jeden dzień bliżej do domu i do ciebie.

Głos uwiązał jej w krtani. Cała się trzęsła, owładnięta uczuciem, którego dotąd nie знаła. Podała mu bransoletkę i wyciągnęła rękę, żeby ją nałożył. Kiedy już bransoletka znalazła się na jej przegubie, spojrzała na nią, podziwiając blask na tle opalanej skóry.

- Nigdy jej nie zdejmę.

- Bardzo dobrze - wyprostował się i znów sięgnął do plecaczka. Tym razem pudełko było dłuższe, ale zapakowane w ten sam sposób. - To jest jeszcze ważniejsze.

Odwinęła papier i otworzyła. W środku leżał najdelikatniejszy na świecie naszyjnik z białego złota, pasujący do bransoletki. Na środku widniało również maleńkie serduszko.

Wziął go delikatnie z jej dłoni i założył jej na szyję.

- Należało do ciebie już od dawna - zamknął zapięcie i przesunął naszyjnik tak, żeby serduszko było pośrodku. - A to jest po to, żebyś o tym wiedziała na pewno - spojrzął jej w oczy. - Emily, moje serce należy do ciebie. Będzie do ciebie należało już na zawsze.

Radość, smutek, tęsknota i niedowierzanie zmieszały się w jedno i wirowały w jej duszy. Serce Justina Bakera należy tylko do niej. Dotknęła naszyjnika, a potem przesunęła palce po jego twarzy.

- To jest cudowne.

- Tak jak ty - pocałował ją, a kiedy skończył, jego oczy błyszczały z radości. - I jeszcze jedno.

- Justin, ty mnie rozpuszczasz - nie potrafiła ogarnąć tego, jak bardzo mu na niej zależy.

- W sumie to nasze Boże Narodzenie - jeszcze raz sięgnął do plecaczka i wyciągnął spory okrągły pakunek. - Proszę bardzo. Tym razem coś bardziej praktycznego.

Roześmiała się. Kiedy otwierała ten ostatni prezent, poczuła, jak serduszko na bransoletce delikatnie brzęczy. W pakunku znajdował się kubek podróżny z kawiarni Starbucks, wielki, mieszczący naprawdę dużą porcję napoju. Ozdabiał go kolaż z ich zdjęć, tych samych, które wykorzystała w albumie. Justin rozmieścił je na przestrzeni wielkości kartki papieru, różne rozmiary, większe i mniejsze, wydrukował i wsunął do obudowy z tworzywa.

- Wiem, jak kochasz swoją kawę - ucałował ją. - W ten sposób będziesz pamiętać, że kiedy ty pijesz kawę, ja tam w Iraku piję coś przypominającego bardziej błoto. I marzę, żeby być tu z tobą.

Przeglądała się zdjęciom, zanurzając się w ciąg wspomnień, jakie w niej budziły.

- Cudny.

- Ty jesteś cudna - objął ją w talii i przysunął się bliżej, całując ją tak, jak o tym marzyła. Minęło zaledwie kilka sekund, gdy cofnął się nagle i strzelił palcami. - No tak, byłbym zapomniał - sięgnął ponownie do plecaczka i wyjął kopertę. - Napisałem to dla ciebie. Ale wolno ci przeczytać, dopiero jak wyjadę.

Wzięła kopertę i przycisnęła ją do serca.

- To chyba znaczy więcej niż wszystkie pozostałe prezenty - wsunęła kopertę do torby, zaraz koło kubka.

I nagle nie pozostało im już nic, jak tylko się pożegnać. Wziął ją za rękę i partrył w oczy.

- Jak twój tato?

- Smutny.

- Mogę się założyć.

Popatrzył na wodę.

- A mama?

- Ma mnóstwo roboty. Przenoszą cały zespół „Time'a” do jakiejś kwatery w Iraku - zachmurzyła się. - Może gdzieś tam ją spotkasz.

Na ten temat przegadali już długie godziny. Matka zadzwoniła do niej z lotniska w dniu wyjazdu na Środkowy Wschód.

- Skarbie, musiałam ci powiedzieć przed wyjazdem. Wracam do Afganistanu, będę znowu pracować jako korespondent wojenny.

Emily przeżyła szok. Równie dobrze matka mogłaby powiedzieć, że przeprowadza się na Biegun Północny.

- Ale... ty i tata... przecież w grudniu ślub.

- Nie, Emily. Ślubu nie będzie. W każdym razie nie w tym roku - matka westchnęła. Emily nie była pewna, ale brzmiało to tak, jakby płakała. - Muszę znowu zobaczyć wojnę na własne oczy, być tam, doświadczyć jej. Pisać o niej - zakasłała. - Może dojdę do wniosku, że pomyliłam się w ocenie naszego zaangażowania tam. A może... - zawahała się i dodała spiętym głosem - może dojdę do wniosku, że pomyliłam się, sądząc, że wszystko sobie z tatą ułożymy.

Emily błagała ją, żeby zmieniła zdanie.

- Mamo, nie. Wracaj do domu i przemyśl to. Nie pamiętasz swojego pamiętnika? Tego wszystkiego, co czułaś do taty? Nie pamiętasz? Nie możesz się teraz poddać. I co w tym wielkiego, że się z nim nie zgadzasz?

Ale było już za późno. Matka podjęła decyzję. Ten telefon to była jedynie grzeczność z jej strony. Chciała powiedzieć o tym Emily osobiście, a nie czekać, aż zrobi to Shane.

Emily zadzwoniła do ojca, ledwie rozłączyła się z matką. Nie potrafiła dłużej wstrzymać się od płaczu, nie pojmowała, co się stało, i zupełnie nie wiedziała, co z tym zrobić.

- Tato... powiedz, że to nieprawda.

Zaczekał, aż Emily się trochę uspokoi, a potem powiedział, że owszem, to prawda.

- Emily, mama musi się zastanowić nad wieloma rzeczami. Może zresztą ja też. Módl się za nas. Tak naprawdę żadne z nas tego nie chce.

Później szczegółowo opowiedziała Justinowi o wszystkim, zwierając się, jaka jest załamana i jak bardzo czuje się bezradna.

Rzuciła okiem na wody oceanu. Na plecach czuła lekkie wibracje silnika statku.

- Przedtem zawsze wiedziałam, że mogę coś zrobić. Na przykład, że moim zadaniem jest odnaleźć rodziców i połączyć ich na nowo.

Popatrzyła na niego.

- Ale teraz... teraz to już ich decyzja. Jej decyzja. Bez względu na to, czego pragnę, oni sami muszą między sobą wszystko uporządkować.

Justin przytulił ją i gładził po plecach.

- Muszą to sobie przemyśleć. Szczególnie twoja mama - rozluźnił uścisk, ale nadal obejmował ją jedną ręką za ramiona. - Bóg ma dla nich jakiś plan, tak jak ma plan dla każdego z nas. Jeśli ten plan obejmuje ich wspólne życie, to na pewno do tego dojdą.

Pocałował ją.

- Będę się o to modlił, zgoda?

Trzy mewy zanurkowały tuż obok burty statku, a potem uniosły się znad wody w stronę cieśniny. Emily patrzyła, jak odlatują, i coś się jej przypomniało. Nie pokazała Justinowi stronic z pamiętnika matki, tych, które ukazywały, jak bardzo rodzice się kochali. Tydzień wcześniej skserowała te kartki i włożyła je

do torebki, z myślą, żeby mu je pokazać. Przypomniała sobie o tym dopiero teraz.

- Zaczekaj - wzięła torebkę i poszperała w jednej z bocznych przegródek. - Byłabym zapomniała.

- Co takiego? - w jego głosie brzmiała jakaś rozpacзлиwa świadomość. Zostało im zaledwie parę godzin.

- Pamiętnik mojej mamy. Miałam ci go pokazać, pamiętasz? - wyciągnęła z torebki złożone kartki. - Mnie wystarczy tylko na nie spojrzeć, a już wiem, że oni muszą być razem.

Oparł się ramieniem o burtę.

- Czytaj.

Uśmiechnęła się. Również to podobało jej się w Justinie. Łatwość rozmowy z nim. Przebiegła stroną wzrokiem i odnalazła ulubione miejsce.

- Napisała to w pierwszej klasie liceum. Na wiosnę 1985 roku.

Zawahała się, po czym spokojnym głosem zaczęła czytać.

- „Shane i ja rozmawialiśmy o miłości. O prawdziwej miłości. Oboje uważamy, że to bardzo dziwne, że nasi rodzice nie rozumieją, co do siebie czujemy” - uśmiechnęła się do Justina.

- Rodzice nigdy się nie zmieniają - zażartował.

- Ano nie - odszukała miejsce, gdzie przerwała, i czytała dalej. - „Traktują nas tak, jakbyśmy byli parą dzieciaków niemających żadnego pojęcia o tym, co to miłość. A czego się nauczyłam, odkąd jestem z Shane'em?” - przygryzła wargę, próbując przyhamować wezbranie uczuć. - „Prawdziwa miłość w V klasie czeka w śnieżycy na twoim ganku, żebyście mogli iść razem do szkoły. W VII klasie przynosi ci baton czekoladowy, kiedy się przewracasz i przybiegasz na metę ostatnia podczas turnieju.

„Prawdziwa miłość w samym środku lekcji algebry szepcze coś o twoim różowym lakierze do paznokci, tak że nawet podczas matematyki nie przestajesz się uśmiechać, i przez całe liceum w piątek trzyma dla ciebie miejsce w stołówce. Nawet jeśli wszyscy inni baseballiści uważają cię za głupią” - Emily roześmiała się i spotkała się wzrokiem z Justinem.

- Twoja mama już wtedy nieźle pisała.

- Owszem - zignorowała łzę spływającą po jej prawym policzku. - „Prawdziwa miłość ma czas słuchać o twoich nadziejach i marzeniach, kiedy rodzice są za bardzo zajęci komitetem rodzicielskim, klubem dobroczynnym albo biznesem w banku. Prawdziwa miłość zostaje w sobotę do późna i robi z tobą ciasteczka czekoladowe, posypuje cię mąką, wrzuca skorupki do miski z białkami i dba o to, żebyś zapamiętała ten wieczór do końca życia. Prawdziwa miłość myśli, że jesteś ładna, nawet gdy masz włosy związane w koński ogon i nie stoisz prosto - głos jej się załamał, i przerwała na chwilę, a potem dokończyła. - Prawdziwa miłość to to, co jest między mną a Shane'em. Chciałam tylko tyle powiedzieć”.



- Hmmm - Justin znów objął ją ramieniem. - To jest piękne.  
- No właśnie - starła łzy, złożyła kartkę i włożyła ją z powrotem do torebki.  
- Czasami się zastanawiam, ile to już czasu minęło, odkąd mama czytała swoje własne słowa.

- Mogłabyś jej to wysłać - pogładził ją po ramieniu. - Skseruj i włóż w kopertę.

- Prawda - nie pomyślała o tym dotąd. Kiedy minionej zimy odnalazła matkę, dała jej całe pudło jej opowiadań i pamiętników. Ale wątpiła, czy matka miała czas na ich lekturę w taki sposób, jak to zrobiła ona sama - linijka po linijce - jeszcze wtedy, kiedy nie była wcale pewna, czy odnajdzie matkę. Podniosła wzrok na Justina. - Chyba tak zrobię. Może to coś pomoże?

- Słusznie.

Wstał i podszedł do barierki. Wyciągnął do niej rękę. Chwycała ją i stanęła przy nim.

- Woda jest taka ciemna.

- Podobna jest w Kelso - uniósł głowę, a oceaniczna bryza owiała mu twarz.  
- Kiedy byłem dzieckiem, tata zabierał mnie na ryby nad ocean. I zawsze powtarzał mi to jedno: „Wchodź nie dalej jak do kostek, synku. Na północno-zachodnim wybrzeżu woda jest głęboka”.

- Podoba mi się to, co łączy cię z rodzicami. Jesteście sobie tacy bliscy.

Oparli łokcie o barierkę. Emily spostrzegła swoją nową bransoletkę. Powiedziała mu prawdę. Nie ściągnie jej, w każdym razie do czasu, aż on wróci. I będzie się modlić o jego szczęśliwy powrót.

- Będę za nimi tęsknił. I za siostrą - obrócił głowę i spojrział na nią. - Ale nie tak bardzo jak za tobą.

Nie chciała jeszcze o tym rozmawiać.

- Opowiedz mi o Kelso. Jak się tam mieszkało?

- Zupełnie inaczej niż w Wheaton - uśmiechnął się szeroko. - Tak sobie przynajmniej wyobrażam.

- W Wheaton jest przyjemnie, ale ono zawsze pozostanie przedmieściem Chicago. Poczucie, że mieszkasz w wielkim mieście, nigdy cię nie odstępuje.

- Kiedyś marzyłem o takim miejscu - zaśmiał się. - Ale już w liceum zacząłem dostrzegać uroki mieszkania w małym miasteczku. Że na przykład nauczyciele mają wśród swoich uczniów dzieci swoich dawnych uczniów sprzed 20 lat.

Umilkł na chwilę.

- Te parady i gminne pikniki. A kiedy się tam mieszka przez całe życie, to trudno po drodze do spożywczego nie spotkać przynajmniej dziesięciu znajomych.

- Coś podobnego - Emily spodobał się ten pomysł. - Pewnie zgotowali ci uroczyste pożegnanie, kiedy się zaciągnąłeś.

- Żebyś wiedziała. Kiedy rodzice urządzili mi przyjęcie pożegnalne w sali Związku Kombatantów<sup>1</sup>, zjawiła się połowa miasta - wyglądał tak, jakby widział to oczyma wyobraźni. - Kelso to właściwie miasto robotnicze. Mnóstwo ludzi pracuje w stoczniach, w budownictwie. Ale mają w sobie tyle dumy narodowej jak rzadko kto.

- To mi się podoba. Że amerykańscy robotnicy są tak patriotycznie nastawieni. W sumie to przecież oni są solą tego narodu. Solą i siłą.

Zrobiło jej się chłodno na wietrze. Przybliżyła się do Justina, tak że stykali się ramionami.

- To było widać podczas ostatnich wyborów. Ludzie z małych miasteczek, które tak naprawdę są kręgosłupem tego państwa, opowiadali się za wartościami rodzinnymi i za siłą militarną państwa.

- Mhm. Moje rodzinne miasteczko tym razem też będzie mnie wspierać, tak jak ostatnio. Pozawiażują żółte wstążki na drzewach, będą machać flagami. Takie rzeczy.

Przez głośnik rozległ się głos kapitana. Oznajmiał, że za pięć minut przybiją do przystani. Emily popatrzyła na Justina. Kolejne przypomnienie, że ich chwile są policzone.

- Kiedyś zabiorę cię na prawdziwy rejs - obrócił się tak, że stali teraz twarzą w twarz. Byli ciągle sami na pokładzie, próbując zatracić się w tej chwili, tak jakby mieli przed sobą całą wieczność, a nie tylko pięć minut. - Popłyniemy w ciepłe miejsca, gdzie woda jest płytka i przejrzysta, i jasnolazurowa.

- Brzmi cudnie - popatrzyła na niego i wsunęła stopy między jego stopy. - Ale tu też było cudnie - uśmiechnęła się nieśmiało. - Dziękuję. Za wszystko.

Objął ją w talii i przytulił mocniej niż zwykle.

- Tak bardzo bym chciał mieć jeszcze tydzień. Choćby tylko jeden dzień.

Objęła go za szyję.

- A ja nie. Niech się już skończy te pół roku. Im szybciej, tym lepiej.

Jakieś 50 metrów od nich przemknęła motorówka, a grupka płynących nią mężczyźn zaczęła gwizdać w ich stronę.

- Hej ty! - krzyknął jeden. - Dalej, na co czekasz!

Justin uśmiechnął się i potarł nosem o jej nos.

- No tak - jęknął cicho. - Tego też bym czasem bardzo chciał.

Poczuła, jak się czerwieni. Zrozumiała, co miał na myśli i co mieli na myśli mężczyźni w motorówce. Jej uczucia do niego niosły ją do miejsc, o których wiedziała, że lepiej trzymać się od nich z daleka.

- Nadejdzie taki dzień.

- Wiem - pocałował ją, przesuwał ustami po jej ustach w sposób, który miała pamiętać jeszcze długo po jego wyjeździe nazajutrz. Kiedy się wyprostował, nie potrafił ukryć namiętności w swoich oczach. - Nadejdzie taki dzień.

Poczuł lekkie szarpnięcie - to statek przybił do brzegu. Znowu odezwał się kapitan, dziękując pasażerom za udział w rejsie i prosząc o bezpieczną jazdę z powrotem.

Justin roześmiał się i cofnął się o krok.

- No, to chyba sygnał dla nas.

Jej ciało pragnęło być blisko niego, przylgnąć do niego. Ale Bóg już wcześniej starał się chronić ich przed błędnymi decyzjami - i dziś było podobnie. Wzięli się za ręce i zeszedli na ląd. Była dopiero czwarta po południu i następne dwie godziny spędzili, spacerując po Pike Place Market, zaglądając do sklepików i uśmiechając się do nieznajomych spotykanych po drodze. Do mężczyzny żonglującego surową rybą, do dziewczyny w zwiewnej sukni, z opaską na oczach grającej na harfie.

- Czegoś takiego byś w Wheaton nie uświadczył! - roześmiała się i wzięła go pod rękę.

Godziny płynęły szybko, a zanim stamtąd odjechali, zabrał ją jeszcze do tej samej restauracji, w której byli na swojej pierwszej randce. Nawet poprosił o ten sam stolik przy oknie.

Po kolacji odwiózł ją do PLU i zaparkował samochód. Oboje wiedzieli, że następna godzina nie upłynie ani szybko, ani łatwo. Poszli do swojego ulubionego miejsca - na ławkę przy alejce biegnącej od jej akademika. Z jednej strony osłaniał ją krzaczasty żywopłot, po drugiej stronie rozciągała się łąka i rosły drzewa iglaste. Ilekroć tam siadali, wiedzieli, że są całkiem sami.

Znowu obejrzelijego nowy album ze zdjęciami, a ona znowu zachwyliła się kubkiem, który jej podarował. Słońce zaszło przed dziewiątą. Kolejne pół godziny spędzili na pocałunkach i na słodkich wspomnieniach każdej szczęśliwej chwili spędzonej razem minionego lata.

W końcu przyszedł czas rozstania. Jego samolot odlatywał o szóstej rano, co oznaczało, że musi opuścić koszary już przed czwartą. Dowódcy zarządzili, że grupa odlatujących ma być w łózkach najpóźniej o wpół do jedenastej. Jego rodzina miała go odebrać i odwieźć na lotnisko, i pożegnać się z nim w te ostatnie godziny spędzone w Tacomie. Ale dzisiejszy wieczór należał tylko do niej.

Podprowadził ją do schodów i stojąc w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich widzieć, wziął ją w objęcia.

- To dopiero było lato, co?

Jej serce waliło. Czuła się jak na Titaniku, kiedy pokład przechyliła się i nie można już na nim stać, nie można uniknąć spadku w lodowate wody w dole.

- Justin - trzymała się go kurczowo, łaknąc tego uścisku jego ramion. I nagle ujrzała go, skulonego pod jakimś rozwalonym murem, a nad jego głową

świszczały serie z karabinów. - Proszę! - jej głos brzmiał jak krzyk rozpaczny.  
- Nie jedź. Nie zostawiaj mnie.

- Maleńka... - przejechał dłońmi wzdłuż jej pleców, a potem po ramionach, po czym odsunął się trochę i popatrzył jej w twarz. - Wróć. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

- Nie mów tak - potrząsnęła głową, przerażona uczuciami, które piętrzyły się naokoło niej niczym walące się góry. - Nie możesz tego obiecać.

- Ale ja w to wierzę - przesunął dłonią po jej twarzy, jego dotyk był jak aksamit. - Już raz tam byłem, zapomniałaś?

Przylgnęła do niego, a każde uderzenie serca zdawało się jednym uderzeniem zegara, odmierzającym ostatnie wspólne minuty. Łzy pojawiły się w jej oczach i spłynęły na policzki.

- zabierz mnie... zabierz mnie z sobą. Wszędzie, dokąd jedziesz... ja też chcę tam być.

- Chciałbym, ale to niemożliwe - całował jej łzy, każdą wypływającą spod jej powiek. - Masz moje serce - ujął w dłoń jej naszyjnik i małe serduszek. - Nie zapominaj o tym.

Wtedy wstrząsnęły nią spazmy szlochu. Nie chciała tego, nie chciała się zatać do chwili, aż będzie już sama w pokoju. Jeśli go teraz nie puści, jeśli będzie się go tak trzymać i nie pożegna się z nim teraz, to może on spóźni się na samolot i zmieni zdanie. Może wcale nie jest w Iraku aż tak bardzo potrzebny. Przecież potrzebują go i weterani, i dzieci w szkole, i młodzież ze świetlicy. I Buster.

I ona.

- Wiesz co? - ucałował kolejną łzę. - Raz na jakiś czas, gdybyś miała wolny dzień, może podjechałabyś do Kelso i wyprowadziła starego Bustera na spacer? Powiedz mu, że o nim myślę.

Zwiesiła głowę na jego piersi i trzy razy szybko nabrała powietrza.

- D... dobrze...

- I wpadaj do świetlicy. Przekazuj im wieści ode mnie, zgoda?

Już nie potrafiła zdobyć się na odpowiedź. Trzymała się go kurczowo, wydawał się taki doskonały i dobry, i sprawiedliwy. Justin Baker, najświetniejszy facet, jakiego spotkała. *Boże, przyrowadź go z powrotem do domu... błagam. Nie pozwól, żeby coś mu się stało.*

- Emily? - cofnął się trochę i uniósł jej podbródek. - Zrobisz to dla mnie? Będziesz tam chodzić?

Skinęła głową. Było jeszcze jedno pytanie, które chciała mu zadać, i teraz chyba był na to odpowiedni moment.

- Czy ty się boisz?

Milczał chwilę, patrząc jej w oczy.

- T a k .

Pociągnęła nosem.

- Dobrze to ukrywasz.

- Dzięki.

Wziął głęboki oddech.

- Żołnierz nie powinien się bać.

- Justin... - to nieważne, że wygląda jak wariatka, że jej łzy płyną potokami. Miała ochotę stanąć na samym środku Fort Lewis i ogłosić: „Możecie mieć każdego żołnierza, jakiego sobie chcecie, tylko nie tego jednego. Bo właśnie tego kocham! Jest zbyt cenny, żeby iść na front, zbyt cenny, żeby go stracić”. Ale minął już czas na takie obwieszczenia i na zmianę jego decyzji.

Wyjeżdżał, a ona tylko mu to utrudniała, tracąc nad sobą panowanie.

Zacisnęła zęby, ignorując ból, i wyprostowała się.

- Czy wpadłeś już na jakiś pomysł?

- Jaki pomysł? - też miał łzy w oczach, ale panował nad sobą.

- Jak mielibyśmy się pożegnać? - pozwoliła sobie na parę krótkich szlochnięć, a potem wstrzymała oddech. „Dość tego. Weź się w garść, Emily. Daj spokój”. Zacisnęła usta i wydeła policzki. - No dobra, w porządku - próbowała się uśmiechnąć, bo w przeciwnym razie rzuciłaby się na ziemię i płakała przez miesiąc. - Przepraszam.

Jego twarz spoważniała.

- N i e .

Pocałował ją, tak jak to już nieraz wcześniej robił, w taki sposób, po którym obojgu szumiało potem w głowie. Kiedy skończył, delikatnie przesunął kciukiem po jej ustach i wyszeptał.

- Nie, nie wpadłem jeszcze na żaden pomysł.

- Ja też nie - patrzyła na niego tak długo, jak zdołała, a potem zarzuciła mu ramiona na szyję. - Justin, Uważaj na s i e b i e . Proszę. A po wszystkim wróć tu do mnie.

Pocałował ją jeszcze raz, i tym razem przyłgnął do niej tak, jak ona przed chwilą przyłgnęła do niego, jakby przeraziła go perspektywa rozstania. W końcu jednak odsunął się. Ujął jej dłoń i trzymał ją dopóty, aż jego stopy odeszły już zbyt daleko, i nie miał innego wyboru, jak ją puścić. - Będę pisał.

Skinęła głową, zła sama na siebie za swoje łzy. Nie dlatego, że zdradzały jej prawdziwe uczucia, ale dlatego, że zamazywały jej wzrok. A chciała zapamiętać każdą sekundę z tego pożegnania, każdy szczegół jego twarzy i jego oczu, jego silne ramiona i świeżość jego galowego munduru.

- Do widzenia, Emily - był już trzy metry od niej. Przesłał jej pocałunek na odległość, nie spuszczać z niej wzroku. - Kocham cię.

- Kocham cię - wypowiedziała te słowa bezgłośnie, ze wszystkich sił powstrzymując się przed tym, by za nim nie pobiec i nie nalegać, żeby znalazł jakiś sposób i zabrał ją ze sobą. Wtedy miałyby pewność, że nie będzie się narażała na

niebezpieczeństwo, bo sama by mu na to nie pozwoliła. Ani na moment. Trzymała się barierki schodów, żeby ustać na nogach. - Pisz.

- Będę.

Obrzucił ją ostatnim długim spojrzeniem i pobiegł do jeepa. Wsunął się na siedzenie kierowcy i odjechał. Patrzyła, jak się oddala, i fizycznie czuła rosnącą odległość między nimi. *Boże, daj mi siłę... nie pozwól mi się załamać.* Kiedy straciła już z oczu jego tylne światła, kurczowo uchwyciła się barierki i przechyliła się przez nią. *Boże... nie. On nie może wyjechać!*

*Córko, jestem z tobą. Pomimo wszystko jestem z tobą.*

Te słowa tchnęły pokój w jej duszę, życiodajny, zbawienny pokój. I przypomniły jej, że z Chrystusem nie załamie się, bo On da jej siłę do wytrwania. Do wytrwania w każdym kolejnym dniu, na każdą wieść o ofiarach po stronie amerykańskiej. Wytrwa, nawet gdyby z tęsknoty za nim pękało jej serce.

Będzie odwiedzać jego rodziców i Bustera, i chłopaków w świetlicy, ponieważ Justin tego chce. A poza tym przez najbliższe pół roku nie ma prawa się załamać. Nie może tego zrobić, skoro obok nie będzie Justina Bakera, który mógłby ją złapać. Będzie się trzymać, całą siłą, jaką da jej Bóg.

A wszystko z powodu miłości chłopaka, który w pewne niesamowite lato skradł jej serce. Chłopaka, którego serce będzie nosić na łańcuszku tuż przy swoim własnym. Żołnierza, który jest ucieleśnieniem tego, co dobre i czyste, i silne, i słuszne w amerykańskiej armii. I który już zdążył dać jej przedsmak szczęśliwego życia.

Teraz musi tylko poczekać pół roku na jego powrót. A wtedy pewnego wiosennego dnia obieca jej on całą resztę. Że nie tylko da jej szczęście, ale i pozostanie z nią już na zawsze.

## *Rozdział 12*

Ośrodek w Iraku urządzono bardziej prowizorycznie niż w Afganistanie, ale to akurat pasowało do nastroju Lauren. Znow zobaczyła się ze Scanlonem. Poszli na kolację i opowiadali sobie o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni.

- No i? - Scanlon zerknął na nią znad krawędzi kieliszka z czerwonym winem. - Doszłaś do jakichś wniosków?

- Co do Shane'a? - to był dalszy ciąg ich rozmowy jeszcze sprzed jej wyjazdu do Stanów, sprzed decyzji przeprowadzki do Fallon. Scanlon rozumiał całą sytuację i nie trzymał jej przy sobie na siłę, tak jak przyjaciel pozwala przyjacielowi przenieść się do lepszego miejsca. Mimo to był ciekaw, i nie winiła go za to. Zamówiła sobie zieloną herbatę. Wzięła filiżankę i wypła łyk.  
- T a k .

- I co?

- Kocham go - ciężko jej było o tym mówić ze Scanlonem. Całowali się raz, dawno, dawno temu, i wiedziała, co do niej czuje. Gdyby to od niego zależało, zakochaliby się w sobie i pobrali, i byłby to rozsądny związek, oparty na tym, co ich łączy - na pracy, poglądach, pragnieniu, żeby ta wojna nareszcie się skończyła. Ale jej serce jakoś nigdy nie mogło na to przystać. Wzruszyła jednym ramieniem.  
- Kocham go jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

- Więc czemu tu jesteś?

- Kocham go... - popatrzyła na resztkę herbaty w filiżance - ale nie jestem pewna, czy mogę z nim żyć - potrząsnęła głową i znów popatrzyła mu w oczy. - Tak bardzo się różnimy.

Nie wyglądał na zadowolonego, w jego głosie nie było ani śladu triumfu. Wyciągnął tylko rękę i uściśnął jej dłoń.

- Przykro mi, Lauren.

- Mnie też - wyobraziła sobie Shane'a, takiego, jakim go widziała w wieczór pożegnania. - Tak bardzo, że czasami wydaje mi się, że mogłabym wsiąść do najbliższego samolotu i zapomnieć o wszystkich swoich poglądach.

- Tylko że nie potrafisz - w tonie głosu Scanlona była tylko rzeczowość. - Ponieważ twoje poglądy są z tobą głęboko zrośnięte, Lauren. I tym o tym wiesz.

Tak, wiedziała. Zastanawiała się nad tymi słowami Scanlona przez pierwsze tygodnie, kiedy odnawiała swoje znajomości z mieszkańcami Afganistanu. A potem przyszła wiadomość z nowojorskiej centrali. Że Bob Maine widzi ich w Iraku. Tam się teraz najwięcej dzieje i żaden tekst o Środkowym Wschodzie nie będzie do końca wiarygodny, jeśli nie powstanie właśnie tam, w ogniu walki.

Razem ze Scanlonem cieszyli się z tej decyzji. Im bliżej, tym lepiej, tak na to patrzyła. Przecież dlatego właśnie zostawiła Shane'a. I modli się o mądrość. Jeśli Bóg ma jej pokazać odpowiedzi, których ona szuka, to nie ma do tego miejsca lepszego niż Irak.

Przeprowadzka nastąpiła pod koniec września, tuż po tym, kiedy Justin Baker i jego dywizja przybyli w jedno z najbardziej zapalnych miejsc pod Bagdadem. Lauren rozmawiała już z Emily o ich pożegnaniu, ale córka mówiła krótko, nieomal lakonicznie.

- Ciekawe, czy znajdę kiedyś w życiu coś, co w końcu mi się uda.

- Emily! - ta uwaga zabolowała Lauren, ale zarazem uświadomiła jej, jak musiał zranić córkę jej powrót na Środkowy Wschód. - Całe twoje życie jest udane. Jesteś inteligentna, piękna. Cała przyszłość przed tobą.

- Wiem - westchnęła. - Tylko że... jeszcze parę miesięcy temu świat wydawał się idealny. A teraz...

Znów zabolowało. Lauren przypomniała sobie, jak klęczała na ziemi, zbyt przytłoczona, żeby się podnieść.

- Zostawienie taty to była najtrudniejsza rzecz w moim życiu - mówiła wyraźnie, pewnym głosem. - To jest skomplikowane, ale, Emily, ja musiałam tu wrócić. Po to, żeby się przekonać, czy istnieje jakiś sposób, żebyśmy tato i ja mogli myśleć o wspólnej przyszłości.

Głos Emily trochę złagodniał.

- Przepraszam. Po prostu... czasami zdaje mi się, że zwyczajnie nie mam szczęścia. Najpierw ty wyjeżdżasz. Potem nie zdążę nawet dojść do siebie, a już nie ma Justina. Ciągle mi się zdaje, że moglibyście dojść do porozumienia, gdybyście naprawdę chcieli.



Spośród wszystkich słów, które Emily wypowiedziała w trakcie tej rozmowy, te były najboleśniej. Lauren zastanawiała się czasem, czy jej bliscy nie dostrzegają w jej poglądach wrogiego nastawienia. Od tamtej pory już ze sobą nie rozmawiały, choć parę razy wymienili się e- Mailami. Obsługa telefoniczna w ośrodku szwankowała, a kiedy już przed dwoma tygodniami zainstalowali się tam na dobre, zalała ich istna powódź zamówionych tematów. Od ostrzałów konwojów po odbudowę infrastruktury w Bagdadzie.

W Iraku Lauren na tyle rzucała się w oczy, że przestała nosić szorty i bluzki khaki, które uchodziły jej na sucho w ośrodku dla dziennikarzy w Afganistanie. Teraz kamizelkę kuloodporną ukrywała pod długimi spódnicami i bluzkami z długim rękawem, a na jasnych włosach zawiązywała chustkę, chcąc w ten sposób okazać szacunek zwyczajom wciąż przestrzeganim w Iraku. Jak dotąd, jej wszystkie artykuły przypominały te pisane przedtem w Afganistanie. Daremna walka, częste porażki, historie poległych, którzy ginęli dla powodów równie mglistych jak pustynna fatamorgana.

A jednak każdego wieczora padała na łóżko z tą samą modlitwą na ustach: *Boże, pokaż mi. Pokaż, jeśli czegoś nie dostrzegam. Daj mi swoją mądrość.*

Była już połowa października, środowy poranek, a ona i Scanlon jechali akurat do centrum miasta, gdzie protestowano przeciwko zbliżającym się wyborom. Lauren równie dobrze mogłaby napisać ten tekst na kolanie. Protestujący to oczywiście ci obywatele, którzy nie chcą marionetkowego rządu, przywódców z namaszczenia Stanów Zjednoczonych. Chcą swoich ludzi.

Potrafiła sobie wyobrazić, jakie zdobędzie wypowiedzi.

- Może być gorąco - Scanlon robił coś przy jednym ze swoich aparatów. Na pobyt w Iraku przydzielono im samochód terenowy, i tym razem to ona prowadziła.

- Na pewno.

Ludzie lubili dziennikarzy, przynajmniej takie były jej doświadczenia. Wyjawszy sytuację przed sierocińcem w Afganistanie, kiedy to ona sama i Scanlon stali się celem zamachu, miejscowa ludność na ogół z zapałem korzystała z możliwości publicznego zabierania głosu. Ale Scanlon miał rację. Przy takich protestach zawsze pojawiali się szaleńcy, rebelianci i rozmaici radykałowie spragnieni sławy, a także zamachowcy- Samobójcy, z dumą wjeżdżający w tłum zebranych.

Ominęła jakiś wybój na drodze, zastanawiając się, czy Justin pracuje w pobliżu. Czy on i jego kompania stacjonują gdzieś tutaj? Jeśli tak, to Justin może być przy tym proteście. Według wojskowej propagandy żołnierze powinni pokazywać się wszędzie tam, gdzie gromadzi się wzburzony tłum, szczególnie jeśli protest ma związek z wyborami.

Ci dziennikarze, z którymi trzymała się blisko, byli odmiennego zdania. Wobec takiego prężenia mięśni przez armię amerykańską w związku z wy-

borami jedynym słyszalnym głosem byłby ten, który zyskał aprobatę Stanów Zjednoczonych.

Skręciła w prawo, na główną arterię przecinającą Bagdad. Zaangażowanie USA - tego zapewne dotyczy protest. W każdym razie ona się tego dowie.

Po kilku kilometrach spostrzegła zgromadzony tłum. „Trzymajcie się z dala od tłumy - polecił im Bob Maine. - Zaparkujcie w pewnej odległości i pojdźcie na piechotę. W ten sposób lepiej ocenicie zagrożenie”.

Cenna rada. Zjechała na pobocze i zaparkowała wóz. Odwróciła się do Scanlona.

- Gotowy?

Włożył aparat do torby, zamknął ją i wziął głęboki oddech.

- T a k jest.

W Iraku zrobiło się już chłodniej, a ten dzień był wyjątkowo zimny. Otoczenie jednak było zawsze takie samo. Wszystko - i niebo, i ziemia, i budynki - w kolorze pustynnego pyłu. Wyszarpnęła spódnicę zza drzwi samochodu i włożyła torbę na ramię.

- No to chodźmy.

Podeszli bliżej. Lauren zatrzymała się. Była dziennikarką już na tyle długo, żeby wiedzieć, że nie warto na ślepo pchać się w rozmaite sytuacje, i to nawet w samej Ameryce. Czasem więcej można się dowiedzieć z obserwacji niż z rozmowy.

Scanlon wyjął aparat i zaczął robić zdjęcia. Na miejscu panował chaos - kramarze handlowali swoim towarem na zdezelowanych stolikach do gry, protestujący machali tablicami i krzyczeli, a żołnierze amerykańscy poustawiali się po obu stronach drogi, zbrojni i gotowi. Jak twierdzili ich przywódcy, w razie, gdyby doszło do zamieszek.

Wyjęła z torby notatnik i dwa ołówki - pierwszy włożyła pod chustkę, którą obwiązała włosy, a drugim zapisywała spostrzeżenia. *Rozzłoszczeni demonstranci... żołnierze sztywni, nieczuli jak kamień.*

- Chodź, podejdźmy bliżej - Scanlon poszedł pierwszy, i znaleźli się jakieś 30 metrów od całego zamieszania.

I wtedy coś spostrzegła.

Na pustym placu, pośród gruzu, jaki pozostał zapewne po zburzonym budynku, grupa amerykańskich żołnierzy organizowała coś w rodzaju pikniku. Dookoła bawiły się dzieci, a dwóch umundurowanych Amerykanów stało przy końcu wojskowego pojazdu i rozdawało jakieś torby. Lauren ogarnęło dziwne uczucie.

Przez cały czas spędzony w Afganistanie słuchała o tym, jak wiele dobrego robią amerykańscy żołnierze na Środkowym Wschodzie, ale nigdy nie miała okazji przekonać się o tym na własne oczy. Aż do dziś.

Scanlon opuścił aparat.

- Widzisz to co ja? - podszedł kilka kroków i rozejrzał się w obie strony.  
- No chodź.

Poszła za nim - i wtedy spostrzegła jeszcze coś. Jeden z tych młodych żołnierzy - tych bawiących się z irackimi dziećmi - kogoś jej przypominał, z wyglądu, ruchów. Czyżby Justin Baker? Znaleźli ze Scanlonem wolne miejsce na chodniku, akurat koło placyku, gdzie się to działo.

- Dobra, łapcie! - żołnierz i trzech jego kolegów grali w piłkę z 15 czy 20 dziećmi z ulicy. Dzieci śmiały się, skakały i machały rękami, każde chciało złapać piłkę. Kiedy jedno chwyciło ją w locie, żołnierz uśmiechnął się szeroko.

- Dobra robota!

A potem dodał coś jeszcze, coś brzmiącego znajomo - ale było to po arabsku.

Lauren nie wierzyła własnym oczom. Na placyku było przynajmniej 30 żołnierzy, a każdy w ten czy inny sposób zajmował się dziećmi. Torebki, które rozdawano, zawierały kanapkę, butelkę z wodą i zabawkę. Lauren zdążyła się już zorientować, ponieważ odchodząc stamtąd, dzieci rozrywały torebki i szczebioły radośnie, komentując ich zawartość.

Scanlon uniósł aparat, a potem znowu go spuścił. Popatrzył w drugą stronę, na rozjuszony tłum demonstrantów.

- Wygląda na to, że mamy wybór.

- Wygląda na to, że mamy dwie różne historie.

Ledwie wybrzmiały jej własne słowa, uderzyła ją ich treść. Dwie różne historie. Dwie strony jednego przedsięwzięcia. Tam burkliwi żołnierze, których zadaniem jest zaznaczać swoją obecność względem protestujących. A tutaj znów ci. Amerykanie poświęcający małym Irakijczykom swój czas i zasoby. Właściwie to nie ich zasoby. Zasoby amerykańskiego wojska.

Przesłoniła oczy ręką i zmrużyła je. Może to i Justin? Czy to możliwe, że spotkałaby go tak szybko, od razu? Cały rok mógł upłynąć, a nie natknęłaby się na niego. Żołnierz wyjął aparat fotograficzny i pstryknął zdjęcie trzem malcom, z których każdy kurczowo trzymał się tej samej piłki. Wtedy się odwrócił i spostrzegł ją, a ona już wiedziała.

To Justin, chłopak Emily. Czy nie mówił im tamtego dnia, w pizzerii, że Ameryka robi w Iraku dużo dobrego? Czy nie powiedział, że nikt, kto tu nie był, nie uwierzy, jakie zmiany tu zachodzą i ile dobrego robi się dla ludzi?

Oczywiście że mu nie uwierzyła. W ani jedno słowo. Bo całą swoją wiedzę opierała na tym, co sama widziała, co przeczytała w swoim własnym tygodniku i czego dowiedziała się z innych źródeł informacji. Z CNN, z „New York Timesa”, z „Newsweeka”. A tam wszyscy mówili zgodnym chórem: nikt nie chce tej wojny, ludzie mają dość ofiar, nic dobrego z tego nie wynikło.

A gdzie były doniesienia o tego rodzaju wydarzeniach, o żołnierzach zajmujących się irackimi dziećmi? Spotkała się wzrokiem z Justinem i skinęła mu głó-

wą na powitanie. Wyglądał na zdziwionego, ale zaraz się uśmiechnął i zamachał do niej. Szturchnęła Scanlona.

- Rób już zdjęcia. Chcę ten materiał do następnego wydania.

- Ale... - popatrzył w stronę demonstrantów - przecież nie po to przyjechaliśmy.

Przyglądała mu się. To oczywiste, że się waha. Powiedziano im, na co mają zwracać uwagę, i z pewnością nie chodziło o tego typu rzeczy. Ale to przecież element całości obrazu. Zaczynała to teraz rozumieć.

- Scanlon - starała się mówić spokojnym głosem. - Przysłano nas tu, żebyśmy opisywali wojnę - jeszcze raz zerknęła w stronę Justina. Łapał piłkę i odrzucał ją grupie chłopców. - A ta sprawa nie znalazła jakoś dotąd miejsca w mediach.

Spędzili tam godzinę. Scanlon robił zdjęcia, Lauren rozmawiała z dziećmi i notowała. Żołnierze, których zagadywała, byli dość nieufni, i nic dziwnego. Co ona sama sobie mówiła po drodze tutaj? Czy nie to, że tekst jest już właściwie gotowy? Ciarki przeszły jej po ramionach i nogach. A jeśli przysłano ją tu wcale nie po to, żeby zdobywała wiadomości, tylko po to, żeby je potwierdzała? Temat wybrano na długo przedtem, zanim ona i Scanlon zjawili się na miejscu. „Przedstawcie ten protest - polecił im Bob. - Dowiedzcie się, za co się wściekają na Amerykę”. Stała wciąż pośród żołnierzy i dzieci, ale zerkała w stronę demonstrantów. Tak, dowie się. Ale wpierw skupi uwagę na notatniku. Wpierw zbierze materiał tutaj.

W końcu udało jej się przedostać do Justina. Nie potrafiła określić uczuć, jakie ją w tej chwili napełniały. Poczucie zdrady, gniew, wyrzuty sumienia, niepewność. To przecież tylko jeden przypadek. Owszem, nieoczekiwany, ale nie wystarczy, żeby zmienić jej poglądy. Natomiast na pewno przykuł jej uwagę. Po raz pierwszy poczuła się trochę niezręcznie, nieswojo w roli reporterki. Popatrzyła w oczy młodego żołnierza.

- Dzień dobry pani - skinął głową. - Zastanawiałem się, czy się tu spotkamy.

- Ja też - nietrudno było zrozumieć, dlaczego Emily wariowała na punkcie tego chłopaka. - Nigdy... - obrzuciła wzrokiem beztronską zabawę - nigdy jeszcze nie byłam w Iraku. Ja... nie przypuszczałam, że tu się dzieją takie rzeczy.

Uśmiechnął się szeroko.

- Próbowałem pani powiedzieć.

- Wiem - wciąż patrzyła mu w oczy. - Przepraszam cię, Justinie. Prosiłam Boga, żeby mi pokazał, gdzie się myślę, pomógł znaleźć jakąś równowagę - spojrzała na zakurzoną ziemię, a potem z powrotem na niego. - Może to jedna z takich chwil.

- Tak, proszę pani.

Odrzucił piłkę do chłopców.

- Rozmawia pani często z Emily?

- Nie. Piszemy do siebie.

- To tak jak ja - stał łokciem pył z czoła. - Strasznie za nią tęsknię.
- Ona za tobą też.

Skinął głową i znów chwycił piłkę w powietrzu. Znów uśmiechnął się i krzyknął do dzieci jakąś pochwałą w ich języku.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- My mamy dwa rodzaje zadań, proszę pani - wyglądała na lekko zdezorientowanego, jak gdyby sądził, że ona na pewno już to wszystko wie. - Po pierwsze, tropimy rebeliantów, terrorystów, a po drugie, pomagamy Irakowi stać się wolnym krajem. A to byłoby niemożliwe, gdybyśmy w ogóle nie znali ich języka.

Angielski był na Środkowym Wschodzie dość popularny, mimo to Justin miał rację. Jeśli mieli dotrzeć do dzieci, jeśli mieli zaprowadzić demokrację w narodzie, który wcześniej jej nie znał, to musieli znać język. Przynajmniej w takim stopniu, żeby pograć z dziećmi w piłkę.

Nie chciała mu zajmować więcej czasu.

- Powiem Emily, żeśmy się widzieli.

- Dobrze - podbiegł kilka kroków i znów odrzucił piłkę. - Proszę jej powiedzieć, że ją kocham - jego oczy błyszczały. - Że liczę dni.

- Zrobię to - Lauren zabołało w gardle. Gdyby mogła wyrwać stąd tego chłopaka w jakieś bezpieczne miejsce, wsadzić do samolotu, który zawiózłby go do Emily, zrobiłaby to.

Teraz mieli już ze Scanlonem wszystkie potrzebne informacje i zdjęcia. Nadszedł czas podejść kawałek dalej, do protestujących. Kiedy się przybliżyli, Lauren stanęła i z pewnej odległości przyglądała się tłumowi. Niektórzy podskakiwali i wymachiwali pięściami, tworząc ciasny krąg i skandując chórem coś, czego nie rozumiała. Na pewno coś antyamerykańskiego.

Kiedy tak patrzyła, podszedł do nich jakiś człowiek i zaczął się jej przyglądać.

- Ze Stanów pani?

Poczuła niepokój. Owszem, ma na sobie ochronny kevlar, ale co jej to pomoże? Dziennikarze i fotoreporterzy mogą wylatywać w powietrze na minach równie dobrze jak żołnierze, i zabezpieczenia nic tu nie zmieniają. Przybliżyła się o krok do Scanlona. Incydenty takie, jak ten protest, w Afganistanie zdarzały się rzadko, mimo że do zamieszek dochodziło ustawicznie. Podniosła wyżej legitymację prasową, którą nosiła na szyi.

- Reporter.

Mężczyzna skinął głową i wskazał na demonstrantów.

- Pani słyszy, co oni mówią?

- Nie...

Scanlon stanął zaraz za nią. Miał aparat w pogotowiu, ale miał też przy sobie pojemnik z pieprzem. Na wszelki wypadek.

Lauren zmrużyła oczy, patrząc na tłum.

- Co mówią?

- Mówią: precz przemoc wobec głosujących i wobec przywódców - zmęczone oczy mężczyzny zwilgotniały. Jego angielszczyzna była ledwie zrozumiała. - Gdy dobry człowiek idzie na urząd, rebelianci go zabijają. Zabijają pomocników. Głosujących.

- Co? - Lauren zawahała się chwilę, ale powoli, niby pierwsze kamyki w lawinie, zaczęło do niej docierać znaczenie jego słów. A kiedy to się stało, poczuła, że wali się jej świat. Zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w mężczyznę:

- Czyli... chcą, żeby Ameryka wyszła z Iraku?

Mężczyzna otworzył usta ze zdziwienia i wybałuszył oczy. Uniósł rękę do góry, a głowę pochylił, kręcąc nią z całych sił.

- Nie! Nigdy! Jeszcze nie teraz! - powtarzał w kółko, aż w końcu Lauren przerwała mu.

- Proszę pana. Proszę mi to wytłumaczyć.

- Mój naród - mężczyzna popatrzył jej w oczy - wdzięczny Amerykanom. Bardzo wdzięczny. Teraz mamy nadzieję, możemy pracować, rozwijać się, mieszkać z rodzinami.

Nagle gniew wykrzywił mu twarz.

- Ale niektórzy chcą mieć jak dawniej, żeby wrócił terror.

Spojrzał na protestujących.

- Więc mówimy - dość. Czas skończyć z przemocą.

Wskazał na kilku amerykańskich żołnierzy.

- Amerykanie próbują powstrzymać przemoc - skłonił się dwa razy. - Cieszymy się z Amerykanów.

- W porządku - Lauren spojrzała na Scanlona, a potem znów na mężczyznę. - Możemy zrobić panu zdjęcie?

- Tak. I pani pisze - postukał w jej notatnik - co Jusef mówi. Cieszymy się z Amerykanów!

Lauren nie była już pewna, jak się nazywa. Zaczęła pisać gorączkowo, chcąc zanotować to, co powiedział Jusef. Potem znów spojrzała na demonstrantów, tym razem innymi oczyma. Więc to nie są rebelianci ani terroryści przeciwni Ameryce. A skoro tak, to gdzie znajdują się ci, którzy palą flagi? Ci, którzy z ochotą spaliliby kukłę amerykańskiego prezydenta?

W każdym razie nie było ich w tym miejscu, ponieważ ci zgromadzeni chcieli dla Iraku tego samego co Ameryka. Demokracji i pokoju, bezpiecznego miejsca do mieszkania i pracy, i życia rodzinnego. Nagle skojarzyła jedno z drugim. Popatrzyła na placyk, na którym dzieci bawiły się z żołnierzami. Zadała Jusefowi pytanie:

- Czyje to dzieci?

- Tamtych ludzi - wskazał na demonstrantów. - Większość ludzi chce wolnych wyborów i praw człowieka - w jego oczach znów pojawiły się łzy. Ski-

nał głową w kierunku dzieci. - To nasza przyszłość. Chcą żyć w świecie bez terroru.

- Tak - Lauren prawie namacalnie czuła, jak z jej przekonań zostają strzępy, jak opoka, na której dotąd stała, wali się w gruzy z szybkością słów wypowiedzianych przez staruszka.

Znów dźgnął palcem w jej notatnik, jeszcze mocniej niż przedtem.

- Pani im powie, że Jusefto mówi.

Przyglądała mu się przez chwilę. Czy on wie? Czy jest świadomy tych informacji, jakie sączą się codziennie z amerykańskiej telewizji i prasy? Czy jego rodacy wiedzą, że obywatelom Stanów Zjednoczonych nikt nie mówi o tej rzeczywistości, która dzieje się tu na ich ulicach?

Nagle przytłoczył ją ciężar odpowiedzialności. Przez cały czas wyobrażała sobie siebie w roli wieszacza, który sam jeden ma moc nakłaniać ludzi do swojego własnego sposobu myślenia. Nigdy jak dotąd nie poczuła wyrzutów sumienia co do sposobu, w jaki używa tej mocy, że być może nie przekazuje całej prawdy.

Zrobiło jej się słabo. A jeśli myliła się dotąd? Jeśli choćby tylko w co drugim przypadku zniekształcała prawdę, pragnąc lansować własne przekonania? Oskarżała amerykańskie wojsko o niepotrzebne używanie siły, a sama co robiła? A jej koledzy? Czy przyjazd w takie okoliczności jak tu w Iraku z ustalonym już z góry nastawieniem nie jest ze szkodą dla całego świata?

Jusef odszedł powoli do reszty demonstrantów, a Lauren zauważyła, że cała się trzęsie.

- Czy ty słyszałeś to, co ja - a przynajmniej tak mi się zdaje - słyszałam?

Scanlon nabrał powietrza do policzków i wypuścił je powoli. Zdjął swoją bejsbolówkę i przeczesał palcami krótko ścięte włosy.

- Gdybym nie wiedział, to bym pomyślał, że to wszystko zaaranżowano, że wojsko zrobiło przedstawienie.

Jej własne pytanie i jego odpowiedź uruchomiły kolejny alarm w jej sumieniu. Czyżby byli już tak urobieni, że nawet będąc naoczniymi świadkami prawdy wątpią w to, co widzą ich oczy? A wszystko dlatego, że to się nie zgadza z ich poglądami?

- Słabo mi - gorączkowo szukała czegoś w torbie, aż wyjęła butelkę z wodą. Przyłożyła ją do ust, nawet wcześniej nie odetchnąwszy.

W tej samej chwili, zanim jeszcze zdążyła włożyć pustą butelkę z powrotem do zakurzonego płóciennego worka, powietrze wypełnił huk strażaków, padających z jakiegoś opuszczonego ceglanego budynku po drugiej stronie ulicy.

Wokół rozległy się krzyki, a Scanlon chwycił ją i siłą ściągnął na ziemię.

- Nie ruszaj się, Lauren - wyszeptał i dorzucił jeszcze kilka niecenzuralnych słów. - Trzeba stąd wiać!

Z miejsca, gdzie leżała, widziała, jak upadło trzech protestujących, jęcząc i zwijając się z bólu, a ich krew rozlała się po ulicy. Usiadła, zbyt przerażona, by

odwrócić wzrok. Jednym z tych ludzi był Jusef. Miły, współczujący Jusef. Który tak strasznie chciał, żeby te dzieci na placyku miały szansę dorastać w wolnym społeczeństwie. A teraz to wszystko, w co wierzył, wsiąkało w ulice Bagdadu, gdzie prawda krzyczała równie głośno jak zawodzący demonstranci. To życie, o którym mówił Jusef, nigdy nie miało nadejść. Nie dla niego.

Ponieważ Jusef nie żył.



## *Rozdział 13*

Lauren na siłę oderwała wzrok od martwego ciała. Scanlon osłaniał ją sobą, oboje leżeli na ziemi. Oddychała szybko i z trudem, wbijając wzrok w zakurzoną drogę tuż przed swoim nosem. „Skup się, Lauren. Pomyśl”. Chciała podbiec do Jusefa, sprawdzić, czy nie może pomóc. Ale byłoby to zbyt niebezpieczne. Zresztą on nie żył. Widziała śmierć już tyle razy, że była pewna. Pot pojawił się na jej czole, a serce waliło tak głośno, że aż ogłuszająco. „Patrz, Lauren. Obserwuj. I opowiedz o tym. Opowiedz prawdę...”.

Wysunęła się z uścisku Scanlona i spojrzała na ten straszny widok.

- Chcę coś zrobić - syknęła.

- Nie da się - mówił bezgłośnie, sparaliżowany strachem. - Leż, aż się uspokoi. Potem zabierzemy się do roboty.

Miał rację. Tu na ziemi nie byli na celowniku. Na ulicach pełno ludzi kuliło się jak najbliżej ziemi. Znowu popatrzyła na Jusefa, na to, co była w stanie jeszcze dojrzeć. Inni demonstranci zbliżyli się do ofiar, płacząc i wymachując pięściami w kierunku miejsca, skąd padły strzały. Tymczasem kilkunastu żołnierzy - tych, którzy wcześniej z ponurymi minami stali wokół miejsca protestu - biegiem ruszyło do budynku z bronią gotową do strzału. Wyłamali drzwi i wpadli do środka.

Lauren popatrzyła na placyk akurat w chwili, gdy Justin i jego koledzy zebrali dzieci razem i ukryli je za pojazdami wojskowymi. Kilku małych chłopców,

k którzy jeszcze chwilę wcześniej rzucali piłkę, płakało i krzyczało, tuląc się do Amerykanów.

Wewnątrz budynku rozległy się następne strzały. Lauren pomyślała tylko jedno: *Boże, błagam... niech to będą karabiny amerykańskie*. Ponieważ to oznaczałoby, że zamachowcy nie żyją, tak samo jak nie żyją Jusef i jego znajomi.

Demonstranci chcieli tylko tego, czego chce większość ludzi - wolności i nadziei na przyszłość. Jusef wierzył całym sobą, że wybory będą się odbywać w pokoju i że Amerykanie w tym dopomogą. Ale teraz... patrzyła, cierpiąc razem z protestującymi, którzy padli na kolana przy zabitych, kołysząc się w tył i w przód, lamentując nad stratą.

Tuż przy niej Scanlon wycelował aparat w pusty budynek, potem na płaczących demonstrantów, a w końcu na amerykańskich żołnierzy ochraniających dzieci, robiąc kilkadziesiąt szybkich zdjęć.

A potem, w chwili gdy Scanlon chwycił ją za rękę i postawił na nogach, uderzył ją kolejny ciąg myśli. Gdyby ta wojna miała większe poparcie, gdyby wojska amerykańskie zachowywały się bardziej agresywnie, to może ludzie, którzy strzelali z tego budynku, już dawno zostaliby schwytani. Byliby w więzieniach albo nieżywi. Tylko że wielu Amerykanów propagowało nastawienie, które ze wsparcia dla tej wojny czyniło temat tabu,

Amerykanów takich jak ona sama.

Po raz ostatni spojrzała na miejsce, gdzie leżały zwłoki Jusefa. Kiedy Scanlon odciągał ją stamtąd, nie mogła oderwać wzroku.

- Przepraszam, Jusef - z początku tylko wyszeptwała te słowa. A potem wykrzyknęła je, tak głośno, że była pewna, że słyszał je nawet Justin Baker po drugiej stronie ulicy.

- Jusef! Przepraszam!

- Daj spokój! - Scanlon był przerażony. - Znikajmy.

Odwróciła się i pobiegła za nim, nie zamierzając czekać do końca tego starcia. Więc co teraz? Ma wrócić do mieszkania, otworzyć laptop i wstukać tekst kwestionujący wartość amerykańskiego wojska i jego rolę w Iraku? Po tym, jak widziała amerykańskich żołnierzy rozdających dzieciom żywność i wodę? Kiedy widziała na własne oczy, jak grali z nimi w piłkę, a nawet własnym ciałem osłaniali dzieci w niebezpieczeństwie? Jak wbiegali do budynku pełnego rebeliantów, chcąc chronić protestujących Irakijczyków?

Ma udawać, że nie słyszała, co powiedział jej Jusef? Napisać tekst, który zrobi z demonstrantów kogoś, kim wcale nie są? Nastawionych przeciw Ameryce i żądających, aby przestała się wtrącać?

W drodze powrotnej Scanlon usiadł za kierownicą. Lauren to odpowiadało. Mogła zakryć twarz i pozwolić łzom płynąć. Więc to w taki sposób Justin Baker i jego koledzy spędzają tu czas. Starają się dać bezpieczeństwo i nadzieję ludziom, którzy chcą tego, czego chciał Jusef.

Jak ona teraz spojrzy w lustro? Jak napisze kolejny taki tekst, jakiego oczekuje naczelny? Przewracało jej się w żołądku, a jej serce znieruchomiało bezwładnie, całkiem jak ci zastrzeleni demonstranci.

*Boże... o Boże... jak mogłam się tak mylić?*

*Córko... jestem z tobą.*

Odpowiedź zabrzmiała tak głośno, że wydało jej się, że Bóg jest na tylnym siedzeniu. Że stamtąd chroni ją, pomaga, odpowiada na jej nieustające wołanie o wolność. Nie hamowała łez.

- Lauren... To tylko jeden dzień, jedno wydarzenie - Scanlon zdawał się czytać jej w myślach. - Nie możesz z tego powodu odrzucić wszystkiego, w co wierzysz.

- Może jednak mogę - przesunęła dłonią po policzku i zmierzyła go piorunującym wzrokiem. Nie był nic winien jej obecnemu poruszeniu, ale dobrze było mieć obok kogoś, na kogo mogła to wszystko wyrzucić. - Może wszyscy się pomyliliśmy.

- Wojna jest znacznie bardziej skomplikowana. Nie jest tak, że jedna strona ma absolutną rację, a druga absolutnie jej nie ma - mówił spokojnym głosem, nie spuszczać wzroku z drogi. - Jesteś dziennikarką, powinnaś to wiedzieć.

- Powinam - wydała z siebie odgłos pełen frustracji, ale wcale jej nie ulżyło. - Ciekawe w takim razie, dlaczego byłam taka stronnicza? Dlaczego wielu z nas takimi jest?

Znow ukryła twarz w dłoniach. Wojna rzeczywiście jest skomplikowana. Można toczyć uzasadnione debaty o tym, jak ją toczyć albo czy w danej bitwie jakiś cel jest bardziej niebezpieczny niż inny. Ale co do istoty tego, dlaczego doszło do tej wojny i jaki jest jej cel?

Nigdy nawet nie dopuszczała możliwości, że historie opowiadane jej przez żołnierzy i dowódców mogły być prawdziwe, że Ameryka rzeczywiście robi dobrą rzecz dla mieszkańców Iraku albo że eliminacja grup terrorystycznych pozwala naprawdę bronić interesów Stanów Zjednoczonych.

Dla niej było to tylko militarna retoryka. Zdarzało się, że pod koniec dnia spotykała się ze Scanlonem i innymi dziennikarzami i wspólnie drwili sobie z informacji przekazywanych im przez biura prasowe wojska.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, co się tam zdarzyło? - podniosła głowę i spojrzała na przyjaciela. - Scanlon, my odkryliśmy kłamstwo. Kłamstwo, w które zbyt wielu z nas wierzyło o wiele za długo. Że z wojny nigdy nic dobrego nie przyjdzie, że nic absolutnie nie może jej usprawiedliwić - wskazała ręką za siebie, na miejsce, które opuścili. - Ale to... co widzieliśmy... To przynajmniej czyni tę wojnę bardziej zrozumiałą, nie sądzisz?

Cóż to za ludzie, co kryją się w opuszczonym budynku jak tchórze i strzelają w tłum osób pragnących jedynie lepszego Iraku? Podziały dzielące ten kraj są

tak różnorodne, że aż przerażające. I z takim ludźmi w jej mniemaniu prezydent powinien pertraktować?

Oparła się o siedzenie i próbowała uporządkować emocje. To tylko jeden dzień, jeden incydent. Jej przekonania nie zrodziły się w ciągu jednego dnia i nie zrezygnuje z nich tak prędko. Scanlon ma rację. Za bardzo się przejęła. Oglądanie czyjejs śmierci na własne oczy może wywołać taką reakcję.

Droga była wyboista, i Lauren wciąż nie mogła porządnie złapać oddechu. *Boże... co ja właściwie widziałam? To tylko jedna chwila w tej okropnej wojnie, prawda? Co powinnam teraz czuć?*

*Córko, dałem ci mądrość. Powinnas jej posłuchać.*

Zamknęła oczy. Ta odpowiedź brzmiała tak wyraźnie. Równie dobrze mógłby to mówić Scanlon. Ale to nie on mówił. Ten głos - cichy, spokojny - należał do Boga. I co mówił? Że dał jej mądrość? Kiedy? W wydarzeniach tego dnia?

Nie...

Otworzyła szeroko oczy. Nie w wydarzeniach, ale w sednie całej sprawy - w pasji kryjącej się za wydarzeniami tej wojny. Być może to jej dziś pokazał. Nagle coś sobie przypomniała. Kilka miesięcy temu Shane próbował powiedzieć jej to wszystko, co dziś powiedział jej Jusef. Przypomniał o 11 września, o terrorystach, którzy z zimną kalkulacją przejęli kontrolę nad odrzutowcami i wbili się nimi w budynki.

- Z kimś takim chcesz dyskutować, Lauren? - spojrzał na nią smutno. - Nikt nie chce wojny, ale w jaki sposób mamy bronić Amerykę przed takimi zabójcami, jeśli nie zaczniemy ich ścigać?

Obrazy z dzisiejszego dnia przelatywały przez jej myśli jak filmowy horror. Zamknęła oczy, ale nie odeszły. Justin i jego koledzy bawiący się z irackimi dziećmi, demonstranci krzyczący i skandujący. I Jusef stukający w jej notatnik. „Pani pisze, co Jusef mówi. Cieszymy się z Amerykanów!”.

Zgrzytnęła zębami i otworzyła oczy. Boża odpowiedź jest jasna. Z dzisiejszych wydarzeń rzeczywiście może nauczyć się mądrości i najlepiej zrobi, jeśli będzie jej wypatrywać i nasłuchiwać.

Jeśli myliła się w swoich poglądach, swoich niezłomnych przekonaniach, to musi to przyznać. Nawet gdyby miało to oznaczać utratę pracy. Oparła się o zagłówek i patrzyła prosto na pustą drogę. Błagała Boga o mądrość - i w ciągu jednego tylko przedpołudnia ta mądrość nieomal ją zatopiła.

Tak, wojna jest skomplikowana.

Ale to, co dziś zobaczyła, jest dziecinnie proste. I każde słowo jej nowego tekstu będzie odbiciem tej prawdy.

Siłą woli postanowiła się odprężyć. Jeśli ma napisać ten tekst prosto z serca, musi być spokojna, w swojej najlepszej dziennikarskiej formie. W przeciwnym wypadku w redakcji pomyślą, że zmiękła, że bliższe kontakty z wojskowymi w Fallon wykrzywiły jej myślenie.

W jej myślach pojawiła się twarz Shane'a.

Nie może być nic dalszego od prawdy. Zostawiła Shane'a - ze świadomością, że to być może już na zawsze - po to, żeby ochronić swój sposób myślenia, swą niezachwianą wiarę w zło wojny i jej zwolenników.

*Boże, chcę się nauczyć z dzisiejszego dnia Twojej mądrości. Daj mi słowa, które mam pisać. Proszę. Czy to tylko jeden taki dzień, odosobniony przypadek? Czy naprawdę tłumy ludzi na ulicach Bagdadu pragną tego, żeby Amerykanie zostali i dalej pomagali?* Przypomniała sobie Justina, jego wyraz twarzy, kiedy grał w piłkę z dziećmi.

W ubiegłym roku napisała tekst o tym, jak brutalni żołnierze uczą walki całe pokolenie irackich dzieci. Oparła się na analogicznej retoryce, jaką zarzucała wojskowym biuram prasowym. Swoje badania prowadziła potajemnie, z informatorami spotykała się ukradkiem. Taki ktoś zazwyczaj opowiadał jej o jakimś zjawisku na niewielką skalę. W przypadku tego artykułu o żołnierzach uczących przemocy informator przedstawił jej trzech chłopców, z których każdy nosił karabin.

- Walczymy z Amerykanami - oznajmił jeden, wybrany na rzecznika grupy.  
- Będziemy walczyć, aż wyjadą.

Teraz miała ochotę sama siebie kopnąć. Patrząc na to z perspektywy czasu, musiała przyznać, że byli to najprawdopodobniej mali terroryści. Bo tylko terroryści chcieliby, żeby amerykańskich żołnierzy nie było przy incydentach takich jak ten, którego dopiero co była świadkiem. A jednak wtedy napisała cały artykuł na ten temat, sugerując milionom czytających go Amerykanów, że wojsko w jakiś sposób krzywdzi naród iracki.

*Boże... jest mi słabo, niedobrze. Proszę... jeśli się myliłam, jeśli pisałam teksty, które były tylko wodą na młyn takim ludziom jak ci w tamtym budynku, to proszę... użyj mnie, żeby zmienić takie myślenie, żeby je jakoś wyważyć. Boże, proszę.*

Nie była jeszcze gotowa dzwonić do Shane'a i mówić mu, że myliła się w znacznej części swoich przekonaniach - ale była już tego bliska. Kiedy wrócili do ośrodka dla dziennikarzy, prawie wcale nie odzywała się do Scanlona. Nie było czasu do stracenia. Pobiegła do siebie, włączyła laptop i otworzyła nowy dokument w edytorze. A potem, jakby od tego zależało jej życie, zaczęła pisać.

Historię inną niż wszystkie, które do tej pory napisała.

## *Rozdział 14*

Justin widział.

Równie dobrze jak demonstrantów padających na ziemię pod gradem kul. Widział zmianę w matce Emily. To było widać w jej oczach. Czytana przez wszystkich słynna Lauren Gibbs nie była wcześniej w Iraku. W Afganistanie, z tego co mówiła Emily, Lauren parę razy widziała podobnie jak dziś żołnierzy z dziećmi, ale te sceny zawsze wydawały jej się reżyserowane. Dziś było inaczej. To było spontaniczne - nie mogła tego nie zobaczyć. A kiedy już spotkali się wzrokiem, wiedział, co się dzieje.

Wciągnął powietrze do krtani, próbując złapać oddech, doskonale świadomy niebezpieczeństwa. Osłonił sobą grupę dzieci, z których większość płakała lub kwiliła.

- Już dobrze - pogładził dwójkę z nich po ramionach. - Już dobrze.

Zerknął za siebie, ale Lauren Gibbs już nie było. Nawet pośród tego chaosu nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Bóg odpowiedział na jego modlitwy. Jego i Emily, i ojca Emily. Być może także na modlitwy samej Lauren Gibbs. Emily wspominała, że matka prosiła Boga o mądrość, wyznała mu jednak, że jej zdaniem matka nie jest gotowa przyjąć pouczenia od Boga. W każdym razie nie za bardzo.

*Emily, ale ona przynajmniej się modli - pisał do niej w jednym z ostatnich e-maili. - A jeśli ludzie się modlą, to zawsze jest nadzieja. Pamiętaj o tym.*

Po przeciwnej stronie ulicy znów rozległa się seria z karabinów, a dzieci jeszcze mocniej przyłgnęły do niego i innych żołnierzy. Justin bił się z myślami, co robić. Dzieci na pewno potrzebują ochrony. Jak długo zostanie tutaj z kolegami z oddziału, tak długo dzieci nie wybiegną na ulicę i nie narażą się na śmierć.

Ale odgłosy ognia wskazywały, że w budynku toczy się bitwa. Może potrzebują pomocy? Może wystarczyłyby jeszcze tylko jeden żołnierz, żeby wypłoszyć stamtąd rebeliantów? Spojrzył na przerażone twarze dzieci. Czuł, jak tulą się do niego, trzymają się jego koszuli, wzrokiem błagają, żeby nie odchodził. Żeby już nigdy nie odchodził.

Oczywiście nie miał wyboru. Musiał zostać z dziećmi. Ale wzrokiem odszukał budynek i zaczął modlić się o bezpieczeństwo żołnierzy.

- Ratunku - jeden z chłopców patrzył na niego i błagał po arabsku. Nie miał więcej niż pięć lat. Wyciągnął rączki. - Proszę.

Świsł kul, krzyki, lament dobiegający z miejsca, gdzie znajdowali się ojcowie tych chłopców - to wszystko przerosło malca.

Justin wziął go na ręce i posadził sobie na biodrze. Przycisnął głowę chłopca do ramienia i dał znak innym żołnierzom. Trzeba było ukryć wszystkie dzieci za konwojem pojazdów.

- Zróbcie mur.

Jego bliski kumpel Joe Greenwald skinął na innych, stojących dalej.

- Słyszeliście? Robimy mur.

Pocziwina Joe. Obydwaj służyli razem podczas swojej pierwszej zmiany, a teraz prawie się nie rozstawali. Joe podzielał wiarę i zapał Justina. Spali na sąsiednich łóżkach, a teraz, kiedy znów znaleźli się w akcji, byli jak bracia. Justin pokazał mu już album od Emily, a Joe zagwizdał, długo i nisko.

- A to farciarz z ciebie, Baker.

- Wiem - przesunął palcami po zdjęciu ich obojga na okładce. - Mam wszystko naraz, i szczęście, i błogosławieństwo.

W kraju Joe też stacjonował w Fort Lewis. Przyjrzał się zdjęciu bliżej.

- Zaraz, zaraz, czy to nie ją widzieliśmy wtedy na korytarzu?

Tamtego dnia, kiedy Emily po raz pierwszy przyszła do pracy w bazie, to Joe szedł razem z nim korytarzem. Emily uśmiechnęła się do obydwu, a kiedy ich minęła, Justin szturchnął kumpla łokciem.

- Założę się, że to ta nowa do mojego biura.

- A ja się założę się, że aż tyle szczęścia to na pewno nie masz.

Parę tygodni później Joe odleciał do Iraku, chcąc jak najszybciej znów znaleźć się na froncie. Obaj spotkali się dopiero wtedy, gdy pod koniec września w Iraku zjawił się Justin. A gdy Justin pokazał mu zdjęcie, Joe zaraz zawołał:

- Czy to nie ją widzieliśmy?

Dał Justinowi żartobliwego kuksańca.

- Spryciarzu! Miałeś rację! W końcu jednak pracowała z tobą, co?

Justin trochę dłużej popatrzył na zdjęcia.

- Pracowała.

Joe nie spotykał się z nikim. Wielki facet o jeszcze większym sercu nie miał jakoś śmiałości do dziewczyn.

- Wiesz, czemu tak lubię wszędzie z tobą łączyć? - pytał Justina raz na jakiś czas.

- Czemu?

- Bo - uśmiechał się Joe - masz motywację, żeby wrócić do domu. Co czyni z ciebie najbezpieczniejszego żołnierza w okolicy.

Teraz Justin patrzył, jak Joe pomaga mu ustawić innych w szeregu. Sam Joe stanął po drugiej stronie grupy dzieci i kierował żołnierzami najbliżej siebie, aż w końcu cała grupa zrobiła to, co Justin rozkazał. W ciągu kilku sekund ustawili się między opuszczonym budynkiem a gromadką przerażonych dzieci.

Chłopczyk w jego ramionach tulił się do niego. Czy jego ojciec leży tam wśród zabitych? Justin miał nadzieję, że nie. Trzymał tak dziecko przez prawie godzinę, aż z opuszczonego budynku wyszła grupa amerykańskich żołnierzy, niosąc na czterech prowizorycznych noszach cztery przykryte ciała. Na pierwszym leżała mała flaga amerykańska.

Justin odwrócił wzrok. Znów jednego ubyło. Modlił się, żeby to nikt z jego kompanii. Przytulił mocniej chłopca w ramionach i czekał, aż kilku żołnierzy przeszło na ich stronę ulicy i zrelacjonowało sytuację. Snajperzy byli oczywiście rebeliantami. Członkami jakiejś nowej grupy terrorystycznej. Takie grupy pieściły się jak nowotwór w każdym możliwym miejscu, ta zamelinowała się w tym budynku zapewne dopiero kilka dni wcześniej.

Dobłą wieścią było to, że wszyscy trzej terroryści zginęli. Ale w pierw życie stracił jeden Amerykanin. Żołnierze podali nazwisko ofiary i Justin odczuł pewną ulgę. To był ktoś ze Wschodniego Wybrzeża, żołnierz z innej kompanii. Ale tak czy inaczej, ktoś stracił życie. Czyjś syn, czyjś przyjaciel. Czyjaś szkolna miłość. Przyjechał tu z tego samego powodu co oni wszyscy - bo to wydało mu się najsensowniejsze, co może zrobić ze swoim życiem.

Joe porozstawiał kolegów naokoło dzieci i skinał na Justina:

- Możesz się za nas pomodlić?

Justin pochylił głowę, a kilkoro irackich dzieci wokół; zrobiło to samo. Miał ściśnięte gardło, ale zdołał wydobyć głos.

- Ojcie, jest nam smutno i źle z powodu tego, co się tu dziś zdarzyło, że tylu straciło życie za wolność.

Otworzył na moment oczy i spostrzegł, że iracki chłopczyk obserwuje go. Miał oczy szeroko otwarte i ciągle się trząsł. Justin dał mu znać wzrokiem, że wszystko w porządku, że jest w dobrych rękach.

- Panie, daj nam siłę. Pomóż nam brać przykład z Ciebie. Ty poszedłeś na krzyż za wolność. Ty wiesz wszystko o tym, czym jest poświęcenie. Dziękujemy



za naszego poległego kolegę... - zawahał się na moment, starając się opanować emocje. - Dziękujemy za jego ofiarę.

Zakasłał i zaczął mówić głośniej:

- Bądź z jego bliskimi i pokaż im, że ich żołnierze... nie zginą na próżno.
- W imię Jezusa Chrystusa - dodał Joe mocnym głosem. - Amen.

Dzieci podniosły głowy i rozejrzały się wokół, nie wiedząc, co będzie dalej.

Po pustym placyku wiatr dmuchnął piaskiem. Justin osłonił twarz i mocno przytulił chłopczyka w ramionach. To dziecko i jego koledzy nigdy nie padną od kul terrorystów, którzy próbowali przejąć budynek po drugiej stronie. On na to nie pozwoli. Postawił malca z powrotem na ziemi, a w jego myślach pojawiła się Lauren, i ta zmiana w jej oczach. Jeśli go wzrok nie mylił, po tym, co ujrzała dziś na ulicach Bagdadu, już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Nikt z nich nie będzie.

\*

Tego wieczoru zjawili się w obozie wcześniej niż zwykle. Nie mieszkali już w namiotach, ale w starych budynkach, przejętych przez wojsko amerykańskie tuż pod Bagdadem. Justin wyjął album. Wyciągnął się na swoim łóżku i ustawił lampkę nad głową tak, żeby lepiej widzieć.

- Znowu ona? - Joe już leżał w łóżku, z rękami pod głową. Uśmiechnął się szeroko. - Nie, żeby ci się dziwił.

- Mhm - Justin otworzył okładkę i przypatrywał się pierwszej stronie. - Jak się tu już trochę jest, to życie w domu zaczyna się wydawać jakimś snem, tak jakby nigdy nie zdarzyło się naprawdę.

- Zdarzyło się, zdarzyło, Baker - Joe wskazał na album. - Zdjęcia mówią same za siebie.

Justin westchnął.

- Wiem - trzymał album otwarty i sięgnął po wydruk ostatniego listu od Emily. Trzymał je wszystkie w prowizorycznej szafce nocnej stojącej między łóżkiem jego i Joe. - E- Maile też mówią same za siebie.

- Przynajmniej masz do kogo pisać - uśmiechnął się Joe. Nie czuł wcale zazdrości, Justin o tym wiedział. Przebywanie w towarzystwie innych chłopaków, z innymi żołnierzami z kompanii odmieniło go. Stał się bardziej zabawny, towarzyski.

- Gdzieś tam na ciebie też czeka dziewczyna - Justin poczuł, że humor mu się poprawia. Uśmiechnął się do przyjaciela.

- Wiem, wiem. Tylko że jeszcze jej nie poznałem.

- Otóż to.

Milczeli przez chwilę, a Justin bezwiednie bawił się kartką w dłoni. Chciał przeczytać ją jeszcze raz, ale najpierw postanowił popatrzeć na zdjęcia, zanurzyć

się na chwilę w pogodne chwile wczorajszego dnia. Przewrócił kartkę i przyglądał się sobie uważnie, jak wygląda, siedząc na schodach świetlicy dla młodzieży, przekomarzając się z chłopakami.

Czy Emily znalazła wolną chwilę, żeby ich odwiedzić? Jeśli tak, to nic mu o tym nie wspomniała. Natomiast wydawało się, że Buster miewa się wspaniale. Rozpuszczała go za każdym razem, gdy miała wolne popołudnie.

Uświadomił sobie, że ciągle trzyma kartkę w dłoni, i znów oparł się pokusie jej ponownego przeczytania. Słowami od Emily trzeba się delektować, jak wszystkim, co się z nią wiąże.

- No, Baker, daj spokój - Joe obrócił się na bok i oparł głowę na rękę. - Weź i czytaj w końcu. To napięcie mnie zabija!

- Co takiego? - Justin spojrział na niego. Miał ochotę się podroczyć. - Zdawało mi się, że e- maile od Emily cię nudzą.

Joe zatoczył oczami.

- Nie ma tu za wiele rozrywek. No - machnął ręką. - Czytaj, ale już.

Justin roześmiał się i odłożył album na bok. Lubił te wieczory, kiedy przekomarzali się razem z Joe. Łatwiej było zapomnieć o minionym dniu, zwłaszcza kiedy był to dzień taki jak ten, gdy przemoc jest tak blisko, że aż zapiera dech. Pisali do siebie z Emily średnio raz na tydzień, ponieważ mniej więcej tyle czasu szły listy. Podobnie jak inni żołnierze, miał ograniczony dostęp do komputera, ustalili więc, że w każdy poniedziałek oboje będą sprawdzać swoje skrzynki.

Tak jak to robił już z kilkoma poprzednimi e- mailami, rozłożył kartkę i zaczęła czytać na głos.

- „Cześć, Justin, to ja...”.

- A niby kto miałyby to być? - Joe przewrócił się z powrotem na plecy i uśmiechnął do sufitu. - No, dalej.

- Właśnie próbuję - Justin kopnął łóżko przyjaciela. Czuł, że uśmiecha się coraz szerzej, to było wspaniałe uczucie. Przypomnienie, że dalej żyje, choć tyłu wokół już zginęło.

- No dobra, dobra.

Justin znów spojrział w list.

- „Dziś znowu byłam u Bustera. Twoja rodzina właściwie jest dokładnie taka, jaką zawsze chciałam mieć. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, no ale skoro jesteś taki wspaniałomyślny i w ogóle, to chyba nie, co?” - Justin zaśmiał się i pokręcił głową. Uwielbiał, kiedy jej listy były pisane takim żartobliwym tonem. Tak było lepiej niż wtedy, gdy między wierszami nieomal słyszał jej płacz.

- Nie opuszczaj!

- Nie opuszczam - odnalazł wzrokiem miejsce, gdzie przerwał. - „W każdym razie Buster bardzo za tobą tęskni. Pomyślałam, że może cię to interesuje. Dalej śpi z twoją bluzą, ale teraz na dodatek chyba jakoś kojarzy mnie z tobą. Mówię poważnie. Kiedy przychodzę, patrzy na mnie przez ułamek sekundy,

a potem od razu zaczyna patrzeć poza mnie. Jakby się spodziewał, że wychy-  
niesz zza węgła. Ale to nie koniec. Kiedy zaczepiam mu smycz i idziemy na spa-  
cer, zatrzymuje się co kilka kroków, wykręca szyję i zagląda za moje nogi, i gapi  
się, po prostu się gapi w pustą przestrzeń za mną.

Justin roześmiał się w głos.

- Jakbym to widział.

- No - uśmiechnął się Joe. Wciąż patrzył w sufit, jakby próbował sobie wy-  
obrazić to, co opisuje Emily.

Na zewnątrz zerwał się silniejszy wiatr. Jęczał w szparach przy klamce  
w drzwiach. Justin rozprostował kartkę i czytał dalej.

- „Ale muszę się przyznać. Uważam, że twój pies jest z lekka zbzikowany.  
Chociaż chyba zaczyna się do mnie przyzwyczajać. Ostatnio przynoszę mu ze  
stołówki resztki kurczaka. Dam głowę, że jak wrócisz, to będzie zaglądała za two-  
je nogi i wypatrywała mnie! Cha cha! Tylko żartuję. Ten pies siedziałby całymi  
dniami w oknie i wyczekiwał na ciebie, gdyby nie to, że czasami bierze go  
głód”.

Obraz, jaki odmalowała, rozbawił go, a zarazem wzruszył. Buster był dla  
niego ważny, ona o tym wiedziała. Poświęcała temu psu czas zamiast niego, po-  
nieważ jemu ciążyło na sumieniu, że tak go zaniedbał. Wzięła na siebie napra-  
wienie tej krzywdy w najlepszy sposób, jaki przyszedł jej do głowy. Zaprzyjaźnia-  
jąc się z Busterem.

- I to wszystko? - Joe wyglądał na zawiedzionego.

- Jest tu jeszcze co nieco - prędko zaczerpnął powietrza. - „Aha, skoro mó-  
wiłeś, że interesują cię wyniki, no to posłuchaj. Wygrałyśmy oba mecze w ze-  
szłym tygodniu, 5:1 i 3:2. Wiem, wiem, któraś w obronie musiała dać plamę, sko-  
ro zaliczyłyśmy aż dwa gole. A teraz się uśmiejesz. Zdobyłam dwie z tych trzech  
bramek, a trzecia padła z mojego podania. Trener stwierdził, że przyznanie mi  
stypendium było jego najlepszą decyzją życiową. Zgodziłbyś się z nim, jak sądzę.  
Pomyśl tylko, co by było, gdybym wybrała Uniwersytet Stanowy w San Diego?  
A miałam taki zamiar! Wiesz, Justin... - opuścił kilka kolejnych linijek. - Wariu-  
ję z tęsknoty. Kocham Cię. Emily”.

- Ejże! - Joe aż usiadł na łóżku. - Coś opuściłeś.

- Taka jest umowa - zaśmiał się Justin i oparł się na łokciu. - Mam prawo  
do cenzury.

- A niech mnie! Opuszczasz, co najlepsze - westchnął desperacko. - Ciagle  
chodzisz z jej zdjęciem w bucie?

- T a k jest. Codziennie.

- I zrozum tu człowieka! - pokręcił głową. - No, ja walę się w kimono. Czy-  
taj w spokoju te swoje momenty.

Justin uśmiechnął się.

- Dobranoc, Joe.

- Dobranoc - Joe zgasił lampkę i przekręcił się na drugi bok.  
- A nie zapomnij o paciorku.  
- Człowieku! - Joe wykręcił szyję i rzucił mu spojrzenie spode łba. - Przerwałeś mi. A już miałem za sobą wstęp „Kochany Panie Boże”.

Justin roześmiał się. Przyjaźń z Joe to była wspaniała rzecz. Tych samotnych nocy w Bagdadzie nie zniosłby bez starego kumpla. W niektóre wieczory w ogóle nie rozmawiali o Emily, tylko wyciągali Biblię i czytali Listy - Jakuba albo do Kolosan, albo do Hebrajczyków. Cokolwiek, co mogło im dać poczucie pokoju i nadziei, potrzebne do kolejnego dnia walki.

Znów rozłożył list i odnalazł zdania, które opuścił.

*Wiesz, Justin, nie mieści mi się w głowie, że nie ma cię dopiero niespełna trzy tygodnie. Wydaje mi się, jakby to były trzy lata. Miał rację ten, kto powiedział, że rozłąka rozczuliła serce. Nie wiem tylko, o ile bardziej moje serce może się jeszcze rozczulić, żeby nie wyrwać mi się z piersi. Kiedy wrócisz i zobaczysz, że zamiast serca mam dziurę, będziesz wiedział, skąd to się wzięło.*

Uśmiechnął się. Emily zbzikowała na jego punkcie. *Boże, pozwól jej zrozumieć, że ja czuję dokładnie to samo.*

Westchnął jak najciszej, żeby Joe mógł wyspać się choć trochę. Odnalazł miejsce, w którym przerwał, i czytał dalej:

*Piję kawę z tego kubka od Ciebie. Znaczy to, że myślę o tym błocie, w którym grzęzniesz tam na pustyni - i wiem, wiem. Wolałbyś być tu ze mną, pić sobie kawę z mlekiem - i dla porządku dodam, że ja też bym tak wolała. Justin, myślę o Tobie. Wariuję z tęsknoty. Kocham Cię. Emily.*

Złożył list i wsadził go do szuflady obok innych listów. Sięgnął po album. Pociągnął zdjęcie za zdjęciem. Kiedy skończył, Joe spał już w najlepsze, chrapiąc głośniejsz niż zwykle. Justin odłożył album. Jest późno. Jutro trzeba być równie przytomnym jak dziś. Trzeba uważać, żeby się zanadto nie wychylić, kiedy zaczną świstać kule.

Zgasił światło i leżał tak z otwartymi oczami. Wiele wydarzyło się tego dnia, jego głowa pełna była obrazów, które pozostaną w nim do końca życia. Ale obrazem, który wciąż miał przed oczami zasypiając, nie byli demonstranci leżący w kałużach krwi ani nawet irackie dzieci przed atakiem i po nim. Nawet nie ten mały chłopczyk tulący się do niego tak długo. Coś innego.

Lauren Gibbs. I jej szeroko otwarte oczy, być może - jak przypuszczał - po raz pierwszy w życiu. Kiedy zasypiał, zastanawiał się, o czym myślała, odjeżdżając stamtąd. I zastanawiał się jeszcze nad czymś.

Co ona tym razem napisze dla „Time'a”.

## *Rozdział 15*

Bob Maine przeczytał do końca tekst na ekranie swojego komputera i rozparł się na krześle. Zaklął pod nosem.

- Gibbs... coś ty narobiła?

Wiedział, że prędzej czy później tak się to skończy. Pół roku w sąsiedztwie Top Gun może zmienić człowieka. Tylko że... te pierwsze teksty Lauren były takie jak zawsze. To samo ostre dziennikarstwo, ten sam sceptycyzm. Patrzył tępo w ekran. I teraz coś takiego? Potrząsnął głową. Te dzieciaki podnoszące wrzawę za amerykańskimi żołnierzami, ci demonstranci pragnący podziękować Ameryce? Za bardzo przypominało to wypociny wojskowych biur prasowych na ich własną korzyść.

Nie wiedział, co się dzieje, ale musiał się dowiedzieć. Zamówił pilną rozmowę z ośrodkiem dla dziennikarzy i zostawił Lauren wiadomość. Znał jej rozkład zajęć, spodziewał się, że oddzwoni lada moment. Jeśli ma mu z Iraku pisać coś podobnego, to niech już lepiej pracuje w kraju.

- Szybciej, szybciej, Gibbs - bębnił palcem o biurko. Przewinał na początek artykułu. Przeczytał go już dwa razy. Był akurat w połowie pierwszego akapitu już po raz trzeci, gdy zadzwonił telefon. Chwycił słuchawkę.

- Bob Maine.

- Bob? - połączenie było kiepskie, ale zakłócenia nie były w stanie ukryć defensywnego tonu w jej głosie. - Tu Lauren. Czytasz mój tekst?

- Gibbs! - cały sznurek dziennikarzy w newsroomie spojrział w jego stronę. Zniżył głos. - Czy ty sobie ze mnie kpisz? Ten PR-owski bełkot, który mi przysłałaś, to ma być relacja z protestu?

- Bob, ja tam byłam. Wszystko widziałam - mówiła z pasją. - To prawda, nie codziennie oglądam coś takiego, kiedy idę na materiał. Ale jestem dziennikarzem, i to bardzo dobrym. Sam tak powiedziałeś.

Odetchnęła głęboko.

- Wysłałeś mnie do Iraku po newsy, tak? Tak czy nie?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie czegoś takiego się spodziewał. Pokornej obietnicy, że podkreśli tekst - tego owszem. Ale zajadłej obrony?

- Gibbs, co ty mi próbujesz wcisnąć? Że twoja dzisiejsza relacja jest bezstronna i rzetelna?

- Otóż to - nie zawahała się ani przez moment. - Bardziej bezstronna niż wszystko, co do tej pory pisałam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co mówię.

I przez następne 30 minut ta gwiazda wśród reporterów wojennych nie tylko wyjaśniła, co zobaczyła na miejscu, ale i opisała własne uprzedzenia i jak wpływały one na jej relacje. Mówiła ostro i inteligentnie - i z niepokojem.

Kiedy skończyła, Bob był nadal załamany. Ale osiągnęła, co chciała.

- Powinnaś być prawnikiem. Oni więcej zarabiają.

- Ale to - dodała tonem pełnym przekonania - jest ważniejsze.

- Bezstronne i rzetelne, mówisz? - wciąż był sceptyczny, ale teraz jego wątpliwości nie miały podstaw.

- Bezstronne i rzetelne.

Pod koniec dnia, kiedy Bob przesłał tekst do korekty, miał nadzieję tylko na jedno. Że czytelnicy „Time'a” to kupią.

Shane bardzo rzadko dostawał wiadomości od Lauren.

Nawet na to nie liczył. Wyjeżdżała, dobrze wiedząc, czego chce, z określonymi poglądami. Dlatego nie mógł się doczekać, aż wpadnie mu w ręce ten numer „Time'a”, egzemplarz, który krążył po biurach Top Gun. Lauren Gibbs coś się stało - zewsząd docierały do niego takiego głośy.

Tego ranka aż dwa razy zaczepili go na korytarzu piloci.

- Sir, pana narzeczona... co jej się stało?

Za pierwszym razem przeraził się. Porwali ją? Zabili?

Pilot najwyraźniej spostrzegł po jego minie, co mu chodzi po głowie.

- Nie, nie. Nie jest ranna, nic z tych rzeczy. Tylko... jakoś zmieniła się.

Niech pan przeczyta jej artykuły w ostatnim numerze. Sam pan zobaczy.

Shane'owi waliło serce. Odwrócił się i poszedł z powrotem do hallu, gdzie na stole leżało zwykle kilkanaście różnych najświeższych tytułów. W połowie drogi zagadnął go inny pilot.

- Czytałeś ostatnie artykuły Lauren? - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Coś ty jej zrobił, pranie mózgu?

Coś w tonie jego głosu ubodło Shane'a.

- Jeszcze nie czytałem.

Szedł dalej. Nie próbował robić Lauren prania mózgu. Miała prawo do swoich poglądów. Chciał tylko, żeby je trochę wyważyła, żeby zrozumiała też jego stanowisko. Znalazł na stoliku wolny egzemplarz. Na okładce widniał naukowiec z probówką w dłoni, ale wśród wymienionych mniejszą czcionką tytułów był i taki: „Cios dla demokracji w Iraku”.

No dobrze, i czym się taki tytuł różni od innych, które Lauren dotąd pisała? Te tytuły zawsze były negatywne, miały w założeniu wykazać porażkę wysiłków wojennych.

Wziął czasopismo, poszedł na bok i znalazł wolną ławkę parę metrów dalej. Jeśli w Lauren coś się zmieniło, na pewno będzie o tym wiedział. Tak samo dobrze jak zna jej głos, tak samo umie ocenić na podstawie jej słów, czy Bóg pomógł jej spojrzeć na tę wojnę w innym świetle.

Przekartkował na środek magazynu. Zdjęcia były bardzo plastyczne, jak to często w „Time'ie”. Na jednym niewielkim widniały trzy ciała, leżące na ziemi wie krwi, a dookoła jacyś protestujący, widać oplakujący tych ludzi.

Ale uwagę Shane'a przykuło środkowe zdjęcie. Lauren nigdy nie poleciłaby swojemu fotoreporterowi robić podobnego ujęcia. W każdym razie nie ta dawna Lauren. I wtedy uświadomił sobie nie tylko, co się dzieje na tym zdjęciu, ale i kto na nim jest. Szeroko uśmiechnięty amerykański żołnierz rzucający piłkę do gromadki irackich dzieci. Nie jakiś tam żołnierz. Justin Baker. Syn jego przyjaciela.

Shane nie mógł oderwać wzroku od tego zdjęcia, przypatrywał się mu.

Podpis pod zdjęciem głosił:

*Porucznik Justin Baker wraz z grupą żołnierzy z Fort Lewis spędzają popołudnie na zabawie z irackimi dziećmi i rozdawaniu im żywności i wody. Ojcowie dzieci brali udział w proteście przeciwko eskalacji przemocy sto metrów dalej, gdy rozległy się strzały, zabijając troje demonstrantów.*

„Co?”. Shane'a ogarnęły uczucia zbyt intensywne i zbyt liczne, by zdołał je od razu uporządkować. Najpierw poczucie dumy. Z Justina - że stacjonując w samym środku Bagdadu, w okolicy słynącej z gwałtów, znajduje mimo to sposób na rozweselenie dzieci. Shane przymknął na moment oczy i przypomniał sobie, co ten chłopak mówił o wojnie wtedy w pizzerii.

*Robimy w Iraku dużo dobrego, naprawdę. Te dzieci muszą wiedzieć, że jesteśmy dla nich przyjaciółmi. Chcemy dla nich demokracji i wolności. Żeby poznali inne życie niż to, do którego byli zmuszeni ich rodzice.*

Shane zamrugał powiekami i otworzył oczy. Patrzył na twarz Justina. Tamtego wieczoru Lauren odwracała wzrok, bawiła się słomką w szklance i udawała, że nic nie słyszy.

Ale tu oto jest Justin i jego koledzy. I żaden spór na tematy polityczne nie zmieni tego faktu. Czynią dobro. I kropka. Zdjęcie tego dowodzi. Shane powiódł wzrokiem po całej fotografii. W tyle jakiś konwój pojazdów wojskowych, najwyraźniej z torbami z jedzeniem, bo żołnierze rozdają je dzieciom. Na małym klocku obok tego zdjęcia podano dane liczbowe na temat ilości toreb z pomocą humanitarną rozdanych wśród dzieci na przestrzeni minionego roku oraz spis przykładowych rzeczy w takiej torbie. Woda, żywność, cukierki, papier, długopisy, zabawki.

Shane popatrzył na górę rozkładówki i spostrzegł napis: „Relacja Lauren Gibbs”. A zdjęcia? Rzucił okiem na dół pierwszej strony. Tak, „Zdjęcia Jeff Scanlon”, najbliższy kolega Lauren z „Time'a”.

Nie mógł tego pojąć. Każdego popołudnia fotoreporterzy robią setki zdjęć, dlaczego zamieszczać akurat takie, które opowiadają historię ignorowaną zazwyczaj przez media? Czy Lauren miała coś do powiedzenia w sprawie wyboru zdjęć? Szczególnie że jest to duży tekst na stronach rozkładowych?

Odpowiedź nasuwała się sama. Lauren musiała mieć coś do powiedzenia. Plus jej fotoreporter i naczelny.

Nadzieja zmagala się w nim z niedowierzaniem. Obejrzał już zdjęcia. Teraz przeczyta, co napisała. Były tam właściwie dwa teksty. Pierwszy nosił tytuł: „Amerykańscy żołnierze w sukurs demonstrantom. Jeden żołnierz zginął”.

Powoli wypuścił powietrze z płuc. Kolejna śmierć, kolejna strata. Zaczął czytać od samej góry.

*Jeden amerykański żołnierz zginął w środę w Bagdadzie, broniąc uczestników pokojowego protestu. Do wybuchu przemocy doszło z chwilą, gdy grupa rebeliantów w opustoszałym budynku rozpoczęła ostrzał demonstrujących Irakijczyków, zabijając trzech obywateli tego państwa. Amerykańscy żołnierze wdarli się do budynku-kryjówki terrorystów, śmiertelnie raniąc trzech. Po stronie amerykańskiej zginął 19-letni żołnierz, który jako pierwszy wpadł do budynku w pościgu za terrorystami.*

*Na kilka minut przez zamachem jeden z demonstrantów, mężczyzna imieniem Jusef, wyjaśnił nam, że protestują przeciwko przemocy stosowanej przez terrorystów.*

*- Protestujemy przeciw przemocy wobec głoszących, wobec przywódców - wyjaśnił. - Ile razy jakiś dobry człowiek ma objąć urząd, rebelianci zabijają go, zabijają jego zwolenników, zabijają wyborców.*

*Jusef powiedział nam, że ten protest jest dla niego bardzo ważny, szczególnie w obliczu zbliżających się wyborów.*



- *Mój naród jest wdzięczny Amerykanom. Bardzo wdzięczny. Teraz mamy nadzieję, możemy pracować, rozwijać się, mieszkać z rodzinami. Cieszymy się z Amerykanów.*

Cieszymy się z Amerykanów? Czy Lauren naprawdę usłyszała te słowa? I postanowiła je zacytować?

Czytał dalej:

Niestety, Jusef znalazł się wśród tych, którzy zginęli w zamachu.

- *Naród iracki w swej zdecydowanej części popiera tę wojnę, ponieważ dzięki niej ostatecznie może uzyskać wolność, której pragnie - powiedział nam jeden z dowódców wojskowych obecnych na miejscu incydentu. - Po zakończeniu wojny zdolność terrorystów do działania i operowania z tej części świata będzie mocno ograniczona. A my zabezpieczymy demokrację dla obywateli Iraku.*

*Toczy się debata, czy koszt takiego zwycięstwa nie jest za wysoki, mierzony zarówno pieniędzmi podatników, jak i ludzkim życiem.*

- *Wierzymy w wolność, w prawo do bezpiecznego miejsca zamieszkania, zarówno dla Stanów Zjednoczonych jak i dla Środkowego Wschodu - dodał wspomniany wojskowy. - To prawda, że koszty są wysokie. Ale na te koszty musimy się godzić, jeśli chcemy doprowadzić do zmian.*

Artykuł ciągnął się dalej, ale Shane nie dostrzegał już słów, nie był w stanie przebrnąć przez ani jedno zdanie więcej. Musi wpieryw zastanowić się nad tym, co już przeczytał. Z Lauren spierali się nieskończoną ilość razy na temat siły mediów.

- *Idziesz robić jakiś materiał i widzisz tylko to, co chcesz - mówi jej. - Podczas każdego ważnego wydarzenia dzieją się miliony różnych drobniactw naraz. A ty wybierasz sobie te sto, które chcesz, i układasz je tak, jak chcesz. I powiesz mi, że to jest bezstronna relacja? Lauren, coś takiego nie istnieje!*

- *Shane, fakty zawsze wypływają na wierzch. Dostaję zlecenie na jakieś wydanie, rozmawiam z ludźmi, którzy są tam najważniejsi, i informuję o faktach.*

- *o wszystkich faktach?*

- *Naturalnie - nie podobała jej się insynuacja, że news w jakiś sposób przechodzi wpieryw przez filtr jej umysłu.*

Ale tu, w tym artykule, Lauren przedstawiła fakty, które mogła przedstawić kompletnie inaczej. Gdyby opisywała to wydarzenie rok wcześniej, wytknęłyby, że amerykańscy żołnierze beztrąsko wdali się w potyczkę z Irakijczykami w bezpośrednim sąsiedztwie bawiących się dzieci, i odmalowałyby ich obraz jako bezdusznych maszyn do zabijania.

Ale ten tekst... to było zupełnie co innego.

Kiedy czytał dalej, obraz zaczął się szybko klarować. Nie tylko dzięki stylowi, w jakim Lauren go napisała, ale i dlatego, że podobne obrazy opisywano mu już dziesiątki razy. Był informowany o najnowszych wydarzeniach na froncie, opisana scena na bagdadzkiej ulicy była smutną powszedniością.

Obywatele Iraku, świeżo posmakowawszy wolności, zapragnęli nowego życia, chcąc za wszelką cenę skorzystać z tej demokracji, którą im pokazano, aby ich rodziny i rodziny ich dzieci nigdy już nie zaznały terroru władzy nikczemnego dyktatora. Z powodu straszliwie złej prasy amerykańscy żołnierze rzadko jednak zachowywali się ofensywnie podczas pokojowych protestów i rzadko zapuszczali się do budynków i zaułków w poszukiwaniu terrorystów.

Stali tylko na straży, dając Irakijczykom szansę demonstrowania, apelowania do rodaków, aby opowiedzieli się za wolnością. Dopiero kiedy coś szło nie tak - a działo się to często - wkraczali do akcji w obronie Irakijczyków. Bardzo często podczas takich interwencji Amerykanie ponosili ofiary w ludziach.

Kiedy rozmawiał o tej wojnie z innymi wojskowymi, zawsze zgadzali się co do jednego. Prezydent powinien mieć większe poparcie w tej sprawie - moralne, polityczne, finansowe. Ameryka ma możliwość tropić grupy terrorystyczne, rozbrajać je i zamykać rebeliantów w więzieniach albo eliminować ich razem z ich morderczymi planami. Ale wojsko ma jedną rękę związaną z tyłu na plecach, głównie dlatego, że media przekonały opinię publiczną o zbyteczności dalszego finansowania wojny w Iraku i posyłania tam ludzi. A nawet że każdy kolejny dzień wojny to zwykła strata amerykańskiego życia i amerykańskich pieniędzy.

Shane znów spojrzął na artykuł. Z boku biegł drugi tekst, o tym, czym zajmuje się Justin i inni żołnierze z jego kompanii, o odczuwanej przez nich potrzebie zaprzyjaźniania się z irackimi dziećmi.

„Lauren, czy ty chcesz mi coś powiedzieć? Czy Bóg tak szybko cię przemienił?”. Dreszcz przeszedł mu po plecach i nogach. „Co dzieje się w twoim sercu, skoro pokazałaś takie oblicze tej wojny?”. Nie mógł się doczekać, kiedy z nią porozmawia, ale nie chciał dzwonić pierwszy. Jeśli oddała do druku taki tekst, to musi przeżywać wielkie zmagania wewnętrzne. Bo fakty - wyważone ujęcie faktów - zderzyły się z hukiem z jej długoletnimi poglądami.

Tak, zdecydowanie lepiej zrobi, jeśli poczeka i da jej czas na przemyślenie wszystkiego. Pewnego dnia, już wkrótce, Lauren zadzwoni do niego. Tymczasem będzie się za nią modlił.

Przeczytał kawałek artykułu puszczanego bokiem.

*Gdyby rodzice tych dzieci nie chcieli nas w swoim kraju, to nigdy by nie pozwolili im spędzać z nami dnia i przyjmować od nas prezentów - mówi 22-letni Baker. - Przebywając z tymi dziećmi, możemy pokazać im, że życie się zmienia. Że demokracja w końcu zwycięży.*

Shane uśmiechnął się. „Brawo, Justin. Brawo”.

Wyciągnął komórkę i popatrzył na godzinę. Emily jest w drodze na swoje pierwsze zajęcia, ale on nie może czekać. Wybrał jej numer. Kiedy rozległ się sygnał, jeszcze raz przeleciał wzrokiem artykuł.

- Halo?

- Skarbie, to ja, tata - nie mógł ukryć radości i roześmiał się. - Widziałeś najnowszy „Time”?

- Nie - z trudem łapała dech. - Biegałyśmy rano z koleżanką, a teraz mam tylko pięć minut do początku zajęć. Czy mama... - w jej głosie zabrzmiał niepokój - znowu coś tam napisała?

- Tak - sam nie wiedział, od czego zacząć. - Ale nie takie jak przedtem. Po pierwsze, na najważniejszym zdjęciu jest Justin. W samym środku tygodnika „Time”.

- Co? - po jej głosie można było poznać, że stanęła jak wryta, nie dbając już wcale o plan zajęć. - Mówisz poważnie?

- Tak. Mama musiała go spotkać w Bagdadzie parę dni temu. Emily - ton jego głosu zmienił się. - Jakiś żołnierz zginął. To był ciężki dzień dla żołnierzy, ale mama... nie wiem, co się z nią dzieje, ale ten jej tekst jest o wiele bardziej wyważony niż wszystko, co do tej pory pisała.

- Znajdę sobie egzemplarz w czytelniku... - zawahała się. - Tato, jesteś pewien? Naprawdę dostrzegłeś w tym coś innego niż zwykle?

- Modliłaś się, prawda?

- Prawda.

- Mama mówi, że nawet ona rozmawia z Bogiem - Shane uśmiechnął się. - Przeczytaj te teksty. Już zdjęcia same w sobie pokazują coś, co Amerykanie rzadko mają okazję oglądać.

Nagle przypomniał sobie, że Emily się śpieszy.

- Zadzwonię później. Ciekaw jestem, jakie będzie twoje zdanie.

- Dobrze.

- Ach, no i... chciałbym przylecieć do ciebie w któryś weekend, obejrzeć jakiś mecz.

- Jesteśmy nadal niepokonane.

- Moja dziewczynka - przesunął palcami po wciąż otwartym czasopiśmie. Pogadamy później, maleńka. Ściskam cię.

- Ja ciebie też.

Pożegnali się szybko, Shane wsunął komórkę z powrotem do kieszeni. Jeszcze raz przeczytał artykuł. Tym razem miał wrażenie, że to sama Lauren mówi do niego poprzez słowa swojej relacji. Tak, wojna jest tragiczna, owszem, jest skomplikowana. Nikt nie chce wojny, a już najmniej chcą jej wojskowi i ich rodziny.

Ale niektórych rzeczy warto bronić. Wolności i demokracji, i tego życia, do jakiego Amerykanie przywykli, życia, jakie mieszkańcy Iraku dopiero zaczynają smakować. Słyszał, jak Lauren mówi to wszystko. I jeszcze coś.

Jeszcze nie teraz, może jeszcze niezbyt prędko, ale jeśli Lauren będzie się natykać w Iraku na takie wydarzenia, to pewnego dnia, może nawet niedługo, oboje dojdą do wniosku, że jednak nie różnią się aż tak bardzo?

Ten artykuł mógłby się okazać pomostem, jakiego szukali przez ostatnie pół roku. Ponieważ jedynie przemiana serca skłoniłaby Lauren do zaprezentowania tej relacji w taki właśnie sposób. I w ciszy tego poranka zastanawiał się. Może takie wydarzenia, takie doniesienia staną się stałym elementem jej dziennikarskiej pracy? A jeśli tak, to czas spędzony przez nią na Środkowym Wschodzie dałby im coś, czego sami nie potrafili znaleźć.

Wspólnotę poglądów.

## *Rozdział 16*

Emily nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w czytelni.

Uwierzyła ojcu - coś w artykule matki dowodziło, że Bóg otworzył jej oczy, zmienił jej serce. Chciała też zobaczyć zdjęcie Justina. Z książkami w plecaczku pobiegła brukowaną ścieżką do starego ceglaneanego budynku, w którym często spędzała mnóstwo godzin na lekturze.

Postanowiła zrobić licencjat z socjologii, którą zainteresowała się dzięki Justinowi. Estyma, jaką cieszył się wśród weteranów i wśród młodzieży, szczególnie nastolatków ze świetlicy, była imponująca. Zawsze wyobrażała sobie, że zostanie pisarką, a najpewniej dziennikarką. Tyle że prezentowałaby fakty bezstronnie, na tyle, na ile to tylko możliwe.

Teraz jednak nie była pewna, czy można być odpowiedzialnym dziennikarzem bez zaangażowania się w życie otoczenia w formie pracy społecznej, tak jak Justin. Zajęcia z dziennikarstwa nigdy nie nastęrczały jej problemów, z drugiej strony była jeszcze zbyt słabo zaawansowana, żeby pracować w uczelnianej gazecie. W jej jesiennym grafiku znalazły się więc trzy kursy z dziedziny socjologii. Ale studia socjologiczne wymagają wielu godzin samodzielnej pracy i lektury. Dlatego po boisku piłkarskim i małej uczelnianej kaplicy czytelnia biblioteki stała się trzecim miejscem, w którym spędzała najwięcej czasu.

Podeszła do schodów i wbiegła na górę co drugi stopień. Justin, jakiego widziała w swych myślach i sercu, był w mundurze galowym i stał koło niej przy

barierce na statku wycieczkowym. Opalony, na luzie, z oczami błyszczącymi miłością. Jak dotąd przysłał jej przez Internet dwa swoje zdjęcia z Iraku. Jedno z jakimś kumplem imieniem Joe przed budynkiem koszar, drugie z gromadką małych Irakijczyków - po tym drugim trudno się było zorientować, kto bawi się lepiej - Justin czy dzieci. Wpadła pośpiesznie przez podwójne drzwi i podeszła do kontuaru, na którym leżała aktualna prasa. Od razu znalazła najnowsze wydania „Time'a”. *Dobrze, Boże... pokaż mi to, co zobaczył tata. Daj mi znać, czy ona zaczyna widzieć rzeczy inaczej. Proszę...*

Chwyciła egzemplarz leżący na wierzchu i odruchowo usiadła na najbliższym krześle. W ciągu paru sekund była już na stronach rozkładowych. I nagle pojawił się on. Podniosła pismo bliżej oczu i przypatrywała się. W jakimś sensie ujzenie go na łamach „Time'a” przydawało jego sytuacji przerażającej realności.

Oglądać zdjęcie dołączone do e-maila to jedno. Ale tu... nie sposób przeczyść temu, co oczywiste. Justin jest na drugim końcu świata, rzucony w sam środek jednego z najniebezpieczniejszych obszarów Iraku. Gwałtownie nabrała powietrza, nie chcąc wypuścić łez, które zbierały się jej w gardle. Mieszały się w niej uczucia smutku, tęsknoty i najgłębszej dumy.

Bo patrzyła na Justina, który robi to, co umie najlepiej. Pomaga ludziom, sam daje przykład. Sto metrów dalej szaleje wojna, ale Justin pilnuje dzieci demonstrantów. Co by było, gdyby zabrakło tam jego i jego kolegów? Wtedy ci mali chłopcy i dziewczynki staliby obok swoich protestujących ojców.

A gdy poleciały kule, najpewniej byłiby wśród zabitych. Przypatrywała się twarzom dzieci. Może niektóre straciły w tym dniu ojców. Ale nie straciły nadziei. Dlatego że amerykańscy żołnierze obok nich dawali im i ich rodzicom podstawę do wiary, że nawet pomimo wielkich strat w końcu wygra wolność. I będzie rządzić demokracja.

Ale choć jej serce rosło z dumy, zarazem zrobiło jej się słabo. „Justin... co ty tam robisz, tak blisko snajperów, na tej samej ulicy co terroryści?”. Gdy patrzyła na jego uśmiechniętą twarz, na silne ramiona, szykujące się do odrzucenia piłki, tygodnik w jej dłoniach zaczął drżeć.

Nie minął jeszcze nawet miesiąc, a każdy dzień, każda godzina narażały go na niebezpieczeństwo. Próbowwała odetchnąć, ale z jej ust wyszło tylko trochę powietrza. Ogarnęła ją panika. A jeśli nie ma dobrej kamizelki kuloodpornej, dobrej broni? A jeśli na tej samej ulicy w tym samym dniu jacyś inni rebelianci skierowaliby lufy w jego kierunku?

Jej płuca nie chciały pracować, poczuła, jak czoło pokrywa się potem. Jej nogi się trzęsły - i wtedy uświadomiła sobie, co się dzieje. Atak paniki, coś, czego nie doświadczała od czasu odnalezienia rodziców. Wcześniej zdarzało się jej tak bardzo ulegać przygnębieniu - że nigdy nie znajdzie rodziców, że może nie żyją albo że nie zechcą jej widzieć, kiedy już ich odnajdzie - i wtedy jej organizm po prostu odmawiał posłuszeństwa.

To samo działo się teraz.

„A co by było gdyby” przerosły rzeczywistość, piętząc się nad nią, przytłaczając. Jej wzrok biegał jak oszalały po sali, szukając kogoś, kto by jej pomógł. Ale dostrzegła tylko bibliotekarkę, siedzącą w najdalszym kącie.

*Boże! Nie mogę oddychać!* Odłożyła czasopismo na stolik i skuliła się, opierając ramiona i czoło o twardey blat. A jeśli Justin już nie wróci? Jak ona przeżyje taką stratę? Jak...?

*Córko, Ja jestem z tobą... daję ci mój pokój.*

Powietrze zaczęło stopniowo uchodzić z jej płuc jak z przebitej dętki. *Boże... czy to Ty?*

*Zatrzymaj się i poznaj, że ja jestem Bogiem.*

Każda komórka jej ciała usłyszała te słowa, odczuła ten nakaz. Odpowiedziały nań mięśnie, rozluźniając się, w końcu płuca napełniły się powietrzem. Bóg jest przy niej. Był tu i czuwał nad nią, kiedy oglądała magazyn. Słuchał jej myśli, gdy zaczęła ją ogarniać panika.

On nie dopuści do tego, żeby się kompletnie załamała. I nie opuści Justina ani jej matki. Znów odetchnęła. *Boże, dzięki Ci.* Wyprostowała się powoli i oparła o twarde, chłodne oparcie krzesła. Nie może zmienić faktów. Justin jest w Iraku, ponieważ uważa to za słuszne. Robi to, do czego jest w swoim przekonaniu stworzony - broni wolności, bez względu na koszty.

A ona nie może już więcej pozwalać, żeby jej myśli i obawy wymykały się spod kontroli. Owszem, zdjęcie Justina jest w tygodniku „Time”. Ale nie ma to wpływu na rzeczywistość jego pobytu w Iraku. On tam jest. I będzie tam jeszcze pięć miesięcy. A ona musi nauczyć się radzić sobie ze swoimi uczuciami i lękiem.

*Jak? To oczywiste. Boże... zapomniałam, że ze mną jesteś - A Ty jesteś. Jesteś tu przy mnie.* Zamknęła oczy i poczuła, że zaczyna się uspokajać, że panika opuszcza jej ciało. *Przemówiłeś do mnie, zanim do Ciebie zawiązałam.* Znów nabrała powietrza, powolny, oczyszczający haust tlenu.

Potem zaczęła czytać relację. Relację swojej matki. Po kwadransie, kiedy przeczytała już każde słowo, wiedziała na pewno dwie rzeczy. Że jej ojciec ma rację - w matce coś się zmienia, w przeciwnym wypadku nigdy nie przedstawiłaby wydarzeń tamtego dnia w taki sposób.

A po drugie, że Bóg jest nie tylko z nią, że nie tylko pomaga jej w ataku paniki. Jest też z matką i z Justinem, i z każdym dzieckiem, które uśmiecha się na tej fotografii. Przez długą chwilę myślała o śmierci tego amerykańskiego żołnierza, dziesięcioletka, który jako pierwszy wpadł do budynku i zginął od kul rebeliantów. Gdzieś tam na Wschodnim Wybrzeżu rodzina tego chłopaka otrzymała już wiadomość - i najgorszy cios w swoim życiu.

Koszt jest wysoki, a często ten koszt ma konkretną twarz, nazwisko, historię. Ale ten młody człowiek szedł na bitwę znając ryzyko, świadomy kosztów.

Tak jak Justin. Miała tylko nadzieję, że w najbliższym czasie rodzina i przyjaciele tego chłopca zbiorą się razem, żeby oddać mu hołd, że będą dziękować Bogu za to pokolenie, w którym znajdują się młodzi ludzie gotowi poświęcić wszystko - wzorem innych żołnierzy, którzy czynili tak od zarania dziejów tego kraju.

Wszystko po to, żeby Amerykanie mogli żyć tak, jak tego oczekują i jak to zbyt często uznają za oczywistość.

Nie było jej już słabo, panika, która dopiero co próbowała nią zawładnąć, znikła całkowicie. Biblia tyle mówi o pokoju. Ale ukazywany w niej obraz Bożego pokoju zazwyczaj niewiele ma wspólnego z uspokajaniem burzy na morzu. Chodzi raczej o uspokajanie osoby uwikłanej w burzę. W Ewangelii Jana 16,33 napisano szczerą prawdę o życiu na tej ziemi: „Na świecie udrękę cierpicie, lecz bądźcie ufni, ja zwyciężyłem świat”.

Te ostatnie słowa zmieniają wszystko. Kiedy Emily przeczytała artykuły do końca i poszła na zajęcia, czuła w sobie Boży pokój, tak jak to opisuje List do Filipian w czwartym rozdziale. Pokój ogarniający każdą myśl.

Zajęcia skończyły się już po porze lunchu, kolejne godziny, aż do piętnastej, spędziła na boisku piłkarskim w strugach deszczu. Po treningu zrobiła coś, co robiła przynajmniej raz w tygodniu. Pojechała do świetlicy dla młodzieży. Egzemplarz „Time'a” siedział bezpiecznie w plecaczku. Było zbyt deszczowo na koszykówkę, ale w środku stał stół pingpongowy, a chłopcy lubili rywalizować przy nim tak samo jak przy koszu.

Młodzi ludzie zdawali się lubić jej wizyty i choć początkowo onieśmielała ją ich złowieszczy wygląd i obwisłe spodnie, teraz patrzyła na nich oczami Justina - widząc chłopców bez ojców, zagubionych w świecie, który często pędzi zbyt szybko, by ich zauważać.

- Hej, mamuśka! Przyszłaś! - przywitał ją Bo, któremu nieobecność Justina najbardziej doskwierała.

Emily posłała im szeroki uśmiech.

- Dziś nadszedł ten wielki dzień, Bo. Ty i ja przy stole pingpongowym. Już leżysz i kwiczysz.

Bo wydał z siebie dźwięk mówiący jednoznacznie, że trudno o opinię dalszą od prawdy.

- Ja jestem gotowy, dziewczyno. Powiedz tylko słowo.

- Dobra - podeszła bliżej. - Ale najpierw coś wam pokażę.

Postawiła plecak i wyjęła z niego czasopismo.

- Przyniosłaś coś do czytania? - Dexter, inny chłopak blisko zżyty z Justinem, zartobliwie zmarszczył brwi. - No daj spokój! To świetlica młodzieżowa, nie biblioteka.

Pozostali roześmiali się, ale Emily podniosła rękę.

- Ten magazyn to robota Justina.

Przetrawienie tej informacji zajęło im dobrych kilka sekund.



Jako pierwszy przyskoczył do niej Bo.

- Szefunio Baker? - zerknął jej przez ramię. - Pokaż.

Reszta zebrała się naokoło, a Emily przekartkowała aż na środek pisma.

- No i co?

Bo wziął tygodnik z jej rąk i przyjrzał się zdjęciu. A gdy koledzy tłoczyli się za nim, chcąc przypatrzeć się bliżej, twarz Bo zmieniła się. Jego wzrok zmiękł, znikł gdzieś wygląd twardziela. Bo uśmiechnął się i roześmiał cicho.

- Nasz ziomal... pojechał zbawiać świat.

Dexter chwycił za kartkę po lewej stronie, a Emily już miała na końcu języka upomnienie. To był egzemplarz wypożyczony, musiał wrócić do czytelnici bez uszczerbku. Ale Dexter nic nie uszkodził. Jak inni, osłupiał.

- Widzicie? - któryś potrząsnął głową i postukał w tygodnik palcem.  
- O tym mówię. Dlatego się zaciągnę.

Marcus, najmniejszy z nich, energicznie podniósł palec w górę:

- Justin zawsze nam powtarza. Że ta wojna tam dużo zrobiła.

- Tutaj też - kolejny młodzian wetknął między nich głowę, a na jego twarzy wypisana była duma. - Kiedy ostatnio widzieliście samolot wlatujący w dom, co? No kiedy?

Bo nie odzywał się, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia z Justinem. Emily wycofała się trochę. Potrzebowali miejsca, to była ich chwila, chwila dumy z przyjaciela, fascynacji widokiem jego twarzy na łamach „Time'a”. Bezwiednie dotknęła serduszka wiszącego na szyi. Serduszka od Justina. Potem znów spojrzała na Bo. I zobaczyła. Dwie łzy stoczyły się po policzkach i kapnęły na papier. Wytarł je, wyraźnie zażenowany. Potem mocno pociągnął nosem i popatrzył na Emily.

- Możesz mi przekazać wiadomość?

- Jasne - coś podchodziło jej do gardła, bardzo współczuła Bo.

- Powiedz... - wzrok Bo znów powędrował na czasopismo. Chłopak dotknął palcami twarzy Justina. - Powiedz mi, że robi dobrą robotę, OK? - znów na nią popatrzył. - Ale żeby szybko wracał. Bo my... - mówił płaskim głosem z powodu łez. Zrobił naburmuszoną minę, skrywając smutek. - Bo my potrzebujemy go bardziej niż oni.

- Tak jest - Dexter pokiwał głową i objął Bo jednym ramieniem. - Ode mnie też mu to powiedz.

Potem odłożyli magazyn i rozegrali kilka ładnych meczów pingpongowych, a gdy Emily wracała już do samochodu, Bo zatrzymał ją po drodze.

- Zrobisz coś dla mnie? - spojrzął przez ramię, jakby nie chciał, żeby usłyszeli go inni. - Przyniesiesz mi taką gazetkę? No wiesz, może powiesimy na ścianie. Żeby nie zapominać, żeby go wyglądać.

Emily wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń nastolatka.

- Jasne.

Już w akademiku prędko poszła na drugie piętro, do sali komputerowej. Czekwała na to cały dzień. Żeby poprzez e- Mail usłyszeć głos Justina. Zalogowała się, słuchając pobrzękiwania bransoletki na przegubie. Kiedy komputer pracował, zerknęła na grawerowane serduszko. *Emily i Justin. Księga Rodzaju 29*. Pojawiła się jej skrzynka pocztowa. Oczywiście w spisie był jego adres oraz tytuł „Tęsknię”.

Jej serce zabiło mocniej, jak zawsze, kiedy miała czytać list od niego. Pokój od Boga pozwalał jej funkcjonować na co dzień, ale listy od Justina były tym, na co mogła czekać, jednym ze sposobów odliczania dni do jego powrotu.

Jej wzrok pobiegł do pierwszej linijki, gotów spiąć jego słowa jak ktoś umierający z pragnienia. Wyobraziła go sobie, takiego jak w ten ostatni dzień, kiedy szeptał jej słowa pożegnania. Mając w myślach brzmienie jego głosu, zaczęła czytać.

*Kochana Emily,  
robi się tu coraz bardziej gorąco. Czujemy to. Zawsze tak jest przed wyborami, i to też najlepszy dowód na to, dlaczego musimy tu być. Ci ludzie chcą demokracji, i nie wygramy tej wojny, dopóki jej nie zdobędą, dopóki nie będą w stanie samodzielnie tropić i łąpać terrorystów, tak żeby nic już nie zagroziło ich wolności.*

*No dobra, tyle na ten temat.*

*Muszę ci powiedzieć, że rozpuszczasz Bustera. Resztki ze stołówki? Kiedy wrócę do domu, on mnie nawet nie pozna.*

Uśmiechnęła się. Oboje wiedzieli, że to nieprawda. Buster miał wierność wpisaną w geny.

Czytała dalej.

*Temperatura tutaj coraz niższa, i całe szczęście. Ale czas wciąż biegnie zbyt wolno. Na pewno słyszałaś, że spotkałem twoją mamę. Może kiedy dostaniesz ten list, ukaże się już ten numer „Time'a”. Jestem ciekaw, co napisze. Tamten dzień był naprawdę ciężki. Wydaje mi się, Emily, że była tym poruszona. Naprawdę. Ale czas pokaże.*

*Aha, Joe prosi, żeby Ci przekazać, że jest zazdrosny. Ja dostaję mnóstwo e-maili, a on żadnego. Ale nie żałuj go za bardzo. Czytam mu listy od Ciebie, dzięki czemu jest mu trochę lepiej. To rozrywka - jak twierdzi. Nie martw się. Mam prawo do cenzurowania tego, co czytam. Niektóre rzeczy są przeznaczone tylko dla nas dwojga.*

*Ach, mam do Ciebie ogromną prośbę. Niech cię Buster nie całuje. Nie może tego robić, skoro nie mogę tego ja, tak w każdym razie na to patrzę. Ajak tam chłopaki w świetlicy? Grałaś z nimi w pingponga? Aha, zapytaj Bo o stopnie. Jest w tym roku w pierwszej klasie, a obiecał mi, że nie zejdzie poniżej C<sup>1</sup>. Szcze-*

**Można to porównać do polskiej oceny „dostatecznie”.**

*gólnie z nauk ścisłych i matematyki. Powiedz mu, że rozmawiam o nim z Bogiem. Codziennie. O innych tak samo.*

*A teraz uważaj. Joe twierdzi, że ze mnie jest niechluj. Że choćbym miał tylko jeden worek swoich rzeczy, to i tak nie umiem utrzymać ich w czystości. Ale co tam. Tu jest w ogóle niewiele czystych rzeczy. A, jeszcze coś. Nie udaje mi się rano zbyt wiele potrenować. Wstajemy, jemy i od razu w drogę. Jak wrócę, to daję głowę, że mnie prześcigniesz.*

*Ale nie skreślaj mnie od razu. Do lata na pewno dojdę do formy.*

Łzy pojawiły się w oczach Emily, ale uśmiechnęła się. Akurat, Justin traci formę! Za bardzo się do wszystkiego przykładą, żeby coś podobnego mogło mu się zdarzyć.

Przewinęła list niżej.

*No tak. Teraz ta część, której nie cierpię - pożegnanie. Siedzę tak tutaj i mam przed oczami tylko ciebie. Twoje oczy, tak jak je zapamiętałem ostatniego dnia na statku i pod twoim akademikiem. Nie słyszę wiatru wyjącego na zewnątrz ani odgłosów strzelaniny i wybuchów, tylko twój głos, jak prosisz, żebym cię z sobą zabrał, jak błagasz, żebym nie wyjeżdżał. Czuję pod palcami twoją twarz, a na ustach twoje usta.*

*Emily, tęsknię za Tobą. Z oddechu na oddech ciągle odrobinę więcej. Nie przestawaj się modlić. Cały Twój, na zawsze... Justin.*

Przeczytała list dokładnie jeszcze raz, a kiedy dotarła do końca, nie mogła się już dłużej powstrzymać i łzy wypaliły na jej policzkach dwie gorące ścieżynki. Wydrukowała list, a potem kliknęła w „odpowiedz”.

*Justinie mój kochany,*

*Jesteś sławny! Załączam link do artykułu w „Time’ie”, no i mam dla Ciebie odłożony egzemplarz. Ale uprzedzam - kiedy już wrócisz, będziesz musiał rozdáwać autografy. Twoje zdjęcie tam jest, nie da się ukryć! Oczywiście wiem, że wpadliście na siebie z mamą. Ciekawe, co powiesz, jak przeczytasz jej artykuł!*

Pisała dalej. Opowiedziała mu o artykule i o rozmowie z ojcem. O pobycie w świetlicy dla młodzieży i o reakcji chłopaków na artykuł.

*Z początku Bo cały czas się uśmiechał. Nazwał cię ziomalem i powiedział, że zbawiasz świat. Ale im dłużej patrzył na zdjęcie, tym bardziej zmieniała mu się mina. Nie chciał, żebym to widziała, ale miał łzy w oczach, wyobrażasz sobie? Powiedział, że jest z Ciebie dumny, że robisz dobrą robotę. Ale że on i chłopaki potrzebują Cię bardziej.*

*A nie mówiłam?*

Pisała dalej - o swoich meczach i o pogodzie, i o planach niedzielnego wyjazdu do Kelso w odwiedziny do Bustera.

*Justin, nic się nie martw. Nie pozwolę mu się całować. Moje usta są zastrzeżone do Twojego powrotu. A potem... no, powiedzmy, że na razie będziemy się trzymać z daleka od spraw prywatnych.*

Opowiedziała mu o ataku paniki w czytelnicy, o tym, jak strach nieomal porządkował ją żywcem.

*Czasami tak mi się robi, kiedy myślę o Tobie tam na ulicach Bagdadu. Ale Bóg się mną zajął, zanim na dobre przestałam oddychać. Tak jakby klepnął mnie po ramieniu: „Mhm, Emily... czy ty czasami nie zapomniałaś o Moim pokoju?”. A ja na to: „No rzeczywiście. Jak mogłam”.*

*W każdym razie nie mogę się doczekać, kiedy przeczytasz ten artykuł. Dali całkiem niezłe Twoje zdjęcie. Nie mogę się doczekać, co powiedzą dziewczyny, kiedy je zobaczą. Ciągłe pytają, czy masz brata albo chociaż przyjaciela, bo chciałby się z nim spotykać. Więc muszę im powiedzieć o Joe. Może w końcu doczeka się jakiegoś e-maila.*

*Wiem, co masz na myśli, pisząc o tym ostatnim dniu. Czasami idę przez kampus, patrzę, jak liście zmieniają kolory, i czuję Twój oddech na mojej skórze, tak jakbyś szedł tuż obok. Trzymam się, Justin. Ale ledwo, ledwo. Więc uważaj na siebie. Będę się modlić, a w chwilach, kiedy nie będę, będę tęsknić. Uściski. Emily.*

Kliknęła „Wyślij” i oparła się o krzesło, patrząc, jak list znika z ekranu. Jej palce jak zwykle odnalazły serduszko na szyi, pogłaskała je kciukiem. Wylogowując się, zabierając wydrukowany e-Mail i idąc z powrotem do pokoju, myślała tylko o tym, że Bo ma rację. Są dumni z Justina i z tego, co robi. Po dzisiejszym dniu cała Ameryka na pewno jest dumna. Ale choćby zrobił w Iraku nie wiadomo ile dobrego, bardziej jest potrzebny w domu. Rodzinie i Busterowi, i weteranom, i dzieciom w szkole. I Bo, i chłopakom ze świetlicy.

A najbardziej jej.

## *Rozdział 17*

Angela Anderson zamknęła „Time” i podeszła do okna w swoim nowym domu w mieście. Nie nazwałaby tego przeczuciem, ale w jej sercu był jakiś niepokój, podobny jak wtedy, gdy dawno temu razem z Billem i Galanterami postanowili rozdzielić Lauren i Shane'a.

Teraz, owdowiała, zamieszkała w sąsiedztwie Galanterów. Wszystko się wszystkim dobrze ułożyło, z wyjątkiem tych dwojga dzieciaków, które kochały się nad życie. Z początku, kiedy spotkali się po latach, była pewna, że decyzja Lauren o przeprowadzce do Fallon oznacza szczęśliwą przyszłość dla jej córki i Shane'a. Lauren była bardzo poruszona śmiercią ojca i wzruszona pojednaniem pomiędzy nimi a Galanterami.

Ale ilekroć Angela rozmawiała z Lauren, czuła, że to nieuchronne, że jej córka oddała się. Lauren nie pozwoliłaby narzucać sobie ograniczeń, nie pozwalała na to już w młodości. Wtedy gdy cała czwórka dorosłych w jej życiu postanowiła, że najlepiej będzie rozdzielić ją i Shane'a.

I Lauren im pokazała.

Zniknięcie udało jej się tak skutecznie, że wszystkie próby odnalezienia jej przynosiły same rozczarowania. Do czasu, gdy zabrała się za to Emily.

Angela trzymała czasopismo przy piersi i patrzyła na ulicę w dole.

Po drugiej stronie jezdni dzieci grały w coś na trawie, chyba w kickball<sup>1</sup>. Dwoje z nich - chłopak i dziewczyna, dwunasto-, może trzynastoletni - wydawali się szczególnie sobie bliscy, trochę jak Lauren i Shane w dzieciństwie.

Może to właśnie było to niepokojące uczucie - poczucie winy i wstydu z powodu tego, co zrobiła ona i jej mąż, i Galanterowie. Manipulowali Lauren i Shane'em i wskutek tego pozbawili ich możliwości wspólnego życia. Zeszłej zimy, kiedy Emily odnalazła rodziców i zorganizowała ich spotkanie w ostatnim tygodniu życia Billa, wyglądało na to, że ich wspólne życie jest jeszcze do uratowania.

Ale nie można było odzyskać straconych lat, przeżyć ponownie tych dwóch dekad, które powinny były należeć tylko do nich, tych dziesięcioleci, które byłyby złotym okresem ich życia, gdyby tylko ich rodzice zaufali, że Shane i Lauren naprawdę wiedzą co to miłość. A przecież mieli ją w swoich rękach.

Angela westchnęła.

W takie dni jak dziś, kiedy chciałyby zwierzyć się komuś ze swych uczuć, szczególnie mocno brakowało jej Billa. Powiedziałyby jej, że nie można tracić dzisiejszego dnia na rozpamiętywanie wczorajszego. Że energię lepiej poświęcać na ulepszanie jutra do tego stopnia, aby jego blask rozświetlił nawet mroczne zakamarki przeszłości.

Lub coś podobnie poetyckiego.

Mogłyby zadzwonić do Sheili Galanter. Zrobi to, ale później. Teraz porozmawia z Bogiem, z Nim przede wszystkim. Bo nie jest pewna, skąd to dziwne uczucie. Artykuł powinien wywołać uśmiech na jej twarzy na całą resztę dnia. Stanowisko Lauren najwyraźniej zmiękło, a Justin Baker jest po prostu idealny dla Emily - olśniewający przykład młodego patrioty, chłopak, który daje starszemu pokoleniu nadzieję na przyszłość.

Więc w czym problem?

Im dłużej zastanawiała się nad swoim niepokojem, tym bardziej miała przecucie nieuchronnej tragedii. Może to dlatego, że Lauren bywa w takich niebezpiecznych miejscach? W targanych wojną miejscach takich jak Bagdad dziennikarze też są narażeni na akty przemocy. Każdego miesiąca media donoszą o dziennikarzach porywanych i torturowanych albo przetrzymywanych tygodniami, a potem mordowanych.

Angelę przeszedł dreszcz. Gdyby coś podobnego przydarzyło się Lauren, czy ona przeżyłaby jeszcze choć jeden dzień pod brzemieniem winy? W tej właśnie chwili Lauren powinna żyć sobie szczęśliwie w małżeństwie z Shane'em od 20 lat, w domu pełnym dzieci, spośród których najstarsza byłaby Emily.

Ale do niczego takiego nie doszło. Jednak teraz - jeśli ten artykuł może o czymś świadczyć - serce Lauren się zmienia. Jej horyzonty się poszerzają. A to oznacza, że wszystko będzie dobrze, prędzej czy później. Lauren mogłaby poprosić swojego naczelnego o ponowne przenosiny do Fallon. Wojna to nie miejsce dla jej córki, tym bardziej, że 20 lat minęło jej na bezskutecznym poszukiwaniu prawdziwego szczęścia.

Angela odwróciła się i położyła czasopismo na koronkowej serwetce przykrywającej okrągły stoliczek. Była zmęczona, bardziej niż zwykle. Jej energię prawdopodobnie pochłaniał lęk.

Usiadła na tapicerowanym krześle koło okna, oparła się i zamknęła oczy. *Boże... skąd we mnie to uczucie? Czy to wyrzuty sumienia? Czy to z powodu Billa, tęsknoty za nim? Czekala, ale nie było odpowiedzi. Tylko odgłosy dziecięcych zabaw na zewnątrz.*

*Boże, błagam. Przyprowadź Lauren z powrotem do domu do Shanea, bo tam jest jej miejsce. Proszę... niech te jej relacje i wydarzenia w Iraku przemienia jej serce, a kiedy to się już stanie, niech zmienią też jej miejsce pobytu. Przyprowadź ją bezpiecznie do domu. Boże, błagam też, postępuj się dalej Justinem Bakerem.*

Kiedy skończyła się modlić, siedziała przez chwilę, rozkoszując się głosami dzieci po drugiej stronie ulicy. Gdzie uciekły te wszystkie lata, te, kiedy Shane i Lauren bawili się na dworze całymi godzinami? Czy nie wydawało się wówczas, że życie zawsze będzie tak właśnie wyglądać? Może zresztą tak by wyglądało, gdyby ona i inni byli bardziej wyrozumiali.

Tak jak Bóg jest wyrozumiały względem niej.

Kiedy wróciła do kuchni i włożyła kurczaka do piekarnika, jej nastrój znacznie się już poprawił. Nie ma się co martwić. Lauren wróci do domu, ona i Shane pobiorą się i znajdą w końcu szczęście, a Justin Baker będzie wygrywał wojnę w Iraku. Dość już przeżyli smutku w swoim życiu. Bóg nie dopuści kolejnego. Ten niepokój to najwidoczniej pozostałość po tym, co minęło. Od dziś życie będzie układać się lepiej. Angela czuła to całą sobą, jeszcze mocniej, niż to dojmujące uczucie trwogi.

## *Rozdział 18*

Była połowa listopada, a Justin bardziej niż dotąd tęsknił za domem. Okres między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem snuł się jak straszliwy czas na wygnaniu. Był już późny wieczór, a zadanie, które czekało ich jutro, było niełatwe.

Obrócił się na bok. Musi się wyspać. Ale przedtem musi jeszcze raz usłyszeć głos Emily.

Przez jedną szaloną chwilę pomyślał, że poszuka dowódcy i poprosi o zamówienie pilnego połączenia. Ale sytuacja wcale nie była pilna. Tylko serce bolało go z tęsknoty. Opadł na plecy i wpatrywał się w czarny sufit.

Joe obok chrapał, pomrukując jak ospały pociąg towarowy. Justin zamknął oczy i próbował znaleźć sobie spokojne miejsce w swoim umyśle. To samo, którego szukał co wieczór przed snem. Tego wieczora razem z Joe czytali Biblię, 16 rozdział z Ewangelii Jana. To tam znajdował się ów werset, o którym Justin często rozmyślał, gdy jechali na ulice Bagdadu: „Na świecie udrękę cierpicie, lecz bądźcie ufni, Ja zwyciężyłem świat”. Święta prawda. Tylko pokój i łaska, i siła od Boga pozwalają mu jakoś to znosić.

W minionym tygodniu zginęło dwóch amerykańskich żołnierzy. Dwóch chłopaków, których Justin poznał przy operacji ochrony lokali wyborczych. Jechali w konwoju z jednego miejsca do drugiego, kiedy na ich pas wjechał jadący z przeciwnika samochód wyładowany środkami wybuchowymi i uderzył akurat w nich.



Tę kulę ognia Justin z kolegami widzieli z odległości półtora kilometra. Zamachowcy samobójcy. Kolejni terroryści. Kolejni rebelianci.

Mimowolnie westchnął ciężko. W Bagdadzie potrzeba dwa razy tyle wojska, podobnie w każdym zapalnym punkcie w całym Iraku. Potrzebny jest dodatkowy sprzęt rozpoznawczy i wywiadowczy, a armia i marynarka powinny mieć zielone światło we wszystkich przedsięwzięciach zmierzających do wyłapania terrorystów. Nie mógł ścierpieć, że często można strzelać do nich jak do kaczek, gdy tak siedzą beczynn timer i nigdy nie zrobią pierwszego kroku.

Ale jak można to zmienić, skoro naród amerykański nie popiera ich tak do końca, w całej pełni?

Zapałił lampkę nad głową. Nie zdoła zasnąć. Może uspokoi się trochę, jeśli poogląda album, miejsca, gdzie jest teraz Emily. Jej listy były dla niego ostatnio jak powiew świeżego powietrza. Wszystko, co miała mu do powiedzenia, dawało nadzieję i kolejny powód, żeby odliczać dni, tęsknić za domem.

Nie chodziło o to, że ma teraz coś przeciwko służbie w Iraku. Gdyby miał wybierać drugi raz, też wybrałby drugą zmianę. Ale nie spodziewał się, że sezon świąteczny tak bardzo da mu się we znaki tęsknotą za domem.

Przeglądał się zdjęciu siebie i Emily, temu na okładce albumu. Jest taka piękna. Zewnętrznie oczywiście też. Ale nie na to zwracał uwagę, kiedy patrzył jej w oczy. Widział osobę wewnątrz, jej duszę. Robiła kursy z socjologii, żeby - jak mu napisała - „być taka jak ty, kiedy dorosną”.

Uśmiechnął się na tę myśl. *Emily...* Przesunął palcem po wizerunku jej twarzy. *Nie musisz być kimś innym, niż jesteś.* Już samo czytanie o jej grafiku zajęć sprawiało, że czuł się zmęczony. Piłka nożna i studia, i cotygodniowe wizyty u jego rodziców w Kelso. Droczył się z nią w sprawie Bustera, ale w głębi serca był poruszony. Jak to wspaniale, że poświęca czas jego psu. I że jego rodzice i siostra zawsze wyczekują jej odwiedzin. Każde z nich wspominało o niej w swoich listach do niego.

Ale najbardziej był jej wdzięczny, że wpada do świetlicy dla młodzieży. Chłopcy tacy jak Bo czy Dexter łatwo padają ofiarą handlarzy narkotyków. Życie takich dzieci bez ojców kręci się zwykle wokół narkotyków i przemocy. Takie nastolatki potrzebują jakiegoś bodźca, żeby przychodzić do świetlicy, znajomej twarzy, której będą wypatrywać.

Taką twarzą stała się Emily.

Jednego razu Bo napisał do niego e- Mail. *Ty lepiej uważaj, ziemio. Bo jak przyjedziesz do domu, to kto wie, może twoja mamuska będzie już moja?* Justin zaśmiał się pod nosem. List od Bo był zaczepny i szorstki, ale niewątpliwie świadczył o tym, że Bo dobrze czuje się podczas regularnych wizyt Emily. Trochę tak, jakby spotkanie się z nią upewniało ich, że po upływie pół roku w drzwiach świetlicy obok niej pojawi się Justin.

Ziewnął i powoli odwracał kartki, chłonąc blask oczu Emily, jej uśmiech. Uważa go za bohatera, faceta bez wad. Ale tak nie jest. Każdego dnia musi się przymuszać do wyruszenia na ulice Bagdadu, wiedząc, że coś może mu się przydarzyć, coś, co nie pozwoli mu zobaczyć jej jeszcze raz.

To była jego tajemnica, ukryty głęboko lęk, który nigdy do końca nie chciał go opuścić. Tę tajemnicę znała tylko ona. Uśmiechnął się do ostatniego zdjęcia, tego, które wkleił do albumu w ich ostatni wspólny wieczór, kiedy wrócił do fortu. Było to zdjęcie zrobione przez starszego pana na przystani, to ze statkiem w tle. Co to on wtedy powiedział? „Pewnego dnia, jak już będziecie tacy starzy i siwi jak my, popatrzycie na to zdjęcie i zrozumiecie, jak szybko płynie czas. Tak, tak, kochani! Cieszcicie się każdą chwilą!”.

Kiedy Joe po raz pierwszy zobaczył tę fotografię, pokręcił głową.

- Nigdy bym nie powiedział, że za parę godzin macie się pożegnać. Wyglądacie na takich szczęśliwych jak chyba żadna inna para, jaką znam.

Tak było. Tak się czuł przy Emily. Jej obecność, jej szczęśliwe serce tamtego dnia sprawiły, że zapomniał o udręce, która go czeka. Tak samo teraz działały na niego jej zdjęcia.

Znowu ziewnął. Jego myśli napełnił ten nieuchwytny spokój. *Już dobrze, Boże, tylko tego było mi potrzeba. Dziękuję, że przypomniałeś mi, jakie mam szczęście.* Odłożył album, zgasił lampkę i zdawało mu się, że upłynęło zaledwie pięć minut, gdy usłyszał w uchu głos Joe.

- No, dalej, palancie. Wstawaj! - Joe był w bokserkach i jedną nogą już w spodniach od munduru polowego, a drugą dopiero szukał nogawki. - Jesteśmy spóźnieni.

- Spóźnieni? - zerwał się z łóżka. - A budzik?

- Nie zadzwonił. Chłopacy z innej sali załomotali w drzwi - podskakiwał w miejscu, naciągając spodnie do samej góry. - Wiem tylko tyle, że zostało nam 10 minut do odjazdu konwoju.

Dziesięć minut? Justin jęknął. Wstał i ubrał się w kilka sekund, po czym przetrząsnął szufladę w komodzie w poszukiwaniu batonów proteinowych, które przywiózł jeszcze z domu. Natychmiastowa energia na takie właśnie chwile.

- Dasz kawałek? - Joe zapiął już koszulę i siedział na krawędzi łóżka, naciągając but na prawą stopę.

Justin chwycił drugi baton i rzucił mu.

- Jesteś moim dłużnikiem.

- Jak zawsze.

Została im jeszcze minuta - wybiegli na zewnątrz i wskoczyli na swoje miejsce w pojeździe. Ace, kierowca, odwrócił się i uniósł brew.

- Na ostatnią chwilę, chłopaki, co?

- No cóż - Joe próbował ciągle upchnąć nogawki spodni w cholewach - nasz kochaś pali światło przez całą noc.

- Wcale nie przez całą - Justin obciągał mundur.

- Kłopoty z dziewczynami? - Ace zaczął, aż wyjedzie wóz przed nim, potem przyduśli pedał i ich pojazd znalazł się w kolumnie. - Zapomnij o niej, Baker. Nie warto zaprzętać sobie głowy.

- Niczego sobie nie zaprzętałem - Justin rzucił bezgłośnie ironiczne „dzięki” w stronę Joe. - Wszystko układa nam się świetnie.

- Jasne. Nie zaśnie, jak przynajmniej przez pół godziny nie poogląda swojego albumu - Joe dał mu kuksańca, a jego oczy się śmiały.

- Ale sielanka - Ace prowadził jedną ręką. - Dostaliście informacje o dzisiejszym zadaniu?

- Wczoraj wieczorem, jak wszyscy - Justin rozsiadł się wygodnie, nie zwracając uwagi na boki objane co rusz na wyboistej drodze.

- Sprawdzamy kolejny opuszczony budynek, tak? - Joe oparł głowę o drzwiczki i przyknał oczy. - Jeśli do tego czasu nie zaśniemy.

- Lepiej nie śpijcie. To nie są koleś, przelewki - Ace nie spuszczał wzroku z drogi. Pojazdy przed nimi ledwie było widać w tumanach kurzu unoszącego się z drogi.

„To nie są przelewki”. Te słowa dźwięczały w myślach i duszy Justina. Ileż to już razy to robili? Dostawali sygnał, że skądś dobiegają strzały albo wybuchają bomby, i jechali wyłamywać drzwi kopniakami i rozbijać kolejną grupę rebeliantów. Nawet nie liczył, który to już raz. Ludzie z przeskoleniem medycznym zawsze byli potrzebni na linii frontu.

*Boże... daj nam swoje oczy. Swoje uszy.*

Nie usłyszał odpowiedzi, ale czuł, że Bóg jest przy nim. Czuł to tak jak zawsze. Zdusił kolejne ziewnięcie i wsunął palce do cholewy. Wyciągnął jej zdjęcie.

Nawet w tak zwariowany dzień jak dziś nie zapominał. Jej zdjęcie było stałym elementem jego munduru. Kiedy tamtego ostatniego dnia wydrukował zdjęcia z ich wycieczki morskiej, zrobił sobie odbitkę jednego szczególnie udanego ujęcia Emiliy. Potem poszukał kogoś, kto miał klucze do biura prasowego, i zalaminiował je. Dzięki temu mógł mieć je zawsze ze sobą, nie szkodził mu ani brud, ani pot.

Przez większość czasu spędzanego w akcji nie miał kiedy na nie patrzeć. Ale dziś jechali z jednego końca Bagdadu na drugi, a pół godziny bezczynności w samochodzie dawało mnóstwo czasu na myślenie o Emiliy. Czasami lubił wyobrażać sobie swój powrót do domu i co będzie się działo na wiosnę i w lecie.

Wiedział, że zada jej to pytanie, to jedno, które tak pragnął zadać. Zamknął oczy i wyobraził sobie tę scenę. Kupi pierścionek, ten klejnot, który raz tak się jej spodobał, kiedy pojechali do Pacific Place.

- Lubię proste pierścionki - słyszał w uszach jej głos. - Prosta obrączka i prosty diament.

- Za łatwa jesteś - postukał ją w żebra, śmiejąc się razem z nią.
- Wcale nie - podniosła brew, ale jej oczy się śmiały. - Tylko jeśli chodzi o pierścionki.

W każdym razie kupi ten pierścionek. Potem zabierze ją na nabrzeże i znajdzie ten sam statek wycieczkowy, ten kursujący w porze lunchu. Pójdą na to swoje prywatne miejsce na najwyższym pokładzie i tam - hen na wodzie - poprosi ją o rękę.

Wyobraził sobie jej oczy, czuł powiew wiatru na twarzy. Mocno zacisnął w dłoni zalaminowane zdjęcie. Uściska go i powie „tak”, i będzie to powtarzać raz po raz. A potem będą rozmawiać o kościele i kwiatach, i kolorach, i druhnach. I minie kilka miesięcy, i odbędzie się ślub, gdzieś, gdzie są przeszklone ściany i światło sączy się z każdego możliwego kąta.

Będzie wyglądać jak anioł w swojej sukni ślubnej, a on będzie stał i próbował oddychać, patrząc na nią idącą środkiem...

Wybuch nastąpił tak nagle, że nie zdążył w ogóle zareagować. W jednej sekundzie stał w kościele gdzieś w Tacomie, ubrany jak spod igły, patrząc na swą ukochaną, jak idzie do niego środkiem kościoła, a w następnej...

W życiu nie słyszał czegoś równie głośnego. Zatrzęsło nim, mieszając odgłosy tłuczonego szkła i pękającego metalu. Potem dopadł go ból, rozdzierający, jego żar i intensywność zaparły mu dech. Nie mógł nabrać powietrza, nie czuł nóg, nie widział kompletnie nic, tylko ciemną wilgotną czerwień i błotnisty brąz, i ogień, i dym.

*Emily!*

Wykrzyczał jej imię, bo być może była to część tego marzenia na jawie. Może usnął i ta odrobina strachu, która nigdy nie chciała go na dobre opuścić, rozmnożyła się tysiąckrotnie i wytworzyła ten koszmar z piekła rodem. Tak, na pewno tak.

*Emily?*

Wołał jej imię, ale nie słyszał własnego głosu, nie mógł wypowiadać słów na tyle głośno, by je usłyszeć. I nagle wybuch zamarł, hałas ucichł, a on poczuł, jak twardo uderza o ziemię.

Wtedy uświadomił sobie, co się stało. To nie sen. Ace musiał wjechać w minę. Samochody przed nimi jakoś przejechały, a oni...

Oni wzięli to na siebie.

Uczucie gorąca było coraz trudniejsze do zniesienia z każdą próbą zaczerpnięcia powietrza. Co z jego nogami? Dlaczego ich nie czuje? Otworzył oczy i próbował dojrzeć choćby ślad światła. *Boże... nie, nie teraz. Proszę... nie pozwól mi tu umrzeć. Muszę porozmawiać z Emily.*

*Emily!* I znów dźwięk własnego głosu nie chciał jakoś przedrzeć się przez gardło. *Emily, maleńka, przepraszam... naprawdę nie chciałem, żeby tak się stało...*

Posłyszał obok swojej głowy szuranie nóg, szuranie i jakieś okrzyki.

- Justin! - to był Joe, poznałby jego głos wszędzie.

- Joe - z trudem zamrugał powiekami. Raz, drugi raz... w końcu otworzył oczy. Jego kumpel klęczał nad nim, jego mundur i twarz były całe we krwi i ziemi. I coś jeszcze. Łzy. - Joe... co ty... - zakasłał. Nie mógł złapać oddechu. - Co się stało?

Joe zacisnął pięści i odchylił głowę w tył.

- Na pomoc! Niech tu ktoś przyjdzie i pomoże! Już!

- Joe... - czuł, że słabnie. Uczucie gorąca było coraz bardziej nieznośne, a teraz jeszcze wydawało mu się, że jego płuca są pełne, jak gdyby tonął. A przecież wokół nie było wody, a jego usta wyschły i spękane. - Joe, mów do mnie.

- Justin, trzymaj się, chłopie! - Joe padł na kolana i wzięł go za rękę. - Pomoc w drodze!

- Co... co z moimi nogami?

- Nie patrz, stary. Patrz tu na mnie, dobra? - zerknął przez ramię i ryknął przeraźliwie głośno. - *Szybciej!* Potrzebna pomoc! Już!

Justin obrócił głowę odrobinę i zobaczył Ace'a, rozerwanego na strzępy. Mina. Na pewno. Ace'a już nie ma. Nikt się nad nim nie pochyła, nikt nie próbuje mu pomóc.

Czyli on ma jeszcze szansę! Jeszcze żyje... Joe woła o pomoc. Tylko co z nogami? Siedział po tej samej stronie samochodu co Ace. A Joe? Co z Joe?

- Joe, brachu... u ciebie w porządku? - znów zamknęły mu się oczy i znów z trudem próbował je otworzyć. Czy to krew cieknie po prawej stronie twarzy Joe? - Jesteś ranny, brachu... weź... weź zatamuj.

- Nie! - głos Joe brzmiał jak w panice. Mocno potrząsnął głową i położył się całym ciałem na Justinie, na górnej części jego nóg, tuż powyżej kolan.

- Trzeba zatamować krwotok! - znów krzyknął. - Zatamować krwotok! Niech ktoś przyjdzie! Na pomoc!

Justin chciał coś powiedzieć, ale czuł się odurzony, jakby był w samym środku mocnego snu i nic, ale to zupełnie nic nie mogło go obudzić. Żeni się, prawda? Widzi, jak Emily idzie do niego środkiem kościoła.

- Trzymaj się, Justin! - Joe płakał. Joe, ten potężny niezdara, który nigdy niczego nie traktował dość poważnie. Płakał. - Nie zostawiaj mnie! Proszę, Justin! Nie zostawiaj mnie!

- Dobrze - przejechał językiem po dolnej wardze. - Joe... brachu... pomódł się.

Joe skinął głową, jego ruchy były szybkie, gwałtowne, oszalałe.

- Boże! - wbił wzrok w niebo. - Boże... pomóż nam! Proszę!

Justin ledwie dostrzegalnie skinął głową. Chciał coś powiedzieć, ale usta odmawiały posłuszeństwa. Może powinien chwilę odpocząć, odzyskać trochę sił, żeby wydobyć słowa. Ale zaraz. Trzyma coś w ręce. Nie tej, którą trzyma Joe, tej

drugiej. Przesunął po tym palcami i przypomniał sobie. Zdjęcie Emily. Ma ciągle jej zdjęcie w dłoni. Całą swoją siłą próbował je podnieść, aż w końcu, z trudem, udało się.

Nie był w stanie porządnie nabrać powietrza. Ten ciężar i ten żar pulsujący w całym ciele były nie do zniesienia. *Boże... pozwól mi ją zobaczyć. Proszę...* Spróbował ponownie. Tym razem zmrużył oczy, patrząc w oslepiająco błękitne niebo. *Ach... nareszcie. Dzięki Ci, Boże...*

Widział. Obrócił głowę - i była tam.

Jego Emily. Uśmiecha się, chce, żeby był silny, żeby walczył nawet teraz. *Emily, maleńka... przepraszam.*

- Justin! - Joe wrzeszczał jeszcze głośniejsze. - Daj! Dawaj mi to! - wziął od niego zdjęcie i przystawił mu do twarzy. - Człowieku, ona na ciebie czeka! Nie rób mi tego!

Z innych kierunków posłyszał dźwięk nadbiegających stóp i rozmaite głosy.

- Za duża utrata krwi...

- Nie ma już czego ratować...

- Bierzcie go na nosze...

- Jeszcze oddycha... trzeba próbować.

Słowa i zdania zlały się w jedno, ale Justin dowiedział się z nich tego, czego się domyślał. Nie ma nóg. Joe leży na nim i tylko dzięki temu nie wykrwawił się jeszcze na śmierć. Tak jak Ace.

Chcieli go zabrać, ale nie chciał się zgodzić. Najpierw musi porozmawiać z Joe. Zmrużył oczy, widzenie przesłaniały mu tańczące czarne koła.

- Joe...

- Jestem tu - przyjaciel klęczał obok, wciąż trzymając w dłoni zdjęcie Emily na tyle blisko, żeby Justin je widział. Żeby mógł się nim cieszyć.

- Joe... powiedz jej... że ją kocham.

- Sam jej to powiedz, Baker - Joe przejechał wolną ręką po policzku. Ciekło mu z nosa, a łzy mieszały się z krwią na jego twarzy. - To twoja dziewczyna.

Justinowi brakowało już powietrza i sił. Życie uciekało z niego, a mógł jeszcze mówić tylko dlatego, że Bóg darował mu ten czas, tę chwilę. Popatrzył na zdjęcie Emily, potem na Joe.

- Bądź jej przyjacielem... zrób to dla mnie.

Skrzywił się, ponieważ ból pogorszył się, szarpiąc całe jego ciało podobnie jak bomba rozerwała samochód.

- Nie! - w oczach Joe błysnął gniew. - Ani się waż tak mówić!

W tym momencie podszedł ktoś ze służby medycznej i położył rękę na ramieniu Joe. Potrząsnął głową i kilka razy klepnął Joe po ramieniu. Joe pomyślał, że chyba wie, co to ma znaczyć. To samo, co wiedział już od Justina. Że już nie ma sensu. Że Justinowi została minuta, może mniej. Rany są zbyt ciężkie, stracił za dużo krwi.

Justinowi kręciło się w głowie. Chciał zamknąć oczy i wrócić do tego snu, do tego, w którym Emily idzie do niego, jego piękna ukochana. Ale potrzebuje jeszcze czegoś od Joe. Zmusił się do myślenia. Co to było takiego?

Wtedy go olśniło. Musi mieć jego słowo.

- Obiecuj mi... obiecuj, że będziesz jej przyjacielem.

Ponieważ kiedy skończy się ten dzień, ona będzie potrzebować przyjaciela, jak nigdy w życiu. Tego był pewien.

Joe zwiesił głowę i szlochał. Wciąż trzymał w dłoni zdjęcie Emily, ustawił je tak, żeby Justin je widział.

- Boże, nie! Proszę!

Mocniej ścisnął dłoń Justina i unióśł nieco głowę. Uniósł akurat tyle, żeby popatrzeć mu w oczy. A potem wypowiedział słowa, które zdawały się nieprawdopodobne w jego ustach.

- Obiecuję. Co tylko zechcesz.

Uczucie ulgi ogarnęło Justina, jego powieki zamknęły się. Ból był nie do zniesienia i ciężar, i piekący żar, które dręczyły jego ciało. Ale teraz pojawił się pokój... pokój od Boga, ogarniający każdą myśl. Joe jej powie. Będzie jej przyjacielem, dał mu słowo.

Justin czuł, jak opada, opada szybko i daleko, z dala od ulic Bagdadu, z dala od poszarpanych ciał i kawałków metalu porzucanych naokoło. *Jeszcze tylko raz, Boże... pozwól mi ją zobaczyć jeszcze tylko raz. Proszę...*

I wtedy, bez najmniejszego wysiłku, podniósł powieki. Spojrzał na Joe i poczuł, że kąciki jego ust leciutko się unoszą.

- Dzięki, brachu. Nie przestawaj... nie przestawaj się modlić.

Zaraz, co jeszcze? Jest jeszcze coś, co miał mu powiedzieć. Skupił całą siłę, jaka mu jeszcze pozostała.

- Powiedz im, że ja... ja chciałem tutaj być. Powiedz im, żeby zwyciężyli... tutaj.

- Powiem - łzy płynęły po twarzy Joe, ale nie krzyczał, nie wołał o pomoc.

- Kocham cię, brachu. Weź zajmij mi tam miejsce, dobra?

Justin poczuł, że się uśmiecha.

- Zajmę. I tobie, i moim... i chłopakom ze świetlicy. I Emily - odnalazł wzrokiem zdjęcie. - Zajmę... jej miejsce.

Gdzieś głęboko w środku poczuł, jak walczy jego serce. *Puk... puk.* Długa przerwa. Znow uderzenie. Tętno zwalniało, zanikało. *Emily... tylko się na mnie nie złość, maleńka.*

Jej twarz, ciemnoniebieskie oczy były ostatnią rzeczą, jaką zobaczył na tym świecie.

Myśli mu się zaćmiły, a oczy zamknęły i w ułamku sekundy ciemność wypełniła się milionem jaśniejących chwil. On i Emily spotykają się po raz pierwszy w biurze prasowym, a Vonda mówi: „On ma zamiar kiedyś tutaj rządzić”,

a on uśmiecha się do Emily i rzuca: „Jeszcze nie teraz”. A Vonda kręci głową i cmoka: „No to ściągnęliśmy sobie na głowę parkę zadurzonych małolatów. Emily, nie ma rady, wpadłaś”.

A Emily spogląda na niego i unosi brew: „Przyjemniaczek, tak?”. I idą nad Cieśniną Puget. Dotykają się ramionami, a on myśli, że nigdy w swoim życiu nie czuł jeszcze czegoś podobnego. I nagle jest na boisku piłkarskim, zrywa z siebie koszulę i bandażuje dziewczynie nogę, a Emily patrzy mu w oczy i mówi: „Justin, jesteś moim bohaterem. Zawsze będziesz”.

Sceneria się zmienia, wędrują po górach na wschód od Tacomy. Ona idzie z półtora metra przed nim, potyka się i wpada w jego ramiona. I błaga: „Tylko idź dalej za mną. Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu się potknę”. Idą dalej i górską ścieżka zmienia się w nabrzeże, w oddali stoi statek, i jeszcze to starsze małżeństwo, i kobieta mówiąca: „Ojej, ależ z nich cudowna para! Całkiem jak ty i ja w ich wieku”.

I stoi u stóp schodów do jej akademika, a Emily płacze. Płacze i płacze, a on nie może jej nijak uspokoić. A ona szepcze: „Proszę! Nie jedź. Nie zostawiaj mnie”. A on gładzi ją po plecach, po ramionach. „Maleńka... Wróć. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze”.

I nagle ona zarzuca mu ramiona na szyję, a on czuje jej ciało i smak jej łez w ustach, a ona mówi przez te łzy: „Zabierz mnie... zabierz mnie z sobą. Wszędzie, dokąd jedziesz... ja też chcę tam być”.

A on zapewniają, że zabrałby ją, gdyby tylko mógł, a na razie... na razie ma jego serce. Zawsze będzie je miała. Obraz znów się zmienia. Siedzi na swoim łóżku w koszarach, ogląda album i nagle zrywa się ze snu i biegnie do samochodu, do kolumny. Opiera głowę o drzwi i wyobraża sobie ją, jak będzie wyglądać, kiedy będzie szła środkiem kościoła, jego najdroższa ukochana...

I nagle obrazy blakną, pozostaje tylko ciepło. Ciepło i światło, i poczucie nadziei i pokoju, i doskonałości. I jeszcze jedna myśl. Ze nie dotrzymał obietnicy. Bo nie wrócił do niej. Co ona sobie pomyśli? *Nie bądź zła, Emily... Kocham cię... Zawsze będę cię kochał.*

Smutek uleciał wraz z jej wizerunkiem, a nastąpiła rzeczywistość. *Zajmę ci miejsce... zajmę ci miejsce...* Światło było teraz złote, a za nim widział jakieś wielkie miasto, lśniące i doskonałe. I wiedział, z absolutną pewnością wiedział, że tam nie ma już łez ani śmierci, ani zniszczenia, ani krzywd.

Ból minął.

Znów poczuł swoje nogi, silne i zdrowe, niosące go przed siebie. Już nie wróci, idzie w lepsze miejsce. Miejsce, do którego został stworzony, miejsce, do którego należy. Tam, gdzie pewnego dnia dołączą do niego najbliżsi i Joe, i chłopaki, i weterani, i dzieci ze szkoły. I Emily.

Idzie do domu.



## *Rozdział 19*

Carol Baker wiedziała, zanim jeszcze otworzyła drzwi.

Usłyszała przed domem odgłos samochodu i podeszła do przedsionka. Przez okienko w drzwiach zobaczyła dwóch żołnierzy w mundurach. Wyszli z auta i stanęli, patrząc na dom. Widziała, jak zaczynają iść w stronę drzwi. Jej myśli pędziły jak oszalałe? Kiedy ostatni raz rozmawiali z nim? Kiedy mieli ostatnią wiadomość? Co to wczoraj podawali w wiadomościach?

Trzech żołnierzy zginęło w wybuchu miny przydrożnej.

Tak jak zwykle, takie doniesienie mroziło krew w jej żyłach. Nazwiska żołnierzy zatajono do czasu powiadomienia rodzin...

Rozległo się pukanie do drzwi, potrząsnęła głową. Nie... to nie o nich chodzi. Powiadomić trzeba inną rodzinę.

- Gary! - zawołała do męża. Był w kanciapie na tyłach domu, oglądał podsumowanie rozgrywek footballowych z ostatniego weekendu. Ależ byli głupi! Dlaczego nie zadzwonili do niego? Przecież on tam właśnie stacjonuje, właśnie tam, gdzie wybuchła ta mina. - Gary, błagam!

Usłyszała kroki w korytarzu.

- Kochanie, co... - nagle urwał. Przez okno musiał zobaczyć to samo co ona. Zieleń mundurów i sylwetki żołnierzy. Popatrzył jej w oczy, ale nie powiedział nic. Widziała, jak krew odpływa z jego twarzy, ale podszedł do niej w milczeniu, jeden powolny krok za drugim.

Jej serce waliło tak mocno, że była pewna, że lada moment przestanie. Bo jeśli jej Justina już nie ma, to nie ma także i jej. Choćby jej serce miało bić jeszcze 40 lat.

- Tylko nie Justin... - szepnęła i odsunęła się na bok.

Rozległo się drugie pukanie, tak głośne, że zdawało się trząść całym domem i potrząsać jej fundamentami, jej istotą.

*Boże... tylko nie Justin.*

Gary przełknął ślinę - przełknął z takim trudem, że aż to słyszała. A potem zrobił to, co ludzie robią w takich sytuacjach. Otworzył drzwi. A ona myślała tylko o tym, że tak się to właśnie odbywa, że tak zawiadamia się ludzi. Takie sceny rozgrywają się non stop, jak długo toczy się wojna.

Ale nigdy nie wyobrażała sobie, że przytrafi się to jej. Wyobrażenie sobie tego byłoby życiem w nieustannym lęku, który zaszczuwa, zniewala, dusi. Nigdy nie pozwoliłaby Justinowi jechać, gdyby choć przez chwilę myślała, że tak się to skończy.

Zdawało jej się, że wszystko dzieje się na zwolnionych obrotach. Gary otwiera drzwi, żołnierze na progu zwieszają głowy. I stoją tak nieskończenie długo chwilę.

Chce jej się krzyczeć. *Co jest? Czemu tu przyszliście? Dlaczego jesteście tacy smutni? Mój Justin to najlepszy żołnierz w całym Iraku. On żyje. On po prostu nie może umrzeć.*

- Tak... O co chodzi? - głos Gary'ego brzmiał sztywno, tak jakby Gary nie miał kiedy zaczerpnąć powietrza. Trzymał klamkę tak mocno, że aż pobielały kłykcie jego dłoni.

Żołnierze podnieśli wzrok, jeden miał łzy w oczach. Zdawało jej się, że słyszy Justina, pięć- czy sześćioletniego, jak wbiega do domu z otartym kolaniem. Ona bierze szmatkę, coś do zmycia krwi, a on mówi: *To nic, mam... żołnierz nie płacze... żołnierz nie płacze...*

Ale żołnierz płacze. Płakał. Płakał na lotnisku przy pożegnaniu. Nie mocno ani długo, ale oboje mieli łzy w oczach. Właściwie wszyscy mieli. I wtedy przypomniała sobie o Jill, swojej córce. Jest na całonocnych zajęciach tanecznych. Wróci do domu późnym wieczorem. Jak jej powiedzieć, że nie ma już brata?

W końcu jeden z żołnierzy wręczył Gary'emu list.

- Przykro mi, sir. Państwa syn... zginął wczoraj w Iraku. Wybuch miny przydrożnej. Szczegóły są tutaj - wskazał głową na list.

Na każde z tych strasznych słów kolana uginały się pod nią coraz bardziej. Żołnierze jeszcze raz wyrazili współczucie, odwrócili się i poszli, a ona obróciła się do Gary'ego i padła w jego ramiona.

- Nie! - jej głos brzmiał zupełnie obco. Gardłowy krzyk, piskliwy, histeryczny. Wstrząsał nią szloch, zawodziła jak kobieta, która postradała zmysły.

- Nie! Gary! Nie Justin! Justin nie!

Trzymał ją i tulił, nieomal tak, jakby sam potrzebował jej wsparcia równie mocno jak ona jego.

- Boże... nie damy rady. Błagamy Cię, podtrzymaj nas - jego głos brzmiał tak, jakby Gary był na krawędzi szaleństwa. - Nie mamy siły przechodzić przez to, co nas czeka - jego słowa tonęły w rozpaczliwym, bezbrzeżnym smutku. - Boże, proszę... podtrzymaj nas.

Carol miała ochotę krzyczeć, że już za późno. Bóg już zabrał ich syna. Ale nie mogła wypowiedzieć tych słów, sama w nie nie wierzyła. Odetchnęła i powoli, ze smutkiem jej świat zaczął się uspokajać. Wrzaski i krzyki nic nie pomogą. Justina nie ma, umarł. Zabity za to, co było mu tak bliskie.

- Musimy... przeczytać ten list.

Gary podparł jej głowę swoją dłonią i ucałował ją w czoło. Zaprowadził ją na kanapę. Otworzył kopertę i na głos przeczytał pierwszą linijkę, słowa, których panicznie bała się każda wojskowa rodzina.

- „Z żalem informujemy, że Państwa syn por. Justin Baker zginął wczoraj podczas akcji...”.

Przeczytał całość - o odwadze Justina i jego wspaniałej postawie, o tym, że zostanie zapamiętany jako wzór dla innych żołnierzy i dla wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych, potem opis szczegółów tamtego dnia. Konwój zmierzał na drugi koniec Bagdadu, z zamiarem schwywania terrorystów, kiedy samochód z Justinem wjechał na minę. Zginął jeden żołnierz w samochodzie przed nimi. W samochodzie Justina zginął on i kierowca.

Ciało zostanie przewiezione do ojczyzny w ciągu tygodnia.

Nie podano żadnych konkretów, niczego, co mogłoby im dać jakieś pojęcie o ostatnich chwilach Justina. Gary skończył czytać, złożył list i położył go na kanapie obok. Potem objął Carol i płakali tak razem w najsmutniejszych na świecie objęciach. Wciąż czuli gniew i szok, ale już jakby przyblakłe, przesłonięte przez nieogarniony smutek, który już nigdy nie miał ich opuścić.

Aż do śmierci.

Minuty stały się godziną, a oni dalej siedzieli, płacząc za synem, którego nie będą już mogli przytulić, z którym nie będą się już śmiać ani razem siadać do stołu. W końcu kiedy odrętwienie i panika też zblakły, ze łzami Carol zaczęły mieszać się wspomnienia. Bo Justin urodził się po to, żeby być żołnierzem. Kiedy w przedszkolu inni chłopcy grali w baseball i jeździli po piasku małymi ciężarówkami, Justin marzył tylko o małym mundurze wojskowym.

Oparła się o kanapę. Teraz łkała już cicho, ale nieustannie. Tyle łez - nie wiedziała, że można ich tyle wypłakać. I milion wspomnień.

- Pamiętasz... to Boże Narodzenie, kiedy miał sześć lat? - patrzyła przed siebie, widząc pokój takim, jaki był na święta 16 lat temu. - Otworzył pudło z tym mundurem i nie mógł się doczekać, kiedy go założy.

- „Tato, jak dorosnę, zostanę szeryfem”, tak mi powiedział - w głosie Gary'ego był uśmiech, pozostałość po tamtym dniu sprzed lat. - Będę walczył z bandziorami.

Kiedy przychodzili koledzy, Justin rozdawał im zielone plastikowe karabiny i bawili się w wojnę. To zawsze pozostało jego fascynacją, i w gimnazjum, i w liceum. I na studiach, kiedy był już rezerwistą, i kiedy zaciągnął się do wojska.

Odwróciła się i popatrzyła na męża.

- Dla niego nie było życia poza wojskiem.

- Nie - Gary zacisnął powieki.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Jej mąż, najbliższy przyjaciel Justina. Co teraz sobie myśli? Że Justin pisał do nich jeszcze dwa dni temu? Że był taki pełen zapału, pełen życia? Jak można myśleć o pogrzebie dla ich pogodnego syna, syna, który był dla nich wszystkim?

Gary popatrzył na nią i łzy zaczęły płynąć mocniej.

- Byłby... najlepszym dowódcą - zacisnął pięści i mocno przycisnął je do kolan. - Bóg wie, że tak by było.

Jej mąż miał rację. Czy Bóg bardziej potrzebuje Justina w niebie niż tu? Czy potrzebuje go bardziej niż oni? I nagle zaparło jej dech z przerażenia. Dopiero teraz do niej to dotarło.

- Emily.

Gary zwiesił głowę, a jego łzy zmieniły się w szloch, szloch z najgłębszego oceanu żalu, który nigdy się nie wyczerpie. Kiedy w końcu odzyskał panowanie nad sobą, podniósł wzrok.

- Musimy jej powiedzieć. Osobiście, Carol. Dzisiaj.

Próbowała się odezwać, ale nie była w stanie. Nagle zniknęły gdzieś 22 lata i Justin znów był maleństwem urodzonym przed chwilą, kołysanym w ramionach Gary'ego. Jej mąż patrzył wtedy na nią tymi samymi zapłakanymi oczyma. Gdzie się podziały te lata? Wszystkie uciekały jak letnie dni. I nic nie mogło ich przygotować na to, co się stało.

Ma rację. Trzeba powiedzieć Emily. Zamknęła oczy, ale łzy i tak płynęły. Strumieniami. Biedna Emily. Carol pozwalała sobie na szloch, pozwalała, żeby ją obmywał, przypominając, że ten koszmar dzieje się naprawdę. Aż za bardzo naprawdę. Uniosła dłoń do twarzy. Skąd weźmie siłę, żeby ruszyć się choć o krok? Kiedyś, dawno temu, słuchała pogadanki Elisabeth Elliot, sławnej żony Jima Elliota, zamordowanego misjonarza. Jedno, co wtedy usłyszała, pozostało w niej na zawsze. *Czasami życie jest tak ciężkie, że człowiek jest w stanie zrobić tylko jedną kolejną rzecz. Cokolwiek by to miało być, zrób tę jedną kolejną rzecz. Bóg wyjdzie ci naprzeciw.*

Choćby było nie wiadomo jak ciężko, tą jedną kolejną rzeczą jest zawiadomienie Emily. Carol wstała i zmobilizowała resztki swojej energii, żeby przejść

na drugą stronę pokoju i wejść do kuchni. Potrzebowała wziąć swoją torebkę. Gary poszedł za nią. Ale zanim znalazła torebkę, spostrzegła Bustera przy tylnych drzwiach. U jego nóg, zwinięta w kulkę, leżała bluza Justina. Patrzyła na Bustera, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Bo im dłużej patrzyła, tym mniej widziała bluzę, a bardziej Justina. Piętnasto-, szesnasto-, siedemnastoletniego. Siedzi na patio i głaszcze Bustera albo szczotkuje go, albo zahacza smycz przed pójściem na spacer.

Pies jakby wszystkiego się domyślał - skowyczał, skamlał, drapał łapą w drzwi. Ona i Gary popatrzyli na siebie. To spojrzenie mówiło, że wszystko, co mają zrobić jeszcze tego dnia i nazajutrz, i jeszcze następnego dnia, jest niemożliwe do wykonania.

Podszedł do drzwi, otworzył je i kucnął.

- Wszystko w porządku, Buster. Wszystko dobrze.

Ale nie było dobrze. Buster już nigdy nie miał zobaczyć swojego pana. Carol aż bolał ten smutek w środku. Łzy nie przestawały płynąć, bo przez całą wieczność nie zdołałaby wypłakać rzeki smutku, która się w niej burzyła. Gary zaprowadził Bustera z powrotem do budy i wetknął przy nim bluzę Justina.

- Masz, Buster. I śpij już.

Carol patrzyła, znieruchomiała, niezdolna do czegokolwiek poza oddychaniem i płaczem, i dojmującym pragnieniem, aby dostać jeszcze jedną szansę, aby jeszcze choć raz przytulić dziecko, popatrzeć na nie, pozachwytać się, jakiego chłopca wychowała. Żołnierza, przyjaciela, syna. Bohatera.

Gary wziął kluczyki do samochodu i portfel.

- Chodźmy.

Skinęła głową. Czas zrobić jedną kolejną rzecz. Teraz mogła tylko się modlić, żeby Elisabeth Elliot miała rację. Żeby jakoś przetrwali te parę kolejnych godzin.

A sam Bóg wyjdzie im naprzeciw.

## *Rozdział 20*

Emily skończyła ostatnie zajęcia w tym dniu i wracała akurat do pokoju, kiedy zadzwoniła komórka. Był to dzień e-mailowy, dzień odbierania cotygodniowej korespondencji od Justina. Już samo to czyniło z niego dzień wspaniały. Oraz to, że ostatnie deszcze nieco spasowały i nad campusem PLU przebłyskiwały wstążki błękitu. Było chłodniej niż przez dotychczasowe jesienne dni, a na Święto Dziękczynienia zapowiadano śnieg.

Wyjęła komórkę z bocznej kieszeni plecaka i sprawdziła numer. Dziwne. Nie rozpoznała, kto to.

- Halo? - kopnęła w kupkę opadłych liści i uśmiechnęła się do przechodzącej studentki, dziewczyny z tego samego piętra.

Rozmówca po drugiej stronie nie odzywał się.

- Halo? Kto mówi?

- Emily - głos mężczyzny był znajomy, ale zdenerwowany. Słowa brzmiały bulgotliwie, niewyraźnie, dlatego trudno było rozpoznać rozmówcę.

Serce zamarło w niej na chwilę. Kto może dzwonić tak bardzo zdenerwowany, że ledwie mówi?

- Słucham? Kto mówi?

- Gary Baker.

Emily zamarła na środku chodnika.

- Pan Baker? Coś się stało?

- Kochanie, jesteście tu niedaleko, Carol i ja. Na parkingu. Możemy się gdzieś zobaczyć?

Co to jest? Rodzice Justina na parkingu? A jego ojciec brzmi tak, jakby płakał? Cały jej świat przechylił się na jedną stronę. Rozejrzała się, żeby gdzieś usiąść, ale w pobliżu nie było nic. Ławka. Mogliby się spotkać na tej ławce, tej samej, na której przegadała z Justinem tyle godzin, zanim się pożegnał i odjechał do bazy.

- Niedaleko schodów - wydukała. - Jest tam taka ławka.

Zamknęła telefon, nie zdejmując się i nie zadając ani jednego z pytań, które targały teraz jej myślami i zmysłami. Co się stało? Jaka okropna rzecz mogła skłonić rodziców Justina do godzinnej jazdy na północ, i to bez uprzedzenia jej? Zmusiła nogi do stawiania kroków i posłuchała. Ale w głowie jej wirowało, kiedy szła.

Któryś chłopak na dzisiejszych zajęciach z socjologii miał gazetę i co tam było napisane? Trzech żołnierzy zginęło... kolejna mina przydrożna. Emily zganiła wtedy sama siebie. Zwykle sprawdzała najnowsze doniesienia, albo wieczorem, albo rano przed początkiem zajęć. Ale poprzedniego wieczora miała mecz, potem spędziła parę godzin w świetlicy z chłopakami. Pomiędzy zajęciami ze swego napiętego grafiku, samodzielnym przygotowywaniem się do zajęć i marzeniami o Justinie nie miała za bardzo czasu myśleć o czymkolwiek.

Nawet o wojnie.

Justina nie było już prawie dwa miesiące. Jeszcze cztery i będzie w domu. Przestała tak się przejmować każdym doniesieniem o ofiarach śmiertelnych. W Iraku jest tyle tysięcy żołnierzy, Justinowi nic się nie stanie. Obiecał. Przyspieszyła kroku. Zaczęła wyobrażać sobie różne rzeczy. Musi zobaczyć się z Bakerami przy ławce i spojrzeć im w oczy - i wtedy już będzie wiedzieć, czy dotrzymał słowa.

Wszystko jest z nim w porządku.

*To po co przyjechali, tacy zdenerwowani?*

No tak, mógł zostać ranny. I może wcześniej wróci do domu. I bardzo do brze. Wyjdzie po niego na lotnisko i zrobi wszystko, żeby jak najszybciej wrócił do sił, stanął na nogi. Zrobi, czego tylko będzie potrzebował.

Kiedy tylko zobaczy Bakerów, będzie wiedzieć.

A może coś przytrafiło się Busterowi? Bądź co bądź, to już stary pies. Gdyby zdechł, kiedy Justin walczy hen daleko, Justin nigdy by sobie tego nie darował. Tak, może to o to chodzi. Gdyby coś się stało z Busterem, Bakerowie nie chcieliby oznajmiać jej tego przez telefon. Chcieliby powiedzieć osobiście, żeby użyć jak najwłaściwszych słów, słów, które można by powtórzyć Justinowi.

Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku i wreszcie daleko na wprost zobaczyła ich. Państwo Bakerowie stali obok ławki, która należała do niej i do Justina. Z oddali dziwnie było patrzeć na ojca Justina. Byli do siebie bardzo podobni

i gdyby nie wiedziała, gdzie Justin jest teraz, pomyślałaby, że to on. Tak pewnie będzie wyglądał za parędziesiąt lat, kiedy będą patrzeć na to zdjęcie zrobione na przystani, wiedząc już, że to, co mówiło tamto starsze małżeństwo o upływającym czasie, jest aż za bardzo prawdziwe.

Ale to nie był Justin.

To jego ojciec i matka. Patrzą na nią, wpatrują się w nią. Oddychała płytko, na tyle tylko pozwalają jej płuca. Serce waliło w piersi. Chciała się zatrzymać, obrócić na pięcie i pobiec w odwrotną stronę. Ale nie mogła. Musi wiedzieć, cokolwiek to jest. Teraz, zanim upłynie kolejna minuta. Zaczęła biec, najpierw powoli, potem szybko.

Dobiegła do nich bez tchu - i zobaczyła ślady łez na ich twarzach. Czerwone zapuchnięte oczy.

- Co... - pochyliła się i oparła o kolana, aż odzyskała oddech. - Co się dzieje?

Matka Justina wyciągnęła do niej ramiona.

- Emily... tak mi jest przykro, kochanie.

Emily potrząsnęła głową. Nie chce obejmowania. W naturze ma rywalizację, nie strachliwość, obezwładniającą w krytycznej chwili gry. Ujęła dłoń kobiety, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Proszę mówić.

Jego ojciec postąpił krok naprzód.

- Nie ma go już, Emily. Zginął wczoraj w akcji.

W chwili, gdy padły te słowa, wyrósł mur między osobą, którą była a osobą, która kochała Justina Bakera. Mur z grubego betonu i drutów kolczastych. Mur, przez który nie przedostaną się nigdy żadne emocje.

Potrząsnęła głową i cofnęła się o krok.

- Nie - uniosła rękę. - To nieprawda.

- Emily - jego matka zaczęła płakać. - Dopiero co się dowiedzieliśmy. Musieliśmy ci powiedzieć osobiście.

Ojciec Justina założył ręce na piersiach, a po jego policzkach spłynęły łzy.

- Jechał przez Bagdad i jego samochód... wjechał na minę.

Na minę? Tę, o której była dziś mowa na pierwszej stronie? Czy oni chcą powiedzieć, że Justin był wśród tych trzech zabitych żołnierzy? Zaczęła się trząść. Jej płaszcz był za lekki na zimową pogodę. Owinęła się nim ciaśniej i wyjęła włosy spod kołnierza. Dlaczego tak tu stoją i płaczą? Justin przecież żyje.

Musi im to powiedzieć.

- Miałam od niego wiadomość. Dopiero przedwczoraj. I pewnie czeka już e-mail... - wskazała w stronę akademika, energicznie gestykułując - o tam! Jego list czeka już tam n - N - Na mnie.

- Kochanie - matka Justina położyła dłoń na ramieniu Emily. - Wiem... jakie to trudne dla ciebie. Nasza córka jest na zajęciach tanecznych, ale przekazaliśmy jej wiadomość, żeby wróciła szybciej. Będzie w domu wieczorem. Próbowa-



liśmy dodzwonić się do twojego taty, ale go nie było... - głos się jej załamał. - To jest trudne dla nas wszystkich.

Próbowali dzwonić do jej ojca? Emily wyprostowała się nieco. Niezależnie od tego, jakie złe wieści przynoszą rodzice Justina, nie mogą tak stać tutaj na zimnie. W ogóle nie jest gościnna. Próbowła się uśmiechnąć, ale kąciki ust nie chciały się unieść.

- Proszę państwa, państwo przyjechali z tak daleka - mówiła spokojnym głosem, bo przecież się pomylili. Oczywiście że się pomylili. - Proszę wejść do mnie i zaczekać w moim pokoju. A ja w tym czasie sprawdzę e- Mail.

Gary Baker skinął głową i objął żonę ramieniem.

- Pójdziemy z tobą.

- Bardzo proszę - pierwsza poszła schodami. - A jak się miewa Buster?

Matka Justina wymieniła spojrzenia z mężem. A potem odezwał się pan Baker:

- O nim możemy porozmawiać później. Wejdzmy do środka.

Minęli przedsiónek i poszli korytarzem do jej mieszkania. Tego popołudnia Pam nie było, więc Emily otworzyła drzwi kluczem.

- Proszę sobie usiąść - wskazała kanapę stojącą między dwoma łózkami. Znów zapomina o dobrych manierach! - Przyniosę państwu wodę i coś do przegryzienia - przeszła obok nich i otworzyła drzwiczki niewielkiego kredensu. - Mamy pianki owocowe.

Na twarzach rodziców Justina malowało się zdumienie, jego matka wyglądała tak, jakby była o krok od załamania nerwowego. Usiedli na kanapie, a pan Baker potrząsnął głową.

- Nie. My... zaczekamy tutaj, Emily.

No to dobrze. Nie chce słyszeć nic o Justinie, oni się kompletnie mylą. Nic mu nie jest. Z jego listów wynika, że on wie, co robi, broniąc rozmaitych grup etnicznych w Iraku, tych, które są za wolnością i demokracją. Robił to już wcześniej, opowiadał jej. Wie, jak sobie radzić na polu bitwy. Jeszcze tylko cztery miesiące. Szesnaście tygodni - i z powrotem będzie w domu.

Pobiegła po schodach do sali z komputerami i zalogowała się. *Boże... pomóż Bakerom. Są tacy zdenerwowani.* Czuła z tyłu czyjeś ramiona, podtrzymujące ją. Zdziwiła się, przecież wcale się nie przewraca. Musi tylko sprawdzić skrzynkę i znaleźć list od Justina.

Ekran ożył i już wszystko było wiadomo. Nowy list. No i proszę! A nie mówiła? W temacie to samo co zawsze: „Tęsknię”. Otworzyła, ale postanowiła nie czytać. Nie teraz. Skoro rodzice Justina siedzą w jej pokoju przekonani, że Justin nie żyje.

Nie żyje, też coś! Co za absurd!

Kiedy drukował się jego list, zerkała na ikonkę Internet Explorera i przestrzegała samą siebie, żeby na nią nie patrzeć. Ale to było niemożliwe. Mur trzy-

mał się mocno. Bakerowie mogą sobie myśleć, co chcą, ale mylą się. Sprawdzi w Internecie i dowie się.

*Me rób tego!* - ostrzegają ją głos głęboko w sercu. *Me patrz tam. Masz rację, jego e-Mail to wystarczający dowód.*

Ale musiała popatrzeć. Bo jeśli znajdzie relację, jeśli znajdzie nazwiska, to wydrukuje także i je i zanieśe jego rodzicom. Wtedy uściskają się i będą się uśmiechać, i będą dziękować Bogu, że się mylili.

I będą mogli opowiedzieć o Busterze i że 16 tygodni to naprawdę już niedługo, i będą mogli wrócić do domu, gdzie czują się najlepiej. Tak, to dobry pomysł. List jeszcze się drukował, więc prędko uruchomiła wyszukiwanie. Internet zawsze pomagał jej znajdować rozmaite informacje.

Tak odnalazła rodziców i skontaktowała się z nimi, i połączyła ich na powrót razem. Tak, w Internecie to jest, a ona powie wszystko rodzicom Justina. Wszystko w porządku. Justinowi nic nie jest. Jej serce waliło mocniej, a oddech stał się szybki i chrapliwy.

Uruchomiła Explorera, włączyła Google'a. Palcami drżącymi tak bardzo, że ledwie była w stanie pisać, wystukała „mina przydrożna” i „trzech żołnierzy”. I choć jakaś część jej serca rozpaczliwie nie chciała tego wyszukiwania, wcisnęła „enter”. I czekała.

Pierwszy link miał aktualną datę. Pochodził z CNN. I dobrze, CNN podaje fakty. Zwłaszcza jeśli tekst pochodzi akurat z tego dnia. Weszła tam, a kiedy już to zrobiła, pomyślała sobie, że nie będzie czytać. Wydrukuje i przeczyta razem z Bakerami. Kliknęła „drukuj”, ale w tym samym momencie jej oczy ją zdradziły.

Przebiegły tekst - i wtedy zobaczyła.

Zbiorowisko imion i nazwisk, a wśród nich...

*Justin Baker, lat 22, z Fort Lewis*

- Nie - odsunęła krzesło i zerwała się na równe nogi, nie mogąc oderwać wzroku od monitora. - To nieprawda. Nieprawda!

Mur się kruszył, ale ona nie chciała na to pozwolić. Nie do końca. Gra mecz swojego życia, przegrywa 3 do 0, mistrzostwo zagrożone. *Emily, nie daj się* - słyszy krzyk swojego trenera. - *Me daj się!*

Nie da się.

Wyrwała kartkę z drukarki, pobiegła do swojego pokoju, chwyciła torebkę i kluczyki do samochodu.

- Emily... - pan Baker zerwał się z kanapy. - Dokąd...

Podniosła rękę, zatrzymując go.

- Nie mogę... niedługo wrócę.

Pobiegła ile sił w nogach na korytarz, stamtąd po schodach na parking. Jej samochód był zaparkowany w tyle, całe szczęście. Bieganie dobrze jej robiło, pomagało wrócić na właściwy tor.

*Boże... prowadź moje dłonie. Nie mogę myśleć, nie mogę oddychać, prowadź moje dłonie.*

Wsiadła do auta i wyjechała z parkingu w stronę autostrady. Dopiero kiedy się na niej znalazła, uświadomiła sobie, dokąd jedzie, dokąd zabiera ją jej samochód.

Sound, gdzieżby indziej? Cieśnina Sound, miejsce, gdzie tyle razy byli z Justinem. Zatrzymała wóz, złożyła wydrukowane kartki, wetknęła je do kieszeni kurtki, a kluczyki włożyła do drugiej. Nad jej głową znów zbierały się chmury, grożąc, że wyleją, tak jak jej serce. Ale jeszcze nie teraz, najpierw musi dotrzeć nad wodę.

Biegła, nie zwracając uwagi na ból między żebrami i pieczenie w płucach. I w końcu, nareszcie dobiegła do metalowej barierki. Odchyliła głowę w tył, próbując nabrać kolejny haust powietrza. Trotuar z desek był opustoszały, wyludniony o tej porze w pochmurne popołudnie połowy listopada. Jej boki podnosiły się i opadały, oparła się o barierkę, tak samo, jak to robili razem z Justinem, ilekroć tu przychodzili.

Ale tym razem nie patrzyła na wodę, pochyliła się nieomal do ziemi. *Pluca, nabierzcie powietrza.* I po jakiejś minucie spełniły jej prośbę. Wyprostowała się i próbowała sobie przypomnieć, co tu robi. Bakerowie przyjechali z Kelso i płakali.

*Nie daj się, Emily... nie daj się.*

Musi przeczytać te kartki, które ma w kieszeni, tylko którą najpierw? Wiedziała, jeszcze zanim wzięła kolejny oddech. Oczywiście list. List, który napełni jej serce i myśli, i duszę głosem Justina, jego śmiechem i mądrością, jego współczuciem i jego miłością. Ciągle się trzęsła, coraz bardziej. Wyjęła kartki z kieszeni i zorientowała się, którą jest która.

Pośpiesznie włożyła tekst z CNN z powrotem do kieszeni. Potem rozłożyła tę drugą kartkę, powoli, z namaszczeniem. I nagle jej ręce przestały się trząść, a bryza wydawała się jego oddechem, dotykiem. *Mów do mnie, Justin... Mów do mnie...*

Przebiegła wzrokiem początek e- maila. Wysłany trzy dni temu. Z trudem przełknęła ślinę i próbowała zignorować ten szczegół. Data nie ma znaczenia. To Justin, żywy i mówiący do niej. Wzrokiem odnalazła miejsce, w którym zaczynał się list.

*Kochana Emily,*

*W głowie mi się nie mieści! Przeczytałem w końcu ten artykuł i, no... To znaczy, oczywiście, że ci uwierzyłem. Ale naprawdę! Ta twoja mama! Jesteś pewna, że to ona to napisała? Żartuję sobie oczywiście, ale mimo to... ty i twój tata macie rację. W jej sercu coś się wydarzyło, to pewne.*

Przymknęła oczy. Ścisnęła list obiema dłońmi, wyobrażając sobie Justina. To była nowa informacja - przeczytał ten artykuł. Otworzyła oczy i czytała dalej.

*Nigdy nie zapomnę tego dnia. Ostatnio mówi się, że Irakijczycy boją się wychodzić z domów. No, nie wiem. Może w niektórych rejonach tak, ale w naszej okolicy wychodzą. Nawet dzieci. Zwłaszcza one. A wiesz dlaczego?*

*Bo my tu jesteśmy. Może twoja mama też to zauważyła.*

*Uśmiechnęła się. Tak, Justin, masz rację.*

Była już w połowie listu, więc zaczęła czytać wolniej. Dopóki trzyma ten list w dłoniach, dopóki słowa Justina dźwięczą w jej głowie i sercu, to znaczy, że nie odszedł. Bez względu na to, o czym będzie ją próbowała przekonać ta druga kartka papieru.

*Znalazła miejsce, w którym przerwała.*

*No ale dość na ten temat.*

*Mówiłem ci, że noszę z sobą twoje zdjęcie? Naprawdę noszę. Wiem, że to trochę głupie, ale jak inaczej mam wytrzymać jeszcze cztery miesiące bez Ciebie? Joe myśli, że mięknię, ale powiedziałem mu to samo co przedtem: po prostu mi zażdrości.*

*No więc wziąłem jedno ze zdjęć ze statku i zalaminowałem je. Trzymam je w bucie, także jeśli jest jakaś wolna chwila, mogę je wyjąć i patrzeć. Wyobrażam sobie, że jesteś w Tacomie i pijesz kawę z mlekiem z mojego kubka, i oglądasz nasze zdjęcia. Ja też muszę mieć coś do oglądania. Nawet jeśli tysiąc mil dzieli mnie od najbliższej filiżanki od Starbucksa.*

*Coś jeszcze innego mi ostatnio pomaga.*

Zamknęła oczy. „Wolniej... czytaj wolniej”. Co by zrobiła, gdyby jakimś idiotycznym trafem Bakerowie mieli rację albo gdyby jej oczy faktycznie dostrzegły nazwisko Justina w doniesieniu CNN? To by była jej ostatnia szansa, żeby go usłyszeć, poczuć jego ramiona przy swoich na tej barierce nad Cieśniną Puget. No dobrze. „No dobrze”. Powoli nabrała powietrza. „Tylko wolniej”.

*Coś jeszcze innego mi ostatnio pomaga. Kiedy zaczyna mnie męczyć ten kurz i brud, i pustynia i kiedy wydaje się, że ta przemoc tutaj nigdy się nie skończy, zaczynam sobie trochę marzyć. Nieraz nawet w biały dzień. Wyobrażam sobie, że wracam do domu i znajduję ci ten pierścionek. Ten prosty.*

*Uśmiechasz się. Wiem.*

*No dobra, a potem idę krok dalej i, Emily, widzę nasz ślub. I frak, i suknię, i gości tłoczących się w ławkach. I słyszę, jak otwierają się drzwi kościoła, i wchodzisz Ty. Olsniewająca. Moja najdroższa ukochana. Czuję cię w swoich ramionach, tańczę z Tobą pierwszy taniec i wiem, że jeśli tylko będę mógł o tym decydować, to już nigdy Cię nie opuszczę. Nigdy. No i masz. Oto kolejny sposób, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach do chwili, aż znowu Cię zobaczę.*

*Wiesz, jakie niesamowite było dla mnie to ostatnie lato? Ale to będzie nic w porównaniu z następnym. Emily, ja nie mogę się doczekać. Żeby cię zobaczyć, dotknąć, przytulić. Zawsze jesteś ze mną. Masz moje serce. Kocham Cię. Justin.*

Postanowiła nie przestawać patrzeć na tę stronę. Może przeczytać ten ostatni fragment tysiąc razy, a i tak będzie jej mało. *Zawsze jesteś ze mną... Masz moje serce... Kocham Cię*

I wtedy, zaczynając od samego środka, runął w niej mur. Nie stopniowo, ale w jednej chwili. Jak wieże WTC.

Podniosła głowę i spojrzała na cieśninę, jak daleko sięgnęła wzrokiem. I nagle, z równą pewnością, jak znała swoje własne imię, wiedziała już, że to prawda. Nie potrzebowała tekstu z CNN. To było w niej cały czas.

Justina już nie ma.

Zaczęło padać, a deszcz mieszał się z jej łzami, tak jakby sam Bóg stał obok, płacząc nad Justinem, jak płakał nad Łazarzem. Nie chciała zamoczyć listu od Justina, więc wsunęła go z powrotem do kieszeni.

Wcale nie szlochała, jeszcze nie, i nie była tym zdziwiona. Na to przyjdzie czas później. Na razie nie mogła go sobie wyobrazić leżącego na bagdadzkiej ulicy, rozdartego na strzępy. Nie takiego Justina znała, nie taki będzie zawsze żył w jej sercu.

Bryza znad oceanu odegnała deszcz na bok i owiała jej twarz i bezgłośnie strugę łez. O co chodzi? Był zbyt dobry, żeby mógł być prawdziwy? Nie była pewna, w każdym razie nie mogła ogarnąć rozmiarów jego utraty. Nie w pełni. Nie było go już i tyle na razie wiedziała. Tak jakby pozwolono jej jedynie zerknąć w ból i smutek, który dopiero ją czekał.

Dlaczego skończyła czytać ten list? Chętnie wyjęłaby go i przeczytała jeszcze raz, ale nie chce go zamoczyć. To wszystko, czym był, żyje i jest w niej. Jego głos i uśmiech, zapach jego wody. I nagle dotarło do niej, czemu się nie załamuje. Dlatego że w każdy możliwy sposób Justin wciąż żyje, realny, dobry, zdrowy i silny.

W Justinie Bakerze było za dużo dobra, żeby odczuwać teraz tylko smutek. Pomimo świadomości, że już go nie ma. Zanim zacznie opłakiwać jego utratę albo choćby tylko wyobrażać ją sobie, musi się nim wpięrw nacieszyć. Podniosła wzrok ponad wodę, ku niebu. Deszcz jeszcze padał, ale w oddali pojawiła się wyrywa w chmurach i kawałek najczystszej błękitu.

On tam jest. Gdzieś za tymi chmurami.

*Boże... Ty to masz szczęście.* Uśmiechnęła się i z jej ust wyrwał się cichutki śmiech. Wyobraziła sobie Vondę w niebiańskim wydaniu, przedstawiającą Justina całej reszcie i potrząsającą głową. *Znacie Justina. Chciałby kiedyś tutaj rządzić.*

Jej uśmiech zbladł. *Boże... musisz mieć dla niego jakieś wielkie plany. Bo jeśli tam u Ciebie może zrobić więcej, niż mógł tu, no to... to jest coś. A wiem, że tak jest. Ponieważ... W jej oczach pojawiła się kolejna fala łez. *Ponieważ inaczej byś go nie zabrał.**

Wokół jej serca ustawił się niekończący się sznurek pytań, popatrując na nią i zaznaczając swoją obecność. Co będzie z Busterem, kto porozmawia z we-

teranami, od kogo nowe pokolenie uczniów podstawówki dowie się o dobrych rzeczach, które amerykańscy żołnierze robią w Iraku.

A nastolatki?

Tylko że nie była w stanie zająć się żadnym z tych pytań. Jeszcze nie.

Znowu zobaczyła twarz swojego trenera. *Me daj się, Emily, Nie daj się.* Ale to nie był czas na to, żeby się nie dawać. Kochając żołnierza, podjęła ryzyko. Że pewnego dnia może nadejść chwila, gdy jego nazwisko dołączy do tysięcy innych na wojskowym kamieniu nagrobnym. Mogła sobie wmawiać, co chciała, ale zawsze była tego świadoma.

Wytarła nos, otarła deszcz z policzków i brody. Bez względu na to, jak to się skończyło, gdyby miała szansę, zakochałaby się w nim znowu, spędziłaby całe lato na wspólnych marzeniach, na zabawie, na samodzielnym sprawdzaniu, czy prawdą jest to wszystko, co jej matka napisała kiedyś o miłości.

Ale mimo to...

Objęła się rękami i patrzyła na ten spłachetek błękitu, obserwowała go, aż pochłoneńy go chmury i niebo znów zrobiło się całkiem zachmurzone i szare. Musi iść, musi wracać do siebie, paść w ramiona matce Justina. Tylko jakoś nie może się ruszyć. Dopóki tu jest, dopóki ma w kieszeni ten ostatni list od niego, nie musi myśleć o tych pytaniach dobijających się do jej serca. Może patrzeć na Przystań 55 i na statek wycieczkowy. Ten sam statek, na którym obiecał jej swoje serce. Czuje deszcz na skórze, tak samo jak tamtego dnia czuła jego dotyk.

Znowu spojrzała na wodę. *Justin, mów do mnie... mów do mnie.*

I słyszała jego słowa, z tak bliska jak własny oddech. *Emily, ja nie mogę się doczekać. Żeby cię zobaczyć, dotknąć, przytulić. Zawsze jesteś ze mną. Masz moje serce. Kocham Cię.*

Ma jeszcze dużo do zrobienia i zrobi to, z dumą, z siłą. Tak jak Justin by chciał. Zajmie się tym wszystkim, czym on by się zajął, a kiedy łzy zmieniają się w szloch i nie będzie mogła nawet oddychać z bólu, będzie wiedzieć, że ma prawo się załamać.

Ponieważ Bóg zrobi dla niej to, co minione lata zrobił Justin.

Będzie szedł przy niej, a kiedy ona się potknie, On będzie gotowy ją złapać.

Z tą świadomością oderwała się od metalowej barierki i poszła z powrotem do samochodu, powolnym krokiem, tą samą brukowaną drogą, którą chodzili z Justinem. Jakoś dotarła do auta i zamknęła za sobą drzwiczki. Chwyciła kierownicę obiema dłońmi, ale uruchomienie silnika było zbyt dużym wysiłkiem. Gdy w końcu ruszyła, ledwie widziała drogę przez łzy. Ale dopiero gdy weszła do pokoju, gdy spojrzała w oczy pani Baker, a potem pana Bakera, odczuła z całą siłą utratę Justina.

- Justin... - tyle tylko mogła powiedzieć. Nieprzytomnie przeszła przez pokój i padła w ramiona jego ojca.

- Już dobrze, kochanie - mężczyzna gładził ją po plecach i kołysał, jakby była jego córką. - Damy sobie radę.

- Ja nie... - łąkała na jego piersi, chwiejąc się z rozpacz. Justin nie żyje? Jak to możliwe? Przecież ma jego e- Mail w kieszeni. - Ja nie... ja chyba nie dam rady...

Poczuła, że podeszła jego matka i tak we trójkę stali przez długą chwilę, obejmując się, tuląc się do siebie i robiąc, co w ich mocy, żeby przekonać samych siebie, że ojciec Justina ma rację.

Że jakoś przetrwają bez niego.

I w głębi serca Emily wiedziała, że tak będzie. Przetrwają, tak. Tylko że bez Justina - jak będą żyć? To właśnie pytanie krzyczało do niej najgłośniejszym ze wszystkich.

Pytanie, na które tylko Bóg znał odpowiedź.

## Rozdział 21

Lauren przez dwa dni nie wychodziła ze swego ciasnego mieszkania w ośrodku dla dziennikarzy. Walki się nasiliły i kierownictwo prosiło ją i Scanlona o pozostanie w domu. Lepiej już pisać relację *post factum*, opisując to, co już się stało, niż znaleźć się nagle w samym środku akcji.

Tego typu relacje liczyły się w dziennikach i w telewizji, ale nie w tygodniku „Time”. Poświęciła więc ten czas na pisanie felietonu i nadrabianie zaległości w poczcie elektronicznej. I na siedzenie przy oknie i wyglądanie na pustynię, i zastanawianie się nad rozwojem wydarzeń, który obserwowała od chwili swego przyjazdu do Iraku.

Scanlon najwyraźniej dostrzegał tę zmianę w niej. Był teraz u niej w pokoju, siedział na fotelu naprzeciwko jej łóżka. Trudno było nie dostrzec podejrzliwości w jego wzroku. Bębnił palcami w kolana.

- No dobra, posłuchaj - przestał bębnić. - Wiem, co sobie myślisz.

- Co? - jej laptop był włączony, ale odłożyła go na podłogę obok siebie. - Nie mięknię, jeśli o to ci chodzi.

- Miękniesz? Nie, to nie to. Tylko... - chwycił się poręczy fotela. - Jesteś inna.

- No dobra, to pozwij mnie. Jestem inna - Lauren nie podobał się ton jej własnego głosu. Wyraźny dowód, że nie miała jeszcze czasu porządnie przemyśleć tego, co widziała. Oczywiście, przelotnie nawiedzał ją żal i wyrzuty sumie-



nia. Wątpliwości co do jej przekonań z przeszłości, czy czasem nie doprowadziła Amerykanów do błędnych wniosków co do tej wojny. Ale razem ze Scanlonem byli zbyt zajęci, żeby naprawdę zastanowić się nad tym wszystkim.

Scanlon wydawał się zraniony jej odpowiedzią. Pochylił się i oparł na kolanach.

- Jestem twoim przyjacielem, gdybyś zapomniała. Jestem tam razem z tobą. Widzę to samo co ty, słyszę to samo. Ja też mam swoje wątpliwości, tak? - westchnął. - Chciałem tylko usłyszeć od ciebie, co myślisz. Co czujesz.

Co czuje? Wychodzi z siebie. Jest gotowa wsiąść do najbliższego samolotu do domu, oto co czuje. Wariuje z tęsknoty za Shane'em. I od tego, że wszystko, co miała wypisane w sercu tuszem, teraz wydaje się ledwie naszkicowane blaknącym ołówkiem. Ale jak może mu to powiedzieć?

- Nie wiem, Scanlon - sięgnęła do szuflady w komodzie. - Emily mi to przysłała - wyciągnęła rękę ze złożoną kartką papieru.

Scanlon wstał, przeszedł przez pokój i wziął ją.

- Co tam jest?

- Czytaj - przerzuciła nogi ponad łóżkiem i podeszła do okna. Słyszała, jak Scanlon rozkłada kartkę. Pamiętała, co czuła, czytając ten e- Mail parę tygodni wcześniej. Emily przepisała do swojego e- maila kawałek z jej własnego pamiętnika sprzed lat.

*No, Mamo - czytała w e- mailu - zerknij i sprawdź, czy pamiętasz, jak kochałaś tatę.* I potem się zaczynało. Cały akapit, który sama napisała o miłości w tych czasach, gdy Shane był dla niej wszystkim. Niektóre zdania były głębokie, zdawały się znacznie głębsze niż to, co - jak pamiętała - wtedy czuła. I odkąd przeczytała te dawno napisane słowa, nie potrafiła się otrząsnąć. Nie potrafiła wyrzucić ich z głowy, nawet jeśli chciała.

Ten list wystarczył, by poruszyć w jej umyśle lawinę wspomnień. W tym to, jak robili ciasteczka z czekoladą. Shane był wtedy jej najlepszym przyjacielem - i utraciła go. Ta utrata zmieniła ją, rzuciła cień na całe jej życie. Przysięgła sobie, że go odnajdzie, bez względu na to, jak długo to potrwa.

Z tyłu za nią Scanlon z szelestem składał kartkę.

- Głębokie.

- T a k .

Odwróciła się i założyła ręce na piersi.

- Brakuje mi go.

- Wiedziałaś, że tak będzie. Co do tego nie miałaś wątpliwości - Scanlon znów usiadł na fotelu. - Wątpliwości były co do tego, czy potrafisz się z nim *zgodzić*.

Scanlon miał rację. Nigdy nie wątpiła, czy będzie tęsknić. Owszem, mieli mnóstwo do roboty, ale przecież znała odpowiedź na to pytanie. Nie była ona łatwa, Lauren nie była nawet pewna, czy umie z nią żyć, ale powoli, z przekonaniem, skinęła głową.

- Tak - w jej głosie brzmiał strach, którego wcześniej w nim nie było. Strach, że być może myliła się. - Tak, Scanlon. Wydaje mi się, że teraz potrafisz się z nim zgodzić. W kilku bardzo ważnych kwestiach.

Przez twarz Scanlona przemknął cień zawodu, ale tylko przez ułamek sekundy. Wstał i odniósł jej list.

- Cieszę się, że to słyszę.

Teraz ona poczuła zawód. Rzuciła list na łóżko.

- Nie byłam pewna. Zresztą nadal nie jestem - wyjrzała przez okno. - Patrzę, jak ludzie padają na ulicach, piszę o żołnierzach rozrywanych przez miny i nienawidzę tej wojny bardziej niż ktokolwiek.

Scanlon milczał chwilę.

- Nienawidzisz... ale rozumiesz. To chcesz powiedzieć? - dodał lekko niższym tonem.

- Chyba tak - obróciła się do niego, opierając się o parapet. - Co by było, gdybyśmy nie wypowiedzieli wojny Afganistanowi i Irakowi? - wydała z siebie dziwny odgłos, ni to śmiech, ni to zdziwienie nowym odkryciem. - Wyobrażasz sobie? Ja nigdy dotąd tak na to nie spójrzałam. Wojna jest zła. Zła i kropka. Powtarzałam to jak mantrę.

Mantrę, na którą zareagował Shane tamtego pierwszego wieczoru, kiedy byli razem w domu jej rodziców w Wheaton. Przypomniała sobie jego słowa i powtórzyła je teraz. Nie dlatego, że niegdyś wypowiedział je Shane, ale dlatego, że zaczynała je rozumieć. I wierzyć w nie.

- Scanlon, to co się stało 11 września, to miał być dopiero początek. Teraz każdy to wie. Że plany terrorystów sięgały znacznie dalej, niż możemy to sobie wyobrazić, nawet dziś.

Głośno wypuścił powietrze.

- Scanlon, nie przekreślaj mnie - wstała, zła. - Powiedziałeś, że jesteś moim przyjacielem. To mnie wysłuchaj. Nie uprawiam tu żadnej retoryki. Mówię na podstawie bezpośrednich obserwacji.

Zachmurzył się.

- Co chcesz powiedzieć?

- Dlaczego nie przyjmujemy do wiadomości tego, co oczywiste? Minęło już pięć lat, terroryści nie zrobili krzywdy ani jednemu Amerykaninowi w jego ojczystej ziemi. Więc ta wojna dała jakiś skutek, tak czy nie? Jaki inny może być wniosek?

- Może dawała z początku, kiedy atakowaliśmy z powietrza, ale teraz? - machnęła ręką w stronę okna. - Ta przemoc na ulicach to nic dobrego.

- Więc co należy zrobić? - te pytania nie dawały jej spokoju od dnia, kiedy na ulicy spostrzegła Justina Bakera grającego w piłkę z irackimi dziećmi. Jakże to wspomniała - w końcu móc ubrać uczucia w słowa. Zamachała rękami w powietrzu.

- Iść sobie i mieć nadzieję, że tym ludziom tutaj jakoś samo się ułoży? Przecież oboje dobrze wiemy, co by było, gdybyśmy tak zrobili. Terrorysty mieliby całe następne pokolenie małych rekrutów, nowe grupy rodziłyby się jak grzyby po deszczu, a do władzy doszedłby jakiś dyktator. I ani byś się obejrzał, a oglądalibyśmy zgłiszcza nowej katastrofy i zastanawialibyśmy się, co zrobiliśmy nie tak.

Włożył ręce do kieszeni, a jego ramiona opadły o parę centymetrów.

- Lauren, nie chcę się z tobą kłócić - jego oczy mówiły, że jest zdumiony, oszołomiony tym, co słyszy. - Naprawdę tak uważasz?

To pytanie trafiło prosto w jej duszę.

- Nie jestem pewna. Ale zaczyna to mieć ręce i nogi, zaczynam się zastanawiać, czy Shane i Justin Baker nie mają czasem racji.

Scanlon nie wyglądał na przekonanego.

- Racji w czym?

- Że ta wojna potrzebuje więcej wsparcia, więcej pieniędzy. Że trzeba wpięć skończyć tę robotę, a dopiero potem wracać do domu.

Miał już coś odpowiedzieć, gdy na biurku zadzwonił telefon. Lauren spojrzała na aparat, zdumiona. Była to linia tylko do połączeń przychodzących oraz lokalnych, zorganizowana dla niej przez kierownictwo „Time'a”. Z zasięgiem połączeń komórkowych były kłopoty, dlatego linia stacjonarna była najpewniejszym sposobem na niezawodny kontakt. Zawahała się. Może to Bob Maine z pozwoleniem wyjścia na ulice i wyszukania jakichś tematów związanych z ostatnią falą gwałtów.

Poszła na drugą stronę pokoju i podniosła słuchawkę.

- Halo?

Patrzyła na Scanlona. Nie chciała go zranić ani odstraszyć, ale czy ma przeżyć własnym uczuciom?

- Lauren... tu Bob.

- Cześć, niech zgadnę. Możemy już wychodzić.

- Nie - Bob był poważnym człowiekiem, ale teraz jego głos brzmiał jeszcze bardziej ponuro niż zwykle, nieomal smutno. - Nie dlatego dzwonię.

Siadła na krawędzi łóżka.

- No mówże, Bob. Co się dzieje?

Czyżby coś wydarzyło się w Stanach? Coś ważnego, co jej umknęło z powodu pobytu w Iraku?

- Dzwonię ze szczególną prośbą od Shane'a Galantera.

Shane...? Jej serce na moment zamarło, a potem zaczęło walić z podwójną szybkością.

- z... z jaką prośbą?

Scanlon ciągle na nią patrzył, ale teraz odwróciła wzrok i znalazła sobie jakiś punkt na podłodze, na którym mogła skupić uwagę.

- Lauren, pamiętasz tych trzech zabitych żołnierzy...

- Tak - jej myśli biegnęły w szalonym tempie. Co Shane ma wspólnego z pręmością na ulicach Bagdadu? Tak się o nią martwi, że zadzwonił do naczelnego? - Słyszałam.

Bob westchnął ciężko, aż zabrzączało na linii.

- Jednym z tych żołnierzy był Justin Baker.

Urwał na moment.

- Strasznie mi przykro.

Poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią. Zamknęła oczy i odwróciła głowę od słuchawki. *Me, nie Justin. Boże, nie...*

- Lauren... jesteś tam? - wyglądało na to, że szorstki stary Bob martwi się o nią, cierpi razem z nią.

Ścisnęła słuchawkę i zmusiła się do mówienia.

- Tak - podniosła głowę i dała Scanlonowi znak, żeby wyszedł. - Wzrokiem błagała go o wyrozumiałość, musiała teraz zostać sama. Musiała się zastanowić, czy ta rozmowa z Bobem dzieje się naprawdę.

Scanlon zapytał bezgłośnie:

- Wszystko OK?

Potrząsnęła głową i znów zamknęła oczy. Zaczekała, aż usłyszy, że Scanlon wychodzi, że zamykają się za nim drzwi. Potem znów zdołała wydobyć głos.

- Bob, czy jesteś pewien? Justin Baker?

- Tak... - jej naczelny milczał przez moment. - Kapitan Galanter prosi, żebyś skontaktowała się z tutejszym dowództwem i towarzyszyła ciału tego żołnierza w drodze do Stanów.

Westchnął ciężko.

- Do licha... z trudem to mówię, Lauren. Naprawdę z trudem - brzmiał tak, jakby wstrzymywał się od płaczu. - Shane i twoja córka będą czekać na ciebie.

Poczuła, że w jej sercu zbiera się rzeka łez. Była dziennikarką, weteranką wśród korespondentów wojennych. Płacz nie przychodził jej ani często, ani łatwo. Ale w tej chwili miała przed oczami te irackie dzieci uśmiechnięte i wybuchające śmiechem, grające w piłkę z żołnierzem, który oddał za nie życie. *Boże, nie... nie Justin.*

- Lauren, co mam odpowiedzieć kapitanowi Galanterowi?

Opanowała się. To część jej pracy, czy nie tak? Donoszenie o ofiarach, życie w rzeczywistości wojennej? Da sobie z tym radę, zrobi to dla Emily, dla Shane'a, dla Bakerów. Polecą do domu z ciałem ich syna i ani na chwilę od niego nie odejdzie.

- Tak. Odpowiedz Shane'owi, że tak. Skontaktuję się z dowództwem natychmiast po naszej rozmowie.

- Dobrze - głos Boba był cichy, przygnębiony. - Strasznie mi przykro, Lauren.

- Mnie też.

Podziękowała mu za telefon i zaraz potem, zanim jeszcze zdążyły zawładnąć nią uczucia, wybrała kolejny numer. Na potrzeby swoich artykułów często

kontaktowała się z oficerami z dowództwa armii. Odpowiedni numer leżał na wizytówce przy telefonie.

W ciągu kilku minut plany były gotowe. Ciało Justina zostanie przewiezione do kraju nazajutrz rano. Na jej specjalną prośbę zgodzono się, żeby towarzyszyła zwłokom. Razem z nią miał lecieć przyjaciel Justina, żołnierz Joe Greenwald, ranny w tym samym wybuchu.

Bezwiednie, jak ktoś w transie, odłożyła słuchawkę i poszła korytarzem do mieszkania Scanlona. Wysłuchał jej, a potem objął ją.

- Bardzo mi przykro.

Kiedy odsunęła się krok od niego, wiedziała, co myśli. Zaciśnęła zęby i wzbraw w niej gniew, zastępując pierwotny szok.

- To wszystko, co powiedziałam minutę temu? - wpatrywała się mu w oczy.  
- Myliłam się - znów miała przed oczyma twarz Justina. Potrząsnęła głową. - Nie ma, nie istnieje taki powód, dla którego miałby ginąć chłopak taki jak Justin. Nie istnieje.

Łzy jednak popłynęły dopiero wtedy, gdy wróciła do pokoju.

Jak Emily zniosła tę wiadomość?! Ten chłopak był dla niej wszystkim, pierwszym zakosztowaniem prawdziwej miłości, tym czym dla niej był Shane. Obserwowała ich i wiedziała, tak samo jak wiedział Shane. Uczucie między Emily a Justinem było silne i prawdziwe. Ani ona, ani Shane nie mieli wątpliwości, że pewnego dnia po powrocie z Iraku Justin poprosi ich córkę o rękę.

Emily zresztą już przebąkiwała coś o ślubie.

Lauren schowała głowę w dłoniach. Jej myśli pędziły jak szalone. A to, co właśnie powiedziała Scanlonowi? Czy naprawdę tak uważa? Teraz, skoro osobiście zna jedną z ofiar, czy to znaczy, że nie może już dłużej popierać wojennych wysiłków? Czy to w porządku?

Zwinęła się w kłębek na łóżku, zamknęła oczy i ukryła twarz w poduszce. Przyjechała tu prosić Boga o mądrość, żeby widzieć sprawy tak, jak On je widzi, myśleć o nich to, co On. I co ma teraz sądzić? Że nie ma prostych odpowiedzi, czarnych i białych, czy to o to chodzi?

Nie wiedziała, a serce bolało ją potwornie od poszukiwań odpowiedzi na to pytanie. *Boże... Panie... jeśli jest jakaś mądrość, którą mogę zdobyć w najbliższym tygodniu, to pozwól mi ją zdobyć. Bo nie rozumiem. Moim zadaniem jest prezentować poglądy oświecone, znać fakty. Ale tego akurat nie rozumiem.*

Ta modlitwa kołatała się w kółko w jej głowie, gdy tak leżała nieruchomo. Płakała, myśląc o rodzinie, której syn odszedł na zawsze, i o irackich dzieciach, dla których był ostoją, i o ukochanej córce, która już nigdy go nie zobaczy i nie pocałuje. I nigdy za niego nie wyjdzie.

Nie, w ogóle tego nie rozumiała.

A najstraszliwszą myślą była ta, z którą zasypiała.

Że może nie zrozumie tego nigdy.

## *Rozdział 22*

Jak się okazało, rodzice Justina nie mieli pojęcia nawet o połowie rzeczy, w które angażował się ich syn. Tego wieczora, w dzień gdy dowiedziała się o jego śmierci, Emily pojechała z nimi do Kelso. A kiedy wróciła do domu jego siostra Jill, Emily siedziała w drugim pokoju, tak żeby mogli przekazać jej tę wiadomość w jak najbardziej intymnych warunkach.

Później, kiedy szloch już ucichł, wszyscy usiedli w salonie, a Emily oznajmiła im, że zawiadomi wszystkich, o których wie, wszystkie grupy, w które się angażował.

- Grupy? - policzki jego matki były mokre przez cały wieczór. Przyłgnęła do ramienia męża, zbyt słaba, żeby okazać większe zainteresowanie.

- Tak - spojrzała na ojca Justina, potem na Jill. Po ich twarzach też poznała, że nie kojarzą, o co chodzi. - On bardzo dużo pracuje społecznie - nagle uświadomiła sobie, że używa czasu terazniejszego, ale nie przejęła się tym. Było jeszcze za wcześnie, żeby mówić o Justinie w czasie innym niż terazniejszy.

Jego matka uniosła głowę i pociągnęła nosem.

- Tu też pracował społecznie. Jeszcze w liceum. Ale nie wiedziałam...

- Nie lubił mówić o tym, co robi dla innych - ojciec Justina wyprostował się nieco. - Więc co robił?

To była jedna z niezapomnianych chwil tamtego dnia. Kiedy Emily mogła im opowiedzieć o pracy Justina. O weteranach, o tym, jak uważał, że ta praca to nic wielkiego.

- Zawsze mi powtarzał, że ktoś musi wysłuchać ich historii, ocalić ich dziedzictwo - trzymała w dłoni mokrą chusteczkę, w którą chwyciła spływające łzy. Ale jej głos brzmiał czysto. Powiedziała im, jak odwiedzała miejscowe podstawówki, opowiadając uczniom o tych dobrych rzeczach, jakie amerykańscy żołnierze robią w Iraku.

I o świetlicy dla młodzieży.

- O Boże... - jego matka spojrzała na męża, a potem z powrotem na Emily. Na chwilę zamarła. - Trzeba zawiadomić tych chłopców!

Emily skinęła głową.

- Ja to zrobię. Justin oczekiwaby tego ode mnie.

Przenocowała u Bakerów. Dzwonił do niej ojciec. Matka miała przylecieć do domu razem z ciałem Justina. Czekali ich jeszcze przesiadka w bazie lotniczej w Niemczech, mieli przylecieć za dwa dni. Plany nabożeństwa upamiętniającego Justina były wstępnie gotowe już koło północy, a o pierwszej nad ranem wszyscy już śniali się na nogach. Tej nocy spali niespokojnie, Emily kilka razy budziła się ze szlochem, jej poduszka przemokła. Ale gdy nastał świt, kiedy stanęła w obliczu nowego dnia, na nowo uświadamiając sobie, że Justina nie ma, wiedziała, że nadszedł czas. Że wróci do Tacomy i przekaze tę wiadomość chłopakom i weteranom. I wszystkim, którym Justin poświęcał czas.

Kiedy wróciła do akademika i opanowała się na tyle, że była zdolna mówić, usiadła przy stole i wzięła słuchawkę. Najłatwiej pójdzie jej z kimś z miejscowej szkoły. Wzięła głęboki oddech, błagając Boga o siły, i wybrała numer. Kiedy połączono ją z odpowiednią osobą, przedstawiła się jako znajoma porucznika Justina Bakera.

- A tak, znamy Justina - kobieta mówiła pogodnym głosem, najwyraźniej uśmiechając się. - Kilka naszych klas pisze do niego kartki i listy. Zebrali też kolekcję żelków - roześmiała się. - Ile razy Justin przychodził na lekcję, zawsze przynosił żelki.

Emily westchnęła. *Boże... co ja mam powiedzieć?* Uszczypnęła się w grzbiet nosa, szukając słów.

- Tak, tylko że, proszę pani, obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości.

- Nie? - w głosie kobiety zabrzmiał niepokój. - Czy coś... czy wszystko u niego dobrze?

- Nie... Nie. Zginął w tym tygodniu w Iraku.

Kobieta po drugiej stronie zaniemówiła z przerażenia. Minęła długa chwila, zanim znów się odezwała.

- Jak strasznie jest mi przykro!

- Tak, tak samo jak nam wszystkim - obiecała sobie i obiecała Bogu, że dzisiaj się nie załamie. Ludzie, którzy znali Justina, potrzebują widzieć ją silną. Ale smutkowi nie sposób było zaprzeczać. Wydostawał się ze wszystkich porów, narastał z każdym oddechem.

- Kiedy... kiedy jest nabożeństwo żałobne?

Emily podała jej szczegóły i poprosiła o przekazanie informacji nauczycielom i dzieciom, które go znały. Odłożyła słuchawkę i wahała się.

Następne zadanie nie będzie już takie łatwe.

Deszcz padał od dwóch dni, włożyła więc kurtkę. Tę, którą Justin najbardziej lubił, bo najwyraźniej kontrastowała z jej niebieskimi oczami.

Weterani spotykali się codziennie po lunchu w sali Amerykańskiego Związku Kombatantów. Grali w bingo i w pokera albo po prostu siedzieli przy stole i opowiadali sobie o dawnych dziejach. Głównie wojennych. Emily była tam z Justinem tylko raz. Pomyślała, że obserwowanie, jak Justin radzi sobie z tymi starszymi panami, może się jej kiedyś przydać do pisania.

Tymczasem tamten dzień wzbudził w niej jeszcze większy podziw dla człowieka, którego kochała. Siedział pośród nich, jakby był pełnoprawnym członkiem tego towarzystwa, i trudno było nie zauważyć dumy, jaka przepełniała obecnych.

Justin nie był taki jak większość chłopaków w jego wieku. Był istnym okazem z cechami pierwotnymi. To pokolenie nie jest jeszcze całkiem stracone, jeśli jest w nim choć jeden taki młody żołnierz jak Justin Baker - tak uważali weterani. I kochali go za to, że znajduje czas, aby o nich pamiętać.

Kiedy Emily i Justin wyjeżdżali od nich tamtego dnia, jeden z mężczyzn, starszy człowiek w bejsbolówce całej pokrytej wojskowymi naszywkami, przykuł do wózka inwalidzkiego, w kurtce, która nie leżała na nim jak ulał, wymierzył palec w Justina.

- Wiem, że niedługo jedziesz, ale uważaj, chłopaku - poklepał miejsce przy stole tuż obok swojego. - Trzymamy dla ciebie to miejsce.

Emily próbowała nie myśleć o tamtej scenie, jadąc do klubu weteranów. Ten starszy człowiek nie mógł mówić poważnie o utrzymaniu miejsca dla Justina, skoro wszyscy weterani czatowali na wolne miejsce, żeby pogadać czy pograć w karty. Miejsce przy stole było tam na wagę złota.

Jechała, nie patrząc nawet na drogę czy światła, jej ciało poruszało się automatycznie, tak że serce i umysł były wolne, by móc myśleć o Justinie.

Zajechała na parking, podeszła chodnikiem pomiędzy rabatami kwiatów i zajrzała przez okno. W środku było tłoczno, ale przy stole...

Starszy człowiek w kurtce był tam, a koło niego puste miejsce. Miejsce zarezerwowane dla młodego żołnierza, tego, który dał im tyle godzin radości. *No to idę, Boże... daj mi siłę.*



Kiedy w ściśniętym gardle poluźniło się trochę, popchnęła drzwi i weszła. W jednej chwili ustała wszelka aktywność przy stole, na krzesłach i na kanapach pod ścianami.

- O! - zamachał do niej potężny jowialny facet, zapraszając dalej. - Dziewczyna Justina Bakera!

Co ma zrobić? Jak to powiedzieć, skoro za każdym razem... za każdym razem, gdy te słowa padają z jej ust, wydają się coraz bardziej szokujące? Justin Baker... nie żyje? Ciagle ma jego e- Mail w kieszeni.

Mężczyźni uśmiechali się, czekali, aż podejście bliżej. Mężczyzna w kurtce poklepał puste miejsce obok siebie.

- Jestem Vern. Powiedz swojemu młodemu wojakowi, że trzymamy dla niego miejsce. Daliśmy słowo.

- Ja... - łyzy wcięły się jej w zdanie. Na chwilę zwiesiła głowę, usiłując choć trochę odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy podniosła wzrok, wyraz twarzy wszystkich obecnych zmienił się.

Jowialny mężczyzna wstał i podszedł do niej. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Co się stało, malutka? Powiedz nam.

Osuszyła łyzy dłonią i spojrzała na niego. Może jeśli wypowie te słowa szybko, wszystkie naraz... Nabrała powietrza.

- Justin zginął w Iraku w tym tygodniu. Mina... mina przydrożna.

Zareagowali jak w zwolnionym tempie. Starszy mężczyzna przy niej zdjął dłoń z jej ramienia - a potem ściągnął kapelusz i położył go na sercu. Inni obecni w sali zrobili to samo, zdejmując wojskowe bejsbolówki z naszywkami i kładąc je na piersi.

Któryś zapytał o nabożeństwo żałobne i Emily zostawiła kilka egzemplarzy kartki z informacją. Przyciszonymi głosami składano kondolencje. Uświadomiła sobie, że zareagowali inaczej niż większość ludzi. Oni tam byli. Na własne oczy oglądali spustoszenie czynione przez wojnę.

Oczy większości pozostały suche. Ale zanim wyszła, Vern przygładził kurtkę i spojrzał na nią. Oczy miał pełne łez.

- Dopóki tu jestem, będę trzymał dla niego miejsce. Chcę, żebyś wiedziała.

Skinęła głową. Rozejrzała się po sali, mając nadzieję, że widzą, że nie jest w stanie mówić, bo się załamie, upadnie, tak jak stoi, na podłogę. Wyszła - i przez długą chwilę siedziała w samochodzie, z głową na kierownicy. *Boże, dlaczego... dlaczego?* Powtarzała to pytanie raz po raz, ale nie wyczuła żadnej odpowiedzi. Nie potrzebowała jej zresztą. Wystarczyło wiedzieć, że Bóg policzył dni każdego z nich i że skoro zabrał Justina, to widać przyszedł na to czas.

Mimo to nie przestawała pytać.

I próbowała przekonać samą siebie, że to stało się naprawdę. Że kiedy rano on przyjedzie do domu, nie obejmie jej i nie zacznie szeptać czułych słów. Że przyjedzie w sosnowej trumnie, z amerykańską flagą na wierzchu.

Teraz jechała w jeszcze jedno miejsce. Najtrudniejsze ze wszystkich.

Świetlica dla młodzieży znajdowała się niezbyt daleko od Cieśniny Sound, w jednej z gorszych dzielnic centrum Tacomy. To było akurat ich popołudnie, ten jeden dzień w tygodniu, kiedy przychodziła pokumpłować się z Bo, Dexterem i resztą chłopaków. Pograć w pingponga, przekazać najnowsze wieści od Justina.

Czekali na nią.

Kiedy zbliżała się do budynku, jej oczy zrobiły się suche. Strach przesłonił smutek, bo niby jak ma tam wejść i oznajmić im, że Justin nie żyje? Jak zareagują, kiedy to powie? Co ma zrobić z ósemką nastoletnich chłopców, którzy otrzymają kolejny cios w swoim życiu, doświadczą kolejnej bolesnej strony rzeczywistości?

Znalazła miejsce do zaparkowania, zasznurowała usta i wydusiła powietrze z płuc. Justin czytał akurat czwarty rozdział Listu do Filipian. Tak jej pisał. To znaczy, że rozmyślał właśnie o tym, czego ona sama rozpaczliwie teraz potrzebuje, jeśli ma w ogóle wyjść z wozu i przekroczyć próg świetlicy.

Pokój.

*Boże, proszę... daj mi teraz swój pokój. Inaczej nie będę w stanie tego zrobić.*

Już przy następnym uderzeniu serca poczuła się otoczona obecnością Boga. Nieomal słyszała Jego głos: *Córko, prosz, a będzie ci dane.* Jego pokój przeniknął jej strach i smutek, wypełniając ją obietnicą nowego życia. Pewnego dnia ciemne chmury tych chwil rozproszą się, ponieważ zawsze nastaje poranek. Bez względu na to, jak długa i ciemna jest noc.

Taka jest Boża obietnica.

Wzięła się w garść i zmusiła do wyjścia z auta, a potem wejścia do budynku. Bo i Dexter rozgrywali akurat zacięty mecz w pingponga. Musieli wyczuć, że jest w niej coś dziwnego, coś w jej oczach, a może w twarzy, ponieważ uśmiech, który początkowo pojawił się na twarzy Bo, znikł w chwili, gdy postawiła kolejny krok. Złapał w dłoń białą piłeczkę i oparł pięści na stole.

- Dziwnie wyglądasz, mamuśka.

W każdym z tych słów dzwonił strach, pulsując pod przybranym wizerunkiem macho. Inni też to wyczuli, bo odeszli od stołu z piłkarzykami i od automatu z napojami w rogu i podeszli bliżej. Powoli gromadzili się wokół Bo, ze wzrokiem utkwionym w niej.

Czuła, że Bóg popychają naprzód, bliżej nich. Ale widziała jedynie tamten letni dzień, kiedy Bo ściągnął mokrą koszulkę, zmiął ją i rzucił na ziemię, gdy Justin oznajmił, że wyjeżdża. To i jeszcze łzy w oczach chłopaka, gdy patrzył na zdjęcie Justina w „Time'ie”. *Powiedz mu, że potrzebujemy go bardziej... potrzebujemy go bardziej.*

Bo włożył piłeczkę do kieszeni i prędko obszedł stół naokoło, nie spuszczając z niej wzroku.

- Emily...

Dziwnie brzmiało jej imię w jego ustach. Nigdy jej tak nie nazywał. Laska Justina, ślicznotka, mamuśka - to owszem. Ale nie Emily. Podszedł i oparł dłoń na jej ramionach. Patrzył jej w oczy, usta miał lekko otwarte.

- Powiedz mi... dlaczego tak wyglądasz?

Dexter podszedł bliżej, potem ci chłopcy, którzy planowali zaciągnąć się do wojska, potem reszta. Zakryła dłoń Bo własną i potrząsnęła głową.

- On nie żyje, Bo. Nie żyje.

- Co?! - Bo zaklął pod nosem i odskoczył od niej. - Dziewczyno, ty wypłuj te słowa! Nie mów tak o moim ziome!

Tego się obawiała. Że emocje nagromadzone w chłopcach wybuchną w chwili, gdy dowiedzą się oni o śmierci Justina. Musiała być silna ze względu na nich, ale nagle, nie wiadomo skąd, napłynęła fala żalu, podcinając jej nogi. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Dlatego że Bo miał rację.

Ci chłopcy potrzebowali Justina bardziej niż ktokolwiek w Iraku. A teraz on już nie wróci, nie zagra z nimi w kosza, nie siądzie na schodach i nie będzie ucinął gadki o dziewczynach i szkole, i dlaczego wierzy w Boga.

Nie ośmieliła się na nich patrzeć. Nie otworzyła oczu, żeby zobaczyć ich reakcję. Słyszała, że ktoś rąbnął pięścią w stół, ktoś kopnął kosz na śmieci. Tak to przynajmniej brzmiało. I wtedy wiedziała, że musi podnieść wzrok, bo robi to dla Justina. On nie uciekałby przed tym krwawiącym bólem, jaki wypełnił pomieszczenie.

On by się dołączył.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. Wszyscy się rozeszli. Bo stał twarzą do ściany, z rękami za głową. Lekko uderzył czołem o ceglana ścianę, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Słyszała, jak mówi:

- Nie ma mowy... nie mój ziomal...

W innym kącie dwóch chłopaków opadło na krzesła i z głowami odchylonymi w tył wpatrywało się w sufit. Żadnych łez, gniewu, emocji. Nic. Popatrzyła w inną stronę. Dexter ścisnął kosz na śmieci. Wziął go w obie ręce i trzasnął nim o cementową posadzkę. Inni reagowali tak jak Bo, zwróceniem twarzą do ściany, odwracając się od świata.

Wiedziała, od czego zacząć. Poszła do Bo, a kiedy była już wystarczająco blisko, położyła dłoń na jego ramieniu. Nie miała pojęcia, jak zareaguje, czy odwróci się i wrzaśnie na nią albo strąci jej rękę i wybiegnie z budynku. *Boże... ten pokój, który mi dałeś, daj go też Bo. Pomóż mi go jemu pokazać. Boże, proszę...*

Zniżyła głos tak bardzo, że tylko on mógł ją usłyszeć.

- Bo...

Czuła, jak napięcie powoli odchodzi z jego ramion, a potem reszty ciała. Odwrócił się i spostrzegła, że zdarł sobie skórę na czole o cegły. I nie tylko to. Że pła-

kał, płakał jak mały chłopczyk, który stracił przyjaciela. Albo jedyną namiastkę taty, jaką znał. Jego rysy znów wykrzywił gniew. Bo uderzył się w pierś, nie zwracając uwagi na łzy spływające mu po twarzy.

- Ja mu mówiłem, żeby nie jechał.

- Wiem... wiem... - nie dała mu możliwości, żeby ją odepchnął. Był wysokim chłopcem, prawie 30 centymetrów wyższym niż ona, mimo to nie zawahała się. Objęła go w pasie i przytuliła.

Z początku myślała, że wyrwie się z jej objęć, ale resztki z twardego pancerza już opadły. Zwiesił głowę na jej ramię i płakał.

- Dlaczego? Dlaczego on?

Nie mogła się odwrócić i sprawdzić, jak zachowują się pozostali na widok swego przywódcy, który mięknie. Ale nie musiała. Posłyszała za sobą kroki. Najpierw Dexter, potem dwóch przyszłych rekrutów podeszło i objęło ją i Bo. Po minucie dołączyli inni, i otoczyła ją grupa płaczących twardzieli, których cały świat zawałił się w tej jednej krótkiej chwili, gdy oznajmiła im o śmierci Justina.

Kiedy płacz ucichł, kiedy upewniła się, że choć trochę się uspokoiili, cofnęła się o krok i wyjęła z kieszeni plik kartek.

- Nabożeństwo żałobne jest w sobotę.

Bo wziął karteczkę, a z jego oczu popłynęły świeże łzy, łzy gniewu. Rzucił kartką prosto w nią, a jego słowa były jak kamienie.

- Nie mam auta, ślicznotko.

- Właśnie. Jak niby tam dojedziemy? - Dexter bez przekonania trzymał kartkę w dłoni.

Nie pomyślała o tym. Zerknęła przez ramię w stronę biura. Przez okno spostrzegła w środku jakiegoś człowieka, ale najwyraźniej był tu tylko na zastępstwie, jakiś urzędnik z lepszej części miasta. Nikt z sercem dla tych chłopaków. Nigdy nie słyszała, żeby ten ktoś zajmował się tymi nastolatkami. Justin wspominał jej, że ten facet jest tu głównie ze względu na bezpieczeństwo, w każdym razie dopóki nie znajdą pełnoetatowego wychowawcy. Ale to on tu rządzi. Może będzie mógł pomóc.

- Możecie się zebrać tu wszyscy w ten dzień, spotkać się trzy godziny wcześniej przed nabożeństwem? Powiedzmy, o dziesiątej? - miała taką nadzieję. Myśl o tym, że chcą przyjść, znaczyła więcej, niż sobie wyobrażali. To był kolejny dowód wpływu, jaki Justin miał na ich życie.

Popatrzyli po sobie i kilku wzruszyło ramionami.

- No tak... jasne.

- Dobra, zaczekajcie chwilę.

Podbiegła do drzwi biura, zapukała i weszła, zanim ją poproszono. Wyjaśniła sytuację i zapytała mężczyznę, czy mógłby postarać się o jakiś miejski bus czy furgonetkę, tak żeby chłopcy mogli dotrzeć na nabożeństwo żałobne Justina.

Człowiek za biurkiem spojrzał na nią z twarzą bez wyrazu.

- Na pogrzeb? - odłożył długopis i roześmiał się smutno. Wskazał ręką na okno, za którym było widać chłopców zebranych przy stole pingpongowym.

- Ci chłopcy naoglądali się już tyle śmierci, że nawet by pani nie chciała o tym słuchać. Wojny narkotykowe, gangi. Codziennie kolejny pogrzeb - potrząsnął głową. - Chciałbym pomóc, ale mam związane ręce. W tym roku znów obcięli budżet. Obcięli fundusze na wychowawców i nie możemy zatrudnić nikogo, kto by się zajął tymi dziećmiakami.

Zachmurzył się.

- Nie ma szans na furgonetkę ani bus.

Popatrzył na pracę, którą miał na biurku.

- Przykro mi, nic z tego.

Zacisnęła zęby i przypatrywała się temu człowiekowi. I to tyle? Nawet nigdzie nie zadzwoni, nie sprawdzi, czy nie ma gdzieś jakichś pieniędzy, żeby im pomóc? Jak ludzie robią się tacy nieczuli? Nie dziwota, że chłopcy tak wypatrywali wizyt Justina. Z początku sądziła, że jest on jednym z wielu wolontariuszy, jednym z wielu przykładów dla tych nastolatków. Ale teraz zaczynała rozumieć. Był najprawdopodobniej jedynym przykładem, jaki mieli. A teraz zginął.

Bez słowa okręciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi. Chłopcy patrzyli, czekając na odpowiedź. Resztką nadziei w ich oczach rozdzierała jej serce.

Utkwiła wzrok w oczach Bo.

- Samochód będzie tu o dziesiątej - patrzyła po kolei na każdą z twarzy ze śladami łez. - Gwarantuję.

Zanim wyszła, jeszcze raz zaryzykowała.

- Śmierć Justina strasznie boli. Może by tak... - uniosła ręce w bok - może moglibyśmy się razem pomodlić przez minutę.

Dexter uśmiechnął się, mimo że oczy miał zalane łzami.

- Jasne, Justin zawsze chciał, żebyśmy się modlili.

- No - któryś inny podszedł i wziął Emily za rękę. - Szkoda, że dopiero teraz to do nas dotarło.

Trochę nieśmiało podeszli też inni. Bo wziął jednego za rękę, a reszta dołączyła i utworzyło się koło. Ścisnęła jej dłoń.

- Czy mogę... znaczy, czy mogę spróbować?

Emily nieomal wyobrażała sobie, jak tam w niebie Justin zasiada właśnie w pierwszym rzędzie na to widowisko. Nie mogła wydobyć głosu, więc tylko ścisnęła palce Bo i skinęła głową.

Zamknęła oczy i zwiesił głowę, a wszyscy wokoło zrobili to samo. Emily nie zamykała oczu. Chciała się nacieszyć tą chwilą, tak samo zrobiłby Justin, gdyby tu był.

Bo chrząknął.

- No to, Boże, jesteśmy tu wszyscy i jesteśmy normalnie rozwaleni. Rozwaleni, tego nie da rady ugryźć - wydawało się, że mówi przez zaciśnięte szczęki.

- Muszę Cię poprosić, żebyś pokazał ludziom, jakim dobrym koleśiem był Justin. To był nasz ziomal, no, nie wiem - pociągnął nosem - normalnie jak brat. Ja zawsze wiedziałem, że nie powinien tam się pchać, ale pojechał. A teraz jest z Tobą - głos mu się załamał i przez chwilę było słychać tylko ciche szlochania. - Zajmij się tam nim, jak należy. Niech tam sobie pogra w kosza jak tu z nami. Z jakimiś ekstra koleśiami. I bądź z jego dziewczyną. Ona jest tutaj twarda, dla nas chłopaków, ale wiem, że jej serce pęka - znów wyrwał mu się szloch, Bo próbował się opanować. - Co tam! Wszystkim nam serce pęka.

Puścił dłoń Emily i otarł policzki. Potem znowu wziął ją za rękę.

- Przede wszystkim to dziękujemy, że on się w ogóle tutaj znalazł. Nikt z nas nie będzie już taki sam. No wiesz, gangi i te rzeczy. Justin chciał dla nas czegoś lepszego - urwał, jakby nie był pewien, jak zakończyć modlitwę. - To tyle. Amen.

Emily przez całe swoje życie chodziła do kościoła. Od dzieciństwa nie opuszczała ani niedzielnych nabożeństw i szkółek, ani cotygodniowych spotkań biblijnych. W ciągu 20 lat swojego życia słyszała tysiące pięknych, elokwentnych modlitw.

Ale przy żadnej z nich nie poczuła się tak blisko Boga jak przy tej.

Przy modlitwie zdruzgotanego nastolatka, którego pierwsze słowa samodzielnie skierowane do Boga padły wprost z jego pękającego serca.

## *Rozdział 23*

Lauren nigdy wcześniej nie była świadkiem przewożenia zwłok żołnierza z powrotem do Stanów. Owszem, widziała zdjęcia. Jej tygodnik zamieścił raz materiał o tym, jak bezceremonialnie układa się ciała w samolotach i przewozi je do Stanów nieomal w wielkiej tajemnicy. Jakby dowódcy chcieli ukryć przed opinią publiczną fakt ofiar w ludziach.

Kiedy stała na polu startowym obok kompanii Justina ustawionej w szeregu po obu stronach przejścia, nie miała innego wyboru jak przyznać to, co oczywiste. Jeśli to jest rutynowe pożegnanie ciała, to tamten tekst był kompletnie nierzetelny. Wojskowi nie pozwalają reporterom kręcić się przy nakrytych flagą trumnach nie dlatego, że mają coś do ukrycia.

Ale z szacunku.

Każdy poległy żołnierz, każde zwłoki wysyłane ze Środkowego Wschodu w części cargo samolotu w trumnie z flagą na wierzchu są wojsku drogie. Mogła to zauważyć już na podstawie obserwacji samej tylko procedury.

Poczet flagowy zaprezentował flagę, a cała kompania utkwiała wzrok w czerwieni, bieli i błękitach. Po zaprezentowaniu flagi grupa najbliższych przyjaciół Justina zaniósła trumnę na sam koniec przejścia. Żołnierze po obu stronach zgodnym ruchem unieśli dłonie do brwi i pozostali w takiej pozycji. W nieruchomym hołdzie.

Lauren przyglądała się im, ich spojrzeniom w chwili, gdy po raz ostatni zegnali się z towarzyszem. Czy Stany Zjednoczone mogą postąpić inaczej, niż udzielić poparcia tym młodym ludziom? Jeśli brakuje im zaopatrzenia albo ludzi, to niech ktoś w końcu zabierze się do roboty i dostarczy im to. Nagle zreflektowała się. Jeżeli tak uważa, to czemu wypowiedziała tamte słowa do Scanlona?

Ból ścisnął ją w piersi.

Dlaczego wszystko, co wiąże się z wojną, jest tak strasznie skomplikowane? Przez cały czas myślała, że jest albo tak, albo tak, albo raczej ma ona, albo Shane. Można albo popierać wojnę, albo być przeciwko. Ale teraz ani jedna, ani druga odpowiedź nie wydawała się właściwa. Była przekonana jedynie co do tego, że każdy obywatel Stanów Zjednoczonych powinien wspierać tych młodych ludzi walczących o wolność na Środkowym Wschodzie.

Każdy obywatel.

A jeśli choć jeden amerykański obywatel gardzi żołnierzami z powodu tekstów, które ona napisała, to hańba jej.

Kondukt ruszył, a Lauren nie miała sił na to patrzeć.

Joe Greenwald, kolega Justina z sąsiedniego łóżka, podtrzymywał jeden z przednich rogów trumny. Lauren poznała go już, zaraz kiedy przyjechała. Joe był facetem potężnym jak niedźwiedź, ale nie sposób było nie zauważyć jego mokrych policzków. Kiedy trumna minęła ją, kiedy wniesiono ją po schodkach do samolotu, żołnierze wrócili po kolejną, potem po trzecią. Każde z ciał miało być przewiezione do innej bazy, ale tu zaczynał się pierwszy etap tej podróży.

W końcu Joe dostał rozkaz zwalnający go ze służby, w papierach podano, że z powodu odniesionej rany w głowę, na którą założono mu prawie 30 szwów, nie musi już wracać do Iraku. Lauren dowiedziała się, że to była już druga zmiana również dla Joe. Tak jak dla Justina. Teraz wróci do bazy i zastanowi się, czy zaciągać się na kolejne cztery lata i robić karierę w wojsku, tak jak chciał zrobić Justin.

Dopiero kiedy znaleźli się w samolocie i zamknięto drzwi, Lauren usiadła koło Joe i wypowiedziała słowa, które rodziły się w jej sercu, odkąd tylko przyjechała do bazy. Obróciła się i przyglądała się twarzy młodego człowieka, bólowi w jego oczach.

- Joe, strasznie mi przykro. Z powodu Justina.
- Tak - zadrzała mu dolna warga. - Mnie też.
- Byliście dobrymi przyjaciółmi?

Skinął głową. Patrzył przez okno po drugiej stronie samolotu, a potem na chwilę zerknął przez ramię na owiniętą we flagę trumnę stojącą opodal.

- Najlepszy przyjaciel, jakiego miałem.
- Żałuję, że nie znałam go lepiej - obróciła się do niego. - Ty byłeś z nim w tamten dzień, z irackimi dziećmi, prawda?

Joe uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.



- W jaki dzień? - zaśmiał się i potarł palcami o brew. - Ten Justin! Jemu ciągle nie starczało czasu.

- Moja córka twierdzi, że w domu też taki był.

- Praca społeczna? - Joe potrząsnął głową. - Gdybym nie mieszkał z nim w jednym pokoju, to bym pomyślał, że - To jakiś anioł.

- Bałaganiarz? - skrzywiła się lekko.

- Mało powiedziane. Brudne koszule na łóżku, w szufladach - zmienił pozycję na fotelu i patrzył przed siebie, w przeszłość. - Mówię mu: Daj spokój, człowieku. Nie łatwiej je wyprać, niż tyle nagłówekować, gdzie by tu je pochować?

Milczeli przez chwilę, czekając aż samolot nabierze właściwej wysokości. Lauren nie miała zamiaru rozmawiać z nim przez cały czas. Chłopak na pewno potrzebował odpoczynku. Czasu na rozmyślania i na żal. Ale chciała, żeby znał jej myśli, jeśli przypadkiem miał na jej temat jakieś z góry przyjęte wyobrażenia.

- Moja córka, Emily... bardzo go kochała.

- Wiem - oparł się o fotel i patrzył gdzieś w dal. - Czytał mi jej e- maile. Nie wiem, jak ja jej spojrzę w oczy.

- Ona cierpi, ale jest silna. Już bardzo dużo przecierpiała w życiu. To się stało, kiedy była malutka, kiedy rozdzielono mnie i jej ojca.

- Wiem - znów patrzył przed siebie. - Emily pisała o tym w jednym z listów.

- Naprawdę?

- Tak. O pani, o swoim tacie i takie rzeczy - popatrzył na nią. - Justin cieszył się z pani powodu, pani Gibbs. Myślał, że może Bóg panią zmienia, zmiękcza. Coś w tym rodzaju.

- To prawda - wciąż nie znała odpowiedzi na wiele pytań, ale odpowiedziała uczciwie. - To zaczęło się tego dnia, kiedy zobaczyłam was dwóch, jak rozdajecie torby z jedzeniem i gracie w piłkę z tymi dziećmi. I zastanawiałam się: Dlaczego nie mam w głowie właśnie takiego obrazu, kiedy myślę o żołnierzach?

Smutno skinął głową.

- Wielu ludzi ma zły obraz.

- Moje ostatnie teksty... Mam nadzieję, że pomogą czytelnikom wyraźniej dostrzec pewne sprawy... - umilkła. I nagle przypomniała sobie, co Joe powiedział parę minut wcześniej. - Co ty mówisz? Jak spojrzysz w oczy Emily? Ona chyba nawet nie wie, że przyjeżdżasz. Nie rozmawiałyśmy o tym w ogóle.

- No i dobrze - mocno zacisnął usta, a jego oczy zwilgotniały. - Będę miał więcej czasu na myślenie, co jej powiedzieć.

Przekrzywiła głowę.

- Co jej powiedzieć?

Otworzył usta, ale nie wypowiedział słowa. Przesłonił twarz dłonią i wbił wzrok w swoje kolana. Kiedy w końcu podniósł oczy, ból w nich widoczny był tak wielki, że aż go poczuła.

- Joe? - zastanawiała się, czy może powinna go objąć albo choćby dotknąć, ale nie wydawało jej się to na miejscu.

- Justin... leżał tam... i umierał - wykręcił głowę w górę, powstrzymując łzy, zły sam na siebie. - I kazał mi obiecać, że z nią porozmawiam, że będę... jej przyjacielem - z trudem przełknął ślinę. - Tylko... jak ja mogę to zrobić, skoro ile razy na nią popatrzę, to będę widział drugą połowę obrazka?

Znowu nie była pewna, czy rozumie.

Widząc jej zdziwione spojrzenie, Joe sięgnął do torby i wyjął jakiś czerwony album.

- Proszę - wręczył jej go. - Emily zrobiła dla niego album...

Na chwilę jego emocje wzięły górę.

- Co wieczór... go oglądał. Co wieczór. Pokazywał mi go chyba kilkanaście razy, aż w końcu nawet miałem dość.

Lauren spojrzała na album na swoich kolanach i wpatrzyła się w zdjęcie na okładce. Były na nim smugi, wytarcia. Joe nie przesadza. Justin musiał spędzić z tym albumem długie godziny, skoro tak on teraz wygląda.

- Widzi pani? - wskazał na zdjęcie. - Ile razy na nią patrzę, to widzę drugą połowę tego obrazka. Justina. Bo to on powinien wracać teraz do domu, do niej.

Próbowała to wszystko ogarnąć. Było jej ciężko na sercu na myśl o tym młodym człowieku obok. Tyle przeszedł przez ostatnie dni. Jechał obok swojego najlepszego przyjaciela na rutynową akcję przez miasto i nagle został wyrzucony na ulicę, a jego samochód rozerwany na kawałki, wszędzie naokoło leżały ciała. Uklęknął tam i patrzył, jak z Justina ucieka życie, a potem złożył mu obietnicę. Obietnicę, której nie miał pojęcia, jak dotrzymać.

- I coś jeszcze - Joe znowu sięgnął do torby. Tym razem wyjął coś mniejszego, zdjęcie. Podsunął je bliżej, tak żeby mogła zobaczyć.

- Zalaminował to sobie, palant - roześmiał się, ale zabrzmiało to bardziej jak szloch. - Nosił w cholewie. I wie pani co... trzymał je w ręku, jak wjechaliśmy na tę minę - przesunął zdjęcie bliżej siebie i patrzył na nie. - Miał w ręku przez cały czas, jak umierał, tylko... - zwiesił głowę, zbyt przygnębiony, żeby mówić dalej.

Tym razem Lauren już się nie zastanawiała. Delikatnie wzięła go pod rękę, zmagając się ze smutkiem we własnym sercu. Od sceny opisywanej przez tego młodego żołnierza ścisnęła ją w żołądku, ale nie tylko - zaczynała rozumieć, jak bardzo Justin Baker kochał Emily.

Joe zadrżał, a potem westchnął ciężko i podniósł wzrok.

- Przepraszam. Zdawało mi się, że jakoś sobie z tym radzę, a tu... sam nie wiem - wyglądał na oszołomionego, miał nieobecny wzrok. - Justin szybko tracił siły i ja... wzięłam od niego to zdjęcie i trzymałam tak, żeby je widział - znowu popatrzył na fotografię. - To była ostatnia rzecz, którą widział przed śmier-

cią - bezceremonialnie i mocno potarł pięścią pod oczami. - Zaraz po tym, kiedy mu obiecałem, że z nią porozmawiam, że będę jej przyjacielem.

Wzięła zdjęcie z rąk Joe i przyglądała mu się. Laminat nieuszkodzony, ale lekko pogięty i brudny. To tę jedyną rzecz Justin zawsze nosił przy sobie, miała dawać nadzieję na przyszłość, na ten czas, kiedy wróci do Tacomy, będzie zabierał Emily na spacerzy nad Cieśninę Puget" i żył tak jak każdy 22-letni chłopak.

No właśnie. Przesunęła kciukiem po zdjęciu. Justin nie był taki jak każdy inny chłopak i każdy inny żołnierz. I żadne jej słowa nie mogły zmniejszyć bólu po jego utracie. Oddała zdjęcie Joe i usiadła wygodniej, żeby przejrzeć album.

Podczas tego jednego roku, odkąd poznała córkę, Emily wydawała się zawsze nad wiek dojrzała. Nieomal jak dorosły człowiek - ona, Shane czy nawet ich rodzice. Wytrwale tropiła informacje o niej i o Shane'ie, postanowiwszy sobie, że nie podda się, dopóki ich nie odnajdzie. Dzielnie towarzyszyła im w szpitalnej sali, gdy zimą jej dziadek - ojciec Lauren - umierał na raka. Umiała planować, organizować, godzić zwaśnionych.

Ale była też dziewczyną. Tak bardzo zakochaną w Justinie, że poświęciła czas na klejanie do albumu papierowych kwiatuśzków i powycinanych serdušek. I na błahostki, żarty, wspomnienia, które rozumieli tylko oni dwoje. *Możesz nazywać mnie ciapą* obok ich wspólnego zdjęcia podczas wyprawy w góry albo *Me jestem taka prosta czy Opowiedz mi, jak to będzie już zawsze*.

Było w tym droczenie się i kokieteria, jakże typowe dla dziewczyny w jej wieku. Ale teraz...

Lauren ciężko wciągnęła powietrze przez nos. Teraz Joe musi znaleźć sposób, jak oddać jej ten album, a Emily... po pięknych chwilach minionego lata spędzonych z Justinem Bakerem pozostanie jej tylko parę zdjęć i listów.

Oddała album Joe i odwróciła się do okna.

Przez resztę lotu odzywała się niewiele. Co jakiś czas wyczuwała, że Joe obok płacze, nie chciała mu przeszkadzać. Nie chciała też obracać się i patrzeć na trumnę. Na chwilę nawet zasnęła i śnił jej się Shane. Biegli obok siebie podczas mistrzostw w siódmej klasie, a ona potknęła się o sznurowadło i runęła twarzą na ziemię.

Tak bardzo jej go brakowało i to też nie poprawiało jej humoru. Shane był teraz razem z Emily i rodziną Justina, ona dołączy do nich na koniec podróży. Za niespełna dzień znajdzie się bezpiecznie w ramionach Shane'a Galantera.

Tylko Emily pozostanie sama.

Wtedy Lauren przypomniała sobie o Joe. O biednym kochanym Joe, który siedzi obok. *Boże... czy mógłbyś mi pomóc dotrzymać obietnicy danej Justinowi? Proszę... niech będą dla siebie przyjaciółmi*.

Lot ciągnął się długo, potem była przesiadka w Niemczech. Większość drugiej części podróży przespali i wydawało się, że upłynęło zaledwie parę godzin, gdy zaczęli podchodzić do lądowania. Nagle Lauren rozboleł żołądek. Jak ona

spojrzy im w oczy? Myliła się w swoich relacjach o tej wojnie, to pewne. Ale gdzie biegnie granica między tym, co słuszne i niesłuszne, tego nadal nie wie. Może takiej granicy w ogóle nie ma?

Co do jednego była jednak przekonana. Że to, co widziała w ciągu paru ostatnich miesięcy, odmieniło jej serce. Rzeczy wspaniałe - i rzeczy straszne. Nie wyobrażała sobie jednak niczego bardziej bolesnego niż wyjście z tego samolotu i ujrzanie rozpaczy w oczach córki. Emily jest taka młoda. Czy jest jakaś szansa, że da sobie jakoś radę w tych nadchodzących dniach?

Nagle uświadomiła coś sobie. Choć Emily jest bardzo dojrzała jak na swój wiek, choć pod wieloma względami wydaje się bardziej poukładana niż Lauren, to z chwilą utraty Justina na pewno ziemia usunęła się jej spod nóg. Potrzebuje miłości i wsparcia, kogoś, kto ją przytuli, pogłodzi po głowie i przekona, że w końcu wszystko jakoś się ułoży. Kogoś, kto będzie trzymał ją w objęciach, nawet jeśli miałaby przepłakać cały dzień. Tak, dla Lauren nadszedł już czas stać się dla Emily czymś więcej niż punktem na liście tematów do modlitwy.

Nadszedł czas stać się jej matką.

## *Rozdział 24*

Shane był w mundurze, stał wyprostowany między swoją córką a przyjacielem, Garym Bakerem. Deszcz ustał, ale powietrze było wilgotne, a niebo nad Tacomą beznadziejnie szare. Shane obejmował Emily ramieniem, ale nie rozmawiali. Poza nieustannym hukem lądujących i startujących samolotów było słyhać tylko jeden dźwięk, cichy szloch.

Łzy płynące bez przerwy.

Powrót ciała poległego żołnierza organizowano rozmaicie. Tym razem otrzymali pozwolenie wejścia na płytę lotniska. Ciało Justina miało zostać przeniesione z samolotu do karawanu w asyście poczty flagowego. Ceremonia miała być krótka, potem karawan miał zawieźć ciało do domu pogrzebowego w Kelso, gdzie miało pozostać przez dwa dni, do czasu pogrzebu.

Shane patrzył na zbliżający się samolot, zapewne ten, na który czekali. Przybył punktualnie. Shane postanowił, że będzie silny, pozostanie silny. Osoby stojące po obu jego stronach potrzebują tej siły. W środku jednak - w miejscu, które jest w każdym żołnierzu, rzadko jest jednak odkrywane - nie miał pojęcia, jak przetrwa to, co nadchodzi.

Nie odrywał wzroku od samolotu, tak zawsze postępowali wojskowi, kiedy poległy żołnierz wracał do domu. Ale myślami wrócił do chwili, kiedy o wszystkim się dowiedział. Siedział akurat za biurkiem, za kilka minut miał obserwować lot próbny jednego z pilotów, gdy zadzwonił telefon.

To był Gary. Przez pierwsze kilka chwil w ogóle się nie odzywał. W końcu słuchawkę wzięła Carol. Jej głos brzmiał strasznie, jakby przechodziła akurat gripę. Ale zdołała przekazać mu wiadomość. Że Justin nie żyje. Był jednym z tych trzech żołnierzy zabitych przez ostatni wybuch miny.

Śmierć była elementem wojskowego życia. Shane wiedział o tym już w chwili, gdy odrzucił złożoną przez ojca propozycję pracy w bankowości i biznesie, a zaciągnął się do marynarki. Podczas wojny w Zatoce Perskiej osłuchiwał się z takimi wieściami, podobnie podczas wojen w Afganistanie i w Iraku. Mimo to za każdym razem nie były to wieści łatwe do przyjęcia.

Rozmawiali krótko. Shane zdołał powiedzieć tylko, że bardzo im współczuje i że wsiądzie w samolot nazajutrz rano, żeby z nimi być i pomóc, w czymkolwiek trzeba. Kiedy się rozłączył, wstał, zamknął drzwi na klucz i podszedł do rzędu okien za biurkiem.

Spśród wszystkich nieprzyjaciół, z jakimi mierzył się żołnierz, tylko jeden tak naprawdę był zagrożeniem: poczucie bezsensu. Żołnierze byli ludźmi wiary, rodziny i zasad. Świadomie brali na siebie ryzyko, wierząc całym sercem w to, czego bronią. Ale poczucie bezsensu mogło podciąć im nogi, zniszczyć wiarę w to, co się robi, a zarazem zapał.

Shane patrzył na wysokie niebo, czysty błękit nad szczytami Fallon. Taki był problem w Wietnamie. Młodzi ludzie, którzy godzili się bronić swojego kraju, trafiali na wojnę, której nie popierał ani rząd, ani naród. Poczucie bezsensu. Prerażające uczucie, kiedy człowiek budzi się w wiosce ogarniętej wojną, widzi wokół rannych, myśli o zabitych - i stawia sobie to jedno pytanie.

Po co?

Siła militarna musi mieć jakiś cel. Przez cały okres służby w marynarce Shane miał ten cel. Obrona amerykańskiej ziemi nigdy nie wydawała się tak konieczna jak w ciągu minionego dziesięciolecia. Szczególnie dla pilotów myśliwców. Dla tych, którzy nadlatują i eliminują nieprzyjaciela podczas zaledwie dwunastogodzinnej kampanii. Którzy sprawiają, że prezydentzy wiadomości wzruszają ramionami i donoszą Amerykanom, że nie ma najmniejszej potrzeby martwić się o ludzi na froncie.

Czasami piloci myśliwców załatwiali sprawę, jeszcze zanim zdążyła się rozpocząć ofensywa na lądzie.

Tak było w wojnie w Zatoce i tak amerykańska opinia publiczna oczekiwała, że stanie się w wojnach w Afganistanie i w Iraku. Szybkie i łatwe, bombardowanie z powietrza, błyskawiczna eliminacja wroga i już będzie można odtrąbić kolejne zwycięstwo.

Ale problem na Środkowym Wschodzie był bardziej skomplikowany. Nieprzyjaciel nie powiewał flagą ani nie siedział w jednym miejscu. Był podstępny i tchórzliwy, krył się małymi grupkami i uderzał tak, że praktycznie nie można było tego przewidzieć. Z równym powodzeniem można by wydać wojnę mów-

kom w Teksasie czy Oklahomie. Nieprzyjaciele tkwili w podziemiu, a gdy już dawali o sobie znać - w postaci miny czy zamachu samobójczego - było za późno.

Mimo to wojna w Iraku miała swój sens, a gdzie sens, tam pojawia się zapach. Zapach, który towarzyszył jemu samemu w pracy każdego dnia. Zapach, którym żył Justin Baker.

Tylko że w tamten dzień, kiedy tak stał na uginających się nogach i próbował dopuścić do siebie tę wiadomość, patrząc na lotnisko ośrodka szkolenia pilotów marynarki, wyobraził sobie Justina, takiego jak na zdjęciu w tygodniku „Time” - młodego żołnierza bawiącego się z irackimi dziećmi, grającego w kosza z nastolatkami ze świetlicy dla młodzieży, trzymającego za rękę jego córkę, Justin był tym, co najlepsze w amerykańskim wojsku - a teraz odszedł. I w tym momencie Shane poczuł bezsens, taki jak nigdy dotąd.

*Po co?* Może Lauren przez cały czas miała rację? Codziennie wydają miliony i tracą ludzi - i po co? Skoro tylu Irakijczyków ciągle chce walczyć przeciwko wolności, to niech mają. Niech sobie żyją w tym swoim chaosie, a Amerykańscy chłopcy niech wracają do domu. Bezpieczni, na swoją ziemię. Żeby już ani jeden Justin Baker nie powrócił w trumnie do rodziny i bliskich.

I stał tak, a poczucie bezsensu dyszało mu w kark nieprzyjemnym cuchnącym odorem. Podczas wojny w Zatoce wdawał się nieraz w straszliwe potyczki, czasami on i jego skrzydłowy ledwie uchodzili z życiem. Brał udział w starciach na śmierć i życie, ścigając pociski i rakiety ziemia-powietrze. Ale żadna z tych bitew nie była równie zacięta jak ta, którą toczył w tej chwili.

Ta, którą toczył w sobie.

*Boże... Zwisiał głowę, a ostre szpony bezsensu zaciskały mu się na szyi. Zwróć mi poczucie celu. Daj powód, dla którego mam nosić ten mundur. Proszę... Wszystko, co dotąd robiłem, wszystko, o co walczył Justin - czy to na próżno?*

A potem, początkowo powoli, a następnie już szybko, niczym film muzyczny, przez myśli zaczęły przewijać się obrazy. Lud Boży często walczył o sprawiedliwość. Jozue i bitwa pod Jerychem, Mojżesz wyprowadzający swój lud z niewoli w Egipcie, Dawid i Goliat... Ci ludzie zawsze stawali w obronie tego, co słuszne, a Bóg dawał im siłę potrzebną do zwycięstwa.

Wyprostował się, podniósł głowę.

Porywanie samolotu i wbiecie się nim w budynek pełen ludzi jest złem. Złem pod każdym możliwym względem. Złem jest opasywać się materiałami wybuchowymi i wchodzić w tłum ludzi. Złem jest rozkładać miny na ulicach Bagdadu, tchórzliwy sposób na uśmiercanie amerykańskich żołnierzy.

Wojna w Iraku to nie jest wojna kaprysów, to nie kwestia różnic opinii. Stany Zjednoczone podjęły wyzwanie i wystąpiły przeciwko temu złu, które grozi zniszczeniem wszystkiego na swojej drodze.

Czuł bliskość Boga, wokół siebie, w sobie. Poczucie bezsensu czmychnęło w kąt jego biura.

W tym, co robią, jest sens. Gdyby Stany Zjednoczone nie wystąpiły przeciwko krajom wspierającym terroryzm, cenę zapłaciłby cały świat. A jeśli po drodze trzeba ponosić ofiary, takie jak życie kogoś dobrego i wspaniałego, kogoś jak Justin Baker, to ta walka staje się jeszcze droższa, tym bardziej pełna sensu.

Dlatego że koszt jest tak wysoki.

Tamtego dnia Shane czuł zwycięstwo. Już kilka minut po telefonie Gary'ego czuł, że poczucie bezsensu opuszcza go i jego biuro, i wszystko to, co wszyscy oni robią dla Stanów Zjednoczonych. Wziął głęboki oddech i wyprostował się. Będzie nosił swój mundur z dumą, będzie silny - dla Bakerów, dla swojej córki, dla każdego, kto przyjdzie na pogrzeb. Dla każdego, kto boleśnie przeżyje stratę tego młodego żołnierza.

Będzie silny, a jednak aż do śmierci będzie nosił w sobie utratę Justina. Bo w samej tej stracie jest sens. Zdolny osiągnąć to, co ten chłopiec pragnął osiągnąć. Zwycięstwo, wolność, świat bezpieczny od terroryzmu.

Shane zamrugał powiekami i wspomnienie tamtego dnia znikło. Samolot zatrzymał się w bezpiecznej odległości, a funkcjonariusze ochrony lotniska dali znak ręką ich małej grupce. Tak, to ten samolot, na który czekali.

- Tato... - Emily ścisnęła jego ramię. - Nie dam rady...

Objął ją, podtrzymał, przytulił.

- Wspólnie damy radę.

Gary i Carol przytuleni do swojej córki Jill poszli wolnym krokiem tam, gdzie stanął karawan i gdzie stanął teraz też poczet flagowy. Kiedy doszli na miejsce, Shane i Emily znów zatrzymali się obok nich. Po minucie otworzyły się drzwi samolotu. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie działo się nic.

Nagle przy drzwiach pojawiła się jakaś postać, potem druga. Żołnierze. Wychodzili z samolotu, trzymając przód trumny. Zasalutowali pocztowi flagowemu i fładze, potem wynieśli trumnę przez drzwi na schodki. Łzy płynęły po policzkach Emily, a jej ciałem wstrząsał szloch. Nie płakała na głos, nie zawodziła. Shane słyszał jednak jej cichy jęk: „Justin... Boże, nie... nie Justin”.

Najgłośniej płakała Jill Baker. Kończyła w tym roku ostatnią klasę, szkoła zajmowała jej dużo czasu. Gary wspomniiał Shane'owi, że Jill nie może sobie darować, że nie jeździła częściej do Fort Lewis. Że nie znalazła w tym roku czasu na lunch czy pogawędkę z Justinem.

- Mój brat! - zawodziła, wyciągając rękę ku trumnie. - Tylko jeden dzień! O Boże... daj jeszcze jeden dzień!

Shane powstrzymywał łzy i starał się stać prosto - aż zobaczył osobę idącą za trumną, podtrzymującą jej prawy tylny róg.

Lauren, jego jedyna miłość, szła ze spuszczoneym wzrokiem.

Wszystko w niej wydawało się inne. Była przybita. Widział to po jej sylwetce, po zwieszanej głowie. I nawet ze swojego miejsca widział, że płacze.



Jego wzrok znów się zamglił i Shane uchwycił się mocniej Emily. W tym momencie wiedział, że Lauren naprawdę się zmieniała. Nie chodziło tylko o to, w jaki sposób ostatnio pisała relacje z wojny. Zmiana musiała nastąpić w jej sercu. Miał mocne przekonanie, że jeszcze w tym tygodniu dowie się, że jego modlitwy zostały wysłuchane.

Lauren podniosła głowę i rozejrzała się. I wtedy spotkali się wzrokiem. Zawałała się, ale tylko na moment. Jej policzki były czerwone i mokre od łez, ale skupiła się na tym, co ma do zrobienia - być przy trumnie, iść za nią. Kiedy kondukt był w połowie drogi do karawanu, żołnierze zatrzymali się. Wtedy do trumny podszedł poczet flagowy, oddał honory i powrócił na miejsce przy karawanie.

Shane miał wrażenie, że Emily ciągnie jego ramię, jakby chciała wyrwać się i pobiec tam, do młodego żołnierza, którego kochała. Ale to nie mieściło się w ceremoniale, wiedziała o tym. Przycisnęła tylko czoło do ramienia Shane'a i szlochając, wyszeptwała:

- To... to nie miało tak być.

Patrzył na trumnę, z flagą udrapowaną na wieku. Jeśli poczucie bezsensu miałoby coś do powiedzenia, teraz był na to odpowiedni moment. Moment, w którym rzeczywistość stanęła z nim twarzą w twarz, wielka jak sosnowa trumna. Ale Shane poczuł, że serce rośnie mu z dumy. Te czerwone, białe i niebieskie barwy skłoniły chłopaka takiego jak Justin Baker do zaciągnięcia się do wojska. Shane słyszał o tym od jego kolegi, wiedział, że patriotyzm był głęboko w jego naturze już od dzieciństwa.

A Justin miał rację, wierząc w sprawę, której ta flaga była symbolem, i rację miał Shane i każdy Amerykanin dumny z tych barw. Bo pomimo wszystkich swoich wad i wewnętrznych sporów Stany Zjednoczone naprawdę były najwspanialszym krajem na świecie, kolebką wolności.

Ta flaga zawsze budziła w Shane'ie poczucie sensu, zapal, dumę. I ta powiewająca przed szkołą, przed budynkiem rządowym, na meczu footballowym w liceum, i ta poszarpana podczas bitwy albo zatknięta na kupie gruzu tam, gdzie do niedawna wznosił się wysoki biurowiec.

I ta przykrywająca wieko trumny.

Patrząc, jak dochodzą do karawanu, spostrzegł, że jeden z żołnierzy, niosący przedni prawy róg trumny, płacze. Potężny facet z zabandażowaną głową. Wtedy sobie przypomniał. Gary wspominał coś o chłopaku imieniem Joe, żołnierzu, który blisko przyjaźnił się z Justinem, który jechał z nim wtedy w jednym samochodzie, ale przeżył wybuch.

Ten żołnierz z przodu trumny to musiał być Joe.

Kiedy wsunięto trumnę do karawanu, poczet flagowy opuścił flagę i karawan odjechał. Emily obok niego trzęsła się od płaczu, a gdy karawan znikł im z oczu, obróciła się i wtuliła twarz w jego pierś. Gładziła ją po plecach i patrzył, jak Lauren i Joe rozmawiają z pozostałymi trzema żołnierzami. Potem ta trójka

skinęła głowami, uściśnęła dłonie z Joe i poszła do czekającego na nich samochodu.

Lauren i ranny żołnierz szli powoli, z szacunkiem w stronę Shane'a i reszty.

Kiedy tak na nią patrzył, serce przeszły mu dreszcz. W tej trumnie mogła być ona, ona też była w takim samym niebezpieczeństwie. Chciał podbiec, wziąć ją w ramiona, pooddychać jej bliskością, namacalnością. Jest tu, w domu!

Ale Emily potrzebowała go, więc czekał. Lauren podeszła bliżej, ciągle patrząc mu w oczy. Kiedy doszła do nich, położyła dłoń na ramieniu Emily.

- Skarbie...

Emily wyswobodziła się z jej objęć i odwróciła się. Przez kilka sekund patrzyła na matkę, oczyma zalanymi łzami. Na twarzy widać było rozmaite emocje, Shane to rozumiał. Ból, urazę, może nawet gniew. Może z powodu tego, jak Lauren mówiła o tej wojnie, kiedy ostatni raz wszyscy się spotkali.

Ale te uczucia stopniały w jednej chwili i Emily była już w ramionach Lauren.

- Mamusiu...

Shane stał w lekkim rozkroku, z rękami założonymi na piersiach, jak żołnierz. Ale nie mógł oderwać od nich oczu, od matki i córki cierpiących razem. To prawda, cały czas podtrzymywał Emily na duchu. Kiedy już przekazała wiadomość wszystkim znajomym w Tacomie, mieli dla siebie prawie cały dzień, mogła wtedy mówić tylko o Justinie i płakać w jego objęciach.

Ale potrzebowała matki.

Po długiej chwili Lauren wypuściła Emily z objęć i położyła dłoń na ramieniu tego żołnierza, chłopaka, który ze skrzepowaniem stał parę kroków dalej.

- Emily... to jest Joe Greenwald.

Nie trzeba było mówić więcej. Twarz Emily wykrzywił kolejny grymas bólu. Odstąpiła od Lauren i padła w ramiona cierpiącego żołnierza.

- On... on cię kochał, Joe.

Joe zacisnął powieki i zadrżał. Zanim wypuścił ją w objęć, powiedział:

- Ciebie też kochał.

Gary, Carol i Jill podeszli bliżej, poruszając się niby jeden organizm.

- Wracajmy do domu - Gary wyglądał na poruszonego, ale nie sposób było nie poczuć w nim siły. Emerytowany żołnierz, policjant. Siłą brał od Boga, a jego bliscy czerpali ją od niego.

Shane odwrócił się do Lauren i Emily i dopiero wtedy Lauren wyciągnęła do niego rękę. Jednym ramieniem mocno obejmując córkę, przyciągnęła go do siebie, a w jej oczach Shane zobaczył coś, czego nie widział od momentu ich ponownego spotkania przed rokiem.

Wiarę, miłość, wieczność. I jeszcze coś.

Wspólnotę poglądów.

## *Rozdział 25*

Emily wypożyczyła 20-osobowy bus od swojego trenera. Samochód nie był zarejestrowany na szkołę, ale na drużynę, nie było więc prawnych przeszkód, żeby go prowadziła. O godzinie 9.30 tego ranka, pod niebem, które przez noc oczyściło się do surrealistycznego błękitu, wyjechała na autostradę i pojechała na północ, do świetlicy dla młodzieży.

To dziwne, jak planowanie i przygotowania do tego dnia kojarzyły jej się ze ślubem. Ze ślubem, którego ona i Justin nigdy nie wezmą. Kościół, białe róże, uroczysta muzyka, bliscy i przyjaciele przemawiający zza pulpitu. Ludzie w pięknych sukniach i ciemnych garniturach, potem przyjęcie w kościelnej sali. Księga pamiątkowa, nawet kilkaset wydrukowanych programów dnia, folderów, którym matka Justina poświęciła długie godziny pracy, składając je i zszywając do późnej nocy.

Wszystko - z wyjątkiem Justina.

Nigdy nie zapomni obrazu trumny, żołnierzy znoszących jego ciało po schodkach i Joe - wyprostowanego i nieporuszonego, ze łzami spływającymi po twarzy. Ten obraz powracał do jej myśli wciąż na nowo co kilka minut. Od tamtej chwili, gdy Justin przyjechał po nią do akademika i oznajmił tę wieść - że zna już datę wyjazdu - wyobrażała sobie jego powrót do domu.

Widziała go w myślach wyraźnie jak na jawie: flagi, confetti, wiwatujący ludzie. I Justin - wyprostowany, dumny, schodzący z samolotu prosto w jej ramiona.

Tak powinien wracać do domu. Nie inaczej.

Nie tak.

Sprawdziła wygląd w lusterku wstecznym. Jak dotąd jej oczy były suche od samego rana, ale w niewielkich kreskach przy kącikach oczu czaił się strach. Od chwili, gdy wstała z łóżka w pokoju gościnnym u Bakerów aż do teraz każda minuta, każdy krok, każde uderzenie serca przybliżyły ją do godziny pierwszej. Godziny, o której miał się rozpocząć pogrzeb Justina.

Jazda z Kelso na północ upłynęła jej na pieśniach. Kiedy dowiedziała się o Justinie, przygotowała sobie kilka płyt CD z muzyką uwielbienia. „I Still Believe” (Jednak wierzę) i „Walk by Faith” (Żyj wiarą) Jeremy’ego Campa, „Dare You to Move” (Odważ się) grupy Switchfoot. Na nich napisała tylko jedno słowo: „Ratunek”. Bo śpiewanie Bogu, chwalenie Go pośród tego wszystkiego, w najczarniejszej godzinie było nieraz jedynym sposobem, żeby iść dalej.

Zeszłego wieczoru, kiedy już programy uroczystości były gotowe i poukładane w pudełku, położyła się do łóżka i czytała Biblię. Przeczytała 20 rozdział Drugiej Księgi Kronik, opisujący atak na lud Boży. Bóg obiecał, że sam będzie walczył w tej bitwie. Ale zwycięstwo nadeszło dopiero wtedy, gdy ludzie złączyli serca i głosy w uwielbieniu.

Więc śpiewała.

Na kolejnej płycie były piosenki szczególnie lubiane przez nią i Justina i piosenki mówiące o stracie kogoś. Włączała to tylko wtedy, gdy nie mogła już inaczej dać ujścia żalowi, jak tylko poprzez płacz. Dziś, kiedy miała przed sobą jeszcze tyle do zrobienia, nie odważyła się tego puścić.

Za kilka minut miała dojechać do świetlicy. Chłopcy nie wiedzieli, że to ona po nich przyjedzie, po ich reakcji na jej informację tamtego dnia przypuszczała, że spodziewają się jakiegoś transportu publicznego. Na razie nie wiedziała, jak to rozegrać. Najważniejsze, że przyjedzie.

Ponieważ Bóg na pewno chce, żeby ci chłopcy byli na pogrzebie Justina.

Po kilku minutach, dokładnie o dziesiątej, dojechała do świetlicy. Zaparkowała na uliczce przylegającej do budyneczku - i wtedy ich zobaczyła. Aż cicho krzyknęła ze zdumienia. Ta scena wywołała pierwsze tego dnia łzy. Przy drzwiach wejściowych do świetlicy stali chłopcy, twarde nastolatki, które gdyby nie Justin, biegałyby pewnie z jakimś gangiem. Bo, Dexter i reszta, najwyraźniej w swoich najlepszych ubraniach. Workowate dzinsy spięte paskiem, bluzy dresowe, ładnie uczesane włosy. Smutni, wystraszeni i zdezorientowani, z rękami głębokoko w kieszeniach.

Zanim jeszcze zauważyli, że Emily przyjechała busem i że ten bus jest dla nich, spostrzegła coś jeszcze. Jeden z chłopaków, którego przed chwilą jeszcze nie było w grupie, wypadł z pobliskiego ciucholandu z torbą w dłoni. Dobiegł do innych, wyciągnął z tej torby klasyczną koszulę zapinaną na guziki, ściągnął starą podkoszulkę i włożył nowe ubranie.

Przygryzła wargi. Więc to o to chodzi. Chłopcy - w każdym razie większość - najwyraźniej wyskrobali resztkę swoich oszczędności i zrobili zakupy w sklepie z odzieżą używaną. Żeby na pogrzebie Justina wyglądać, jak należy. Przycisnęła palce do oczu.

- Nie. Nie płakać. Nie teraz.

Wtedy Bo zauważył ją. Poszedł pierwszy, a inni za nim, zbliżając się niepewnie, patrząc z niedowierzaniem, podejrzliwie. Opuściła szybę okna, a on wskazał na bus.

- Skąd to? Ukradłaś?

- Nie! - roześmiała się. Uczucie ulgi było cudowne. - Pakuj się, głupolu, bo pojedę bez ciebie.

Wgramolili się do środka, podziwiając lakier na samochodzie i tapicerkę w środku. Pomyślała sobie, że w normalnych okolicznościach dwugodzinna jazda z tymi chłopcami mogłaby się okazać średnio przyjemna. Zażądałoby włączenia głośnego rapu i machali do każdej ładnej dziewczyny po drodze. Ale tym razem było inaczej.

Każdy znalazł sobie miejsce, a niemrawe początkowo rozmowy z chwilą wyjazdu na autostradę kompletnie ucichły. Włączyła płytę z „Ratunkiem”, a chłopcy siedzieli cicho przez resztę drogi. Ona tymczasem zastanawiała się, czy którykolwiek z nich wyjechał kiedyś poza miasto. Była to grupka mieszana etnicznie - trochę czarnych, trochę Latynosów, trochę białych, ale każdy z nich miał ten charakterystyczny twardy wygląd, typowy dla gorszych dzielnic dużego miasta. I dla każdego wizyta w miasteczku takim jak Kelso musiała być niełatwym przeżyciem.

A jednak przyszli. W kupionych w lumpeksie koszulach, z nadzieją, że jakimś cudem o dziesiątej zjawi się transport. Wszystko z miłości do Justina. Starła się nie myśleć o tym za dużo. W przeciwnym razie do chwili pogrzebu nie byłaby w stanie patrzeć przez zapuchnięte oczy.

Kościół, do którego chodzili Bakerowie, znajdował się na południu miasta, a cmentarz Cowlitz View Memoriał Gardens na północy. Dojechali do kościoła przed dwunastą, a przed wejściem stał już tłum ludzi, czekając na otwarcie drzwi. Emily zaparkowała i nie mogąc się nadziwić, patrzyła na zebranych.

Była to rzesza w różnym wieku, starsze małżeństwa i małe dzieci, rodziny i grupki licealistów. Wielu trzymało flagi, niektórzy tablice z napisami. *Justin, brakuje nam Ciebie!* albo *Aмерыko, bądź silna*, albo *Justin wierzył w USA*.

Emily zamrugała powiekami, odpędzając łzy.

- No, no - w głosie Bo pojawiło się przejęcie, którego wcześniej nie słyszała.  
- Coś mi się zdaje, że dla nich to też był ziomal.

W tłumie spostrzegła sporo mundurów, byli to często siwowłosi mężczyźni, ale i młodzi skauci. I wtedy zobaczyła ich. Weteranów w mundurach, stojących nieco w tyle, w tym jeden, na wózku inwalidzkim, w kiepsko dopasowanej kurtce.

Więc przyjechali. Weterani, z którymi Justin zaprzyjaźnił się, pojechali na południe, na jego nabożeństwo żałobne. Otarła dwie łzy, które nagle pojawiły się na policzkach. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie można płakać. Odwróciła się i obrzuciła wzrokiem swoją grupę nastolatków.

- Trochę wcześniej jesteśmy.

- Albo i nie - Dexter wskazał na zgromadzony tłum.

- Tak, tak - skinęła głową. - Chodźcie ze mną. Wejździemy od tyłu i znajdziecie sobie miejsca.

- W pierwszym rzędzie - Bo podniósł głowę. - Chcę w pierwszym rzędzie - broda lekko mu zadrżała. - Najbliżej, jak się da.

- Hmm... - Emily miała ochotę go uściskać. Wstrzymała oddech i próbowała wydobyć głos. - Pierwszy... rząd... jest zwykle dla najbliższej rodziny.

Bo szarpnął się za koszulę i skinął na kolegów.

- To my jesteśmy rodziną - twarz mu się wykrzywiła, zdawało się, że się rozpłacze. - Posłuchaj... - wyprostował się, a jego oczy pałały gniewem. - Ja nigdy nie znałem ojca, a matka siedzi w więzieniu. Jak miałem osiem lat, próbowałem obrabować sklep monopolowy, żeby tylko być razem z nią - zacisnął szczękę.

- Babcia zmarła, jak miałem 10 lat, a ciotka... jak tylko skończę osiemnastkę, wykopie mnie z domu - gniew zniknął równie prędko, jak się pojawił, a coś w jego wzroku nadawało mu wygląd dziecka, którym przecież był. Zacisnął usta.

- Justin to moja jedyna rodzina.

- Bo... - nie mogła już znieść rozdzierającego serce smutku. - Siadaj tam, gdzie zechcesz. Gdzie ci się wyda najlepiej.

Dexter wodził wzrokiem między nią a Bo.

- Jej chodzi o to, że pierwszy rząd jest dla mamy i taty, i takich tam - uśmiechną się do niej smutno, ale ze zrozumieniem. - Kumam bazę.

- Dobra - Bo wcale nie dawał za wygraną. - Niech będzie drugi rząd.

Wyszli z busa i tworząc osobliwy pochód okrążyli tłum i poszli z drugiej strony kościoła. Bo szedł pierwszy, ale gdy znaleźli się w środku, zatrzymał się nagle. Trumna już tam stała, ustawiona na środku, z flagą udrapowaną na wierzchu tak jak przedtem.

Emily wiedziała, że ją tu zobaczy, ale chłopcy...

Bo potrząsnął głową i ukrył twarz w zgiętym ramieniu. Stłumił szloch, a inni stali za nim, nie wiedząc, co robić. Kto miał na głowie bejsbolówkę, ściągnął ją. Po chwili Bo opuścił rękę. Spojrzał na trumnę.

- Mówiłem ci, gościu... po coś dał się zabić? Mówiłem ci, nam jesteś bardziej potrzebny.

Poszedł środkową nawą, nie spuszczać wzroku z trumny. Kiedy dotarł do drugiego rzędu, poszedł dalej. Emily szła za nim, razem z innymi, ciesząc się, że przyjechali wcześniej. Trochę się martwiła, jak będzie zachowywał się Bo. Ale Justin chciałby, żeby chłopcy tu byli, żeby mieli szansę dać upust uczuciom.

Bo doszedł do trumny, zatrzymał się i przeżegnał. Potem wyjął z kieszeni ciasno złożoną kartkę papieru w linie i położył dłoń na trumnie. Pochylił się i zwiesił głowę.

- Czemu mnie tam nie było, brachu? Czemu nie trzymałem cię za fraki, tak jak ty zawsze... trzymałeś mnie?

Dexter stanął obok, a potem jeden po drugim reszta. Otoczyli trumnę, kładąc dłonie na fladze i wypowiadając ciche, rozdzierające serce słowa pożegnania. Po kilku minutach Bo zostawił kartkę, cofnął się o krok i zaszalutował. Nie dwoma palcami, ale wszystkim pięcioma. Nie było to sztywne żołnierskie pożegnanie, jakie miało być charakterystycznym elementem pozostałej części dnia. Mimo to Emily miała je w myślach jeszcze długo.

Bo poszedł do drugiego rzędu i usiadł na pierwszym siedzeniu od przejścia, reszta weszła za nim i usiadła obok. Kiedy zajęli już miejsca, Emily przeprosiła ich - spostrzegła właśnie samotną postać żołnierza siedzącego po drugiej stronie kościoła, w tyle, z kapeluszem w dłoniach.

Joe Greenwald.

Wzięła głęboki oddech i poszła tam. Kiedy dotarła do ławki, w której siedział, usiadła obok.

- J a k ci jest?

- Nie bardzo.

Miał przekrwione oczy i nieprzytomny wyraz twarzy, jakby wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego kilka dni temu droczył się z Justinem o brudne ubrania pod łóżkiem, a teraz siedzi w kościele w Kelso i żegna go na zawsze.

Położyła dłoń na jego dłoni.

- W domu u rodziców Justina... tamtego wieczora... Powiedziałeś, że musimy porozmawiać.

- Tak - otworzył usta, ale nie powiedział nic, tylko westchnął ciężko i zwiesił głowę.

Nie chciała naciskać, nie teraz. Joe był razem z Justinem, kiedy wybuchła mina, klęczał przy nim w jego ostatnich chwilach. W swoim czasie będzie chciała poznać szczegóły - co Justin mówił, o czym na koniec myślał.

Poklepała Joe po dłoni i zabrała rękę.

- Później, co?

- Dobrze - nie podniósł głowy, nie spojrzął jej w oczy.

Wstała cicho, zostawiając go w spokoju, i poszła szukać rodziców i Bakerów.

Ucisnęła się z nimi, cicho zamieniając kilka słów, po czym otworzyła drzwi kościoła, wpuszczając zebranych. Przedarła się przez tłum i dotarła do grupy weteranów.

Pochyliła się i ucisnęła siwowłosego mężczyznę na wózku.

- Sir... Justin czułby się zaszczycony, widząc pana tutaj.

Mężczyzna siedział na swoim wózku z godnością, wyprostowany.

- Przyjechalibyśmy, nawet gdyby trzeba było jechać cały dzień - przyglądził kurtkę. - Kochaliśmy tego chłopca.

- Tak - Emily skinęła głową. - Ja też.

Została z grupą weteranów, a gdy już weszli do kościoła, budynek był prawie pełen. Z przodu stanął reprezentacyjny oddział żołnierzy w mundurach, trzymając wartę przy trumnie po obu stronach. Był wśród nich Joe Greenwald.

Serce Emily zamarło na moment. Dopiero gdy zamruwała powiekami, gdy przyjrzała się bliżej, przestało jej się wydawać, że każdy kolejny żołnierz to Justin. Uświadomiła sobie, że on też stałby w tej grupie, gdyby poległym żołnierzem był ktoś inny. Serce rozdzierał jej ból większy niż kiedykolwiek dotąd. Ci żołnierze z przodu są tak namacalni, tak żywi. Gdyby tylko mogła mieć jeszcze tylko jedną szansę, żeby być z Justinem, chociażby tylko w jednym pomieszczeniu, takjak teraz jest z tymi żołnierzami. Ucisnąć go, przytulić się, słyszeć jego głos tuż nad uchem.

Jeszcze tylko jeden raz.

I wtedy spostrzegła, co się dzieje. Ludzie kładli koło trumny rozmaite rzeczy. Zdawało się, że każdy przyniósł coś Justinowi - kartkę, list, kwiat, maskotkę. Koło zwyczajnej kartki od Bo pojawiło się teraz tyle innych przedmiotów, że spod nich nie sposób już było dojrzeć flagę.

Emily szybkim krokiem poszła szukać matki Justina, potem obydwie w jednej z kościelnych komórek znalazły stertę koszy wiklinowych. Wróciły do kościoła, postawiły je wokół trumny i ostrożnie umieściły każdy przedmiot w koszyku.

- Dziękuję ci - Carol wzięła ją za rękę, gdy skończyły. - Chciałabym to zabrać do domu.

W tej samej chwili do kościoła weszła grupka rodziców z ponad trzydziestką dzieci. Wszystkie dzieci nosiły mundurki z napisem Elmwood Elementary. W tej właśnie szkole Justin miewał pogadanki dla uczniów. Emily szeptem wyjaśniła wszystko jego matce, a potem obie wyszły im na spotkanie.

- Jestem Emily. To ja rozmawiałam z panią dyrektor - przywitała się z dorosłymi, podając im dłonie.

Jeden z mężczyzn wyszedł naprzód, trzymając w ramionach jakieś pudło.

- Parę tygodni temu dzieci przygotowały dla Justina kartki i listy - nie płakał, ale jego oczy były wilgotne. - Szykowaliśmy wspólną paczkę, żeby wysłać mu na święta. Dzieci... dzieci zebrały dla niego i jego kolegów 10 kilo żelków - pokazał karton. - Czy można to gdzieś zostawić?

Matka Justina zakryła usta dłonią, zbyt poruszona, żeby mówić. Emily otoczyła ją ramieniem i przytuliła, a potem dała mężczyźnie znak, żeby poszedł za nimi. Pudło postawiono obok ostatnich koszyków. Emily zerknęła do środka. Dziesiątki, dziesiątki listów i kartek, i żelków.

Kolejny dowód wpływu Justina na czyjeś życie.



I tak kościół wypełniał się i przepełniał, aż w końcu można było stanąć już tylko na dziedzińcu. Każdy przychodził z jakimś darem, każdy miał jakiś powód, aby uczcić pamięć Justina. Drużyna footballowa z Kelso, chłopcy, którzy słyszeli o Justinie i z jego powodu postanowili poświęcić się karierze wojskowej, grupa nauczycieli Justina z liceum.

Sąsiedzi, członkowie kościoła, setka żołnierzy z Fort Lewis. Jako jedna z ostatnich przyszła Vonda. Miała na sobie sukienkę, a w dłoni ścisnęła haftowaną chusteczkę. Emily podeszła do niej i uścisnęły się.

Vonda nie kryła łez, tak samo jak nie kryła swoich opinii. Popatrzyła Emily prosto w oczy.

- Ten chłopak zakochał się beznadziejnie, ledwie na ciebie spojrzął.

Emily nie mogła już powstrzymać się od płaczu. Łzy były jak nieustające przypomnienie tego, co utraciła i czego już nigdy nie będzie miała.

- Wiem.

- A teraz nie myśl sobie czasami, że się wam nie udało - Vonda mówiła napiętym głosem, a nieustanny szloch utrudniał zrozumienie jej słów. - Udało się, słyszysz? Bo nawet dla jednego dnia z chłopakiem takim jak Justin Baker warto przeżywać teraz ten smutek.

Dwa razy szybko odetchnęła.

- Przyjemniaczek.

Emily nie mogła wydobyć słowa, tylko skinęła głową, nie przestając patrzeć Vondzie w oczy.

A głos Vondy zmienił się w zrozpaczony szept.

- Miał tam rządzić, pamiętasz?

- Wiem - znów przytuliła kobietę. - Wiem.

Vonda przytknęła chusteczkę do oczu i potrząsnęła głową.

- Będę za tym chłopakiem tęsknić, i to zdrowo.

- Ja też.

Vonda odwróciła się i znalazła sobie wolne miejsce, i w tej samej chwili rozpoczęło się nabożeństwo. Emily usiadła w pierwszym rzędzie między swoimi rodzicami. Po drugiej stronie przejścia siedzieli obok siebie Bakerowie, skuleni. Dopiero wtedy Emily spostrzegła, że przyjechali też jej dziadkowie. Cała trójka. Uśmiechnęła się do nich smutno, a potem skupiła uwagę na przodzie kościoła.

Nabożeństwo miało nie wiadomo kiedy. Przez większość czasu Emily nie mogła oderwać wzroku od trumny i od wielkiego portretu Justina, który umieścił tam jego ojciec. Oczy, uśmiech, charyzma widoczne na zdjęciu stwarzały niemal wrażenie, że Justin tam jest, patrzy na nich wszystkich, zapewnia, że u niego wszystko dobrze, że jest szczęśliwy, cały i zdrowy i że wypatruje dnia, gdy znowu się spotkają.

Pianistka rozpoczęła ceremonię, grając i śpiewając pieśń grupy MercyMe „I Can Only Imagine” (Wyobrażam sobie tylko). Wszyscy obecni byli poruszeni,

a pod koniec pieśni, po ostatnim refrenie, w którym rozlega się pytanie, czy w chwili śmierci człowiek pada na kolana przed Jezusem, czy może tańczy przed Nim z radości, nie było nikogo, kto by nie płakał.

Nadszedł czas na dzielenie się wspomnieniami. Jako pierwszy miał przemawiać Joe Greenwald.

Emily słyszała, jak poprzedniego wieczoru w domu Bakerów on i ojciec Justina rozmawiali o pogrzebie, nie była jednak pewna, czy Joe rzeczywiście zabierze głos. Przed nabożeństwem wyglądał tak, że była prawie pewna, że zrezygnował. Ale teraz szedł wyprostowany w swoim mundurze, wspiął się na stopnie i zajął miejsce za pulpitem.

- Jestem porucznik Joe Greenwald - nachylił się do mikrofonu i zrobiło się sprzężenie. Cofnął się nieco, zażenowany równie mocno, jak mocno odcinała się od tła zieleń jego mundur. Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru, rozłożył ją i popatrzył. Minęło kilka bolesnych chwil, Joe odetchnął z trudem i wsunął kartkę z powrotem do kieszeni.

Spojrzał na zebranych i w jego oczach pojawiły się łzy.

- Jestem tu dla Justina - zamrugał powiekami i opanował się. - On... prosił mnie, żeby coś wam przekazać.

Serce Emily otworzyło się na tego chłopaka, człowieka, którego Justin uważał za towarzysza i brata, wierzącego i przyjaciela. Joe wydawał się spokojniejszy niż Justin, ale współczucie widoczne w rysach jego twarzy, szczerłość spojrzenia były niepokojąco znajome. Bez wątpienia obydwaj byli pokrewnymi duszami. Emily na sekundę przymknęła oczy. *Boże, daj mu słowa. Podtrzymaj go, tak jak mnie podtrzymujesz.*

Joe z trudem przełknął ślinę.

- On chciał być w Iraku. Wierzył w to, co tam robimy, mimo że jest to skomplikowana sprawa.

Emily w duchu dodawała otuchy przyjacielowi Justina. Stał teraz prosto, a w miejsce lęku i smutku, które przytłaczały go jeszcze przed chwilą, pojawiło się przekonanie.

- Nie chciał umierać - w głosie Joe dźwięczała duma. Zacisnął usta, zmagając się sam ze sobą. - Nie chciał, żeby ktokolwiek umierał. Ale wierzył, że... że każdy człowiek ma prawo być wolny. Życ bez strachu - uchwycił się pulpitu i cofnął o pół kroku, zwieszając głowę, na krótką chwilę znów przygnębiony. A kiedy podniósł głowę, na jego policzkach były łzy. - Kocham Justina. Wiem, że wy też go kochacie. Nie ma... nie da się powiedzieć, co straciliśmy.

Emily oparła głowę na ramieniu ojca i wzięła od matki chusteczkę. Przynęła ją do jednego policzka, potem do drugiego, ani na moment nie spuszczając oczu z poruszającej sceny dziejącej się przed nią.

Joe nabrał powietrza i jakby wstrzymał oddech. Powoli wiódł wzrokiem po wszystkich żołnierzach z Fort Lewis, stojących na baczność na przodzie kościoła.

- Kazał powiedzieć wam, żebyście tam zwyciężyli! - skinął głową w stronę jednej grupy żołnierzy, potem w stronę drugiej. - Zwycięzcie tam dla Justina Bakera.

Pewien żołnierz po środku, przystojny czarny człowiek, powoli podniósł prawą rękę do brwi i z uczuciem, któremu towarzyszyły łzy w oczach, zasalutował Joe. I po kolei wszyscy wokół niego po obu stronach prezbiterium zrobili to samo. Nie zwracając uwagi na swoje mokre policzki ani nowy potok łez w oczach, Joe zasalutował im również.

Emily wyczuła, że coś dzieje się z tyłu za nią. Odwróciła się i zobaczyła, że najpierw jeden żołnierz, potem dwóch, a potem dziesiątki żołnierzy w całym kościele wstają i salutują Joe, milcząco godząc się na prośbę umierającego Justina. I zanim do Emily dotarło znaczenie tego gestu poparcia, wstali też inni mężczyźni w kościele, na pewno wojskowi, emerytowani lub rezerwiści.

A potem w jednym z ostatnich rzędów podnieśli się weterani, przyjaciele Justina. Nie poszło im tak sprawnie jak innym, często musieli podpierać się łaskami, jeden nawet kulą. Siwowłosa mężczyzna w źle dobranej kurtce jeszcze bardziej wyprostował się na wózku, wszyscy oni również zasalutowali.

Joe stał wciąż wyprostowany, salutując, z zaciśniętymi ustami i kamienną twarzą, patrząc na te poruszające wyrazy poparcia. W końcu unióś rękę ku górze i powiedział:

- Usłyszeliście, bracie. Usłyszeliście.

Potem nachylił się do mikrofonu i po raz ostatni spojrzął na zebranych.

- Dziękuję.

Emily nie była pewna, kto zaczął pierwszy. Z początku nieśmiało, ale stopniowo coraz głośniej rozbrzmiewały oklaski wszystkich obecnych. Znowu się odwróciła. Pierwszy na równe nogi zerwał się Bo, reszta chłopców spojrzawszy na niego zrobiła to samo. Potem zaczęli wstawać ludzie w całym kościele, nie przestając klaskać. Wprawdzie nie tak, jak witaliby powracające do domu wojsko, ale głośno i długo, wyrażając najserdeczniejsze poparcie.

Emily spojrzała na Bakerów po drugiej stronie przejścia. Rodzice Justina siedzieli po obu stronach Jill. Cała trójka tuliła się do siebie, płacząc, najwyraźniej wzruszona tym przejawem uczuć. Ojciec Justina wstał, odwrócił się i lekko zamachał dłonią do stojących po obu stronach kościoła, dziękując im milcząco za zainteresowanie i zrozumienie dla ofiary, jaką jego syn złożył za swój kraj.

I za nich wszystkich.

Joe przyłączył się do oklasków, a kiedy po chwili ucichły, wrócił na swoje miejsce w szeregu innych żołnierzy.

Potem przemawiał głównie pastor Kirby. Z uśmiechem i jaśniejącym wzrokiem mówił o piegowatym chłopczyku, który pewnego dnia przyniósł na szkółkę niedzielną pistolet na wodę oraz zwinięte skarpety. W kościele rozległ się tłumiony śmiech.

- Widzicie - pastor wskazał na żałobników - ci z was, którzy znali Justina najlepiej, kiwają głowami.

Znów śmiech.

- Niektórzy pewnie znają tę historię. Pani Ellis, ucząca w szkółce niedzielnej, wzięła go na stronę i zapytała, co takiego przyniósł. „Karabin i granat ręczny” - oznajmił Justin.

Pastor uniósł brew, a wśród zgromadzonych znów rozległy się śmiechy.

- „Ależ po co ci karabin i granat ręczny na szkółce niedzielnej?” - dopytywała się pani Ellis. No cóż, sami wiecie, że jak Justin się uśmiechał, to w ogóle zapominało się o tym, że coś zmagistrował. Otóż tak się właśnie wtedy uśmiechnął do pani Ellis. I dorzucił jeszcze: „Jak bandziory zaatakują naszą klasę, to ja was obronię”.

Emily nie słyszała dotąd tej historii. A było takich więcej. Historie z życia Justina jako skauta i jak zdobył Eagle Award<sup>1</sup> rok przed terminem.

- Jeszcze całkiem niedawno zebraliśmy się właśnie tu, w tym budynku, i Justin otrzymał odznakę Eagle, coś, czym może się poszczycić bardzo niewielu młodych ludzi.

Emily była zdumiona. Popatrzyła na drugą stronę przejścia, na rodziców Justina. Wiedziała, że był skautem, ale że skautem Eagle? Nic jej nie powiedział. Tak jak z początku nie wspominał o swojej pracy społecznej.

A pastor Kirby mówi dalej.

- Justin stał właśnie tutaj - wskazał miejsce tuż obok kazalnicy - i obiecywał pielęgnować tradycje skautowskie, być człowiekiem zasad, uczciwości i cnót. Justin - pokiwał z przekonaniem głową - był właśnie takim młodym człowiekiem na każdym miejscu, gdzie się udawał, aż do swoich ostatnich chwil.

Kończąc mówić o Justinie, pastor napomknął o jego wpływie na życie innych.

- Jestem pewien, że moglibyśmy spędzić w tym miejscu cały tydzień i każdy z was miałby wiele do opowiedzenia o tym, czym był Justin w waszym życiu.

Emily zerknęła do drugiego rzędu. Bo i Dexter kiwali głowami.

- Musimy więc zrobić to, czego chciałby Justin. Spojrzeć na tę flagę i wieść, że jest tego warta.

Pośród zgromadzonych tu i tam rozległo się „amen”.

- Musimy też spojrzeć na krzyż, na tę największą ofiarę, na prawdziwe źródło naszej nadziei. To stamtąd Justin czerpał nadzieję - pastor uśmiechnął się, ale jakby się zawahał. Jego twarz wykrzywiła się na tyle, że patrzący zrozumie-

<sup>1</sup> Prestiżowa Eagle Award (Odznaka Orła) może być przyznana amerykańskiemu skautowi wyróżniającemu się jako wzór i lider po 18 roku życia, pod warunkiem zdobycia przez niego przed 18 rokiem życia 21 różnych sprawności i spełnienia szeregu innych nader ambitnych wymagań (przyp. tłum.).

li. Pastor też przeżywał ciężkie chwile. - Justin nie chciałby, żebyśmy wychodzili stąd, płacząc i rozpaczając. To prawda, że i na to jest czas. Ale - pociągnął nosem - dzisiaj Justin pragnąłby, żebyśmy rozchodząc się stąd, cieszyli się jego życiem i szczęściem, które dał każdemu z nas. Pragnąłby naszego zdecydowania. Zdecydowania, aby żyć tak jak on. Z pasją i poczuciem celu, ze wzrokiem utkwionym w tej fladze i z ramionami wyciągniętymi w stronę krzyża.

Serce Emily wypełniała dumą. Chwyciła rodziców za ręce. Justin był właśnie taki, jak mówią ci ludzie. I nikt z nich, absolutnie nikt nie będzie odtąd taki sam, skoro Justin odszedł. Pastor ma rację. Życie Justina godne jest tego, żeby się nim cieszyć. I nagle Emily podjęła decyzję. Będzie płakać wtedy, kiedy przyjdą łzy, wtedy będzie go opłakiwać. Ale nie zatrzyma się w tym miejscu, nie poprzestanie na tym. Justin nie chciałby, żeby tkwiła w ponurym miejscu, wciąż żałując tych dni, których pozbawiła ją jego śmierć. Chciałby, żeby uśmiechała się na wspomnienie o nim. Żeby cieszyła się z każdego dnia, jaki dane im było przeżyć razem.

Straciła dużo, strasznie dużo. Ale w przypadku Justina nie mogła myśleć o tej stracie, nie myśląc jednocześnie o wyjątkowym darze, jaki otrzymała, o darze znajomości z nim i miłości do niego.

Nawet jeśli dar ten trwał bardzo krótko.

## *Rozdział 26*

Przez większą część nabożeństwa Lauren zdołała powstrzymać się od łez. Nie chodziło o to, że żałuje Justina mniej niż inni. Tylko jakoś jej serce, umysł i dusza nie mogły dostroić się nawzajem. Każda chwila nabożeństwa przypominała, że Justina nie ma już z nimi, że ten naród stracił kogoś wspaniałego, jednego z swoich najlepszych obywateli.

I po co?

Widziała dobre rzeczy, które robią amerykańscy żołnierze, a koniec końców zaczęła nawet ufać większości komunikatów wojskowych biur prasowych, mimo że przedtem wszystkie je z góry odrzucała. Pomimo zwalczających się wzajemnie grup etnicznych i zagrożenia wojną domową w Iraku umiała też dostrzec rozpaczliwe pragnienie wolności bez przemocy, jakie podzielała większość Irakijczyków, chcących demokracji dla siebie i swoich dzieci.

Poza tym w ostatnich miesiącach wtajemniczono ją w szczegóły planów terrorystów. W porównaniu z nimi wydarzenia 11 września 2001 wydawały się błahostką. Wysiłek wojenny na Środkowym Wschodzie i tajne operacje prowadzone na terenie samych Stanów Zjednoczonych z pewnością pokrzyżowały te plany.

Czy jednak cokolwiek może usprawiedliwić utratę człowieka takiego jak Justin? Czy Ameryka naprawdę może popierać wojnę, w której życie tracą tysiące żołnierzy? A ona jest przecież tylko jedną z wielu dziennikarek. Bez wsparcia

ze strony mediów i opinii publicznej wojna w Iraku może się i tak okazać bezcelowa.

Tymczasem wszystko, co w tej chwili czytała, nawet teksty dziennikarzy, których dobrze znała i którym ufała, wskazywało, że poparcie dla wojny spadło na rekordowo niski poziom. Jak w tej sytuacji wyglądają ludzie tacy jak Justin? Nie była pewna, ale te myśli nie dawały jej spokoju, nie poczuła się usatysfakcjonowana żadną z części nabożeństwa.

Jedynym pewnikiem był smutek, przepełniający każde serce i widoczny we wszystkich oczach podczas tego nabożeństwa. A nikt nie był smutniejszy niż jej ukochana córka. Emily płakała przez całe nabożeństwo, co parę minut biorąc świeżą chusteczkę. Lauren czuła w sobie mieszaninę bólu i impulsu roztoczenia nad nią opieki, potrzebę odpowiedzialności i ofiary, kiedy tak oboje z Shane'em czuwali nad córką, czując spazmy szloch wstrząsające jej szczupłym ciałem.

A gdyby Emily nie odnalazła Shane'a i jej? Jak w taki dzień jak dziś dałaby sobie radę bez nich? Miała oczywiście babcię, matkę Lauren. Mimo to Lauren spostrzegła, że przez całe nabożeństwo dziękuje Bogu, że choć umknęły jej pierwsze kroki i pierwszy uśmiech Emily, jej pierwsze słowa i pierwszy dzień w przedszkolu, to jednak była przy niej teraz, żeby podtrzymać ją na duchu w czasie cierpienia, które na pewno odmieni ją na zawsze. Emily i jej babcię z pewnością do końca życia będzie łączył szczególna więź. Ale w tym dniu, zmuszona do pożegnania się na zawsze z jedynym chłopcem, jakiego dotąd kochała, potrzebowała bliskości rodziców.

Po zakończonym nabożeństwie Gary Baker poprosił ich, żeby jechali drużdy w kolejności w kawalkadzie pojazdów na cmentarz. Kiedy wyszli z kościoła, Emily popatrzyła na Shane'a, potem na Lauren.

- Chodźmy do samochodu, co?

Lauren zrozumiała. Emily, przytłoczona nadmiarem emocji tego dnia, nie chciała rozmawiać z żałobnikami. Jeszcze nie teraz. Chciała zająć swoje miejsce w tej procesji - najpierw karawan, potem Bakerowie, potem ich trójka. Jak najbliżej ciała Justina. Za ich samochodem Joe Greenwald zgodził się prowadzić bus z chłopakami ze świetlicy.

- Jesteśmy rodziną - powiedział Bo. - Jedziemy za wami.

Nie było dyskusji.

Shane wziął Lauren za rękę i poprowadził do auta. Topniała pod jego wzrokiem, ilekroć spojrział na nią i Emily. Shane Galanter, który znał ją najlepiej ze wszystkich, a mimo to ciągle kochał. Ta miłość w jego oczach była czymś, czego nie dostrzegła u żadnego innego mężczyzny, nawet gdy zostawiła go po raz drugi. Oddałby za nią życie, tak ją kochał. Tej miłości szukała przez całe dorosłe życie. Miłości, która będzie dźwięczeć w jej sercu aż do końca.

Tylko czy on nadal ją chce? Po tylu cierpieniach, jakich mu przysporzyła?

Trzymała Emily za rękę i szły za Shane'em przez gęstniejący tłum. Nie czas teraz myśleć o Shane'ie. Przyjdzie na to odpowiednia pora.

Mieli jechać wynajętym samochodem terenowym, Lauren na siedzeniu obok kierowcy, Emily z tyłu. Ledwie usiedli, Shane wyciągnął rękę i splełli dłonie. To uczucie uświadomiło Lauren, że żyje. Że oboje żyją. Wciągnęła powietrze i poczuła, że w jej duszę wstępuje nowe życie. Po tym ponurym dniu - jeśli Bóg sprawi cud - odnajdą w końcu wspólne życie, o którym zawsze marzyli.

Shane podjechał i stanął za samochodem Bakerów. W lusterku wstecznym Lauren spostrzegła, jak Joe ustawił busa na właściwym miejscu, za nimi zaś ustawiła się cała kawalkada pojazdów wojskowych. Lauren nie była pewna, co powiedzieć, więc nie mówiła nic. Ta chwila sprzyjała milczeniu, głębokiej, pełnej szacunku ciszy. Patrzyła przez okno, przypominając sobie miniony wieczór, godziny spędzone w domu Bakerów.

Carol wyjęła książkę pamiątkową Justina z jego pierwszej zmiany w Iraku.

- Chyba wyłożę ją podczas nabożeństwa. Z tyłu kościoła.

Przekrzywiła głowę i przyglądała się księdze, potem podała ją Lauren.

- Zobacz. Emily już oglądała.

Ogarnęła ją panika, ale nie poddała się. Oglądanie tej książki miało jej przypomnieć o kosztach wojny, ale i o tym, że w pewnym sensie sama się do tych kosztów przyczyniła.

Wzięła książkę z rąk Carol Baker i powoli nabrała powietrza. Przesiadła się na kanapę. Carol poszła za nią i usiadła obok, a Emily z jej drugiego boku.

Okładka była przyozdobiona ładnymi naklejanymi literami, tworzącymi napis: *Por. Justin Baker - wyprawa pewnego żołnierza*.

Lauren przyglądała się zdjęciu Justina, jego uderzającym rysom i uśmiechowi rozświetlającemu spojrzenie. A przed oczami miała wciąż młodego żołnierza grającego w piłkę z irackimi dziećmi na pustym placu, 50 metrów od tłumy protestujących. Młodego żołnierza, którego miłość i troska o te dzieci były dla niej jak kubeł zimnej wody.

- Zawsze chciał być żołnierzem - Carol nachyliła się, żeby lepiej widzieć kartki. - Pamiętam - utkwiała wzrok gdzieś w dali - jak miał siedem lat i co jakiś czas budził się w nocy wystraszony. Był takim słodkim chłopcem - koniuszki jej ust uniosły się w smutnym uśmiechu. - W każdym razie pewnej nocy obudziliśmy się razem z nim. Otworzył oczy, ledwie obudzony, popatrzył na mnie i powiedział: „Mamo, coś mi się śniło” - znów popatrzyła na zdjęcie syna. - Zapytałam, co takiego, a on na to: „Że muszę próbować dostać się do wojska” - z jej krtani wyrwał się pełen czułości śmiech. - I powiedział jeszcze: „Ćwiczyłem musztrę i pompki, i biegi!”.

Lauren i Emily słuchały, wyobrażając sobie tę scenę.

- Jego starszy kuzyn był akurat w teatrze i poprzedniego wieczora rozmawialiśmy, jak urządzać przedstawienia i wyszukują najlepszych aktorów na scenę. I powiedziałam mu wtedy - zadarła głowę - „wiesz co, nie trzeba walczyć, by



dostać się do wojska. Biorą każdego zdrowego niekaranego mężczyznę, jaki się zgłosi”.

Rozczuliła się nagle i spojrzała w bok.

- Nigdy tego nie zapomnę. On mi odpowiedział: „Ale przecież mam, powinno się robić selekcję, bo tylko najlepsi chłopcy powinni walczyć za Amerykę” - głośniej się załamał. - Tylko najlepsi.

Emily sięgnęła po książkę i przez chwilę trzymała Carol za rękę. Nie trzęsła się już i nie łkała, tak jak w inne dni od czasu powrotu Lauren, ale jej twarz była mokra, a oczy nie odrywały się od zdjęcia. Potem Emily wzięła Lauren pod rękę i oparła głowę na jej ramieniu.

W umyśle Lauren ożyły obrazy. Chłopczyk, wówczas jasnoblonde, opalony, zielonooki, budzi się półprzytomny i opowiada mamie, co mu się śniło. I ten sam chłopiec wybiega na boisko, żeby pomóc rannej zawodniczce.

- Carol... - Lauren ledwie mogła mówić - gdyby przed wojskiem robiono próby, jego by wybrali jako pierwszego.

- Dzięki - Carol skinęła głową. - Wiem. On się urodził, żeby nosić mundur.

Następną godzinę spędzili na oglądaniu książki pamiątkowej. Z każdą kolejną kartką i stroną Lauren czuła, że jej poglądy przechylają się z powrotem w drugą stronę. Justin przysyłał do domu zdjęcia siebie i Joe, i paru innych żołnierzy z kompanii w otoczeniu Irakijczyków. Mężczyźni uśmiechali się i wiwatowali, i wymachiwali flagami, iracką i amerykańską jednocześnie.

To było kilka zdjęć, robionych z różnymi grupami przy różnych okazjach.

Pod spodem matka Justina wkleiła e- maile, jakie przysyłał do domu. W jednym z nich pisał:

*Mamo, to takie niesamowite uczucie. Pomagać tym ludziom zdobyć wolność, o której mogli tylko marzyć. Każda minuta tutaj jest warta wszystkiego.*

Było też zdjęcie Justina i jakiegoś zapłakanego Irakijczyka, obejmujących się. List Justina przyklejony pod spodem wyjaśniał:

*To Ali-Abdul, młody ojciec, z Bagdadu, facet z czwórka dzieci. Chroniliśmy targowisko, gdzie kupuje żywność, a on podszedł i dał mi garść monet, wartych może dolara. Pomyślałem sobie, że to chyba wszystko, co sam miał. Ale nie chciałem ich wziąć z powrotem. Nie chciałem w ogóle o tym słyszeć. Serio, Mamo, naprawdę chciałem mu oddać te pieniądze. A on wtedy zaczął płakać, potem potrząsnął głową i zamierzał odejść. Znasz mnie z tym moim aparatem. Musiałem zrobić mu zdjęcie. Powiedział mi, że do śmierci będzie wdzięczny za to, co Amerykanie zrobili dla jego kraju. To ci dopiero! Fakt, wiem, że dzieje się tu mnóstwo zła, bo wojna zawsze jest zła. Zawsze. Ofiary są ogromne. Ale takie rzeczy oglądam na porządku dziennym. Takich ludzi jak Ali-Abdul. W gazetach mogą pisać różne rzeczy, ale tu tak właśnie sprawy wyglądają.*

Taśmą klejącą przyklepiono poniżej sześć irackich monet. Resztę od Alego-Abdula.

Lauren powtarzała sobie w sercu te ostatnie słowa. *W gazetach mogą pisać różne rzeczy...* W gazetach - i w tygodnikach! Takie rzeczy, jakie ona wysmażała co tydzień, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Konsekwencje jej tekstów to nie był jej problem. Wojna była zła, więc miała prawo tak pisać. Tak zawsze uważała.

To się zmieniło zaledwie parę miesięcy temu.

Przewróciła kartkę i zobaczyła zdjęcie machających rękami irackich dzieci i ludzi pracujących na prowizorycznych targowiskach - wszystko to było przejawem nowej wolności. Jedynie w paru listach była mowa o lęku Justina, świadomości, że nie jest on na żadnej wyprawie humanitarnej.

*Mamo, jest tu w Bagdadzie taka grupa rebeliantów, którzy nas nienawidzą. Badałem tę sprawę jeszcze na studiach i rozumiem to. Podłożem tej wojny jest bitwa duchowa, która od zarania dziejów toczy się przeciwko ludziom i przeciwko ludowi Bożemu. Ale mimo to... wydaje mi się to takie nienormalne. Ta świadomość, że jestem tutaj, a wokół niemal wszędzie czają się ludzie, którzy nienawidzą mnie tak bardzo, że chcą mnie zabić.*

*Tylko dlatego, że jestem Amerykaninem.*

Na kilku zdjęciach widniało bardziej bez troskie oblicze Justina, co uświadomiło Lauren, że był właściwie jeszcze dzieckiem. Zdjęcie jego i Joe siedzących na ziemi przed namiotem, a pomiędzy nimi niewielka kałuża. Każdy z nich ma maleńką żaglówkę i niczym para małych chłopców, żeglują nimi po kałuży. W e-mailu pod zdjęciem było napisane między innymi: *Wygrałem ten wyścig, jakbyś nie wiedziała. Spójrz tylko na moją wyłudzoną żaglówkę. A woda była po prostu wspaniała.*

Emily roześmiała się, ale ten dźwięk zmieszał się ze szlochem.

- Uwielbiał wodę. Przed jego wyjazdem popłynęliśmy do Cieśniny Puget - jej uśmiech znikł. - Mieliliśmy... mieliśmy płynąć na Wyspy Bahama.

Tym, co w tej książce pamiątkowej wywarło na Lauren największe wrażenie, nie było żadne konkretne zdjęcie, ale ogólna wymowa ich wszystkich. Przesłanie, jakie płynęło z e-maili Justina, z monet Alego-Abdula, a szczególnie ze zdjęć, dźwięczało głośno i wyraźnie. Wojna w Iraku jest sprawą bardziej skomplikowaną, niż ona kiedykolwiek była gotowa przyznać.

Kiedy skończyły oglądać, przeniosły się do kuchennego stołu, a Carol pokazała im najnowszą gazetę, gdzie na pierwszej stronie był artykuł dla uczczenia Justina. Tytuł głosił: „Kelso oddaje hołd poległemu bohaterowi”. Artykuł rozpoczynał się na pierwszej stronie i ciągnął się jeszcze w środku, prezentując na całej stronie historię i zdjęcia Justina z okresu jego dzieciństwa w Kelso.

Jedno ze zdjęć było zrobione w szkole, w drugiej lub trzeciej klasie. Ubrany w mundur kupiony w sklepie z zabawkami, salutuje nauczycielce. Na innym zdjęciu zbliżenie jego, starszego o parę lat, i jego siostry Jill - piegowaci, opaleni, a każde z rybą na żyłce. Były też zdjęcia Justina w koszulce drużyny koszy-

karskiej liceum w Kelso oraz zdjęcie z ukończenia college'u, jak stoi dumny i wysoki w birecie i todze.

Zdjęcia opowiadały całą historię - o słodkim, czasem psotnym chłopczyku, jakim niegdyś był, i wyjątkowym młodym człowieku, jakim się stał. Obejmując Emily w talii, Lauren stała przy niej, oglądając zdjęcia, które Carol wybrała do tego artykułu. W milczeniu czytały tekst, każda pogrążona we własnych wspomnieniach o młodym człowieku. Na koniec Carol przesunęła palcami po jego zdjęciu w mundurze. Przez resztę tego wieczoru Lauren dostrzegła, że Carol spoglądała na to zdjęcie jeszcze wiele razy.

Ktoś zastukał w okno Shane'a i wspomnienia uleciały. Lauren podniosła wzrok i zobaczyła żołnierza - jednego z tych, którzy stali przy trumnie na prozdzie kościoła.

- Sir, prosimy wszystkich w tej kawalkadzie, żeby jechali z zapalonymi światłami. Będziemy mieli eskortę policyjną, powinniśmy trzymać się razem.

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Czy brakiem patriotyzmu byłoby niezgadanie się na wojnę, która zabiera kogoś takiego jak Justin? Czy można popierać wojsko, a jednocześnie nie popierać decyzji rządu o toczeniu tej wojny? Czy też rację ma Shane, kiedy mówi, że nikt nie chce wojny, ale czasem wojna jest nieunikniona - dla obrony narodu albo dla wsparcia ludzi walczących o wolność? W takim przypadku chodzi o walkę o to, co słuszne, o gotowość do ofiar bez względu na koszty, niezbędnego zwycięstwa.

Czy jednak ludzie mogą nadal popierać wojnę, która toczy się już tak długo? Nawet jeśli przynosi pozytywne rezultaty dla Ameryki i dla Iraku? Lauren popatrzyła na Shane'a, na mocny zarys jego szczęk i jak zdecydowanie patrzy przed siebie, nie na samochód Bakerów, ale na karawan na przedzie. Śmierć Justina wstrząsnęła nim. Rozmawiali o jego zmaganiach z poczuciem bezsensowności i o tym, jak uświadomił sobie, że jak długo Stany Zjednoczone są wolne, tak długo jest sens ich bronić.

Shane był równie dobry i wspinały jak Justin. A ona była gotowa od niego odejść. Nagle, patrząc na niego, poczuła przypływ miłości. I olśniło ją. Kiedy minie smutek dzisiejszego dnia, zanim podejmą decyzję, co dalej, porozmawia z nim. Powie mu, że życie jest zbyt krótkie, by żyć bez tej miłości, która ich łączy. Która zawsze ich łączyła.

Pojazdy przed nimi ruszyły i zaraz ruszył też Shane. Lauren ogarnęła fala zimnego strachu i smutku, paraliżując myśli. Jak to możliwe, że jadą tu w tej kawalkadzie, grzebać Justina Bakera? Przecież dopiero co stał tuż przed nią, rzucając piłkę tym dzieciom. Parę dni temu. Jakaś część jej wciąż nie chciała uwierzyć, że to on leży w tej skrzyni pod flagą na karawanie tam na przedzie.

Z kościoła Kelso Community Church na cmentarz po drugiej stronie miasta było około 13 kilometrów. Wyjechali z przykościelnego parkingu i skręcili w prawo. Na widok karawanu ścisnęło ją w gardle, spuściła wzrok. Jak Bakerowie

mogą to znieść? Oparła się o ramię Shane'a, czerpiąc od niego siłę, zrzucając wszystko na niego.

Ucałował ją w czoło.

- Modłę się za Gary'ego i Carol - jego głos brzmiał miękko, jak pieśczoła dla jej udręczonego sumienia.

- T a k .

Ona też przecież mogła to robić. Rozmawiać z Bogiem o Bakerach.

Już zaczynała, gdy nagle Emily krzyknęła cicho:

- Patrzcie!

Lauren wyprostowała się.

- Co takiego?

Popatrzyła w bok i zobaczyła na własne oczy.

Kiedy kawalkada powoli jechała naprzód, na chodnikach po obu stronach ulicy stali ludzie, wszyscy z flagami amerykańskimi w dłoni. Nie byli to żałobnicy, ale mieszkańcy Kelso, którzy pragnęli oddać hołd jednemu ze swoich. Lauren patrzyła jak zaczarowana, gdy mijali siwowłose małżeństwo. Drobną przygarbiona staruszka trzymała małą chorągiewkę, a mężczyzna położywszy kapelusz na sercu salutował. Potem zauważyli furgonetkę pełną nastoletnich chłopców stojących na pacy z rękami na sercu. Flaga normalnej wielkości, zatknięta na drzewcu zamocowanym obok na ziemi, łopotała na wietrze.

Shane nie mówił nic, ale jego oczy zwilgotniały bardziej niż dotąd, a mięśnie twarzy poruszały się, gdy jechał dalej. Lauren i Emily milczały w osłupieniu. Lauren przyglądała się ludziom, widziała dumę w ich oczach. Ten szereg wydawał się nie mieć końca.

Minęli grupę inwalidów, z chorągiewkami zamocowanymi na wózkach i kulach. Mechanicy samochodowi w swoich kombinezonach i urzędnicy biurowi pod krawatem. Potem stała cała drużyna skautek i nawet z samochodu Lauren spostrzegła, że kilka miało łzy na policzkach.

Potem grupa pracowników ochrony zdrowia w białych kitlach, trzymająca wspólnie jedną flagę, a potem chyba prawie cała drużyna footballowa z Kelso, wszyscy w klubowych barwach, z kaskami pod pachą. Stały tam całe rodziny, z niemowlętami w wózkach, z dziećmi na rowerkach. Wzdłuż krawężnika ustawiła się cała drużyna młodzików, bardzo przejętych.

Lauren obejrzała się, gdy kolejna przecznica, kolejna mila niosły następne oznaki poparcia. Czegoś podobnego jeszcze nie widziała. Naogładała się w życiu dość rozmaitych parad, ludzi tłoczących się na chodnikach w trójszeregu. Ale tu było inaczej.

Podczas typowej parady ludzie śmieją się i wałęsają tu i tam. Ci stali bez ruchu. Nawet dzieci całą uwagę skupiły na kondukcje żałobnym. Lauren nie uwierzyłaby w to, gdyby nie widziała tego na własne oczy. Ten głęboki respekt dla Justina - i dla wszystkich żołnierzy.

Nagle zauważyła, że płacze. I dotarło do niej, co się stało.

To Bóg dał jej jeszcze jeden element mądrości na temat, z którym zmagala się od prawie roku.

Nauczył ją temperować poglądy, pokazał inne oblicze wojny - tak jak prosiła. A teraz odpowiadała na ostatnie pytanie. Czy Amerykanie mogą nadal popierać wojnę, która toczy się już tak długo? I która kosztuje tak drogo?

Odpowiedź stała po obu stronach drogi, od kościoła do samego cmentarza. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że Kelso ma tylu mieszkańców. A jednak wszyscy oni przyszli, pokonując nieraz aż 13 kilometrów, aby okazać poparcie dla Justina, jego bliskich i kraju. Lauren wyjęła z torebki chusteczkę papierową i przytknęła ją do policzków. Wjechali na cmentarz, a ona zapragnęła powiedzieć Shane'owi i Emily o tym, co czuje.

Pociągnęła nosem i obróciła się, tak żeby widzieć oboje naraz.

- Zanim wysiądziemy, chcę... chcę wam coś powiedzieć.

Shane wziął ją za rękę. Popatrzył jej w oczy i odczuła jego współczucie aż w głębi duszy. Zarabiała na życie pisaniem - ale teraz z trudem znajdowała słowa

- Kiedy wyjeżdżałam z Fallon, modliłam się o zrozumienie, o mądrość. Ale... tak naprawdę nie sądziłam, że dowiem się czegoś nowego, ponieważ... no cóż, byłam przekonana o swojej racji - pociągnęła nosem. To wyznanie wyzwoliło w niej lawinę emocji, jakich się nie spodziewała. Po raz pierwszy dzieliła się swoimi nowymi odczuciami z dwójką ludzi, których kochała najbardziej.

- Wszystko w porządku - ton głosu Shane'a był niewyobrazalnie wprost czuły. - Nie musimy teraz o tym rozmawiać.

- Ale ja chcę - wpatrzyła się mu w oczy. - Proszę.

Shane wyglądał na zdezorientowanego. Najwyraźniej zastanawiał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Dzisiaj... teraz... nie jestem w stanie znieść ani minuty dłużej, jeśli nie powiem wam, że Bóg mnie zmienił - jej oczy zamglily się, ale w duszy pozostała nieugięta, tak jakby powiedzenie im o wszystkim miało przydać smutkowi jakiś sens. - Pokazywał mi raz po raz, że moje jednostronne poglądy były błędne. Shane - popatrzyła na niego - miałeś rację. Wojna jest skomplikowana i nikt jej nie pragnie. Nikt nie chce śmierci takiego młodego człowieka jak Justin.

Przycisnęła palce do górnej wargi, próbując się opanować.

- Oczywiście mamy prawo zadawać pytania i wszyscy chcielibyśmy, żeby istniał jakiś lepszy sposób. Ale koniec końców - popatrzyła przez okno na karawan - wszystko sprowadza się do popierania naszych wojsk. Nawet jeśli nie zgadzamy się ze wszystkim, co wiąże się z tą wojną.

Emily spuściła wzrok.

- Chcę was przeprosić... - czekała, aż Emily znów zacznie słuchać. - Emily, bardzo cię przepraszam. Przepraszam, Shane... - znów wziął górę żal i wyrzuty

sumienia, przytłaczając ją i hamując oddech. Zakryła oczy i walczyła z własnymi emocjami.

- Mamo...

Podniosła wzrok.

Emily dotknęła jej ramienia, oparła na nim dłoń.

- Ja też biję się z myślami - jej oczy były suche. - Myślę o tym, co świat właśnie stracił - mówiła spiętym głosem. - O tym, co ja straciłam.

Popatrzyła na żołnierzy stojących w szeregu po obu stronach kawalkady pojazdów, gotowych zanieść trumnę na miejsce wiecznego spoczynku.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę sobie wyobrazić ani jednego powodu, który byłby wart utraty Justina. Tylko że... - jej spojrzenie nabrało dziwnej głębi, gdy wpatrywała się w twarz Lauren, a potem Shane'a. - Justin w to wierzył. Był tam i rozumiał, o co chodzi w tej wojnie, bardziej niż ktokolwiek z nas.

Popatrzyła na Lauren.

- Nawet niż ty, mamo.

Najej twarzy znów pojawił się spokój.

- Wierzył w to. I to wystarczy.

- Wiem - długą chwilę patrzyła córce w oczy.

Potem wyszli z auta, Lauren jako ostatnia.

Spojrzała przed siebie, na biały namiot, miejsce pochówku, dokąd zmierzał kondukt żałobny. Kiedy zaczęli iść, Shane wziął ją za rękę. Jeszcze nic w jej życiu nie wydało jej się tak słuszne. Patrzyła, jak Emily dołącza do nastolatków, których Justin odwiedzał co tydzień. Joe bez słowa szedł po jednej jej stronie, a chłopak, który zadeklarował się jako przynależący do rodziny, po drugiej.

Kiedy tak szli w stronę namiotu, Lauren przyglądała się córce. Opanowana i spokojna, zdawała się ucieleśnieniem siły. Przebijała z niej zdumiewająca dojrzałość. Skąd w niej ta mądrość? Najpierw odszukała rodziców i co chwila spełniała rolę dyplomatki. A teraz to. Odpowiedź nadeszła, ledwie Lauren pomyślała to pytanie. Mądrość Emily pochodziła od Boga. Ta sama mądrość, o którą i ona się modliła.

Powtarzała sobie w myślach wyjaśnienia córki. Justin był żołnierzem, kimś, kto w Iraku codziennie ryzykował życie, kimś, kto znał zadania i cel tej walki. Wierzył w tę wojnę na tyle, żeby oddać za nią życie. W tej ocenie - bardziej niż w jakiegokolwiek, której dokonała kiedyś sama Lauren - rzeczywiście była mądrość.

I to wystarczyło.

## *Rozdział 27*

Carol Baker nie mogła oderwać wzroku od trumny.

To były jej ostatnie minuty, ostatnie chwile z synem. Ścisnęła coś w prawej dłoni, coś, co zachowała właśnie na ten moment. W niewielkim białym namiocie stłoczyły się niewyobrażalne tłumy ludzi, to tam trumna miała zostać opuszczona do ziemi. Carol była wdzięczna każdemu z nich, ale nie patrzyła na nich. Nie była w stanie.

Była tylko ona i Gary, i Jill. I Justin. Tak jak zawsze razem, odkąd sięgała pamięcią. Tylko że teraz Justin nie uśmiechnie się już, nie zażartuje z gotowania Carol, nie zapyta o Bustera, nie zaoferuje, że podrzuci Jill do Starbucksa. Zostało im tylko te parę ostatnich wspólnych chwil.

Pomimo to Carol wiedziała, że nie ma racji. Że Justina nie ma w tej skrzyni. Że jest wolny, cały i zdrowy, że cieszy się życiem danym mu po to, żeby się nim cieszył. Bez wojen, konfliktów i czegokolwiek innego, poza samą miłością. Czystą miłością. Nieraz wyobrażała sobie, że w niebie jest okno, przez które ludzie mogą spoglądać na ziemię na tych, których kochali. Ale teraz... teraz to wydawało się niemożliwe.

Ponieważ w niebie nie ma łez. A Justin nie mógłby patrzeć teraz na nich i nie rozpłakać się.

Nabożeństwo na cmentarzu było bardziej formalne i krótsze niż to w kościele. Po jego zakończeniu oddział siedmiu żołnierzy z Fort Lewis stanął kawa-

łek dalej i oddał salwę honorową. Emily z rodzicami i nastolatkami siedziała w rzędzie za Carol. W pierwszym rzędzie między Carol a Jill siedział Gary. Kiedy dźwięk pierwszej salwy rozległ się na niebie, Carol ścisnęła go za rękę i ukryła twarz w jego ramieniu.

Nie, ich tutaj nie ma. Ta salwa nie może być dla Justina.

Kiedy po cmentarzu rozeszło się echo drugiej salwy, nagle nie siedziała już obok trumny Justina. Popijała herbatę mrożoną na tarasie w tyle ich domu w Kelso jednego z tych długich letnich dni, a Justin, 9-letni brzdąc, wybiegł zza winkła, wymachując strzelbą na kapiszony.

- Mama, kryj się! Bandziory depczą mi po piętach!

Kucnęła pod stolikiem ogrodowym, aż Justin wychynał zza krzaków.

- Wygraliśmy!

I już szedł do niej, rzucał karabin na stolik i obejmował ją za szyję.

- Ja cię zawsze obronię! Wiesz? Będę najlepszym żołnierzem na świecie.

Trzecia salwa przecięła ciszę.

Carol mocniej zacisnęła coś w dłoni. *Boże, nie przeżyję tego bez Ciebie. Nie przeżyję.*

- Wszystko będzie dobrze... razem damy radę - Gary szepnął jej do ucha..

Ale czekało ją jeszcze więcej smutnych chwil. Rozległy się przejmujące tony capstrzyku, a gdy melodia ucichła, ściągnięto z trumny amerykańską flagę. Dwaj żołnierze złożyli ją i podali Joe Greenwaldowi. Joe spojrzął na rodziców Justina i nie przestając patrzeć im w oczy, podszedł i złożył flagę w ramiona Carol.

Spojrzała na nią z czułością, tęsknie, pamiętając, jak przed laty trzymała maleńkiego syna. Przycisnęła flagę do piersi, wstała i uściskała Joe. Trzymała go w objęciach przez długą chwilę. Kiedy go puściła, skłonił głowę przed siostrą przyjaciela, zaszalutował jego ojcu i odstąpił parę kroków dalej, w stronę Emily. Przystanął przy jej ojcu, skinął głową, potem obaj zaszalutowali. Uścisnęli sobie dłonie z matką Emily, a na koniec spojrzął na nią. Ujął w dłonie jej obie ręce, a ona wstała i objęła go. A potem wypowiedział słowa, które rozdarły serce Carol.

- On cię bardzo kochał, Emily. On... kazał mi to tobie powiedzieć.

Nie była w stanie wydobyć słowa. Jak wszyscy.

Joe wyprostował się i znów wziął ją za ręce, ściskając je tak mocno, aż po-białały mu kostki. Wpatrzył się jej w oczy.

- Przykro mi.

Potem wrócił na miejsce w szeregu żołnierzy.

Po kilku minutach uroczystość skończyła się. Żołnierze i dowódcy podchodzili, składając kondolencje, a Carol ściskała dłonie i wymieniała uściski. Przez cały jednak czas na krok nie oddaliła się od trumny, od jego ciała.

W końcu pozostała tylko garstka ludzi. Emily z rodzicami, chłopcy ze świetlicy i kilku starszych weteranów, tych, do których Justin wpadał na pogawędkę



w deszczowe popołudnia. Emily odeszła od grupy i zbliżyła się do trumny, stając naprzeciwko Carol, Gary'ego i Jill.

Jaka to ładna dziewczyna, ta Emily. Justin chciał się z nią żenić i na pewno by się ożenił. Tak im oznajmił w jednym z listów z Iraku. *Już postanowiłem - pisał. - To właśnie ona. Teraz żębym tylko przeżył do dnia, gdy znów ją zobaczę...*

Byłaby cudowną żoną dla Justina. Mieliby dzieci i uczyliby je troszczyć się o innych, czynić to, co słuszne. Poczwała, jak znów ogarnia ją rozpaczliwy smutek. Biedna Emily. Kochała jej syna tak jak i oni. Jego pierwsza miłość. Od samego początku ona i Gary, i Jill pokochali ją.

Carol uświadomiła sobie, jak młodzianka jest dziewczyna, która stoi naprzeciwko niej. Na pewno zakocha się jeszcze raz i wychowa dzieci, które mogłaby mieć z Justinem. Co oznacza, że więź, którą ona i Gary pielęgnowali, dobiega w dużej mierze kresu.

Emily podeszła krok bliżej do grobu. Przez całe nabożeństwo Carol obserwowała jej prawdziwą troskę o innych. O nastolatków, weteranów, a nawet o przyjaciela Justina, Joe. Ilekroć podczas nabożeństwa Carol spozrzała na Emily, dziewczyna miała wzrok utkwiony w przemawiającym, w żołnierzach albo w koszach z darami stojących na przodzie kościoła.

Nigdy w trumnie, gdzie leżał ukochany.

Ale teraz... nabożeństwo skończyło się, a Emily podeszła do krawędzi grobu. W końcu w całkowitym skupieniu wpatrzyła się w trumnę. Jej ręce i kolana drżały, a po chwili pochyliła się i oparła rękę na zimnym wieku. Wtedy popłynęły łzy, całe strumienie. Zamknęła oczy i przesunęła kciukiem po gładkim drewnie.

Po chwili wyprostowała się. Ucałowała swój mały palec i przytknęła go na dłuższą chwilę do trumny. Potem odwróciła się i podeszła do rodziców, padając obojgu w objęcia. Na boku stała grupka złowrogo wyglądających nastolatków, z rękami w kieszeniach i niepewnością na twarzy. Ten najbardziej wygadany podszedł bliżej. Ten Bo - Carol słyszała, jak Emily tak go woła - który uważał się za członka rodziny.

Uchwycił się słupa w namiocie, tak jakby miał zginać, jeśli zrobi choć jeden krok dalej. Jednak znalazł w sobie dość siły i podszedł do trumny, opierając się o nią obiema pięściami. Z krtani wyrwał mu się szloch.

- Justin, gościu... czemu?

Te słowa były wyszeptanym krzykiem, rozpaczliwym, niepokojącym.

Emily wyswobodziła się z objęć rodziców, kiedy go spostrzegła, nastoletniego młodego mężczyznę, właściwie jeszcze dziecko, wypłakującego serce z tęsknoty za przyjacielem. Podeszła i czekała metr dalej. Po kilku sekundach chłopak dwa razy przycisnął prawe przedramię do trumny, a potem unióśł je w górę, jakby w charakterystycznym uścisku dłoni - być może tak zawsze witał się z Justinem. Potem przycisnął pięść do serca i unióśł ją ku niebu.

Dopiero kiedy się odwrócił, spostrzegł Emily i padł jej w objęcia, jak duże dziecko, które szuka kogoś, kto utuli je w żalu i bólu. Carol patrzyła, jak ta dwójka powraca do reszty grupki, zwalniając Bakerom miejsce przy trumnie. Jill i Gary podeszli kilka kroków bliżej, Jill położyła na trumnie kwiat.

Gary wahał się, mimo że Jill wróciła już na miejsce w pobliżu pierwszego rzędu krzeseł. Był silnym mężczyzną, zapewne takim, jakim stałby się Justin, gdyby miał szansę żyć dalej. Ale to było pożegnanie, które nigdy nie miało się zdarzyć. Położył rękę na trumnie, lekko rozkładając palce. A Carol przypominał się oglądany po tyśiąckroć obraz dłoni Gary'ego na ramieniu Justina, kiedy obaj stali obok siebie w kościele albo na rybach nad jeziorem.

- Justin... - głos mu się łamał. Zmrużył oczy i przycisnął do nich pięści. - Taki jestem z ciebie dumny, synu.

Stał tak jeszcze przez chwilę, potem wrócił na miejsce.

I wtedy przyszła kolej na Carol. Czekwała na tę chwilę przez cały dzień, na swoją szansę bycia samą z synem. Tyle że teraz te parę kroków wymagało całej siły, jaka jeszcze jej pozostała. Bo nie chciała się zegnać, nie wyobrażała sobie, jak mogłaby się pożegnać. Podeszła do krawędzi grobu i nagle zobaczyła go, jak tam leży. Tak jak wyglądał, leżąc w nocy na łóżku, z zamkniętymi zielonymi oczami i muskularnymi ramionami na poduszce.

Na taki jego obraz serce podeszło jej do gardła. Nie mogła ani nabrać powietrza, ani go wypuścić, ani zrobić nic, jak tylko patrzeć na tę trumnę. Muszą go stać zabrać. Brakuje mu powietrza! Jej też. Grabarze nie mogą wsadzać go do tego dołu, zostawiać tam. Jeszcze przed minutą biegał i tulił się do niej, i opowiadał o tych wszystkich zwariowanych, niebezpiecznych, wzruszających rzeczach, które dzieją się w Iraku. Nigdy nie był bardziej żywy niż teraz, więc dlaczego tu leży?

Siłą oderwała wzrok od trumny i podniosła oczy, patrząc przez wysokie żywotniki okalające cmentarz na skrawek błękitu. Nie. On tam wcale nie śpi. Powoli wypuściła powietrze. Tylko w jeden sposób sobie z tym poradzi. Jeśli sama sobie powie prawdę. On teraz wspina się po górach w niebieskim mieście. Silny, bardziej żywy niż kiedykolwiek, zdrowy.

Do jej płuc weszła odrobina powietrza. Wyciągnęła rękę i dotknęła trumny. Wciąż miała flagę w ramionach. Spojrzała na nią. Zrobi wszystko, żeby odwlec ten moment. Przesunęła palcami po jedwabistym błękitcie i naszytych gwiazdach. Ponieważ błękit oznaczał odwagę, a nikt nie podchodził do wojny z większą odwagą niż ich syn.

- Otrzymałeś, co chciałeś, Justin - wyszeptwała tak cicho, że nie usłyszał jej nikt, nawet Gary i Jill. - Byłeś najlepszy, kochanie. Najlepszy ze wszystkich.

Potem wzięła to coś, co trzymała zaciśnięte w dłoni od samego początku nabożeństwa na cmentarzu, i położyła na trumnie, kilkanaście centymetrów od kwiatka. Mała plastikowa figurka należała do ukochanych zabawek Justina. Nie zasnął, jeśli nie poukładał sobie kilku takich koło łóżka. Już wtedy wszyscy wie-

dzieli, w jakim kierunku podaży jego życie. Jediną rzeczą, jaką Justin chciał robić od zawsze, była obrona kraju.

Kiedy odchodziła stamtąd, rozdzielenie odczuwała niemal fizycznie, zostawiając ciało syna, odrywając wzrok od trumny. Zanim jeszcze wróciła do najbliższych, w myślach ujrzała jedną rzecz - maleńkiego zielonego ludzika, jakiego Justin dał jej na Dzień Matki dawno, dawno temu. Trzymała go ciągle na komo-dzie, i tam miał on pozostać aż do jej śmierci. Żeby przypominać nie o jego śmierci, ale o jego dzieciństwie, chłopięcych latach, młodości. O jego życiu.

Ukochany, zmaltretowany już, zielony plastikowy żołnierz.

Przyjęcie miało się odbyć w domu Bakerów, ale wpiery Emily musiała pocieszyć Bo, Dextera i pozostałych chłopców. Dzielnie znieśli oba nabożeństwa, ale teraz Bo wyglądał tak, jakby miał za chwilę zasłać. Podtrzymywała go, aż przestał szlochać.

- Bo... Trzeba już iść - wzięła go pod rękę. Joe stał obok pozostałych chłopców, żaden nie mówił wiele.

Chłopak pociągnął nosem i skinał głową.

- Jasne.

Zerknął przez ramię na trumnę.

- Jego tu nie ma, tak? Zawsze nam powtarzał. Wierzcie w Jezusa, to na koniec pójdziecie do nieba, tak?

Emily uśmiechnęła się. Oczy miała podpuchnięte, ale płacz już ją zmęczył. Justin odszedł. Teraz trzeba cieszyć się jego życiem - i dziś, i każdego kolejnego dnia jej życia.

- Tak. Nie ma go tu.

Bo wyprostował się.

- No to dobrze - wrócił wizerunek twardziela, ale inny niż przedtem. Coś w jego oczach wyglądało inaczej, bardziej miękko i czule.

Emily modliła się, żeby tak już pozostało. Podeszli do Joe i reszty, a ona i Joe spojrzeli sobie w oczy. Nie zdążyli jeszcze porozmawiać, może będzie na to czas później, w domu Bakerów. Na razie była mu wdzięczna za to, że jest, że jego bliskość w jakimś sensie, w jakiś osobliwy sposób, jest jakby bliskością Justina.

W oddali spostrzegła weteranów zmierzających do swoich aut. Kilku podierało się laskami, ich marynarki dekorowały dziesiątki kolorowych odznaczeń, dumnych symboli tego samego bractwa, do którego należał Justin - bractwa żołnierzy. Mężczyzna na wózku podniósł rękę w jej stronę, potem jego koledzy popchali jego wózek w stronę grupy samochodów, w większości poznaczonych jako inwalidzkie.

Emily pomachała mu. Nie miało to być ich ostatnie spotkanie. Postanowiła ich odwiedzać, dowiadywać się raz na jakiś czas, co u nich słychać, i informować ich o nowinkach z Fort Lewis. Ponieważ również w ten sposób mogła pielęgnować pamięć o Justinie.

Byli już prawie przy busie, gdy Dexter włożył ręce głęboko do kieszeni dzinsów.

- I co teraz? - mówił gniewnym, zrozpaczonym tonem. - Po co to wszystko?

Emily już miała mu odpowiedzieć, przypomnieć, że Justin na pewno nie chciałby, żeby myślał w ten sposób, gdy Joe chrząknął.

- Zaraz, zaraz, panowie! Justin ciągle mi o was opowiadał - nie przestawał iść, powoli, ze spuszczonego wzrokiem. - Wierzył w was - zatrzymał się i spojrzał Dexterowi prosto w oczy. - I wierzył w służbę swojemu krajowi.

Dwaj chłopcy - ci, którzy zamierzali się zaciągnąć - skinęli głowami.

- Posłuchaj no - Dexter demonstracyjnie wzruszył ramionami. - Jakie ty masz pojęcie, jak to się żyje na moim miejscu, jak się jest skazanym na ulicę. Stamtąd nie ma wyjścia - wypiął pierś i założył na niej ręce. - Justin... on wiedział. Normalnie wiedział jak mało kto.

Wyrzucił ręce w górę.

- Co teraz?

Joe nie zamierzał się poddawać. Chłopców poznał dopiero tego dnia, ale najwyraźniej nie chciał marnować ani chwili.

- Co teraz? - mocno oparł ciężką rękę na ramieniu Dextera. - Teraz to skończ szkołę i zrób coś ze swoim życiem - zadrżały mu wargi. - I niech Justin będzie z ciebie dumny, bo tego dla ciebie chciał. W to wierzył.

Bo wystąpił naprzód. Wodził wzrokiem po całej grupie, a w końcu popatrzył na Dextera.

- Ten koleś ma rację - wyglądał dużo spokojniej niż przez cały dzień. - Justin w nas wierzył. Może... może i my powinniśmy w końcu w siebie uwierzyć.

Ta myśl najwyraźniej zaczęła docierać do Dextera. Do innych też. Justin w nich wierzył. Dexter odetchnął. Przygryzł wargę od środka i ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Dobra.

Potem dał znak reszcie i wszyscy poszli dalej do samochodu.

Emily miała ochotę unieść zaciśniętą pięść. To było to zwycięstwo, którego wypatrywała przez cały dzień. Justin nie odszedł. Nie ma go w trumnie, nie zostanie za chwilę zakopany w ziemi. Jest tutaj. W ciepłym uśmiechu wzruszonego weterana II wojny światowej i w niewinnych oczach całego autobusu uczniów podstawówki. W silnym uścisku dłoni żołnierza Joe Greenwalda i tuż przy niej, spoglądającej na Cieśninę Puget. I zawsze tu pozostanie. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego jest chyba jednak w słowach przygnębionego nastolatka.

Chłopaka, który już na zawsze uwierzył w siebie, w swoje szanse na przyszłość, w powód do życia. A pewnego dnia - nawet jeśli do tego czasu upłynęło jeszcze dużo smutnych chwil - zobaczą go znowu i będą wiedzieć, jaki wywarł wpływ, co po sobie pozostawił, ilu osobom zmienił życie.

Wszystko dlatego, że Justin Baker kiedyś żył na tej ziemi.

## *Rozdział 28*

Lauren stała z boku i obserwowała cierpiącą Carol Baker, gdy spostrzegła, że zbliża się jej matka. Wyglądała na starszą niż zwykle, bardziej zmęczoną. Bardzo chciała przyjechać na to nabożeństwo. Kiedy dowiedziała się o Justinie, zapowiedziała, że przyjedzie, nawet gdyby miała całą drogę jechać autem. Ostatecznie poprzedniego popołudnia przyleciała samolotem i zjadła z Emily, Lauren i Shane'em wczesną kolację.

To ona wychowała Emily. Musiała przyjechać.

- To najgorsze, przez co moja wnuczka przechodziła - wyznała Lauren po kolacji. - Nie mogłam nie przyjechać.

Podczas nabożeństwa trzymała się z boku, rozumiejąc, że Emily ciężko to przeżywa z wielu względów. Po pierwsze, straciła Justina. W dodatku, jeśli nie stanie się cud, może też stracić wszelką nadzieję na pojednanie rodziców. Lauren przeniosła wzrok z matki na Shane'a. Stał na rozległym trawniku kilka rzędów grobów dalej i rozmawiał z Garym Bakerem.

Nie zostało zbyt wiele czasu, matka Lauren też najwidoczniej zdawała sobie z tego sprawę. Miała bilet na lot powrotny nazajutrz, a teraz, gdy podeszła, Lauren przyszło do głowy, że matka przyjechała do Tacomy być może nie tylko po to, żeby podtrzymać Emily na duchu.

Stanąła tuż obok, tak blisko, że Lauren słyszała jej urywany oddech.

- Coś jest chyba w powietrzu - matka obejrzała się na drzewa okalające cmentarz. - Nigdy nie miałam takich problemów z oddychaniem.

- Nie jesteś czasem chora? - Lauren nie nawykła do troszczenia się o jej zdrowie. Nie miały ze sobą kontaktu przez prawie 20 lat, dość długo, żeby niemal zapomnieć, że w ogóle ma się matkę. Ale teraz, gdy Emily z powrotem połączyła ich wszystkich, Lauren sądziła, że będą spędzać ze sobą dużo czasu. Zwłaszcza że tydzień po odzyskaniu ojca znów go straciła, kiedy umarł na raka.

Zmarszczyła brwi, strapiiona.

- Robisz czasem badania?

- Nic mi nie jest - matka machnęła dłonią, jakby odganiała muchę. - Pewnie jakaś alergia.

- Może i tak - Lauren spojrzała na córkę, kilkadziesiąt metrów dalej wchodzącą do busa z gromadą nastolatków. - Emily mówi, że wiele osób się tu na to skarży.

Matka milczała. Kiedy Lauren obróciła głowę i popatrzyła na nią, nie miała wątpliwości. Matka nie przyszła tu opowiadać o alergii. Lauren obróciła się tyłem do wynajętego samochodu i przekrzywiła głowę.

- Jedziesz do Bakerów na przyjęcie?

- Tak. Nie miałam nawet czasu na rozmowę z Emily, w każdym razie nie taką, jak bym chciała - matka zmrużyła oczy, zamyślona. - Dobrze sobie radzi. Bóg ją podtrzymuje. Widzę to.

Lauren powoli pokiwała głową.

- To prawda. Nie sposób przejść przez taki dzień bez wiary.

- N i e .

Matka powoli nabrała powietrza. Odwróciła wzrok, ale tylko na moment.

- Lauren, muszę ci coś powiedzieć.

Te słowa przypomniały Lauren o krótkiej przemowie, jaką wygłosiła do Emily i Shane'a w chwili przyjazdu na cmentarz. Jak gdyby śmierć potrafiła skłaniać ludzi do dochodzenia do sedna rzeczy, jakby uwypuklała często powtarzany banał, że życie jest zbyt krótkie. Lauren przyglądała się matce, kobiecie, którą tyle lat nienawidziła. Dostrzegła miłość w jej oczach.

Uśmiechnęła się smutno.

- Tak mi się zdawało.

- Tak - Angela nie przestawała patrzeć Lauren w oczy. - Chodzi o Shane'a.

Obejrzała się przez ramię na dwóch mężczyzn na trawniku, a potem znów spojrzała na nią.

- Lauren, nie pozwól mu odejść... - jej głos zabrzmiał nagle chropawo. - To... to moja wina, że w ogóle rozstałaś się z nim - rozłożyła dłoń na piersi. - Biorę na siebie całą winę. Ale teraz... - znowu spojrzała na Shane'a. - Widzę, jak on na ciebie patrzy, jak ciągle wodzi za tobą wzrokiem, kiedy przechodzisz przez pokój. Tak samo jak przed laty.

Serce Lauren zabiło szybciej.

- Naprawdę?

- Skarbie... - matka spojrzała na nią wzrokiem, który wystarczał za odpowiedź. - Nie myślę się. Shane kocha cię dziś tak samo jak kiedyś.

Moment zaskoczenia tą uwagą minął i serce wróciło do normalnego rytmu. Ale ta myśl poruszyła coś w głębi serca Lauren. Shane wodzi za nią wzrokiem, kiedy przechodzi przez pokój? Długie lata znikły gdzieś i znów patrzyła na niego, na Shane'a, tego, który umiał sprawić, że czuła się jak tamta siedemnastolatka.

- Lauren, chcę ci powiedzieć - matka chwyciła ją za rękę i wpatrzyła się w jej twarz - że on cię kocha. Szaleje za tobą. Nigdy nikogo nie będzie kochał tak jak ciebie.

- Tak mi się zdawało.

Matka westchnęła z ulgą.

- To dobrze.

Znajome wyrzuty sumienia i żal kładły się cieniem na jej twarzy.

- Nie zniosłabym, gdybyście odrzucili to, co mieliście... co nadal możecie mieć... z powodu różnic poglądów.

- No tak... - Lauren patrzyła na flagę łopoczącą na wietrze w rogu cementarza. Na czerwień, biel i błękit, i to, co symbolizują.

- Nasze poglądy się zbliżyły.

Matka uniosła brwi. Zawahała się, przyswajając sobie tę informację, a potem spojrzała na odjeżdżający bus.

- Myślę o Emily, o tym, co straciła - trzymała Lauren za rękę. - Ty i Shane macie jeszcze szansę, skarbie. Nie pozwól... proszę, nie pozwól mu odejść. Nigdy więcej.

Lauren uderzyła żarliwość w głosie matki. I uderzyło ją nagłe olśnienie. Matka ma rację. Jeśli tego nie przerwie, to za kilka dni ona i Shane rozjadą się w zupełnie przeciwnych kierunkach.

Powiedzieli już Emily, że zostaną jeszcze tydzień, na Święto Dziękczynienia. Wystarczająco dużo czasu, żeby spędzić z nią trochę czasu, porozmawiać i dać jej okazję do płaczu i śmiechu, i wspominania tych szalonych szczęśliwych miesięcy od chwili, gdy poznała Justina. Emily chciała, żeby wybrali się we trójkę na wieżę Space Needle i do miasteczka Issaquah, na wyspę Blake i do Pike Place Market, tam, gdzie zabierał ją Justin.

- Jeśli wrócę tam teraz - mówiła im - to wciąż będę czuć go obok siebie. Zanim zapomnę to uczucie.

Nie sposób było z tym dyskutować, bo nie sposób dyskutować z bólem. Człowiek robi wtedy to, co dyktuje serce. Jeśli Emily chce tam jechać, jeśli chce w ten sposób spędzić dni po pogrzebie, to pojedą z nią. A pod koniec tygodnia, w następną sobotę, spędzą może godzinę w niewielkim kościele, który Emily odkryła.

Teraz, gdy Lauren nieco lepiej rozumiała wojsko, Fallon przestało jej się wydawać takie beznadziejne. Całe miasto ludzi myślących podobnie do Justina Bakera? To nie może być znowu takie okropne. Może się nieraz nie zgadzać z nimi w kwestiach politycznych, ale niektóre poglądy już do niej przemawiają. To że kraj taki jak Irak zasługuje na wolność. Pojęcie terroru - takiego, który oznacza wbiecie się samolotem w dom, wystrzelenie serii w człowieka machającego transparentem, jak Jusef, zdetonowanie bomby pod samochodem z chłopakiem, który chciał wszystkiego, co dobre i słuszne - tego rodzaju myślenie należało wyplenić. Bezwzględnie.

Tak, teraz mogłaby mieszkać w Fallon. To było jak złudzenie optyczne. Przedtem ludzie żyjący i pracujący w otoczeniu ośrodka Top Gun wydawali się jej nieomal zbrodniarzami, bandziorami szukającymi zaczepki, myślącymi tylko o prężeniu muskułów. Teraz widziała w nich raczej kogoś w rodzaju policjantów, ludzi, którzy mają serce i odwagę, by bronić i chronić.

Od chwili, gdy napisała ten pierwszy tekst o Justinie i jego kolegach żołnierzach, odkąd ośmieliła się pisać o wojnie w sposób, w jaki myślało wielu ludzi z Fallon, zaczęło się dziać coś dziwnego. Inni dziennikarze zaczęli pisać podobnie. Pewna korespondentka wojenna sieci telewizyjnej, która wypowiadała się w ubiegłym tygodniu, zadeklarowała swój podziw dla wojskowych i przekonywała jakim wielkim honorem byłoby dla niej ryzykować życie u ich boku, gdyby tego wymagało opowiedzenie ich historii. Ich prawdziwej historii.

Lauren uśmiechnęła się, oglądając tę rozmowę.

Prasa zaczęła patrzeć na sprawę inaczej, rozumieć, że tak skomplikowanych rzeczy nie sposób ujmować wyłącznie z jednej strony, niezależnie od poglądów samego dziennikarza. Może teraz zostawić zadanie relacjonowania wojny w rękach wielu innych zdolnych kolegów na Środkowym Wschodzie, a „Time” może znaleźć innego korespondenta, który dołączy do Scanlona.

Ona z tym skończyła, jest gotowa do kolejnego etapu w życiu.

W myślach ujrzała twarz Shane'a, usłyszała jego głos, poczuła dotyk. Oczywiście wciąż dzielą ich pewne różnice. Ale w którym małżeństwie ich nie ma? A gdyby ona wróciła do takich tematów jak przedtem, do wywiadów z różnymi osobami na terenie całego kraju, to wciąż zachowałaby pewną niezależność, mogłaby wyjeżdżać z Fallon. Przede wszystkim jednak miałyby Shane'a i miałyby wewnętrzny pokój. Nie taki pokój, o jakim pisała i do jakiego dążyła przez całe swoje dorosłe życie. Ale pokój, który ogarnia każdą myśl. Pokój, który pochodzi tylko od Boga i Jego mądrości. I pewność, że w końcu jest tam, gdzie powinna.

Z Shane'em, z którym powinna była być zawsze.

Znów powróciła do niej pewna myśl, która uderzyła ją moment wcześniej. No właśnie. Godzina w małym kościółku, gdzie chodzili Emily i Justin, jedna chwila, w której obieca, że już na zawsze pozostanie z mężczyzną, który czuł się zdobył jej serce, jeszcze kiedy była dzieckiem. Tylko czy teraz ją zechce? Czy



uwierzy, że ona może zamieszkać z nim w Fallon, spędzać z nim czas, rozumieć ludzi, którzy tworzą jego świat?

A może już na to późno?

Ujęła matkę za drugą rękę. W jej oczach widziała cierpliwość i wytrwałość, które zapowiadały, że nie zarzuci ona tej rozmowy, dopóki nie otrzyma odpowiedzi. Lauren patrzyła na nią długą chwilę.

- Nie pozwolę mu odejść, mamó.

Przekonanie w jej sercu było coraz silniejsze, ale dopiero teraz w pełni zdała sobie z niego sprawę.

- Wiem, czego chcę.

Te słowa brzmiały dziwnie w jej ustach. Nie wypowiedziała ich jeszcze nigdy do nikogo, nawet do samej siebie.

- Shane i ja... mieliśmy już zaplanowaną datę, coś bardzo uroczystego w Wigilię w Fallon - serce biło jej mocniej na samą myśl. - Ale zrobię to już w tym tygodniu. W sobotę po Święcie Dziękczynienia... jeśli Shane mnie zechce.

Czuła, że po jej ustach błąka się ostrożny uśmiech.

- Może odmówić, bo, no cóż... trochę - zmarszczyła nos - dałam mu się we znaki.

- Czy ty chcesz powiedzieć - matka pobladła - czy ty chcesz powiedzieć, że wyjdiesz za niego jeszcze w tym tygodniu, jeśli tylko się zgodzi?

Dopiero wtedy uświadomiła sobie znaczenie własnych słów. Znaczenie wielkie i trwałe.

- T a k .

Nie pozostał ani cień wątpliwości. Chce wyjść za Shane'a, starzec się razem z nim, kochać go tak, jak nigdy wcześniej nie mogła.

- Tak! - roześmiała się cicho. - Chcę za niego wyjść, mamó. To właśnie chcę powiedzieć.

Na jej czole pojawiły się kropelki potu, pomimo chłodnego powiewu. Wyjdzie za niego w najbliższą sobotę, jeśli on ją zechce. Jeśli zaufa jej, że jest gotowa oddać mu życie. Jeśli obejdzie się bez tego całego planowania i kwiatów, a tylko weźmie ją za rękę w tym małym kościółku i obieca jej, że już na zawsze.

Tak jak ona teraz desperacko pragnie obiecać to jemu.

Matka miała łzy w oczach.

- No to sprawa załatwiona.

- Co takiego? - serce Lauren wciąż waliło, a przyszłość jaśniała możliwościami, które przez całe życie jej umykały.

- Muszę przebukować bilet - matka ścisnęła jej dłoń, a jej oczy błyszczały. Wyraz jej twarzy mówił wyraźnie, że ten ślub był już rzeczą uzgodnioną, tak jakby nawet lepiej niż sama Lauren wiedziała bez żadnej wątpliwości, że Shane się zgodzi.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Za nic w świecie nie opuszczę takiej gratki.

## *Rozdział 29*

Pogrzeby to dziwna rzecz.

Emily nie mogła się nadziwić, jak w miarę upływu dnia rodzinę i najbliższych przyjaciół Justina niosła fala emocji zmieniających się nieomal z godziny na godzinę. Stanowczość z początku tego dnia ustąpiła przed rozdzierającym bólem i bezkresnym smutkiem.

Teraz, po powrocie z Tacomy, gdzie odwoziła chłopaków, dołączyła do innych w domu Bakerów. Radość, jaką tam zastała, zdumiała ją, ale po godzinie i ona się śmiała. Taki śmiech! Justin byłby dumny, że jest jednym z nich. Opowiadano o nim różne historyjki - na przykład jak to przejechał rowerem po świeżo wybrukowanym podjeździe u sąsiada, czego wypierał się przed matką.

- Ale wystarczyło, że wyprowadziłem go na dwór i pokazałem czarny ślad opon ciągnący się na całej długości od domu pani Johnson do naszego - jego ojciec zaśmiał się. Siedział na krześle przy stole w kuchni, jego żona i córka usadowiły się po jego obu stronach, Buster leżał u jego stóp. Z bluzą Justina między łapami.

Przy tym samym stole siedzieli też jej rodzice i babcia, i Joe Greenwald oraz kilkoro krewnych. Nie mogli przestać opowiadać sobie tych anegdot, jak zaczarowani, ciesząc się Justinem, który za każdym razem wywoływał uśmiech na ich twarzy. Emily rozkoszowała się każdą taką opowieścią, z każdej i z każdego wybuchu śmiechu dowiadując się o nim czegoś nowego.

Około siódmej wieczór przy stole zapanował spokój. Mężczyźni przeszli do salonu, a kobiety do kuchni, zrobić kawę. Wciąż panowała rodzinna atmosfera. Tace z jedzeniem na blacie, zapach kurczaka z grilla, ziemniaczanego casserole i pieczonych jabłek, dźwięki muzyki country, cichy szum rozmów, sporadyczne wybuchy śmiechu rozlegające się w całym domu.

Emily zamknęła oczy i napawała się tym. Tak mogłoby wyglądać każde inne spotkanie w sobotnie popołudnie, kiedy rodziny schodzą się, aby razem świętować. Wyobrażała go sobie obok siebie, jak śmieje się razem z Joe i przekonarza się z matką, że nie wytrzymał i wpuścił Bustera do domu.

Zamrugnęła powiekami i prawda stała się uderzająco oczywista. Justina tu nie ma. I nigdy już nie będzie. Kiedy inni rozeszli się po innych pomieszczeniach, w kuchni zostali tylko ona i Joe. Przyglądała mu się, po raz pierwszy od chwili, gdy rozmawiali wtedy w kościele. Patrzył na swoje dłonie, siedział sztywno, skrepowany.

W głębi serca Emily zrobiło się go żal. Jak on się musi czuć? Dziś byłby kolejny dzień zaprowadzania porządku na ulicach Iraku. Justin siedziałby obok niego w ich humwee, jechaliby przez Bagdad, wykonując swoją robotę i odliczając dni do końca służby.

- Joe? - odezwała się łagodnie. - Chcesz się przejść?

Podniósł głowę, a jego twarz przybrała na moment dziwny wyraz - poczucia obowiązku, nieuchronności. Nie przestał patrzeć jej w oczy.

- Chyba powinniśmy.

Wstała i znalazła swój płaszcz w pobliżu wyjścia. On wziął swój, ale zabrał też swój plecak z podłogi. Żadne nie odzywało się słowem, kiedy szli do drzwi i zamykali je za sobą. Zapadł już zmrok, a że było pochmurno, światło dawały jedynie wysokie latarnie na ulicy Justina.

Emily ściślej owinęła się płaszczem i wsadziła ręce do kieszeni. W powietrzu czuć było zime, zapowiadano deszcz. Wiał ostry wiatr, ale dzięki temu czuła, że żyje, łatwiej zrzucała z siebie przytłaczające poczucie śmierci, które ciążyło jej przez cały dzień. Nie uszli daleko, gdy Joe zatrzymał się i oparł o drzewo.

- To powinienem być ja - oddychał gwałtownie, wpatrując się w ciemność. - Justin... miał po co żyć - spojrzał na nią, na tę część jej serca, która ledwie dawała radę. W jego oczach była sympatia, współczucie. - On cię kochał, Emily. Bardzo.

Ten właśnie moment oboje mieli ochotę odkładać w nieskończoność. Emily zebrała w sobie całą siłę, zmusiła się, żeby wysłuchać, co Joe ma do powiedzenia, i nie załamać się kompletnie.

- Byłeś z nim wtedy. Jak...

Nie musiała kończyć zdania. Zrozumiał. Oparł jedną nogę o pień drzewa i wbił wzrok w ziemię.

- Spał, kiedy to się stało, chyba coś mu się śniło. Bo w momencie wybuchu wołał ciebie.

Łzy napływały jej do oczu, wstrzymała oddech. Nie chce płakać, nie teraz. To jedyna szansa, żeby poznać szczegóły tej strasznej godziny. Ale tego się nie spodziewała. Wołał ją? W momencie wybuchu to ona była w jego myślach? Ta wiadomość przepełniła ją i wdzięcznością, i smutkiem tak wielkim, jakiego dotąd nie znała.

Joe pociągnął nosem.

- To było tak... tak jakby z tobą rozmawiał - przytknął pięść do ust i milczał chwilę. - Mówił, że cię przeprasza, że... nigdy nie chciał, żeby tak się stało.

Opowiadał dalej, że sam był ranny, ale lekko, że wypełznął spod pogiętego samochodu i znalazł Justina na ziemi.

- Jego nogi... były pogruchotane - przejechał dłonią przez krótko ostrzyżone włosy. - Wiedziałem, że jest źle. Zacząłem wołać o pomoc. Justin... był półprzytomny. Nie wiedział, co się stało. Ale od razu zaczął pytać o nogi.

Wolała nie wyobrażać sobie, jak Justin wtedy wyglądał ani co musiał przeżywać Joe. Westchnęła. *Boże... pomóż mi przez to przejść.* Nie chciała znać szczegółów, ale od samego początku coś nie dawało jej spokoju. Justin był ze służby medycznej i zawsze pomógłby żołnierzowi w potrzebie. Ale gdy on sam znalazł się w tarapatkach, nie było tam nikogo przeszkolonego medycznie? Wykrwawił się na śmierć bez żadnej pomocy? Chłodny powiew wdarł się do jej płaszcza, skuliła się, chcąc odegnać zimno.

- Był tam ktoś ze służb medycznych? Gdzieś blisko?

- Z początku nie - Joe zmrugał oczy i znów patrzył w dal, jak gdyby ta tragedia ponownie rozgrywała się w jego myślach. - Położyłem się na nim, próbowałem swoim ciałem zatamować... - potrząsnął głową, w jego głosie pojawił się ton gniewu. - Nic to nie dało. Mocno krwawił.

Emily zrobiło się niedobrze, słabo. Tuż obok stał znak drogowy, oparła się, żeby nie upaść.

- Potem już nie pytał o swoje nogi - z głosu Joe znikł już gniew. Za to roześmiał się smutno. - Bardziej martwił się o mnie, powiedział, że mam ranę na oku i że muszę czymś to zatamować. Powiedziałem, że nic mi nie jest. I ciągle... - wysunął barki w przód - powtarzałem mu, żeby wytrzymał, a on... kazał mi się modlić. Więc się modliłem, na głos - podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Ciągle mu powtarzałem, że czekasz na niego, że musi wytrzymać dla ciebie.

Smutek wypełnił każdy zakamarek jej duszy. Miała pytania. Nie do Joe Greenwalda. Do Boga. Ale będą musiały poczekać. Nie spuszczała wzroku z Joe. Chciała, żeby dokończył.

- Wtedy przyszli ci ze służb medycznych i robili, co mogli - wykrzywił twarz i nagle wyglądał jak małe dziecko, płaczące, bo straciło najlepszego kole-

gę. - Za dużo tego było. Za dużo stracił krwi, rany za ciężkie. Nie było co... - zaszlochał i mocno potrząsnął głową.

Emily nie chciała dłużej patrzeć na cierpienie przyjaciela Justina. Wzięła plecak, który trzymał w dłoni, postawiła go obok na ziemi. Potem przyciągnęła Joe do siebie i objęła tak, jak obejmuje się brata. Przywarł do niej, tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- Emily... przepraszam.

- Już dobrze - gładziła go po plecach, pragnąc, żeby przetrzymał jakoś tę stratę, tak jak sama pragnęła ją przetrzymać. - Jeśli to jest zbyt trudne, to nie musisz mi tego mówić, Joe.

Puścił ją i znowu oparł się o drzewo.

- Nie... Nie, muszę. Obiecałem mu.

Ulicą tuż obok przejechał samochód. Kiedy ich mijają, Emily skierowała swe słowa do Boga. *Proszę... pomóż mu przez to przejść. Pomóż nam obojgu, Panie.* I kiedy w duszy wymówiła te słowa, wewnętrzny chłód złagodniał. Bóg był z nimi, pomimo wszystko, pomimo jej pytań i wątpliwości. Emily oparła się o znak drogowy i czekała.

- I wtedy zauważyłem to - podniósł plecak, trzymając go w jednej ręce. Drugą sięgnął do środka, poszperał i wyciągnął coś, co wyglądało jak obrazek. Podał jej.

Zalaminowane zdjęcie jej samej, to, które Justin zrobił ostatniego dnia na przystani, tuż przed rejssem. Pogieęte i pochłapane błotem. Pisał jej o nim. Przyglądała mu się, przypominając sobie tamto popołudnie. Ich przyszłość wydawała się tak namacalna i jasna. Spojrzała na Joe.

- Pisał mi o tym. Trzymał je w bucie.

- Trzymał je w dłoni, kiedy... kiedy wybuchła mina.

Wpatrywała się w fotografię, próbując odszukać własne rysy przez nową falę łez. Jeśli miałyby jakieś wątpliwości co do uczuć Justina w jego ostatnich chwilach, to teraz musiały one zniknąć. Myślał o niej, patrzył na jej zdjęcie nawet wtedy, gdy uchodziło z niego życie.

Joe przycisnął plecak do piersi.

- Kazał mi powiedzieć ci, że cię kocha, a ja... - opanował się już trochę, szloch wycofał się do miejsca, w którym - tak jak i u niej - był na wyciągnięcie ręki. Joe zmrużył oczy. - Powiedziałem, niech sam ci to powie. Jesteś *jego* dziewczyną.

Smutny uśmiech uniósł kąciki jej ust. Podobał jej się Joe, jego serce i śmiałość, i gotowość przekazania wiadomości od Justina. Nieustępliwość w tych ostatnich chwilach, żeby dodać Justinowi sił do walki o każdy oddech.

- Myślę, że wiedział, że nie zostało mu wiele czasu. Nie odrywał wzroku od twojego zdjęcia i... - jego wyraz twarzy zmienił się, Joe z trudem przełknął ślinę. Miał zamiar coś jeszcze powiedzieć i był tym najwyraźniej skrzepowany.

Wpatrywał się jej w oczy. - Prosił, żebym był twoim przyjacielem, Emily. Tego chciał.

Ścisnęła w ręce pogięty plastik i zwiesiła głowę. Justin leżał tam i umierał, i nie tylko o niej myślał, ale i troszczył się o nią. Żeby miała przyjaciela, który pomoże jej przetrwać stratę. Wsunęła zdjęcie do kieszeni i mocniej otuliła się płaszczem. *Justin... dlaczego cię nie ma?*

Potem przypomniała sobie o Joe, tym żołnierzu, który właśnie otworzył przed nią serce, przekazując prośbę Justina, prośbę, która go wyraźnie krępowała. Jej milczenie mógł odebrać jako odrzucenie propozycji. Rzeczywiście - kiedy na niego spojrzała, miał wzrok wbity w ziemię.

- My się nawet nie znamy, Emily. Nie ma sprawy, nie musisz... to znaczy, powiedziałem ci tylko dlatego, że...

- Joe - jej głos brzmiał ciepło, ale stanowczo. Chwyliła go za ramię i zajrzała w oczy. Tego chciał Justin, a ona była z tego zadowolona. Zaprzyjaźnienie się z Joe rozproszy trochę tę samotność, da jej kogoś, kto ją wysłucha, kiedy zapragnie opowiedzieć o utraconej miłości. - Chcę być twoim przyjacielem.

Zażenowanie w jego głosie jakby się zmniejszyło.

- T a k ?

- Tak - puściła go i znów skuliła się z zimna. - Myślę, że to będzie miłe. Nie wracasz już do Iraku, co?

Mimowolnie dotknął bandaża na czole.

- Nie. Teraz będę działał tutaj.

- To dobrze.

Nie potrzebują planować ani wyznaczać dat. Mogą zapisać sobie swoje numery telefonu i umawiać się na lunch czy kolację albo na spacer po kampusie. Będą przyjaciółmi, bo Justin o to prosił, a zresztą nie jest to głupi pomysł. Z dnia na dzień utrata Justina sprawiła, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż gdyby spędzili razem cały rok.

Joe jeszcze raz sięgnął do plecaka.

- Przywożem ci jeszcze parę rzeczy - wyciągnął czerwony album, ten, który dała Justinowi przed wyjazdem. Ostrożnie otrzepał go z pyłu i popatrzył. - Oglądał co wieczór - spozjrzał jej w oczy. - Serio. Znał każdą stronę na pamięć - roześmiał się ze smutkiem, wręczając go jej. - Chyba nawet ja co nieco zapamiętałem.

Ręce Emily drżały. Wzięła album i przytuliła go. Pachniał jakoś Justinem, i znów poczuła, jak pęka jej serce. Nigdy nie sądziła, że otrzyma go z powrotem, nie wyobrażała sobie takiej chwili jak ta. Słowa Joe znów zabrzmiały w jej myślach. „Oglądał co wieczór... Znał na pamięć”. Ścisnęła album. Obejrzy później, przeanalizuje każdą stronę, szukając jakichś znaków, które Justin mógłby tam pozostawić - śladów palców, zabrudzeń. Popatrzyła Joe w oczy.

- Dziękuję. Że mi go przywozisz.

Skinął głową.

- To jeszcze nie wszystko - wyciągnął szarą kopertę. - Wszystkie listy od ciebie i parę kartek z zeszytu, rzeczy, które zapisywał, kiedy nie mógł zasnąć - wręczył jej kopertę.

Wsunęła ją do albumu. Noc robiła się zimna, trzeba było wracać. Jej policzki już obeschły, ponieważ to, co powiedział Joe, trochę złagodziło ból. Nieomal tak, jakby sama była tam przy umierającym Justinie.

- Czy... mówił coś jeszcze?

Joe zastanawiał się chwilę. Nagle jego oczy rozblęskły ujmującym smutkiem.

- T a k .

Popatrzył na ciemne niebo za drzewami.

- Powiedział, że zajmie nam tam miejsce. Dla swojej rodziny, dla chłopaków ze świetlicy, dla mnie - znów popatrzył jej w oczy - i dla ciebie. To były jego ostatnie słowa. Patrzył na twoje zdjęcie i mówił mi, że zajmie tam dla ciebie miejsce.

Znów wiatr powiał chłodem, ale ona czuła dziwne ciepło. Wyobrazila sobie tę chwilę - Justin patrzy na jej zdjęcie i pragnie zająć dla niej miejsce w niebie.

- Mówił coś o chłopakach ze świetlicy?

- Mhm - Joe założył plecak na prawe ramię. - Bez przerwy. Najbardziej tęsknił za tobą, ale ci chłopcy byli następni - zaśmiał się cicho. - I oczywiście Buster.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

To był cały Justin, odbywający służbę w jednym z najbardziej zapalnych miejsc na świecie, a bardziej martwiący się o psa niż o własną skórę.

Joe wskazał na dom Bakerów.

- Wracamy?

- T a k .

Szli z powrotem powoli, zamyśleni. Tak dziwnie się czuła, idąc obok tego wielkiego faceta. Nowego przyjaciela, którego nie miałyby, gdyby nie obietnica złożona kumplowi.

- Dzięki, Joe. Za wszystko.

Machnął ręką i wsunął dłonie do kieszeni płaszcza. Tak jak przedtem, wyglądał na spiętego, niewiedzącego, co robić dalej.

- Te chłopaki w świetlicy... może moglibyśmy czasem tam pojechać i pobyc trochę z nimi. Jak Justin.

Tym razem Emily uśmiechnęła się z całego serca.

- Chyba byliby zadowoleni.

Dalej szli już w milczeniu, a Emily czuła z Joe więź, której by się nigdy nie spodziewała. Bo Joe pragnął być jak Justin, tak jak pragnęli tego Bo i Dexter,

i wszyscy ci chłopcy. Może takie właśnie jest dziedzictwo Justina, częśćka jego samego pozostawiona tutaj. Jego brak zawsze będzie rzeczą straszną. Emily nigdy całkiem nie dojdzie do siebie. Choćby miała żyć jeszcze sto lat, żaden dzień nie upłynie jej bez tęsknoty za młodym żołnierzem, który w to cudowne lato na wybrzeżu Seattle skradł jej serce.

A jednak dzięki niemu świat będzie innym, lepszym miejscem. Jego życie, choć krótkie, wywarło wpływ. Głęboki i trwałe. *To jest tylko przystanek autobusowy* - wydawało jej się, że słyszy jego głos, gdy wchodziła do domu jego rodziców. - *Ale wielka podróż zaczyna się dopiero po drugiej stronie*. No tak. Jej dusza zadrżała i ogarnął ją niespotykany pokój. Justina nie ma, ale zostawił im swoją mądrość i śmiech, i tysiące bezcennych wspomnień. I jeszcze coś. Uśmiechnęła się do Joe, gdy stanęli na progu.

Zostawił jej przyjaciela.



## *Rozdział 30*

Shane nie chciał nawet myśleć o pożegnaniu. Ale ta chwila zbliżała się. Nie mógł tego dłużej ignorować.

Tymczasem w dzień po pogrzebie Justina Bakera Lauren zabrała go na wieżę Space Needle w Seattle. Pozostała część tygodnia należy do Emily - tak mu powiedziała. Ale dzisiejszy dzień jest tylko dla nich. Wjechali 150 metrów w górę, na poziom O, i stanęli przy barierce, patrząc na miasto. Po długiej chwili Lauren obróciła się do niego.

- Shane... musimy porozmawiać.

Wyraz jej twarzy powiedział mu, że ma do zakomunikowania coś ważnego, i jakaś jego część zapragnęła ją powstrzymać. Nie może wygłosić teraz mowy pożegnalnej. Nie po tym wszystkim, co przeżyli przez ostatni tydzień. Co rusz wydawało mu się, że teraz wszystko układa się lepiej niż przedtem. Dlaczego więc nie porozmawiają o tym, żeby zostać razem? Nastawił się na najgorsze.

- Mam wrażenie, jakbyśmy już kiedyś to robili.

- Nie, teraz jest inaczej - ujęła go za ręce, a jej spojrzenie złagodniało. - Przez ostatnie parę miesięcy dużo się nauczyłam. Modliłam się o mądrość i Bóg mi ją dał - w jej głosie nie było typowego dla niej sceptycyzmu. - Łatwo jest stać na boku i patrzeć na coś przez pryzmat własnych uprzedzeń.

Patrzyła na zapierającą dech panoramę.

- Mogę tu stać, widzieć port albo miasto, albo góry, i założyć, że to właśnie jest całe Seattle.

Popatrzyła na niego.

- Ale dopiero kiedy zjadę na dół ze Space Needle i przejdę się po ulicach, dopiero jak wdrapię się na te góry i dotrę na nabrzeże, dopiero wtedy mogę mieć jakieś pojęcie o tym mieście.

Słuchał, myśląc tylko o tym, żeby wziąć ją w ramiona. Nadzieja zapaliła swoje światło w mrocznych zakamarkach jego serca. To jest ta Lauren, w której kiedyś się zakochał, ta, która miała olej w głowie i nie śpieszyła się z wygłaszaniami opinii.

Pozwolił jej dokończyć.

- Tak się stało ze mną ostatnio w Iraku.

Westchnęła i znów popatrzyła przez szklaną ścianę.

- Miałam okazję przejść się ulicami, rozmawiać z ludźmi, obserwować żołnierzy, takich jak Justin, i na własne oczy zobaczyć, dlaczego ta wojna jest ważna.

Nie był pewien, do czego ona zmierza, ale wzruszyły go te słowa. Nie takiego pożegnania się spodziewał. W każdym razie jeszcze nie. Przyprowadziła go na Space Needle, żeby mu powiedzieć, że się zmieniła, że jej oczy w pewnym sensie otworzyły się. Zanim jednak zdążył ją zapytać, co jeszcze ma mu do powiedzenia, co będzie dalej z nimi, odwróciła się do niego i pocałowała go. Pocałowała tak, jak nie całowała od tamtej pierwszej nocy przed prawie rokiem, przy ponownym spotkaniu w domu jej rodziców pod Chicago.

- Dwa razy prosiłeś mnie o rękę i dwa razy nam się nie udało - jej spojrzenie było łagodne, pełne światła i miłości. - Teraz moja kolej.

Przez ułamek sekundy Shane'owi zdawało się, że śni. I nagle uderzyła go pewna myśl. Może ona tak reaguje na śmierć Justina. Jeśli tak, to lepiej ją powstrzymać, zanim powie cokolwiek więcej.

- Lauren... nie musimy decydować teraz." Ostatnim razem śpieszyliśmy się z decyzją i zobacz, jak to się...

- Shane - położyła palec na jego ustach. - W tym nie ma pośpiechu. Tęskniłam za tobą za każdym oddechem, każdym uderzeniem serca. Chyba jeszcze bardziej, niż kiedy rozstaliśmy się za pierwszym razem - objęła go w pasie, a jej oczy odnalazły drogę do najintymniejszego miejsca w jego duszy. Do miejsca, którego nikt dotąd nie znalazł. - Chcę wyjść za ciebie i zamieszkać z tobą w Fallon. Chcę z tobą spać i budzić się koło ciebie, i dzielić twoją pasję dla wolności i bezpieczeństwa, i tego, co słuszne. Nawet jeśli czasem możemy patrzeć na to nieco inaczej.

W jego oczach musiało pojawić się z wątpienie, bo roześmiała się.

- Tylko *nieco* inaczej, Shane. Nie tak, że ja widzę białe tam, gdzie ty widzisz czarne. Już nie tak. Mówiłam ci... zmieniłam się. Bóg mnie zmienił.

Ujął dłonią jej twarz z boku i patrzył jej w oczy. Była to chwila, o której do-  
tąd tylko marzył.

- Myślałem, że mnie tu przyprowadziłaś, żeby się pożegnać.

- Nie. Nigdy więcej - przesunęła ramiona z jego talii na szyję. - Mam już  
dość tych pożegnań - jej głos drżał. - Jeśli... jeśli jeszcze mnie chcesz, to ozeń się  
ze mną. W najbliższą sobotę w kościele Emily. I zacznijmy już.

Roześmiała się. Lauren - zawsze gotowa do zadania, z jasno wyznaczonym  
celem.

- zacznijmy już?

- Tak - pocałowała go. - Już na zawsze.

I wszystko już było jasne.

Nie trzeba było dużo planować. Prawie wszyscy, których chcieli zaprosić na  
ślub, byli na miejscu, jego rodzice zdołali znaleźć lot w ofercie last-minute.  
W wieczór przed ślubem jego matka wzięła go na bok. W oczach miała łzy.

- Modliłam się o to 20 lat, synu - wzięła go za rękę. - Myliliśmy się w tym,  
jak postąpiliśmy. Ale Boże drogi są lepsze niż ludzkie - no i proszę. Jesteśmy tu  
wszyscy razem.

Zdawało się, że na ten poranek czekają już całe wieki. A gdy już nadszedł,  
Shane'owi zdawało się, że śni. Stał w swoim mundurze galowym na podeście  
koło kaznodziei, w kościele, do którego chodzili Emily i Justin, niedaleko Fort  
Lewis. W powietrzu rozbrzmiały dźwięki organów, na twarzach w pierwszych  
rzędach malowała się radość. Już za parę minut zrobi to, o czym marzył od  
pierwszej klasy liceum.

Poślubi Lauren Gibbs Anderson.

W kościele byli wszyscy im najbliżsi. Emily, wciąż w pomieszczeniu na ty-  
łach razem z matką, miała być jej druhną, Gary Baker, stojący z jego drugiego  
boku, przystojny, w trzyczęściowym ciemnym garniturze, miał być jego druż-  
bą. Jego rodzice, którzy poprzedniego dnia przylecieli z Kalifornii, siedzieli  
w drugim rzędzie obok Angeli Anderson, matki Lauren. Były Carol i Jill Baker,  
był Joe.

Wszyscy najbliżsi.

Popatrzył na swoich rodziców, potem na matkę Lauren. Dwadzieścia lat  
temu ta trójka z całą zaciętością walczyła o to, żeby nigdy nie doszło do tej chwili.  
Popełnili wtedy błąd, co w ciągu minionego roku przyznawali nieraz. Ale do-  
piero ten moment - ten ślub - mógł całkowicie wyzwolić ich od wyrzutów sumie-  
nia i od żalu.

Uśmiechnął się. Nie było już śladu po gniewie, po dawnej goryczy. Nieważ-  
ne, że razem z Lauren stracili tyle lat. Mają przed sobą całe życie. Spostrzegł, że  
Gary Baker patrzy na niego, i minął mu poznać, że wciąż nie może w to uwie-  
rzyć. Że rodzina może doświadczyć tak strasznego, nieopisanego bólu i tak  
bezgranicznej radości - i to w ciągu zaledwie jednego tygodnia.

Wbił wzrok w tylne drzwi i czekał. Rozmawiał z Emily tego poranka.

- Życie Justina było ważne z wielu względów, nie da się ich nawet wymienić  
- powiedziała mu. - Ale wiesz co, tato? - jej wzrok był łagodny, pełen uczuć.  
- Myślę, że jego życie tu też odegrało swoją rolę. Bóg posłużył się Justinem, żeby zmienić serce mamy - jej oczy błyszczały. - I użył jego śmierci, żeby pokazać, że czasu na miłość nigdy nie ma za wiele.

Shane uśmiechnął się. Czasu na miłość nigdy nie ma za wiele. Emily, specjalistka od kwitowania sytuacji jednym zdaniem. I miała rację.

Usłyszał, że zmienia się melodia, zabrzmiały takty tradycyjnego marszu ślubnego. Czasu na miłość nigdy nie ma za wiele, ale tym, jaki im jeszcze pozostał, będzie się rozkoszował. Każdą sekundą.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich ona, jego panna młoda. W przepięknej białej sukience, z jasnymi włosami ułożonymi w luźne loki. Ale jej uroda lśniła przede wszystkim w jej spojrzeniu. Relacjonowanie wojny, kontakty z cynicznymi ludźmi, niemal nieustanny stan zdenerwowania - wszystko to odciskało swoje piętno na Lauren. Kiedy mieszkała w Fallon, rzadko dostrzegał łagodność w jej wzroku, nieczęsto zarzucała swoje wojownicze nastawienie.

Ale teraz... znów wyglądała jak siedemnastolatka. Nic nie było jej solą w oku, niczego nie musiała udowadniać. Wrażliwa dziewczyna, którą zawsze kochał, dziewczyna o sercu wielkim jak ocean i duszy pełnej życzliwości i miłości. Która w końcu zdecydowała się przejść tę drogę, o której oboje marzyli.

Drogę środkiem kościelnej nawy.

Ponieważ jej ojciec zmarł prawie rok wcześniej, chciała, żeby to Emily odprowadziła ją do ślubu.

- Ona całe życie modliła się o tę chwilę i marzyła o niej - tłumaczyła mu Lauren. - To ona nas z powrotem połączyła. Mimo że sami dawno daliśmy za wygraną. Nie wyobrażam sobie, że kto inny miałby iść tam ze mną.

On też sobie tego nie wyobrażał.

Emily włożyła elegancką lawendową sukienkę, a jej ciemne włosy były ułożone podobnie jak włosy Lauren. Kiedy tak szła obok matki, Shane spostrzegł, że Joe Greenwald ją obserwuje. Od czasu pogrzebu oboje spędzali ze sobą każdy dzień. Shane cieszył się z tego. Emily potrzebowała przyjaciela i dzięki Justinowi zyskała go.

Lauren była już blisko, patrzyli sobie w oczy. Zawsze wyobrażał sobie, że w chwili tej uroczystości zaniemówi z wrażenia, widząc, jak Lauren idzie do niego, i wiedząc, że w końcu doczekali tej chwili. A tymczasem miał ochotę się śmiać i triumfalnie unieść w górę pięść, i zakrzyknąć tak, żeby usłyszał cały świat. Po latach błędzenia, tęsknoty, modlitw i płaczu doczekali się nareszcie.

I nic już nie mogło ich rozdzielić.

Lauren w całym swoim życiu niczego nie była tak bardzo pewna.

Kiedy szła, nie drgnęła jej nawet powieka. Utkwiła wzrok w oczach Shane'a i w głębi serca cieszyła się jak jeszcze nigdy w życiu. Wychodzi za Shane'a Galantera! Postanowili, że sami sobie ułożą tekst przysięgi, ale ona nie musiała się przygotowywać. Napisała sobie te słowa już dawno temu, jeszcze jako nastolatka, a kilka miesięcy wcześniej przypomniła jej o nich Emily. A któż by inny.

Córka stała obok niej, wysoka, dumna, nie mogła jednak nie zauważyć, jak drży, idąc tuż obok. Czekwała na tę chwilę całe życie - i doczekała się. Pośród ciemności doliny śmierci ten dzień miał nieść światłość. Olśniewająca.

Doszła do końca nawy i muzyka ucichła. Pastor uśmiechnął się. Rozmawiali z nim poprzedniego dnia rano. Zachęcał ich do trwania w wierze i w postanowieniu, aby to Chrystus stał w centrum ich małżeństwa. Takie przypomnienie. Bo przecież doszli do tego punktu dzięki Bożej łasce i dzięki niej mieli pozostać razem już na zawsze. Tylko w Chrystusie. Nawet jeśli Lauren nie do końca jeszcze to wszystko rozumiała.

- Kto oddaje tę kobietę w zamiężpójście? - głos kaznodziei rozbrzmiewał dźwięcznie i głośno.

Emily uśmiechnęła się do niej.

- Ja .

Ucałowała Lauren w policzek i zajęła swoje miejsce u jej boku.

Lauren popatrzyła na Shane'a. Wyglądał jak marzenie, czuła, jak reaguje na samą jego obecność. Ileż to lat go szukała? Tęskniła do tego dnia? Zszedł z podestu, nie spuszczać z niej wzroku. Potem ujął ją za rękę i wprowadził po stopniach, aż stanęli przed pastorem.

- Miałem przyjemność spotkać się wczoraj z młodą parą - mężczyzna uśmiechnął się do grupki obecnych i uniósł brew. - Muszę zaznaczyć, że zazwyczaj kiedy jakaś para bardzo śpieszy się ze ślubem, doradzam cierpliwość. W tym jednak przypadku... - uśmiechnął się szeroko najpierw do Lauren, potem do Shane'a - ślub i tak wydaje się mocno spóźniony.

Otworzył Biblię i przeczytał fragment z Listu do Kolosan i drugi fragment - z 13 rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian. Skupił się na kwestii miłości i ofiary i na tym, że niemożliwe jest jedno bez drugiego.

Lauren popatrzyła na Shane'a, a on odpowiedział na jej uśmiech. Duszpasterz miał rację. Całe ich życie dowodziło prawdy jego słów. O miłości i ofierze, i o tym, że nie może istnieć jedno bez drugiego.

W końcu nadszedł czas przysięgi. Shane zrobił to jako pierwszy. Stanął z Lauren twarzą w twarz i wziął ją za rękę.

- Lauren, o miłości nie wiem nic, poza tym tylko, co zawsze czułem do ciebie. Nie zamierzam rozmyślać nad latami, które straciliśmy, będę myślał tylko o tych, które rozpoczynają się tu i teraz.

Urwał i przez chwilę wydawało się, że oboje zapomnieli, gdzie się znajdują. Tak wiele ich łączyło, tyle wspomnień, które dzielili tylko we dwójkę.

Powoli nabrał powietrza.

- Obiecuję być z tobą, pozostać z tobą, kochać cię i śmiać się z tobą. Obiecuję słuchać i nieustannie szukać nowych sposobów okazywania ci, jak bardzo mi zależy - koniuszki jego ust uniosły się lekko. - A nade wszystko obiecuję opierać się na Bogu w życiowych próbach, tragediach i triumfach. Bo jeśli ja będę opierał się na Nim, ty będziesz mogła opierać się na mnie.

Przyszła kolej na nią. Miała ściśnięte gardło, a nie chciała ani na moment spuszczać wzroku z Shane'a.

- Shane... ty już dawno temu wyjaśniłeś mi, czym jest miłość. I choć błędziłam, choć stałam się kimś, kogo czasami nawet sama nie mogłam rozpoznać, to nigdy nie przestałam wierzyć w tę twoją definicję. Tę, której się trzymałam już jako siedemnastolatka. A oto, czego mnie nauczyłeś - rozłożyła kartkę papieru, którą do tej pory mocno ścisnęła w dłoni.

- Oto, czym jest prawdziwa miłość - jej głos rozlegał się dźwięcznie w całym kościele. - Prawdziwa miłość w V klasie czeka w śnieżycy na twoim ganku, żebyście mogli iść razem do szkoły. Że w VII klasie przynosi ci baton czekoladowy, kiedy się przewracasz i przybiegasz na metę ostatnia podczas turnieju - uśmiechnęła się do niego, mając przed oczyma jego obraz z tamtego dnia sprzed lat. - Prawdziwa miłość w samym środku lekcji algebry szepcze coś o twoim różowym lakierze do paznokci, tak że nawet podczas matematyki nie przestajesz się uśmiechać, i przez całe liceum w piątek trzyma dla ciebie miejsce w stołówce. Nawet jeśli wszyscy inni baseballiści uważają cię za głupią.

W przednich ławkach rozległy się ciche śmiechy.

Lauren zadrżał podbródek, ale czytała dalej, wodząc wzrokiem między kartką a Shane'em.

- Prawdziwa miłość ma czas słuchać o twoich nadziejach i marzeniach, kiedy rodzice są za bardzo zajęci komitetem rodzicielskim, klubem dobroczynnym albo biznesem w banku. Prawdziwa miłość zostaje w sobotę do późna i robi z tobą ciasteczka czekoladowe, posypuje cię mąką, wrzuca skorupki do miski z białkami i dba o to, żebyś zapamiętała ten wieczór do końca życia. Prawdziwa miłość myśli, że jesteś ładna, nawet gdy masz włosy związane w koński ogon i nie stoisz prosto.

Złożyła kartkę i wręczyła mu ją. Miał łzy w oczach, ale zdołał bezgłośnie powiedzieć: „Pamiętam”.

Uśmiechnęła się i spojrzała w to najczulsze miejsce w jego sercu, to, gdzie wciąż żył nastoletni Shane.

- W tym roku nauczyłeś mnie czegoś jeszcze. Że prawdziwa miłość pozwala ci samodzielnie dochodzić do prawdy. Zawsze żegna się z tobą tylko na pewien czas i modli się o twój powrót. Prawdziwa miłość rozumie, czym jest miłość i ofiara, i jest gotowa według tego żyć - mocniej ścisnęła jego dłoń. - Shane, przez całe swoje życie pokazywałeś mi, czym jest miłość. Teraz już to rozumiem - i obiecuję, że przez resztę życia będę cię kochać właśnie w taki sposób - zamrugała powiekami, żeby odpędzić łzy. - Dopóki oboje żyjemy.

Z odległości może metra dosłyszeli stłumiony pisk Emili, potem znowu śmiech.

Pastor podszedł bliżej i wziął obrączki od Emili i Gary'ego. Wyjaśnił symbolikę nieprzerwanych kręgów i obietnicę, jaką miały reprezentować. Kiedy Shane wsunął jej na palec obrączkę z białego złota, poczuła się tak bardzo na swoim miejscu jak nigdy w życiu. To prawda, że zanim odnalazła Shane'a, żyła intensywnie. Miała pracę, jasny cel. Ale czym jest pełnia życia, dowiedziała się dopiero teraz.

Kiedy nałożyli obrączki, pastor skinął do Shane'a.

- Może pan pocałować pannę młodą.

I zrobił to, w taki sposób, że zaparło jej dech i zatęskniła za każdym kolejnym jutrem, jakie miało dla nich nastąpić. Zanim odeszli stamtąd, zanim jeszcze duszpasterz przedstawił ich jako męża i żonę, Lauren kątem oka spostrzegła, jak Emili przymyka oczy i podnosi głowę w górę.

Jej córka modliła się, nie było co do tego wątpliwości. Dziękowała Bogu, bo choć droga nie była łatwa, to w końcu dotarli do celu. Do miejsca, które zawsze na nich czekało. I odtąd nikt ani nic nie mogło ich już rozdzielić aż do śmierci. Pomost do tego miejsca zbudowały mądrość, modlitwa, miłość i ofiara.

Ale przede wszystkim zbudował go Bóg.

Kiedy Shane zszedł po stopniach, kiedy uśmiechnęli się do siebie, przepełnieni cudownym oczekiwaniem i jednością, Lauren coś sobie uświadomiła. Cud, który Bóg dla nich sprawił, był większy, niż oboje się spodziewali. Ponieważ znaleźli coś, o czym nigdy nie sądzili, że znajdą, coś, co mógł im podarować tylko Bóg. Miejsce, z którego mogą wyjść, od którego mogą zacząć, na którym mogą stać i budować. Miejsce dla miłości, dla śmiechu, dla życia.

Upragnioną, bezcenną wspólnotę poglądów.

## *Rozdział 31*

### *Półtora roku później*

Przejmujące dźwięki capstrzyku rozbrzmiały na terenie bazy na koniec nabożeństwa w Dniu Pamięci. Deszcz, który lał od rana, godzinę wcześniej ustał, tylko na niebie pozostały jeszcze siwe chmury.

Emily wzięła za rękę stojącego obok żołnierza i powoli poszli do jego furgonetki. Kiedy Joe Greenwald włączył silnik i wyjeżdżał z parkingu, obróciła się do niego. Ciągle trzymał ją za rękę.

- Mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

- T a k .

Uśmiechnął się do niej, nie był to już jednak tamten niepewny uśmiech młodego człowieka, który nie wie, jak powinien się zachować. Był to uśmiech płynący z przyjaźni zrodzonej w tyglu cierpienia. Przyjaźni - i nie tylko.

Było w tym coś głębszego.

Przygotowywali się do tego dnia przez cały miesiąc. Wiedzieli, co zrobią, dokąd pojedą, a teraz Joe prowadził swój wóz na południe autostradą 1-5 z równomierną prędkością. Jechali do Kelso, na grób Justina.

Wtedy, półtora roku wcześniej, nie mieli pojęcia, co będzie dalej, nie wiedzieli, że ból tak zbliży ich do siebie. Emily odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy. Postanowili zostać przyjaciółmi, bo prosił o to Justin.

Ale od tamtego momentu więź między nimi zaczęła żyć własnym życiem.



Zaczął się od świetlicy dla młodzieży. Miesiąc po śmierci Justina Joe podjechał po nią do akademika i zawiózł do centrum miasta. Bała się, jak zniesie tak dobrze sobie znajome miejsce, jak bardzo wyczerpujące emocjonalnie będzie to popołudnie. Ale okazało się, że ten wspólnie spędzony czas tchnął w nią życie. Bo kontynuowali pracę Justina, tak jak on by tego pragnął.

Kiedy tamtego dnia szli do świetlicy, lekko prószył śnieg. Wszyscy byli na miejscu. Chłopcy, którzy tak kochali Justina. Bo najwyraźniej zobaczyli ich pierwszy. Spojrzeli na Emily podejrzliwie, potem odezwał się do Joe.

- Co jest? - w tym pytaniu był podtekst, nieufność, nieomal groźba.

Joe zostawił Emily i podszedł do niego.

- Pomyśleliśmy, żeby pograć trochę w pingponga - wzruszył ramionami. - Na boisku śnieg...

Bo założył ręce na piersi i wyprostował się dumnie. Wodził wzrokiem od Emily do Joe. Zaczął kręcić głową, najpierw powoli, potem szybciej.

- O nie! - wymierzył palec w Joe. - Dobrze wiem, o co wam chodzi.

- Bo... - Emily podeszła krok bliżej.

Joe wyciągnął rękę, powstrzymując ją.

- Wszystko OK - popatrzył na Bo. - Kumam bazę.

- Nic nie kumas, koleś - Bo podniósł głos i wymachiwał ręką w stronę Joe.

- Myślałeś sobie, że przyjdiesz tu i zajmiesz jego miejsce? O to ci chodziło? - machnął ręką, odwrócił się i powoli odszedł trzy kroki dalej. Zatrzymał się i mówił jeszcze głośniej. - Nie zajmiesz jego miejsca. Nikt nie zajmie. Spływaj - wskazał na drzwi. - Nie chcemy cię tu.

Dexter podniósł głowę. Inni wyglądali tak, jakby myśleli to samo.

Emily poczuła łzy na policzkach, jeszcze zanim zorientowała się, że płacze. To jasne, że nie chcą Joe. Chcą Justina. Wszyscy chcą Justina. Ale Justina nie ma, a Joe chce pomóc tym chłopakom, chce robić dalej to, co robił jego kumpel. Patrzyła na Joe, przypominając sobie cały czas, że powinna oddychać.

A Joe roześmiał się, jakby w ogóle nie przejął się takim przywitaniem.

- Gościu, czy ja jestem wasza niańka? - założył ręce na piersi. - Chciałem tylko pogonić kota przy pingpongu. Ale - podniósł rękę - nie ma sprawy. Jak masz pietra, mnie wsio ryba.

Popatrzył na Dextera, potem na innych.

- To co, jest tu chyba ktoś odważny?

Wśród nastolatków dało się wyczuć stopniową zmianę nastawienia. Popatrywali na siebie nawzajem i na Bo, jakby zastanawiając się, czy rzeczywiście powinien pozwalać sobie na zarzut, że tchórz.

Bo był wyraźnie zły, że dał się podejść. Zazgrzytał zębami i syknął w stronę Joe:

- Ktoś chce, żeby skopać mu tyłek przy pongu - zrzucił koszulkę, okaz macho i twarziela. - To dawać mi go.

Podszedł do stołu, wziął raketkę i piłeczkę.

- No, rusz się, białasie.

Joe zakasał rękawy koszuli.

- Taa, cały Bo, o którym się nasłuchałem w te irackie noce. Dużo gada, mało robi.

- Co? - Bo opadła szczeka. - Justinowi mógłbym dowalić kiedy bądź.

- No i git - Joe nieomal wypluł te słowa. - Pokaż, co tam umiesz.

Ta pierwsza rozgrywka była jedną z najzaciętszych, najbezwzględniejszych rywalizacji, jakie Emily miała okazję oglądać. A kiedy się skończyła, Joe wygrał nie tylko mecz, ale i respekt wszystkich chłopców w świetlicy. Zaczęli tam bywać raz w tygodniu, a z czasem między Joe a chłopakami zrodziła się więź, przyjaźń. Gdy na koniec semestru Bo pokazał im swoją kartę ocen, nie było tam nic poniżej C, nawet z matematyki i nauk ścisłych.

Joe nie był Justinem.

Ale wniósł ze sobą swoją miłość i wiedzę, i to wystarczyło. Emily lubiła mu się przyglądać. Podobało jej się, że jest spokojniejszy niż Justin, a mimo to może nawet lepiej niż on potrafi nawiązać indywidualny kontakt z chłopcami. No i był zabawny. Poczucie humoru pozwoliło mu docierać do chłopaków w zaskakujący sposób. Najpierw się z nimi droczył, by potem nagle opowiadać o tym, że Bóg jest jedyną ucieczką z ulicy.

Rodzice Joe mieszkali w stanie Ohio, w okolicach Akron. Był najmłodszym z szóstki dzieci, być może najspokojniejszym w żywołowej i niezwykle ze sobą zżytej rodzinie. Trójka jego rodzeństwa już postanowiła robić karierę w wojsku. Emily lubiła słuchać opowieści z jego dzieciństwa i młodych lat, jak razem z braćmi siłowali się, ścigali i rywalizowali we wszystkim - od szybkości w pochłanianiu hamburgerów po pływanie na czas w rzece przepływającej przez miasto.

Jego rodzice sądzili, że Joe pójdzie w ślady braci, ale on zaciągnął się do wojska tylko czasowo, żeby zarabiać na studia. Chciał być lekarzem.

- Ludziom można pomagać rozmaicie - mówił jej. - Służyć krajowi na wojnie albo służyć rodakom w gabinecie lekarskim.

Zgadzała się z tym, a ich wspólne rozmowy coraz bardziej ją fascynowały. Nieraz dotyczyły Iraku, a Joe uważał, że to państwo należałoby podzielić na trzy części: kurdyjską, szyicką i sunnicką. Nieraz rozmawiali o zasadach obowiązujących na studiach medycznych. Joe miał wtedy 21 lat, był o rok starszy od niej, a już zdążył zaliczyć tyle kursów między obydwiema swoimi zmianami w Iraku, że był już w połowie roku na Uniwersytecie Waszyngtońskim.

W tym samym okresie, gdy po raz pierwszy pojechał do świetlicy młodzieżowej, pojechał też pierwszy raz do Kelso. Buster niedołączył coraz bardziej. Być może z tęsknoty za Justinem, a może po prostu ze starości. Tak czy inaczej potrzebował spacerów, a Emily zdążyła go już pokochać.

Rodzice Justina przywitani ich jak dawno niewidzianych przyjaciół, choć Emily zauważyła, że matka Justina przygląda się, jak swobodnie czuje się ona w towarzystwie Joe.

Za pierwszym razem wyszli na zewnątrz i przyczepili smycz do obroży Bustera. Stara sfatygowana bluza Justina wciąż leżała w jego budzie, gdzie sypiał.

- Co tam, kolego? Pamiętasz mnie? - Emily pogłaskała go za uszami, tak jak zawsze robił Justin.

Buster zamerdał ogonem.

- Widzisz? - uśmiechnęła się do Joe. - Lubi mnie.

Joe nachylił się i pogłaskał psa.

- Justin miał świra na jego punkcie.

Buster schował się za nogami Emily, wystraszony i chyba trochę zdziwiony tym młodym człowiekiem, który trochę przypominał Justina, a jednak nie był nim.

Oprowadzili Bustera po okolicy i po jakiejś godzinie pies oswoił się z Joe.

Zanim wyjechali, matka Justina wzięła Emily na bok.

- Cieszę się, że ty i Joe... no, wiesz, tak się zaprzyjaźniliście - uśmiechnęła się, ale jednocześnie łzy napłynęły jej do oczu. - Justin by się cieszył.

I nagle Emily zrozumiała wymowę tych niespokojnych spojrzeń, jakie rzucała im od chwili ich przyjazdu. Widocznie pomyślała, że Emily czuje do Joe coś więcej, coś, co wykracza poza przyjaźń. A od śmierci Justina minął tylko miesiąc.

Potrząsnęła głową.

- Proszę pani - mówiła zniżonym tonem, żeby nie słyszeli jej mężczyźni w pokoju obok - między nami nic nie ma - wzruszyła ramionami i poczuła łzy w oczach. - Łączy nas Justin, to wszystko.

Pani Baker uśmiechnęła się smutno i pokiwała głową, jakby wiedziała na ten temat więcej niż Emily.

- Wszystko dobrze, Emily. Jesteś młoda - położyła dłoń na jej ramieniu. - Nikt nie spodziewałby się, że odtąd przestaniesz żyć. A na pewno nie Justin.

Ta rozmowa wciąż dźwięczała w uszach Emily, nie dając jej spokoju. Przez następne trzy miesiące martwiła się, co sobie myślą ludzie, co mówią. Kiedy rozmawiała z własnymi rodzicami - którzy wydawali się teraz najszczęśliwsi w życiu - bagatelizowała czas, jaki spędza z Joe.

A tymczasem spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Raz w tygodniu spotykali się z chłopcami, co jakiś czas bywali u weteranów w sali Związku Kombatantów.

- Strasznie mi się to podoba - powiedział jej raz. - Że robimy dalej to, co Justin rozpoczął - w jego spojrzeniu była powaga i szczerłość. - Ale jest jeszcze coś, co zawsze chciałem zrobić. Te miny przydrożne nie tylko zabijają, ale i okaleczają. Może chciałabyś ze mną pojechać? Myślałem, żeby zacząć odwiedzać szpital dla weteranów.

Zaczęli więc bywać jeszcze i tam, co kilka tygodni spędzając popołudnie z żołnierzami, którzy stracili rękę albo nogę bądź którzy dochodzili do siebie po jakichś innych ranach odniesionych w tej wojnie. Emily lubiła te rozmowy z żołnierzami, ale jeszcze bardziej podobało jej się obserwowanie Joe. Zdumiewała ją jego łatwość obcowania z ludźmi, jego poczucie humoru i natychmiastowa bliskość, jaka rodziła się między nim a każdym rozmówcą.

Dzień, w który mijało pół roku od śmierci Justina, spędzili w Parku Stanowym Wyspa Blake, na małej enklawie położonej pośrodku Cieśniny Sound, około trzynastu kilometrów od nabrzeża Seattle. Przemierzali tamtejsze szlaki, zwiedzali skansen Tillicum Village, obserwowali parę bielików nurkujących za rybami.

Ale dopiero po lunchu, kiedy usiedli na jakiejś kłodzie i patrzyli na ocean, Joe obrócił się do niej. I nagle wiedziała. To coś, o czym nigdy nie rozmawiali, o czym nie ośmielali się nawet myśleć. Z początku nie odzywał się, nie musiał zresztą. Po jego oczach poznała, że czuje to samo co ona.

Gdzieś na ich wspólnej drodze uzdrowienia i pielęgnowania pamięci o Justinie wykiełkowała wyjątkowa miłość. Teraz zakorzeniła się już tak głęboko, że nie mogli jej ignorować, nie mogli już spędzić ze sobą ani jednego popołudnia, nie przyznając się do tego uczucia.

Wziął głęboki oddech.

- Czujesz to, Emily? - jego cichy głos mieszał się z powiewem wiatru i dźwięczał głęboko w jej duszy.

Nie musiała pytać, o czym mówi. Patrzyła mu w oczy.

- Tak... czuję.

Ogarnęło ich przemożne poczucie winy, przygważdżając do ziemi i zmuszając do przyznania tego, co oczywiste. Emily nie była w stanie dłużej patrzeć na Joe. Utkwiła wzrok w piasku obok swoich tenisówek. Jak do tego doszło? Uczucie do przyjaciela Justina jest złem. Kiedy straciła Justina, wiedziała, że nigdy już nikogo tak nie pokocha, że nikt nie zajmie jego miejsca. Więc jak mogli do tego dopuścić, do takich uczuć? A co gorsza, jak mogli się chełpić swoją siłą, skoro niepostrzeżenie pod powierzchnią ich serca budowały coś znacznie silniejszego, od czego nie będą umieli odejść?

Joe wyciągnął rękę.

- Nie musimy się z tym śpieszyć, Emily.

Po plecach przeszły jej ciarki, gdy poczuła dotyk jego dłoni. Ledwie mogła oddychać, zmusiła się, żeby stamtąd nie uciec. Co by sobie pomyślał Justin? Jak będą dalej żyć, skoro dopuścili do czegoś takiego? Justin prosił, żeby byli przyjaciółmi, niczym więcej.

A jednak nie cofnęła ręki. Co on powiedział? Że nie muszą się z tym śpieszyć?

Skinęła głową.

- Tak. Nie... nie musimy się śpieszyć.

- Emily, spójrz na mnie - jego głos był cichy i pełen rezygnacji.

Podniosła wzrok i uświadomiła sobie, że drżą jej kolana. Był maj i powietrze bywało wciąż chłodne. Ale chłód w jej wnętrzu wynikał z tej rozmowy, a nie z temperatury na dworze.

Spoglądała na nią długo, wpatrując się jej w oczy.

- Justin nie byłby na nas zły. On... - zdrząła mu broda - on prosił, żebyśmy ze sobą przebywali. W głębi serca, w tych ostatnich minutach życia, musieli wiedzieć.

Emily zastanowiła się nad tym. Musiał wiedzieć? Czy to możliwe, że gdy leżał tam, prosił Joe, żeby został jej przyjacielem, z myślą o tym, że pewnego dnia ona znajdzie w nim miłość, tę miłość, jakiej Justin nie mógł jej już dać?

Przełknęła ślinę.

- Nie wiem.

Było jej niedobrze, wstydziła się sama siebie, że zauroczył ją Joe, że żywi do niego jakieś uczucia.

- To musi trochę poczekać.

Rzeczywiście musiało.

Po raz pierwszy pocałowali się siedem miesięcy później, w Wigilię. Potem przestali już zaprzeczać temu, co było oczywiste. Drogą bólu i cierpienia Bóg doprowadził ich do przyjaźni, której nic nie miało już przerwać. Której nic przerwać nie mogło.

Więc, jaka ich połączyła, była głęboka i zakorzeniona w wierze, która przetrwała najtrudniejszą próbę. Jej rodzice cieszyli się razem z nią, kiedy oznajmiła im tę nowinę - że ona i Joe spotykają się. Ucieszyli się też rodzice Justina, zapewniając ich, że to zbliżenie między nimi jest czymś dobrym i właściwym.

- Justin cieszyłby się - powiedziała jego matka. - Ja wiedziałam, że to się prędzej czy później stanie. Cieszymy się razem z wami.

Emily cieszyła się z ich sympatii, choć podejrzewała, że musieli z tego powodu wypłakać niejedną łzę. Tak jak ona i Joe. Nie tak to sobie początkowo wyobrażali - ale tak się stało. Teraz wszyscy musieli jakoś to zrozumieć i żyć dalej.

W niektóre wieczory przed jej powrotem do akademika siadali na ławce - tej, na której niegdyś siadała z Justinem - i w milczeniu trzymali się za ręce, tęskniąc za Justinem i tym wszystkim, czym dla nich był. Kiedy nadeszła pierwsza rocznica jego śmierci i później, gdy w okresie Bożego Narodzenia wzięli sobie tydzień wolnego i odwiedzili jej rodziców w Fallon, jedno było już jasne: Justin ich połączył.

Nie było w tym nic złego ani haniebnego. Postanowili, że od Nowego Roku wszystko się zmieni - skończy się czas nieustannego żalu i smutku, a nieśmiało zacznie się dla nich nowy początek.

Emily otworzyła oczy i pozwoliła ulecieć wspomnieniom z ostatniego półtora roku. Ma teraz Joe i kocha go całą sobą. To prawda, Joe nie jest Justinem, ale to nie szkodzi. To, co ich połączyło, będzie zawsze pod pewnymi względami głębsze i silniejsze dzięki bolesnej drodze, jaką razem przeszli.

I jest to w istocie czymś naprawdę dobrym. Żeby ten szlak łez, który przeszli, zakończyć w tym właśnie dniu, rozpoczynając od nowa. W Dniu Pamięci, dniu, w którym Justin zawsze będzie pierwszy w ich myślach. Emily do końca życia będzie pamiętać ich wspólne lato. Dał jej szczęście, ale obiecał coś więcej.

Teraz, dzięki niemu, ona i Joe znaleźli to ulotne coś, co przez jakiś czas wydawało się bezpowrotnie stracone.

I może gdzieś po drodze okaże się, że zachowają to już na zawsze.

## *Od autorki*

Drodzy Przyjaciele.

Dziękuję Wam ogromnie za podróżowanie wraz ze mną przez stronicę *Już na zawsze*. Pisząc tę książkę, dowiedziałam się wiele o samej sobie i o miłości. Dowiedziałam się wiele o poświęceniu i o patriotyzmie. Bez wątpienia spostrzegłam, że jest we mnie głęboko zakorzeniony szacunek i wdzięczność dla ludzi służących naszemu krajowi w siłach zbrojnych i dla ich rodzin - dla tych wszystkich, którzy poświęcają wiele, i dla tych wielu, którzy poświęcają wszystko.

Kiedy piszę powieść, moi bliscy często żartują sobie ze mnie. Zakradają się do mojego gabinetu z filiżanką herbaty, kiścią winogron czy kanapką i dziwią się, że płaczę.

- Przecież to wymyśleni ludzie - mówi mój mąż.

Nie dla mnie.

W moim sercu oni wszyscy żyją, oddychają i poruszają się, a kiedy piszę, czuję się jak czytelnik. Dana historia jest zawsze darem od Boga, a ja jestem pierwszą pokornie wdzięczną duszą, której dane było ją poznać. Ale z historią w tej książce było inaczej. Pisząc *Już na zawsze*, płakałam bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Po raz pierwszy w mojej pisarskiej pracy na biurku musiało stać pudełko chusteczek higienicznych.

Pewnego ranka do gabinetu weszła Kelsey.

- Cześć, mama. Czegoś ci potrzeba?

- Cześć - odwróciłam się do niej z chusteczką w dłoni i twarzą zalaną łzami.

- O-o! To przepraszam, że przeszkadzam - popatrzyła na mnie dziwnie. - Może... może coś ci mogę dać?

- Aha - popatrzyłam na nią zamglonym wzrokiem. - Dobre słowo.

Tak właśnie się czułam, pisząc tę książkę. W jednej minucie szczęśliwa i radosna w domu z dziećmi i buskimi, a za chwilę znów nad swoim laptopem, płacząc nad śmiercią Justina Bakera i pytaniami, jakie rodzi wojna. Przeżywałam to tak mocno, a historia wydawała mi się tak rzeczywista, że pewnego dnia, pobijwszy swój prywatny rekord dziennej ilości napisanych słów, poszłam do męża i powiedziałam mu:

- Pisanie jest dla mnie ważniejsze niż oddychanie. Muszę ci to powiedzieć. Jestem absolutnie przekonana, że Bóg chce mnie mieć właśnie w tym miejscu, i podoba mi się to bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

To dobra nowina, bo przecież mam jeszcze do napisania mnóstwo książek, jeśli tylko Bóg pozwoli.

Intensywność przeżyć sprawiła jednak, że usiadłam spokojnie i zadałam sobie pytanie, skąd się biorą te uczucia. Wtedy uświadomiłam sobie, że płyną one z wdzięczności dla ludzi, którzy walczą o nasz kraj i bronią go. Historia Justina i Emily jest aż nazbyt dobrze znana tysiącom osób w naszym wielkim kraju. Ofiara jest w dużej mierze stałym elementem życia Amerykanina, a historia taka jak opisana w książce *Już na zawsze* daje nam okazję przypomnieć sobie o tym, dostrzec to.

Ta książka tak kompletnie owładnęła moim sercem, że napisałam ją w tempie szybszym niż inne. Wylała się ze mnie niczym żywy obraz w ciągu pięciu dni. Pięć dni. Byłam nią zafascynowana i myślałam tylko o tym, że pod wieloma względami w historii Justina Bakera nie ma nic fikcyjnego. Jak każdy z Was, znam młodych ludzi służących naszemu krajowi, ludzi, którzy potrzebują naszego najwyższego szacunku i poparcia. Ludzi, którzy oddają wszystko, poświęcając się dla Ameryki.

Jeśli z *Już na zawsze* płynie jakiś wniosek, jeśli jest w tej książce jakaś prawda, o której zrozumienie modłę się dla Was, to jest ona następująca: Nie jest możliwa miłość bez ofiary ani ofiara bez miłości. Czy nie tego uczył Jezus? Umarł na krzyżu w największej ofierze, w największym darze miłości, i to poprzez Jego łaskę i zbawienie możemy dokonać czegokolwiek dobrego i trwałego.

Pomimo różnic poglądów jako Amerykanie musimy zgodnie modlić się i być wdzięczni za ludzi, którzy narażają życie, aby Stany Zjednoczone pozostały wolnym narodem. Spozstrzegłam, że pokochałam Justina za to, kim był, i za te dziesiątki tysięcy młodych ludzi, których jest symbolem. Ci ludzie są solą Ameryki.

Koszt wolności jest wysoki.



Razem z rodziną wysłuchaliśmy w tym roku przemówienia w Dzień Pamięci wkrótce po skończeniu przeze mnie pracy nad *Już na zawsze*. Na cichym cmentarzu wojskowym w naszym mieście stałam w ciemnych okularach obok męża i dzieci, płacząc cicho przez całą uroczystość. Uderzyła mnie дума, jaką widziałam w weteranach II wojny światowej, i głęboki ból wciąż widoczny w oczach weteranów z Wietnamu. Patrzyłam na flagę podnoszoną nad cmentarzem na koniec nabożeństwa i trzymałam się tuż przy swoich bliskich, dziękując Bogu za zaszczyt mieszkania w Ameryce.

Modłę się, żebyście dzięki lekturze *Już na zawsze* trochę lepiej rozumieli, czym jest miłość i ofiara. Jeśli nie wiecie nic bliżej o Jezusie Chrystusie i Jego ofercie na krzyżu lub jeśli chcielibyście dowiedzieć się, jak można otrzymać Jego dar zbawienia, udajcie się do najbliższego kościoła, w którym wierzy się w Biblię. Możecie też napisać do mnie, wpisując w temacie e-maila słowa „NEW LIFE” (nowe życie). Z przyjemnością prześlę Wam Biblię i będę się modlić, żebyście znaleźli zbawienie w Tym jedynym, który może je dać.

Jest to dar dawany nam darmo, ale kosztował on wiele. Tę cenę zapłacił Jezus.

Podobnie jak prawo mieszkania w Stanach Zjednoczonych nie kosztuje nas nic, w istocie jednak wolność nigdy nie przychodzi za darmo. Żołnierze i ich rodziny płacą za nią dla nas każdego dnia. Nie zapominajmy o tym.

Jeśli jesteś z grona tych, którzy służą naszemu krajowi, to dziękuję Ci. Z całego serca modłę się o to, żebyś wiedział, jak bardzo nasza rodzina jest Ci wdzięczna i jak często modlimy się o Twoje bezpieczeństwo i zwycięstwo. Jeśli zaś jesteś z grona setek tysięcy krewnych i przyjaciół tych, którzy pełnią służbę, jesteś bardzo bliski mojemu sercu. Dziękuję, że pozwalasz swoim bliskim, aby służyli i poświęcali życie.

Nie zapominamy o cenie, jaką za to płacisz.

Mój mały Austin, ośmiolatek, jest takim dzieckiem, jakim był niegdyś Justin Baker. Bawi się w wojsko, napomyka, że „popróbuje” dostać się do armii, że chce znaleźć się wśród najlepszych żołnierzy walczących za Stany Zjednoczone.

- Chcę, żeby Ameryka była bezpieczna - powtarza mi.

To tylko dziecko i jego zainteresowania mogą się jeszcze zmienić. Ale dziś, kiedy widzę jego czułe serce i wielkie przekonanie, to wiem - wiem już teraz - jaką wielką ofiarą byłoby zaprowadzenie go do punktu rekrutacji i pozwolenie mu na wybór drogi żołnierza.

Na razie więc staram się spędzać z dziećmi nieco więcej czasu i pozostając wdzięczna. Wdzięczna Bogu za to, że dał nam ziemię zwaną Ameryką, gdzie możemy mieszkać i służyć Mu, i żyć w wolności. I wdzięczna za żołnierzy i ich rodziny w tym kraju. Modłę się o Boże błogosławieństwo i ochronę dla Was wszystkich.

Jeszcze jedno. Jak pamiętacie, na samym początku książki zamieściłam dedykację, poświęcając *Już na zawsze* pamięci żołnierza Joshuy Dinglera. O Joshui

usłyszałam już jakiś czas po napisaniu książki. Ale im więcej się o nim dowiadywałam, tym bardziej dostrzegałam uderzające podobieństwo między nim a moją wymyśloną postacią Justinem Bakerem.

Podobnie jak Justin, Joshua zostawił dziewczynę, z którą planował się ożenić. Jechał na wojnę z dumą, że pomaga swojemu krajowi zachować wolność, a w swoim krótkim życiu zdążył zaślęnąć z pomocy innym ludziom. Podobnie jak Justin Baker, prawdziwy Joshua Dingler był podczas swojego pogrzebu wspominany przez całe miasto. W dniu nabożeństwa żałobnego tysiące ludzi stanęło wzdłuż trasy Highway 92, poczynając od kościoła Pickett's Mill Baptist Church aż do samego cmentarza. Ludzie trzymali flagi, mężczyźni jadący na pacy ciężarówki salutowali, a niekończące się szeregi mężczyzn i kobiet kładły dłonie na sercu.

Joshua Dingler nie jest postacią fikcyjną. Jest prawdziwy, a ja modłę się, żeby tą książką uczcić jego pamięć. Tym, co jest najważniejsze w nim, nie jest wcale jego śmierć w Al Mahmudija w Iraku, na południe od Bagdadu, 15 sierpnia 2005 roku. Dlatego proszę, abyście odwiedzili moją stronę [www.Karen-Kingsbury.com](http://www.Karen-Kingsbury.com) i modlili się za żołnierzy, których tam przedstawiam. Proszę też o zdjęcia i krótkie biografie Waszych ukochanych, którzy służyli naszemu krajowi. Na mojej stronie znajdziecie wszystkie szczegóły.

Na koniec jak zawsze przypomnę, że bardzo bym chciała dostać od Was list. Moja strona internetowa nieustannie się powiększa i przekształcała się już w prawdziwą społeczność czytelników. Jest tam link, pod którym można zamieścić prośbę o modlitwę lub modlić się za innych w potrzebie, są też linki dla klubów książki i czytelników pragnących nawiązać kontakty między sobą. Zamieściłam też blog na bieżąco aktualizowany, pozwalam także zajrzeć za kulisy nie tylko mojego życia jako pisarki, ale również żony i matki. Chciałabym w ten sposób sprawić, żebyśmy wszyscy poczuli się jak przyjaciele.

Zawsze też odbywają się jakieś konkursy. Jeden z nieustających konkursów jest następujący: Po skończeniu lektury tej książki pożyczcie ją komuś, kto nie czytał jeszcze żadnej mojej książki. Potem wyślijcie mi e- Mail z informacją: „SHARED A BOOK” („podzieliłem się książką”) w temacie listu. W e- Mailu podajcie imię tej osoby i dlaczego właśnie jej pożyczycie książkę. Automatycznie staniacie się uczestnikami głosowania, które odbywa się co rok na wiosnę. Zwycięzca razem z przyjacielem zostanie zaproszony na jeden dzień do nas, na północny zachód Stanów. Szczegóły, aktualności i ewentualne zmiany w tym i innych konkursach znajdziecie na mojej stronie internetowej.

Tymczasem wiedźcie o tym, że modłę się za Was i za Waszych bliskich. Niech Bóg rozpromieni nad Wami swoje oblicze. Do następnego razu...

W jego świetle i miłości,

*Karen Kingsbury*

## *Pytania dla Klubu Książki*

Opiszcie odczucia, jakie miała Lauren Gibbs na temat wojny na początku książki. Co ukształtowało jej poglądy?

Czy Waszym zdaniem Lauren mogła nadal mieszkać w Fallon, bez potrzeby spędzenia dodatkowego czasu na Środkowym Wschodzie? Uzasadnijcie.

Omówcie stanowisko Shane'a Galantera w kwestii wojny i wojska na początku książki. Co ukształtowało jego poglądy?

Jakie różnice poglądów występują dziś w Stanach Zjednoczonych co do wojny na Środkowym Wschodzie i co do obronności kraju? Przedyskutujcie je.

Przedstaw jakąś opinię na dany temat, która różni się od Twojej. Co Twoim zdaniem może skłonić kogoś do takiego poglądu? Jak można lepiej zrozumieć taką osobę?

Wyjaśnijcie, jak można się różnić poglądami, a mimo to pozostawać w zgodzie w najważniejszych kwestiach? Dlaczego na początku książki Shane widział taką możliwość dla siebie i Lauren?

Opiszcie postać Justina Bakera. Co sprawiało, że był tak niezwykłym młodym człowiekiem? Dlaczego taki człowiek zapragnął służyć w wojsku? Jakie podobne cechy dostrzegacie u swoich znajomych wojskowych?

Podajcie przykłady cech charakteru Justina oraz w jakich okolicznościach Lauren, Shane i Emily mieli okazję zobaczyć je tego wspólnego lata.

Dlaczego Justinowi tak zależało na udziale w operacji Enduring Freedom i wojnie w Iraku?

Dlaczego Lauren uważała, że musi wrócić do pracy korespondenta wojennego? Co spodziewała się znaleźć po powrocie na Wschód i o co się modliła?

Co stało się dla Lauren objawieniem, punktem zwrotnym, który poszerzył jej spojrzenie na tę wojnę? Opisz tę scenę i emocje Lauren.

Co czuła i przeżywała Lauren jako świadek śmierci Jusefa z rąk snajpera? Co wtedy zaczęła myśleć o tej wojnie i swoich poprzednich relacjach na jej temat?

Na podstawie e- maili, zdjęć i rozmów Justina określcie jego pogląd na tę wojnę. Jakie były jego uczucia względem Irakijczyków?

Jak Emily zareagowała na wieść o śmierci Justina? Czy zmieniło to jej opinię na temat zasadności tej wojny? Jak zareagowała Lauren?

Opiszcie uczucia Shane'a na wieść o śmierci Justina. Co jego zdaniem było największym nieprzyjacielem zagrażającym żołnierzowi? Dlaczego?

W jaki sposób Shane odzyskał przekonanie o sensowności swojej pracy jako oficer w armii? Opiszcie jego przeżycia w chwili, gdy ciało Justina powróciło do ojczyzny w trumnie przykrytej flagą.

Wyłumaczcie poparcie, jakie wyrażano dla Justina i jego bliskich podczas nabożeństwa żałobnego i na cmentarzu. Czy byliście kiedyś świadkami podobnych wyrazów poparcia dla jakiegoś żołnierza? Opiszcie tę sytuację.

Najważniejszym przesłaniem *Już na zawsze* jest sprawa miłości i ofiary. Wyjaśnijcie, co łączy je obydwie i w jaki sposób przypominają one o największej ze wszystkich ofiar - złożonej przez Chrystusa na krzyżu.

Opowiedzcie o żołnierzu z Waszej rodziny bądź kręgu znajomych. Jaka cenę płaci on bądź zapłacił, walcząc o wolność?

W jaki sposób możecie wspierać wojsko w swojej okolicy? W jaki sposób możecie zachęcić do tego swoją rodzinę, kościół, przyjaciół czy współpracowników?